

Seryjnie pomyślana, napakowana akcją,
czysta rozrywka

SF Review



MIKE RESNICK

05 STARSHIP: **OKRĘT FLAGOWY**

Starship: Okręt flagowy

MIKE
RESNICK

**STARSHIP: OKRĘT
FLAGOWY**

PRZEŁOŻYŁ
ROBERT J. SZMIDT

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Stacja Singapur - obiekt o dziwnym kształcie, składający się z dziesiątek odrębnych brył, liczący prawie siedem mil długości - poruszała się niemal niezauważalnie w pustce otaczającej serce Wewnętrznej Granicy. Nie traktowano jej jednak jako odrębnego świata, tylko jak wielkiego sztucznego satelitę. Nie posiadała rządu, chociaż liczba stałych mieszkańców przekroczyła już dwadzieścia tysięcy dusz, a każdego dnia przebywało na niej przynajmniej ćwierć miliona turystów. Długie na dwanaście mil ramiona doków strzelały z korpusu stacji w przestrzeń kosmiczną, upodabniając ją do gigantycznego, lśniącego, wciąż mutującego pająka.

Jednym z najważniejszych miejsc na trzech poziomach tlenowych stacji było kasyno „U Księcia” prowadzone przez człowieka z platyny, który niemal wszystkie swoje organy zastąpił protezami ze szlachetnego metalu. Lokal ten przyciągał ludzi i obcych mnogością stołów do gry, drinkami oraz swobodą, z jaką wszelkiej maści przemytnicy mogli tu dobijać targów. Tego dnia jednak kasyno było świadkiem znacznie ważniejszych wydarzeń niż tylko tracenie bądź zdobywanie majątku. Ludzie i obcy zgromadzeni w biurze na zapleczu grali o znacznie większą stawkę.

Wilson Cole stanął naprzeciw zebranych. Był człowiekiem o przeciętnej urodzie, o cal albo nawet dwa niższym od normy, z kilkoma funtami nadwagi, jego niegdyś kasztanowe włosy zaczynały siwieć. Żadna z cech zewnętrznych nie sugerowała, że

był jednym z najczęściej odznaczanych oficerów potężnej maszyny wojennej należącej do Republiki, nie mówiąc już o tym, że od kilku lat znajdował się na szczytach list poszukiwanych przestępców.

- Już czas - oświadczył. - Jutro wyruszamy.

- Jutro? - z sali dobiegło kilka zdziwionych głosów.

- Właśnie otrzymałem wiadomość, że Republika zgromadziła flotę liczącą niemal osiemset okrętów, które mogą dotrzeć na Stację Singapur już za dwie doby. Zatem, czy wam się to podoba czy nie, jesteśmy w stanie wojny.

- Zawsze byliśmy - burknęła niezwykle wysoka, posągowa, rudowłosa kobieta.

- Nie, Wal, ta wojna rozpoczęła się miesiąc temu - poprawił ją natychmiast Cole.

- Niech ci będzie - kobieta niemal natychmiast ustąpiła. - Pozwól jednak, że sprecyzuję, to ty nie byłeś w stanie wojny z Republiką.

- To nie ma już znaczenia - odparł. - Dzisiaj wszyscy jesteśmy w nią uwikłani.

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że zaskoczyło to pana - rzucił mężczyzna o twarzy, a także reszcie członków, prócz oczu i języka, wykonanych z platyny.

- Ależ skąd - przyznał Cole. - Mówię tylko, że czas przystąpić do ofensywy.

- Uważa pan, że jesteśmy gotowi na tak zdecydowany krok? - zapytała niska blondynka.

- To, czy jesteśmy gotowi, nie ma najmniejszego znaczenia - odparł Wilson. - Sytuacja zmusza nas do działania... - Zamilkł na moment. - Posłuchajcie, marynarka torturowała dwóch naszych oficerów, a potem zniszczyła planetę, na której wcześniej

przebywali. Dlatego ogłosiliśmy Wewnętrzną Granicę strefą zamkniętą i zaczęliśmy niszczyć okręty floty, jeden po drugim, gdy tylko wlatywały na nasze terytorium. Zbrojna odpowiedź Republiki w pełnej skali była tylko kwestią czasu. I tak też się stało miesiąc temu. Pokonaliśmy ich jednak, chociaż ceną za to była utrata niemal połowy naszych jednostek. Tym razem przyłecą tutaj, posiadając prawie dwa razy tyle okrętów. Policzcie sobie, jak wielkie straty poniesiemy, żeby je pokonać. I o ile więcej przyślą następnym razem, jeśli nam się to jakimś cudem uda. Mają trzy miliony okrętów do wyboru i cztery planety, na których nie robi się nic innego, tylko buduje nowe. My mamy zaledwie tysiąc jednostek, z czego połowa nie posiada wystarczających osłon przeciw broni, z jaką przyjdzie się im zmierzyć.

- Jakim cudem zamierza pan podbić Republikę, skoro możemy mieć problem z odparciem ośmiuset okrętów albo półtora czy nawet dwóch tysięcy? - dopytywał się Platynowy Książę. - Zaufałem panu, Wilsonie. A teraz mówi pan, że nie może obronić Stacji Singapur.

- Myślę, że dałoby się ją obronić - odparł Cole - ale mówię, że nie zamierzam tego robić. Nie możemy pozostać tutaj. Obrona tego miejsca kosztowałaby utratę zbyt wielu istnień i jednostek. Gdybyśmy przegrali, nasza rebelia dobiegłaby końca, w przypadku zwycięstwa odwołamy porażkę do następnego albo jeszcze kolejnego razu.

- I dlatego zamierza pan uprzedzić ten ruch i podbić Republikę posiadającą sześćdziesiąt tysięcy zamieszkałych planet i trzy miliony okrętów wojennych? - zapytał Książę z sarkazmem w głosie. - Pozwoli pan, że mu coś powiem. Gdyby udało się panu zamustrować samego Boga do przedziału bojowego

„Teddy'ego R.”, i tak postawiłbym wszystkie pieniądze na Republikę.

- Wojny są jak safari - stwierdził sentencjonalnie Cole. - Za najlepsze uważa się takie, na których człowiek strzela raz, góra dwa razy.

- Proszę oszczędzić mi tych frazesów! - Księżę podniósł głos. - Te osiemset okrętów przygna tutaj żądza krwi i odwetu. Marynarka ma gdzieś fakt, że sprzymierzył się pan z Ośmiornicą. Podobnie tych kilkuset rebeliantów ściągniętych tutaj z jej terytorium. Nie mówiąc już o tym, że nie wie nawet, czy „Teodor Roosevelt” jeszcze istnieje. Obawiam się, że cały problem admiralicji polega na tym, że podczas bitwy o Stację Singapur rozgromiono jej okręty i dlatego wysyła kolejne, aby dokończyły dzieła.

- One wcale nie przylecą tutaj, by zniszczyć Stację Singapur - zagrzmiął Ośmiornica, wysoki mężczyzna wyróżniający się nawet spośród gromady dziwacznych obcych zebranych w kącie gabinetu. Nie miał na sobie koszuli, a z boków wyrastało mu sześć niedorozwiniętych rączek, po trzy z każdej strony. - Proszę użyć mózgu, Księżę. Wystarczy, że poinformuje ich pan, iż nic się tu nie zmieniło; pańskie dziewczęta powitają ich z szeroko otwartymi ramionami, a kasyna, bary i meliny narkotykowe będą dostępne przez całą dobę. Oni zdają sobie doskonale sprawę z tego, że Stacja Singapur nie posiada napędu. Nigdy, przynajmniej do minionego miesiąca, nie stracili w jej pobliżu okrętu. Jedynym powodem ich przybycia jest informacja o tym, że przebywa tutaj Cole. Nie chcą pańskiej stacji. Pragną dopaść jego i, że tak nieskromnie się wyrażę, mnie.

- Świetnie! - prychnął człowiek z platyny. - W takim razie

nie rozpieprzą mi jej na kawałki, tylko zabiorą wszystko, co posiadam. Tak, to zmienia postać rzeczy.

- Zamknij się wreszcie! - wypaliła poirytowana Wal. - Jeśli wygramy, odbierzemy ją Republice. A jeśli przegramy, to i tak nie będziesz miał powodu do zmartwień, bo ciebie też nie będzie wśród żywych.

- Jakie to pocieszające - wycharczał Książę.

- Daj spokój - poprosiła Wal. - Spędziłeś dwadzieścia lat, serwując ustawiane gry i rozwodnioną whiskey. Czas spłacić długi.

- Wydawało mi się, że to właśnie uczyniłem, pozwalając, by moja stacja stała się miesiąc temu wabikiem dla floty.

- Hej, Cole. - Rudowłosa odwróciła się do Wilsona. - Co byś powiedział, gdybym uczyniła z niego pierwszą ofiarę tej wojny?

- Powiedziałbym, żebyś się uspokoiła - odparł kapitan. - Mamy poważniejsze sprawy do omówienia.

- Tak? W takim razie proponuję całkiem poważnie, żeby uziemić gościa.

Cole uśmiechnął się i spojrzał na Księcia.

- Proszę wybaczyć Walkirii. Czasami zapomina, kto naprawdę jest naszym wrogiem.

- To mi go pokaż! - burknęła rudowłosa.

- Czasami zapomina też, kto tu dowodzi - kontynuował Wilson. - Dobrze, w takim razie powtórzę: dysponujemy dzisiaj ośmiuset czterema okrętami, wliczając w to te, które może załatwić dla nas Lafferty. Komputery nie potrafią podać dokładnej liczby jednostek służących we flocie Republiki, ale w jej rejestrach jeszcze godzinę temu znajdowało się trzy miliony cztery-

sta siedemnaście tysięcy dwieście osiemdziesiąt dziewięć okrętów.

- A gdzie jest ten cały Lafferty? - zapytał ktoś z ostatniego rzędu.

- Zauważyłem, że kiedy poprzednim razem zaoferowałem nam pomoc, nikt o niego nie pytał - odparł Cole z uśmiechem, który jednak błyskawicznie wyparował. - Jest naszą wtyczką w Republice i pozostanie na jej terytorium. Agenci floty obserwują bacznie każdą jednostkę wyruszającą w kierunku Stacji Singapur, więc nie widzę wielkiego sensu w uświadamianiu im, że mają w ogródku kreta, a w zasadzie kilka setek tych pożytecznych stworzonek... - Zamilkł na moment. - Chyba nawet ktoś tak spragniony krwi jak Wal nie chciałby walczyć z trzema i pół milionem okrętów wojennych, mając do dyspozycji zaledwie osiemset własnych jednostek...

- To tylko trzy miliony czterysta tysięcy - przerwała mu rudowłosa kobieta.

- Niech ci będzie. Jeśli nadal uważasz, że to zwiększa twoje szanse, sugeruję komputerowy kurs liczenia. - Z sali dobiegło kilka stłumionych chichotów, ale twarz Walkirii pozostała poważna. - Czystym szaleństwem jest nie tylko walka z taką masą wroga, ale i lot na jego terytorium w zwartym, a nawet luźnym szyku. To partyzancka wojna, a galaktyka jest wielka. Jeśli nie popełnimy błędu, znalezienie nas będzie trudniejsze niż przysłowiowej igły w stogu siana.

- Skoordynowanie ruchów na taką odległość będzie piekielnie trudne - zauważył któryś z zebranych.

- Pracujemy nad tym problemem - uspokoił go Cole. - Nasi eksperci komputerowi, Christine Mboya i Malcolm Briggs, znajdują się w tym momencie na pokładzie „Teddy’ego R.” i

tworzą kody, za pomocą których...

- Nie ma kodów, których nie da się złamać - wtrącił jeden z obcych.

- Nie pozwoliłeś mi skończyć - powiedział Cole. W jego z pozoru łagodnym tonie kryła się wyraźna nagana. - Jak już wspomniałem, pracujemy nad kodami, które będą docierały wyłącznie do naszych jednostek, po czym natychmiast znikną, aby żaden inny okręt albo komputer nie mógł ich złamać.

- To się nie uda.

Cole wskazał humanoidalną istotę siedzącą w pierwszym rzędzie.

- Komandorze Jacovic.

Obcy wstał i obrócił się w stronę audytorium.

- Federacja Teroni wykorzystuje podobne kody od wielu lat. Nie tylko istnieją, ale i działają.

- Jedną z niewielu przewag, jakie posiadamy - kontynuował Cole - jest to, że Republika skupia niemal całą swoją uwagę na wojnie z Federacją Teroni. To prawda, że flota dysponuje bez mała trzema i pół milionem jednostek, ale tylko kilkaset tysięcy z nich nie bierze aktualnie udziału w regularnych walkach z Teroni.

- Zatem mamy już tylko kilkaset tysięcy jednostek przeciw ośmiu setkom - stwierdził Platynowy Książę. - Czyli jest dobrze?

Wal spojrzała na niego twardo, zmuszając do opuszczenia wzroku.

- Kolejną przewagą jest mój pierwszy oficer - Cole wskazał Jacovica. - Były dowódca Piątej Floty Teroni. Jeśli przypadkiem trafimy na siły tej rasy, on będzie naszym rzecznikiem.

- Przecież jest dla nich tym, kim pan dla Republiki - zau-

ważył szef stacji. - Rozwalą go w tym samym ułamku sekundy, w którym dokonają identyfikacji.

Cole pokręcił głową.

- On zrezygnował ze stanowiska. Ja się zbuntowałem. To różnica, może niezauważalna dla rządzących, ale z pewnością nie umknie uwagi oficerów niższego stopnia, a tylko z takimi będziemy mieli do czynienia. - Spojrzał w tym momencie na Platynowego Księcia. - Pozwoli pan, że zajmę się wynikiem pańskiego ostatniego równania. Prawdą jest, że około pół miliona okrętów wojennych Republiki nie jest zaangażowanych bezpośrednio w walkę z Teroni, ale raczy pan zauważyć, że Federacja nie jest jedynym wrogiem albo zagrożeniem dla Republiki. Bliźnięta Canphora, czyli Canphor VI i VIII, już czterokrotnie w tym tysiącleciu wypowiedziały nam wojnę, a istnieje szansa granicząca z prawdopodobieństwem, że niedługo znów spróbują szczęścia w tej materii. Gdy służyliśmy jeszcze we flocie, niedobitki z imperium Sett szukały pomocy na całych Obrzeżach i kontrolowały ponad trzydzieści planet. A kto wie co wydarzyło się tam w ciągu ostatnich czterech lat? Istnieje pewnie jeszcze kilka poważnych problemów Republiki, o których nie mamy pojęcia. Większość jednostek floty z pewnością nie będzie się nami interesowała, dopóki zdołamy utrzymać w tajemnicy jeden fakt.

- Tylko jeden? - zdumiał się Książę.

Cole uśmiechnął się.

- Tylko jeden. My wiemy, że wypowiedzieliśmy wojnę Republice, ale im później ona się o tym dowie, tym większe mamy szanse na odniesienie zwycięstwa.

Jeden z mężczyzn siedzących w głębi sali wstał.

- Mam w związku z tym pytanie.

- Tak, panie Perez?

- Nie będziemy mieli problemu z ukryciem naszego zaangażowania dzisiaj czy jutro, sir, ale jakim cudem chce pan utrzymać w tajemnicy fakt atakowania sił Republiki na jej własnym terytorium?

- Na początku będziemy wyłuskiwali pojedyncze jednostki tak, jak to robiliśmy tutaj, na Granicy. Nie uderzymy na nikogo, jeśli nie zyskamy pewności, że zdołamy go zniszczyć, zanim wyśle sygnał alarmowy. Jeżeli zachowamy daleko idącą ostrożność, nigdy nie skojarzą tego z nami. Myśl o tym, że przeniknęliśmy na terytorium Republiki, by ją atakować, będzie dla nich czymś naprawdę niewyobrażalnym.

- Brednie! - prychnęła Wal.

- Doprawdy? - zapytał Wilson. - Może zechciałabyś nas oświecić w tej materii?

- Poumieramy ze starości, zanim dopadniemy choćby trzecią część okrętów patrolujących sektory graniczne Republiki. Deluros VIII jest ich stolicą. To tam powinniśmy się udać!

- Ta planeta jest naszym ostatecznym celem - odparł Cole.

- Powiedz, proszę, jak blisko zdołamy do niej podejść, jeśli zostaniemy uznani za formację zbrojną? Na czterdzieści tysięcy lat świetlnych? A może tylko trzydzieści pięć?

- Więc uważasz, że ta sztuka może się udać pojedynczej jednostce? - nie ustępowała. - Mam nadzieję, że nie myślisz w tym momencie o „Teddy R.”, bo to chyba jedyny okręt znany i poszukiwany przez każdego oficera Republiki. Najrozsądniejszą rzeczą, jaką możesz z nim zrobić, to napakowanie do ładowni góry najbrudniejszych bomb pulsacyjnych i puszczenie go na au-

topilocie prosto na Deluros.

Cole wyglądał na ubawionego tą propozycją.

- Wybaczcie jej, proszę - zwrócił się do audytorium. - Zapewniam, że bardzo kocha swojego kotka.

- Nie mam żadnego pieprzonego kotka! - wydarła się Wal.

- Byłbym zapomniał, już go pożarła - dodał, nadal się uśmiechając. Wal wymamrotała kilka przekleństw, ale żadne z nich nie korespondowało już z treścią tej rozmowy. - Jak już wspominałem - kontynuował Wilson - będziemy ich wyłuskiwali, gdzie i kiedy tylko się da. Dokonamy sabotażu w ich bazach, a przynajmniej połowa z nas zajmie się czymś innym niż czynna walka. Waszym zadaniem będzie rekrutacja ludzi niezadowolonych. Kolejną przewagę stanowi także fakt, że tylko cztery nasze jednostki noszą oznaczenia floty Republiki, co oznacza, że tylko one mogą być rozpoznane przez wroga. Jeśli pozostali natkną się na nieprzewidziane problemy, mogą przerwać akcję i wziąć nogi za pas. I jeśli nawet dojdzie do identyfikacji waszych okrętów, nikt nigdy nie zorientuje się, że braliście udział w skoordynowanym ataku na Republikę.

- I właśnie dlatego „Teddy R.” powinien trzymać się z dala od tej operacji, aby go nie zidentyfikowano - stwierdził Książę.

- Gdybyśmy żyli w idealnym wszechświecie, miałby pan rację - przyznał Wilson. - Tyle tylko, że w idealnym wszechświecie nie mielibyśmy powodów do atakowania Republiki.

- Niech będzie, nasz świat nie jest doskonały. Ale czy to daje panu prawo do atakowania okrętów Republiki i narażania się na identyfikację?

- Nazywamy nasze siły flotą - wyjaśnił Cole - ale tak naprawdę dysponujemy jedynie zgrupowaniem niewielkich jednostek, których przeznaczeniem na pewno nie był udział w operacjach militarnych. Większość z nich została przebudowana chałupniczymi metodami i wyposażona w tarcze i systemy uzbrojenia, ale nie więcej niż trzy albo cztery z nich mogą przetrwać bezpośrednio trafienie z działła pulsacyjnego czwartej albo laserem piątej generacji. Jednym z nich jest właśnie „Teddy R”. Znajdziemy się zapewne w sytuacji, kiedy zadanie zaatakowania instalacji planetarnych albo okrętu będzie mogła przeprowadzić jednostka posiadająca odpowiednią broń i osłony... - Zamilkł na moment. - Ale to nie wszystko.

- Tak?

- Oni nie będą mieli pojęcia, że „Teddy R.” nie działa w pojedynkę. Jeśli zostaniemy zabici albo pojmami, reszta z was będzie mogła spokojnie działać dalej, tyle że bardziej uważnie. Co znaczy, że nie polecicie mi wszyscy na ratunek.

- Jeśli pana zabiją, zostanie pan pomszczony - zapewnił go wysoki blondyn.

- Mam nadzieję, panie Sokołow - powiedział Cole. - Dobrze. Porucznicy Mboya i Briggs sądzą, że zakończą pracę nad kodami do godziny dziewiętnastej czasu tej stacji. Chciałbym, abyście do tego czasu udostępniili im komputery pokładowe waszych okrętów oraz wyznaczyli osobę albo jeszcze lepiej dwie osoby z załogi do przeszkolenia w zakresie korzystania z tego oprogramowania. Opuścimy tę stację jutro, po ostatniej odprawie, która rozpocznie się o godzinie dziewiętej zero zero. Rozejść się.

W czasie gdy mężczyźni, kobiety i obcy przenosili się do kasyna, Platynowy Książę ruszył w stronę Cole'a.

- Mówił pan o tym wszystkim z takim spokojem, że naprawdę trzeba było się wsłuchiwać w niuanse, żeby zrozumieć, jak wielką żądzą krwi pan zionie.

Obok Wilsona pojawiła się piękna brunetka.

- Mieliśmy nadzieję, że pan tego nie wychwyci - stwierdziła z czarującym uśmiechem Sharon Blacksmith.

Cole objął ją ramieniem i odpowiedział Księciu:

- Jeszcze tydzień temu nie miał pan problemu z finansowaniem tej operacji - rzucił. - Co sprawiło, że dzisiaj pojawiło się tyle obiekcji?

- Tydzień temu nie wiedziałem, że w kierunku stacji, z której żyję, leci osiemset wrogo nastawionych okrętów wojennych - wyjaśnił człowiek z platyny.

- To było raczej nieuniknione po tym, jak zniszczyliśmy trzysta innych niecały miesiąc temu.

- Nieuniknione to tylko piękne słówko - zaperzył się Książę. - A ja mówię o osmiuset wkurzonych do białości załogach, które zamierzają rozpieprzyć na atomy moją własność. A pan zamierza zostawić mnie na ich łaskę.

- Jeśli chce się pan wyco...

- Nie, oczywiście, że nie - przerwał mu człowiek z platyny.
- Pragnę tylko jednego, żebyśmy odnieśli ostateczne zwycięstwo, ale nie narażając tej stacji na zniszczenie.

- Cóż, nie można panu odmówić otwartości i szczerości - stwierdził Cole.

- A panu tupetu - odciął się szef stacji. - Federacja Teroni rzuciła przeciw Republice kilka milionów okrętów i nie poczyniła znaczących postępów na froncie od niemal dwudziestu dziewięciu lat. A pan zamierza obalić Republikę, posiadając zaledwie

garstkę wyrzutków i starych gratów.

- Ja też wolałbym flotę składającą się z pięciu milionów okrętów obsadzonych wyszkolonymi weteranami - przyznał Wilson. - Pozwoli pan, że wyrażę się w terminologii nieobcej właścicielowi kasyna. Mam przewagę, ponieważ gram kartami, które sam rozdaję.

- W takim razie proszę załatwić admirał Susan Garcję, zanim ona was rozpieprzy - poprosił Książę. - Jeśli pan tego dokona, uznam to za całkowity sukces operacji... - Zamilkł na chwilę, ale wyglądał już na znacznie bardziej odprężonego. - Co powiecie na obiad?

- Może później - odparł Cole. - Muszę wrócić na okręt i sprawdzić, jak postępują prace nad kodem.

Człowiek z platyny spojrział na zegarek.

- Może za dwie godziny?

- Tak, to zdecydowanie lepsza pora, o ile mój szef bezpieczeństwa nie będzie miał nic przeciw.

- Przyjdziemy - potwierdziła Sharon.

- Mam jeszcze jedną sprawę do pana - powiedział Cole.

- Tak?

- Myślę, że powinien pan rozważyć wyruszenie z nami. Wprawdzie Republika nie ma powodu do odgrywania się na stacji jako takiej, ale prędzej czy później odkryje, kto nas finansował.

Książę zastanawiał się nad tymi słowami przez dłuższą chwilę, potem skinął głową.

- Ma pan rację. Dopilnuję, żeby w najbliższym czasie część mojego dobytku znalazła się na pokładzie okrętu.

Cole i Sharon przejechali kolejką kursującą po jednym z ramion dokujących ponad pół mili, zanim dotarli do stanowiska

zajmowanego przez „Teodora Roosevelta”.

- Wpadnę na mostek - powiedział Wilson.

- Wydawało mi się, że nie cierpisz wpadać na mostek.

- To prawda, ale tam niestety pracują Christine i Briggs.

- Niech ci będzie - odparła Sharon. - Ja mam jeszcze z godzinę pracy u siebie. Wpadnij po mnie, jak już będziesz gotowy do powrotu na obiad.

- Tak zrobię.

Cole wszedł do windy, wjechał nią na poziom mostka i ruszył korytarzem, starając się nie myśleć o tym, kiedy jego okręt przechodził ostatni remont. Zatrzymał się jakieś czterdzieści stóp od celu, podszedł do grodzi i zastukał w nią.

- Dzień dobry, Dawidzie - powiedział.

- Jak tam na wojnie? - zza ściany dobiegł zduszony głos.

- Na zachodzie bez zmian - odparł Cole.

- Jesteśmy w kosmosie! - odpowiedź była tym razem głośniejsza. - Tu nie ma żadnego zachodu! I jakim prawem cytujesz mi tu jakiegoś Remarque'a zamiast nieśmiertelnego Karola!

- Z każdym dniem stajesz się coraz dziwniejszy - mruknął Cole, ruszając w stronę mostka.

- Przynieś mi wytrawnej sherry, gdy będziesz wracał - zawołał za nim obcy.

- Przecież jej nie strawisz.

- Nie tobie o tym decydować!

Chwilę później jego złorzeczenia przestały być słyszalne i Cole spokojnie wkroczył na mostek.

- Witam, sir - odezwała się Christine Mboya, odrywając wzrok od ekranu komputera. - Jak poszło?

- Po naszej stronie mamy jakąś rudowłosą, która chce zaatakować trzy i pół miliona okrętów naraz, króla przestęp-

czego podziemia z ośmioma dłońmi i wybujającym ego, cyborga z platyny pragnącego wojny, ale tylko pod warunkiem, że nikt nie będzie do niego strzelał, i obcego uważającego się za Dawida Copperfielda - odparł Wilson, krzywiąc się mocno. - Jakim cudem moglibyśmy przegrać?

ROZDZIAŁ DRUGI

Cole siedział przy swoim ulubionym stoliku w kącie mesy, popijając kawę i zastanawiając się, dlaczego kambuz serwuje tak paskudne kruche ciasto serowe. Kilku obecnych na sali członków załogi wolało trzymać się z dala od jego stolika. Wszyscy wiedzieli, jak nieprzyjazny potrafi być ich kapitan przed wypiciem pierwszej, porannej kawy.

Jedyną osobą, która nie miała obaw przed podejściem, bez względu na porę dnia, była Sharon Blacksmith. Tym razem także dostrzegła go, przechodząc korytarzem obok mesy, zawróciła i usiadła na krześle obok.

- Gdzie one są? - zapytała.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Gdzie co jest?

- Nie ma czerwonych róż?

- Gdybym ofiarował ci tuzin czerwonych róż za każdym razem, gdy dzielimy łożę, musiałbym ogołocić z tych kwiatów całą planetę. - Przesunął ciasto w jej stronę. - Może wystarczy zamiast róż?

Zmarszczyła nos.

- Takie paskudztwo?

- Smakuje o wiele lepiej, kiedy znajdujemy się w odległości minimum pięćdziesięciu lat świetlnych od planety, na której działają piekarnie. Może powinniśmy wykupić tę część Stacji Singapur, w której je produkują i zabrać ją ze sobą?

- Ty naprawdę masz zamiar to zrobić? - zapytała.

- Wykupić producenta tego szajsu? Raczej nie.

Zmarszczyła brwi.

- Wiesz, o czym mówię, Wilsonie.

- Obawiam się, że nie pozostawiono nam żadnego wyboru - odparł z pełną powagą. - Chociaż gdybym go nawet miał, to i tak podjąłbym identyczną decyzję.

- Szkoda, że nie mieliśmy więcej czasu na rozbudowanie floty - powiedziała Sharon.

- Im więcej mają okrętów...

- Pieprzenie - przerwała mu w pół słowa. - Przy takiej skali ilość naszych jednostek i tak nie ma najmniejszego znaczenia.

- Być może - przyznał Cole. - Też chciałbym mieć większe szanse powodzenia. Diabła tam, pragnąłbym, żeby Republika nie plądrowała własnych kolonii i nie prowadziła rekrutacji do floty wbrew woli ludzi. Chciałbym, żeby to była Republika, za którą ludzie z ochotą idą umierać. - Zmarkotniał w jednej chwili. - Chciałbym, aby to była Republika, która nie zleca torturowania i zabicia mojego najlepszego przyjaciela. Pragnę Republiki, której spacyfikowanie planety pełnej niewinnych mieszkańców kojarzy się wyłącznie z ludobójstwem. Ale chyba sama rozumiesz, że taka Republika nie powstanie, dopóki nie obalimy tej, którą dzisiaj mamy.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

- Kiedyś częściej się uśmiechałeś - zauważyła w końcu.

- Bo i więcej było powodów do śmiechu. Mogę wyliczyć, jeśli chcesz. Właśnie poprosiłem prawie cztery tysiące ludzi o zaryzykowanie życia w starciu z największą potęgą militarną, jaka kiedykolwiek istniała. Każdy bukmacher ci powie, że będziemy mogli mówić o cholernym szczęściu, jeśli za pół roku da

się zliczyć choćby dziesięć nazwisk tych, którzy przeżyli.

- Dlaczego więc chcesz to zrobić?

- Bo ktoś musi się podjąć takiego zadania - odparł Cole. - Bo każde z nas, ja, ty, Byk, Christine, biedak Cztery Oczy pomagaliśmy w stworzeniu tego potwora. Jeśli nie staniemy dzisiaj i nie powiemy: „istota inteligentna nie może traktować w ten sposób innych”, nikt inny tego nie zrobi. - Spojrzał na nią uważnie. - Rozmawialiśmy o tym już dziesiątki razy. Dlaczego znowu zaczynasz?

- Ponieważ za dwie godziny opuścimy Stację Singapur i nie będzie już powrotu.

Na twarzy Cole'a pojawił się gorzki uśmiech.

- Jeśli stąd nie odlecimy, jutro zwali się nam na karki flota licząca osiemset okrętów. - Westchnął. - To tylko zgraja żołdaków wykonujących rozkazy, zupełnie jak my kiedyś. Jeśli mamy polec w walce, to wolę, aby naszym wrogiem byli w niej ci, którzy te rozkazy wydają.

Odpowiedziała mu równie smętnym uśmiechem.

- Wydawało mi się, że problem polega na tym, aby to przeciwnik ginął w walce.

Cole rozluźnił się nagle.

- Tak, i mam zamiar trzymać się tej idei do samego końca. - Pociągnął kolejny łyk kawy. - Nie martw się. Nie sądzę, aby w samobójczych atakach było coś szlachetnego albo chociaż efektywnego. Ja chcę przeżyć i zwyciężyć.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- W takim razie jesteś bardziej szalony niż reszta z nas.

- W dzisiejszych czasach to chyba najlepsza rekomendacja

dla dowódcy.

Niespodziewanie w głośnikach systemu komunikacyjnego rozległ się tryumfalny okrzyk.

- Dostaliśmy jednego z tych dupków! - wołał znajomy głos.

- Uspokój się, Wal, i powiedz pełnym zdaniem, o co ci chodzi - poproś Cole.

Nie usłyszał odpowiedzi, ale zaraz uświadomił sobie, że nie nacisnął miejsca na stole otwierającego kanał dwustronnej łączności. Przyłożył palec gdzie trzeba i powtórzył te słowa raz jeszcze.

- Okręt klasy H z siedmioosobową załogą zbliżał się do Bindera X - odpowiedziała Walkiria, gdy jej hologram zmateriałizował się nad blatem. - Lecił tam zapewne po dwa R, ale dwie jednostki Ośmiornicy rozwalily go na atomy.

Cole nachmurzył się.

- Domyślam się, że niewiele z niego zostało.

- Może co najwyżej parę fragmentów konstrukcji.

- Rozumiem - powiedział Wilson. - Jeszcze jedno, Wal.

- Tak?

- Przekaż Ośmiornicy, że następnym razem, jak ruszy za okrętem floty, ma najpierw zniszczyć anteny nadawcze, a potem uszkodzić napęd.

- Przecież to wróg - zdziwiła się Walkiria. - A co się robi z wrogiem? Zabija! Sprawia, żeby jeden sukinsyn z drugim zaczął żałować, że się w ogóle urodził! Ty...

- Zamknij się w końcu i słuchaj - przerwał jej poirytowany Cole. - Za moment przenosimy się na terytoria Republiki. Za każdym razem, kiedy zdobędziemy oznaczenia okrętu wroga, zyskujemy szansę uniknięcia utraty naszej jednostki, jeśli zosta-

nie zauważona. A jeśli uda nam się dostać do przekaźnika, zanim go zniszczymy, możemy sprawdzić, czy nie ma w nim nowych kodów, nie mówiąc już o tym, że możemy odbierać i wysyłać wiadomości, korzystając z jego numerów identyfikacyjnych. Możemy ogołocić go z broni i dać ją na któryś z naszych...

- Dlaczego nie wyściskasz ich jeszcze i nie zaproponujesz odkupienia całego tego złomu? - burknęła Wal.

- Przekażesz mu tę wiadomość czy nie?

- Może.

- Może? - powtórzył za nią.

- Dobrze, chyba to zrobię - mruknęła. - A jeśli dostrzegą nasze okręty i pierwsi otworzą ogień?

- Jeśli zaczną strzelać jako pierwsi, będziemy musieli się bronić - odparł Cole. - A co do „chyba”, to moim zdaniem jest równie nieakceptowalne, jak „może”.

- No - mruknęła Wal.

- A tak na marginesie, co ty robisz na mostku o tej porze? - zainteresował się Wilson. - Jest dopiero siódma, a to oznacza, że wciąż mamy czerwoną zmianę. To dyżur Jacovica.

- Jeszcze nie wrócił ze stacji, usiłuje rekrutować jakichś nowych.

- Teroni?

- A kto inny dałby mu się zaciągnąć? - prychnęła Wal.

- Mam nadzieję, że uda mu się namówić choć kilku - stwierdził Cole. - Może tym sposobem zrekompensuje mi w części utratę oznaczeń republikańskich, które mielibyśmy, gdyby stawił się na mostku.

- Dobrze, już dobrze - wywarczała rudowłosa i przerwała połączenie.

Cole nacisnął kolejny punkt na blacie stołu.

- Sir? - Zamiast twarzy Wal pojawiło się oblicze porucznika Malcolma Briggsa.

- Proszę przypomnieć komandorowi Jacovicowi, że odlatujemy za mniej niż dwie godziny, i upewnić się, że reszta załogi jest już na pokładzie.

- Tak jest.

- Czy zainstalowaliście już nowy kod na wszystkich jednostkach?

- Na wszystkich, które przebywają aktualnie na stacji, sir - odparł Briggs. - Nie chciałem, żeby ktoś przechwycił go w formie sygnału, dlatego nagrałem kod na sześcian i przekazałem kapitanowi Floresowi, ma go osobiście dostarczyć Lafferty'emu na Piccoli III i zostać tam aż do momentu zainstalowania go na wszystkich jednostkach z Republiki.

- Rozsądne posunięcie - przyznał Cole i zamilkł na moment. - Te okręty stacjonują na dziesiątkach planet. Wątpię, abyśmy zobaczyli kapitana Floresa w najbliższej przyszłości.

- I tak byś go nie widział - wtrąciła Sharon. - Chciałeś przecież, żeby wszyscy działali w pojedynkę, przynajmniej do momentu, w którym powiesz, co ci chodzi po głowie.

- Dziękuję, panie Briggs - powiedział Cole. - To wszystko. Rozłączył się.

- Zaraz pewnie się dowiem, że nie powinnam cię poprawiać ani pouczać na oczach członków załogi - rzuciła Sharon.

Wilson wzruszył ramionami.

- Mam to gdzieś, przynajmniej do momentu, w którym ktoś nie zacznie do nas strzelać. Jeśli sprawia ci to przyjemność, możesz mnie poprawiać do woli.

Blacksmith aż jęknęła z poirytowania.

- Co z ciebie za bohater?

- Wciąż żywy.

Zrobiła wielkie oczy.

- Chociaż, jak ci się dokładniej przyjrzeć, w niczym nie przypominasz bohatera.

- A jak według ciebie powinienem wyglądać?

- Twardy. Wysoki. Silny. Przystojny. Nieustraszony.

- Tyle razy widziałas mnie bez majtek. To ci chyba zamazuje rzeczywisty obraz.

Roześmiała się, pochyliła nad stołem i pocałowała go czule.

- Dla mnie jesteś bohaterem.

Nagle nad blatem znów pojawiła się twarz Briggsa.

- Nie cierpię panu przeszkadzać, sir - stwierdził porucznik przepraszającym tonem - ale nie możemy zlokalizować komandora Jacovica.

- Proszę przekazać Wal albo oficerowi zastępującemu ją na białej wachcie, że nie polecimy bez niego - poinstruował go Cole.

- Tak jest.

Cole zerwał się na równe nogi.

- Sam go tu sprowadzę. Na stacji są jedynie dwie albo trzy spelunki obsługujące Teroni, a gdzie indziej może być, jeśli zamierza rekrutować swoich pobratymców... - Zamilkł na moment. - Przekaż Bykowi Pampasowi, żeby czekał na mnie przy władze.

- Myślisz, że będziesz go potrzebował?

- Pewnie nie będę - odparł Wilson. - Ale koniec końców Jacovic nie odpowiada na wezwania, a Byk jest najlepszy w bijatykach, zaraz po Wal.

- A dlaczego jej nie weźmiesz?

- Tylko dlatego, że przez następną godzinę albo dwie ma pełnić funkcję oficera pokładowego. A ochrona okrętu jest o wiele ważniejsza od pilnowania tyłka jego kapitana.

Z tym Sharon nie mogła się zgodzić, chociaż uznała też, że nie będzie się wyklócać i chwilę później Cole oraz jego zastawny, niezwykle dobrze umięśniony dowódca przedziału bojowego, Erie „Byk” Pampas, wsiedli do wagonika kolejki i pojechali w stronę korpusu stacji.

Nagle odezwały się brzęczyki alarmów.

- Jesteś uzbrojony? - zapytał Cole.

- Pułkownik Blacksmith twierdziła, że mam pana chronić - odparł Pampas, zanim dwaj strażnicy stacji zbliżyli się, by odebrać mu broń. - A poza tym nikt tego nigdy tutaj nie sprawdzał.

- Bo i nigdy wcześniej Książę nie obawiał się przysłania szpiegów, zabójców albo sabotażystów z Republiki - wyjaśnił mu Wilson, a potem dodał, już do ochroniarzy: - Odbierzemy pukawki, wracając na okręt.

- Wal się na ryj, palancie - burknął jeden z interweniujących funkcjonariuszy. - Najpierw sprowadzasz nam na głowy całą flotę, a potem zwijasz dupę w troki i zostawiasz nas z problemem. Będziesz miał cholerne szczęście, jeśli nie oddam ci najpierw całej amunicji.

- Flota nie chce was, tylko mnie - poprawił go Cole. - Nie będziecie strzelać do nich, oni też tego nie robią.

- A co, jeśli się mylisz? - nie ustępował strażnik. - Pomścisz nas, jeśli tu wszyscy zginiemy? Muszę przyznać, że od razu mi ulżyło.

Cole zauważył, że Pampas sprężył się do skoku, aby ode-

brać broń z rąk tych ludzi.

- Możecie sobie ją zatrzymać - rzucił i chwycił Byka za ramię. - Idziemy.

- Ale to mój osobisty palnik! - zaprotestował Pampas, ruszając jednak za kapitanem. - Nie mieli prawa go skonfiskować.

- Weźmiesz sobie następny ze zbrojowni - uspokajał go Wilson, kierując się w stronę wind. - Wolałbym, żebyś się nie postrzelił tutaj, na stacji. Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Gdy dotarli do szybu windy, Cole przyjrzał się niewielkiej holomapie wiszącej na ścianie.

- Dobra, jest. Poziom trzeci - powiedział. - Nie spędzałem zbyt wiele czasu w sektorach dla obcych, dlatego nie pamiętałem, gdzie zbierają się Teroni. - Zjechali na trzeci poziom na poduszce z powietrza. - Prawdopodobnie padł mu komunikator, ale jeśli komandor wpadł w jakieś tarapaty, pozwól, że ja się tym zajmę. Nie działaj na własną rękę, dopóki sam nie zostaniesz zaatakowany.

- Tak jest.

Wyszli na korytarz. Grawitacja była tutaj nieco mniejsza niż standardowa, a powietrze rzadsze i bardziej suche. Drzwi w okolicznych zabudowaniach miały przeróżne rozmiary; jedne mogły pomieścić istoty, przy których człowiek czułby się krasnoludkiem, przez inne mogły przechodzić jedynie karty sięgające Cole'owi do pasa. Były tu też bardzo szerokie i jeszcze bardziej wąskie odrzwia. Wilson pamiętał uczucie zagubienia towarzyszące mu podczas każdej wizyty na tym poziomie - a były to jedynie pomieszczenia mieszkalne dla ras oddychających tlenem. Na najniższym poziomie stacji było jeszcze dziwniej.

Minęli kilka sklepików, na niektórych wystawach widzieli znajome przedmioty, na przykład broń, na innych znajdowały

się rzeczy zupełnie im obu obce, zarówno wyglądem, jak i przeznaczeniem. Gdy dotarli do skrzyżowania, Cole rozejrzał się za automatycznym przewodnikiem, a gdy go zauważył, natychmiast podszedł.

- W czym mogę pomóc? - zapytało urządzenie, gdy wyczuło obecność żywej istoty.

- Szukam mojego przyjaciela z rasy Teroni. Gdzie na tym poziomie przesiadują zazwyczaj przedstawiciele jego rasy?

W powietrzu zmaterializował się ekran, na planie poziomym widać było trzy migoczące punkty.

- Do moich obowiązków należy poinformowanie pana, że jako istota ludzka nie jest pan w stanie przyswoić żywności i napojów serwowanych we wskazanych lokalach.

- Dzięki - odparł Cole, ruszając w kierunku pierwszego ze wskazanych miejsc. Minęli z Bykiem trójnogiego Hesporytę i czwórkę Lodinitów, ale żaden z obcych nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi i chwilę później stali już przed witryną informującą, że w tym lokalu mieści się bar, restauracja i kasyno wypełnione grammi dla obcych.

Cole rozejrzał się po sali, ale nigdzie nie dostrzegł Jacovica, podszedł więc do jednego z pracowników i zapytał o komandora. Teroni wskazał na swoje ucho, a potem pokręcił głową. Nie rozumiał terrańskiego. Cole sięgnął do kieszeni, wyjął z niej T-tora i przyłożył do krtani.

- Szukam Teroni nazwiskiem Jacovic - powtórzył. Urządzenie przełożyło jego słowa w monotony potok obcych słów. - Czy był u was?

- A, Jacovic! - odpowiedziała istota. - Był tutaj jeszcze godzinę temu. Powiedział, że idzie do... - Cokolwiek znaczyło ostatnie słowo wypowiedziane przez Teroni, T-tor Cole'a nie był

w stanie przełżyć tego na terrański.

- Możesz mi pokazać to miejsce?

Obcy odprowadził Wilsona i Pampasa do drzwi lokalu i wskazał inną witrynę, oddaloną o nie więcej niż sto stóp. Cole podziękował mu i natychmiast ruszył we wskazanym kierunku.

- Ty lepiej też załóż swojego T-tora - poradził Pampasowi.

- Tu, na dole, najwyraźniej nie mówi się po terrańsku.

Byk posłusznie wyjął z kieszeni urządzenie tłumaczące i przytwierdził do własnej krtani.

- A jeśli go nie znajdziemy, sir?

- To poszukamy jeszcze raz, ale dokładniej. Był tu jakieś pół godziny temu, a do najbliższej planety mamy trzy lata świetlne. Musi być gdzieś na stacji.

Dotarli do wskazanej witryny i minęli drzwi zaprojektowane dla niezwykle wysokich istot.

- Wal czułaby się tutaj jak w domu - zauważył Cole, a Pampas, w końcu też nie ułomek, tyle że ustępujący rudowłosej wzrostem o przynajmniej sześć cali, skinął głową.

Ten lokal wydawał się nieco bardziej ekskluzywny niż poprzedni, aczkolwiek Cole nie miał pojęcia, czy Teroni odbierali bogactwo wystroju w ten sam sposób co ludzie.

- Przepraszam - zagaił osobnika wyglądającego na kierownika sali. - Szukam komandora Jacovica. Czy zastałem go u was?

Teroni skinął kanciastą, masywną głową.

- Tam - powiedział, wskazując drzwi w czarnej ścianie.

Cole i Pampas podeszli do nich. Mechanizm ukryty w ścianie wyczuł ich obecność i przeszkoda zniknęła, zanim minęli próg, aby pojawić się ponownie tuż za ich plecami. Jacovic stał pod ścianą, sześciu innych Teroni otaczało go ze wszystkich

stron.

- Dlaczego nie odpowiadał pan na moje wezwania? - zapytał Cole.

- Ich trzeba o to zapytać - odparł komandor, wskazując głową na pozostałych obcych.

Jeden z nich pokazał komunikator należący do Teroni.

- Trafił w bezpieczne ręce - oznajmił.

- Sir? - odezwał się Pampas, tężejąc.

- Spokojnie, Byku - rzucił Wilson, ciesząc się, że zabrał ze sobą Erica, a nie Wal, która już by wirowała między obcymi, rozwalając im łby i łamiąc kości. Stanął przed Teroni trzymającym komunikator.

- Zabrałeś coś, co nie należy do ciebie.

- To był najpewniejszy sposób na ściągnięcie tu ciebie - odparł obcy. - Wiedzieliśmy, że nie opuścisz Stacji Singapur bez pierwszego oficera.

- No dobrze, przyszedłem - stwierdził Cole. - I co dalej?

- Teraz pogadamy.

- Zamieniam się w słuch.

- Chyba mój T-tor coś namieszał. Chciałem powiedzieć, że ty teraz będziesz mówić.

- O czym mam mówić?

- Nie udawaj głupka, kapitanie. Twój pierwszy oficer namawiał nas właśnie na coś, co wygląda mi na krucjatę przeciw twojej Republice.

- To już nie jest moja Republika - odparł Cole. - Gdyby była, walczyłbym za nią, a nie przeciw niej.

- Dlaczego więc nie oddasz swoich sił pod rozkazy Federacji?

- Ponieważ mam Federację Teroni mniej więcej tam,

gdzie Republikę - wyjaśnił Wilson.

- A mimo to jeden z nas jest twoim pierwszym oficerem?

- Honor i uczciwość nie są przypisane do istot jednej tylko rasy - stwierdził Cole. - Gdy walczyliśmy przeciw sobie, komandor Jacovic dał mi słowo i dotrzymał go, chociaż bez problemu mógł je złamać i nikt by mu nie czynił wyrzutów, ponieważ zginęliby wszyscy świadkowie tych wydarzeń. Nie mam zbyt wielu podwładnych, którzy zachowaliby się równie honorowo na jego miejscu.

- I zdajesz sobie sprawę z tego, że szanse na powodzenie tej operacji są jak jeden do miliona?

- Mamy zamiar zwiększać je każdego dnia.

- Co powstanie w miejsce Republiki, jeśli uda ci się obalić aktualnie istniejący system?

- Nie jestem politykiem - oświadczył Cole. - Zostawię tę decyzję w rękach innych ludzi.

- Ale zasugerujesz im ogłoszenie zawieszenia ognia z Federacją Teroni?

- Nie zrobię czegoś takiego. - Teroni zeszywnieli. - Zawieszenie ognia ma charakter czasowy. Dlatego mam zamiar zaproponować całkowite zaprzestanie działań wojennych. Prowadzimy tę cholerną wojnę od tak dawna, że chyba już nikt nie pamięta przyczyn jej wybuchu.

Sześciu obcych zbliżyło się do siebie, tworząc szczelny krąg. Cole widział, jak szeptali, ale do jego uszu nie docierały żadne słowa. Dostrzegł ukradkowe spojrzenia rzucone przez Jacovica, skinął głową w stronę grupki Teroni i wykonał charakterystyczny gest, jakby naciskał spust.

Komandor pokręcił głową. *Nie, nie są uzbrojeni.*

Co za ulga, pomyślał Cole. Gdyby coś poszło nie tak, wy-

stawię Byka przeciw czterem najroślejszym, Jacovic zajmie się tym stojącym najbliżej niego, a mnie przypadnie w udziale kurdupel, z którym rozmawiałem.

Narada skończyła się, Teroni stanęli twarzami w kierunku ludzi.

- W takim razie przyłączamy się do waszej sprawy - powiedział ten sam obcy, najwyraźniej rzecznik grupy.

- Cieszę się, że to słyszę - odparł Wilson. - Po co było to przesłuchanie?

- Opuściliśmy flotę Teroni z tego samego powodu, co komandor Jacovic. Przestaliśmy wierzyć w wyższość moralną Federacji i w to, że warto za nią umierać. Pański pierwszy oficer zapewniał nas, że podziela pan te poglądy, ale przez całe życie uczono nas nienawiści i nieufności do waszej rasy, dlatego chcieliśmy, żeby potwierdzenie padło z pańskich ust.

- Dlaczego wierzycie w moje słowa, skoro wpajano wam, by za nic nie ufać ludziom? - zapytał Cole, zdając sobie sprawę, że wywołuje wilka z lasu, ale ciekawość wzięła nad nim górę.

- Spodziewaliśmy się, że powie nam pan to samo co Jacovic. Ale nie ta odpowiedź była decydująca.

- A która?

- Przekonało nas zdanie mówiące o tym, że nie interesuje pana przejęcie władzy. Istnieje zapewne ze sto powodów, dla których człowiek mógłby pragnąć obalenia rządu Republiki, na marginesie - my też mamy ich tyle samo, ale w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na tych sto prawdziwym, choć nigdy niewypowiedzianym na głos motywem działania jest zwykły przerost ego i żądza władzy.

- Wiemy, że wasza flota ugania się za panem już od czterech lat - dodał drugi obcy, na jego obliczu pojawił się grymas

stanowiący ekwiwalent ludzkiego uśmiechu. - To też było pomocne przy podejmowaniu decyzji.

- Dobrze wiedzieć, że nie zamierzacie wydać mnie w zamian za nagrodę - ucieszył się Cole.

- Gdyby odpowiedź nie była prawidłowa, zapewne wydalibyśmy pana.

- Czy mogę prosić o zwrot komunikatora? - Jacovic wyciągnął rękę. Urządzenie natychmiast trafiło do jego dłoni.

- Dobrze - podsumował Cole. - Jak rozumiem, przylecieliście tutaj na jednym okręcie?

- Tak - odparł Teroni.

- Dzisiaj opuszczamy stację. Poproszę porucznika Briggsa, żeby zainstalował w waszych komputerach oprogramowanie, dzięki któremu flota nie będzie mogła przechwytywać waszych transmisji.

- Już dzisiaj? - zdziwił się obcy. - Dopiero co przylecieliśmy.

- Uwierzcie mi, nie chcielibyście być tutaj jutro - wyjaśnił Cole. - W kierunku stacji zmierza flota licząca osiemset jednostek. Idę o zakład, że nikt na pokładach tych okrętów nie ma pojęcia o tym, że zrezygnowaliście z obywatelstwa Federacji Teroni... - Zamilkł na moment. - Ten, kto przekaże wam kody, wyjaśni również, jak się z nami skontaktować i jakie mamy plany na pierwszy etap kampanii. Dowiedcie się od niego, gdzie mamy zamiar operować. Powie wam wszystko co trzeba. Przekażcie komandorowi Jacovicowi numer stanowiska w dokach, a my zajmiemy się resztą.

Kilka minut później Cole, Jacovic i Pampas jechali już wzdłuż ramienia doku w kierunku „Teodora Roosevelta”.

- I tak w pół godziny udało nam się zaciągnąć sześciu nowych rekrutów - mruknął Byk. - Całkiem niezłe.

Cole westchnął głośno. Jacovic milczał, obserwując widoczny na ekranie, rosnący kadłub „Teddy’ego R.”.

- Proszę mu powiedzieć - rzucił w końcu Wilson.

Komandor odwrócił się do Pampasa.

- Zaciągnęliśmy sześciu rekrutów w pół godziny, to fakt, ale ilu ludzi zostało w tym samym czasie wcielonych do floty na sześćdziesięciu tysiącach planet należących do Republiki?

- O tym nie pomyślałem - przyznał Byk.

- Coś mi się zdaje, że w najbliższych dniach będziemy o wiele szczęśliwsi, jeśli wywalimy za burtę wszystkich członków załogi, którzy potrafią liczyć - podsumował Cole z ponurym uśmiechem.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Mamy jednego, sir!

Cole otworzył oczy i spróbował zebrać na szybko myśli.

- Sir? - kobiecy głos nie dawał za wygraną.

- Czy to ty, Rachel? - zapytał Wilson, opuszczając stopy na pokład.

- Tak jest! - odparła chorąży Marcos. - Mamy jednego, sir!

- Jakiego znowu jednego?

- Momencik, sir. - Jej hologram unosił się kilka stóp od łóżka. - Proszę najpierw się obudzić, potem wszystko wyjaśnię.

Cole zamrugał szybko.

- Gdzie my, u licha, jesteśmy?

- Szesnaście godzin temu opuściliśmy Stację Singapur, sir. Wstał, podszedł do umywalki znajdującej się w kącie kajuty.

- Zimna - mruknął, nadstawiając dłonie, by przemyć twarz. Gdy skończył, raz jeszcze spojrzął na hologram Rachel Marcos. - Dobrze, już nie śpię. Co się dzieje?

- Przejęliśmy okręt Republiki, sir - rzekła podnieconym głosem. - Nie zdołał nawet zameldować o ataku.

- Niech zgadnę, nasza rudowłosa dama rozwaliła antenę, zanim załoga zdążyła nadać pierwszy komunikat.

- Tak jest.

Cole wydał wargi.

- Nie ma lepszej od niej w te klocki, to muszę uczciwie przyznać... - Zamilkł na moment. - Co tym razem upolowali-

śmy?

- Jednostka klasy K.

W głowie Wilsona natychmiast rozbrzmiały sygnały alarmowe.

- Znajdujemy się szesnaście godzin lotu od Stacji Singapur? To może być jeden z okrętów wysłanych z misją odwetową.

- Ma pan rację, sir - przyznała Rachel. - Miał jakiś problem z napędem tachionowym i został o kilka godzin w tyle. Pan Briggs go wypatrzył, ale Wal nie ufała nikomu i sama udała się do przedziału bojowego, by osobiście unieszkodliwić transponder i antenę. Potem rozwaliła mu główny napęd.

- Jakim cudem pan Briggs zdołał go namierzyć?

- Dzięki sygnałowi SOS.

- A czy komuś z was, geniusze urzędujący na mostku, przyszło do głowy, że skoro my odebraliśmy ten sygnał, to pozostałe siedemset dziewięćdziesiąt dziewięć jednostek wroga też mogło to zrobić? - zapytał Cole.

Nagle na miejscu Rachel pojawiła się Wal.

- Chciałeś te cholerne oznakowania czy nie? - zapytała. - Albo ich komputer pełen kodów? Możemy je przejąć i wrócić na pokład „Teddy’ego R.” w niespełna czterdzieści minut, a najbliższa jednostka floty będzie potrzebowała minimum trzy godziny, by dotrzeć w to miejsce.

- Olejcie jego oznakowania - odparł Cole. - Załogi przynajmniej ośmuset okrętów w tym sektorze będą wiedziały, że pochodzą ze zniszczonego okrętu i każdy, kto ich używa, jest wrogiem. Zabierzcie komputery i wszystkie sześciany z danymi, jakie znajdziecie. I wracajcie tak szybko, jak to możliwe. Jeszcze jedno, Wal.

- Tak?
- Żadnej rzeźni na pokładzie.
- Zdecyduj w końcu, Republika jest naszym wrogiem czy nie jest? - zapytała.
- Daj im spokój - poprosił, zastanawiając się, jakim cudem w tak pięknym ciele kryje się tak wielka żądza krwi. - Mamy ważniejsze sprawy na głowie.
- Daj im spokój, to wrócą innym złodem i skopią nam dupską - zawyrokowała.
- Oni tylko wykonują rozkazy, podobnie jak my kiedyś.
- Jak ty kiedyś - doprecyzowała Wal. - Ja byłam piratem, pamiętasz?
- Czasami naprawdę trudno o tym zapomnieć - oświadczył oschłym tonem. - Żadnej strzelaniny.
- Na pokładzie tego okrętu jest czterdziestu dwóch ludzi, każdy ma regulaminowe uzbrojenie osobiste - przypomniała. - Sądzisz, że tak po prostu pozwolą nam wejść i wziąć, co chcemy?
- Skontaktuję się z ich dowódcą i dam słowo, że nikomu nie stanie się krzywda, jeśli nie będą stawiali oporu. Nie zamierzamy ich nawet brać do niewoli.
- Jakim cudem chcesz to zrobić? - zapytała. - Przecież rozwaliłam im antenę.
- Cholera! - zaklął Cole. - Dobrze. Ja będę prowadził grupę abordażową.
- Po moim trupie! - wtrącił nowy głos. Należał do Sharon Blacksmith.
- Przestań mnie w końcu podsłuchiwać - zirytował się Wilson.
- Jestem szefem twojej ochrony - przypomniała mu. - Mu-

szę wiedzieć o wszystkim, co dzieje się na pokładzie. A ty nigdzie się nie wybierasz. Już to nieraz wałkowaliśmy: kapitan nie opuszcza pokładu na terytorium wroga.

- Terytorium wroga leży po drugiej stronie cholernej Granicy - wypalił w odpowiedzi Cole. - Tu jesteśmy u siebie.

- Każde miejsce, w którym znajdują się okręty Republiki, automatycznie staje się terytorium wroga - upierała się Sharon.

- Ten cholerny okręt został już uziemiony!

- Więc wejdiesz na jego pokład i po dwóch sekundach ktoś cię odstrzeli. I co wtedy zrobi reszta twojej floty? Nie przekazałeś im jeszcze kompletnych planów tej operacji.

- Jeśli Wal wejdzie tam jako pierwsza, zabije każdego, kto choćby kiwnie palcem, a to doprowadzi do regularnej rzeźni. Chcę tego uniknąć.

- W takim razie poślij tam kogoś innego - zasugerowała Sharon.

- Chwilunia! - wydarła się rudowłosa. - To ja rozwaliłam tę pieprzoną antenę i uciszyłam ich transponder. I to mnie należą się łupy z tego zwycięstwa.

- To tylko jakiś pieprzony komputer - jęknął Cole.

- Przed chwilą zamierzałeś ryzykować życiem, byle go dostać - zauważyła Wal. - A to chyba znaczy, że mamy do czynienia z niezwykle cenną rzeczą.

Cole spojrzął na hologram Sharon.

- Dzięki za ułatwianie mi życia - mruknął z goryczą.

- Ja tylko robię to, co do mnie należy - odparła. - Jesteś kapitanem, nie opuszczasz pokładu na terytorium wroga. Koniec, kropka.

- Skoro jestem tu kapitanem, to ja wydaję rozkazy - oświadczył zdecydowanie. - Wal, widzimy się na dole przy wa-

hadłowcu. Zbierz cztery osoby, tylko upewnij się, że w zespole będzie ktoś, kto potrafi otwierać zewnętrzne włązy bez ich wysadzania. Chcę go szczelnie zamknąć po tym, jak wyjdziemy.

- Niech cię szlag, Wilsonie! - wrzasnęła Sharon.

Począł, aż Wal przerwie połączenie.

- Oboje wiemy, że jeśli pozwolę jej na przeprowadzenie tego abordażu, osobiście wystrzela czterdziestu dwóch ludzi.

- To nasi wrogowie.

- Nie - zaprzeczył Cole. - Oni są bronią w ręku naszego wroga.

- A broń ma w zwyczaju zadawać rany.

- Broń można zneutralizować - uspokajał ją. - Tyle tylko, że ktoś taki jak Wal nie potrafi tego pojąć.

- W takim razie poślij tam Jacovica.

- Daj spokój - poprosił Wilson. - Zaczną strzelać, kiedy tylko go zobaczą. Na wypadek gdybyś zapomniała, Republika znajduje się w stanie wojny z Federacją.

- Masz na pokładzie pięćdziesięciorzysobową załogę, ale idę o zakład, że w mgnieniu oka podasz mi wiarygodnie brzmiące powody, dla których przynajmniej pięćdziesiąt dwie z nich nie mogą poprowadzić zespołu abordażowego.

- Niepotrzebnie komplikujesz sprawę - mruknął Cole.

- A ty znowu jedziesz po bandzie - rzuciła Sharon. - Gdybyś usłyszał, że jakikolwiek inny kapitan robi podobne rzeczy, stwierdziłbyś, że ma wybuchające ego.

- Nie sądzisz, że porwanie się na Republikę z flotą liczącą zaledwie osiemset jednostek wymaga sporego przerosu ego? - zapytał Cole. - A teraz pozwól mi się na dobre rozbudzić i przygotować do akcji.

- Przecież już nie śpisz - burknęła rozeźlona Sharon. - Gdybyś był zaspany, coś tak idiotycznego na pewno nie wpadłoby ci do głowy.

Rozłączyła się i kilka minut później Cole mógł udać się do doków. Po drodze wpadł na biegnącego korytarzem niewielkiego humanoida ubranego w strój dziewiętnastowiecznego angielskiego dandysa.

- Dzień dobry, Dawidzie - powitał go. - Dokąd to spieszysz o świtanie?

- Mój drogi Steerforth, czy naprawdę zamierzasz prowadzić ten oddział abordażowy, jak wszyscy powiadają? - zapytał natychmiast Dawid Copperfield.

- Naprawdę wszyscy już o tym mówią? - zdziwił się kapitan.

- Wieści szybko rozprzestrzeniają się po pokładzie.

- Ale nie tak szybko. Ktoś tu kogoś podsłuchiwał. Może nawet ktoś z kart Dickensowskiej prozy?

- Ale nie zaprzeczasz?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- W takim razie udam się za moją gródź - odparł kosmita. - Ukryłem tam przezornie zapas pieczonego i pudding z Yorkshire. Nie wspominając już o butelczynie porto.

- Przecież nie możesz tego jeść ani pić.

- Ranisz mnie do żywego, Steerforth - stwierdził Dawid. - Nigdy nie kryłem moich ograniczeń, dlaczegóż więc z taką lubością rozpowiadasz o nich?

- Jeśli przestaniesz zwracać się do mnie per Steerforth, obiecuję, że już nigdy nie poruszę tematu, kim jesteś, a kim nigdy nie byłeś.

- Ale przecież ty jesteś Steerforthem! - zawołał kosmita. -

Jak możesz zaprzeczać, że nie jesteśmy przyjaciółmi ze szkolnej ławy?

- To trudne - przyznał Wilson - ale jak widzisz, daję sobie z tym radę. Idź, stąd słyszę, jak twoja gródź cię przyzywa. Dam ci znać, kiedy wrócę cały i zdrowy.

- W twoich oczach jestem skończonym tchórzem - wyjęczał Dawid.

- W życiu nie pomyślałem słowa „skończony”. Przynajmniej w tym kontekście.

- Za tą grodzią jest mi naprawdę bardzo wygodnie. Kiedy przymykam oczy, wydaje mi się, że znowu siedzę obok ciebie, przyjacielu, w ławach szkoły Salem House i rozmyślam o randce z Becky Thatcher.

- Nie ta książka, nie ten autor.

- Cóż, w mojej książce wszystkie dziewczęta były zapatrzone wyłącznie w ciebie - odparł kosmita. - Mała Emily, panna Dartle...

- Dawidzie - przerwał mu Cole - może i jesteś najlepszym paserem na całej Wewnętrznej Granicy, ale z każdym dniem dziwaczniejszy coraz bardziej.

- Potwierdzam - zawtórował mu bezcielesny głos Sharon Blacksmith.

- A Platynowy Książę mnie docenia - wypalił w odpowiedzi Dawid. - Pozwolił nawet, abym nauczył go gry cywilizowanych ludzi, czyli wista.

- Tego nam tylko trzeba - jęknęła Sharon. - Drugiego takiego jak on.

- Potrafię wyczuć, kiedy jestem niemile widziany - stwierdził kosmita i odszedł żwawym krokiem.

- A ja myślałem, że to ja byłem tym jedynym niemile wi-

dzianym - wymamrotał Wilson, kierując się w stronę windy zjeżdżającej do doków.

- Gdyby tak było, pewnie mniej by mnie obchodziło to, że zachowujesz się jak dupek - stwierdziła Blacksmith.

- Po co wymyślono wyzwiska, skoro mamy tak mile brzmiące komplementy? - powiedział Cole, wchodząc do szybu windy.

- Tylko wróć mi w jednym kawałku! - zawołała za nim Sharon.

Wysiadł na dole i podszedł do czekającej na niego grupki załogantów. Byli w niej Wal, Pampas oraz Mollutei i Polonoi.

- Który bierzemy? - zapytała rudowłosa, wskazując kciukiem wahadłowce.

- „Kermita” - odparł Cole, ruszając do wjazdu wymienionej maszyny.

- Zawsze wybierasz ten sam.

- I co z tego?

- Po nim najmniej będziemy płakali - odparła Wal.

- Dlaczego uważasz, że jest mniej wart od pozostałych? - zapytał Cole.

- Jest z nich najstarszy.

- Ja też jestem najstarszy z was - rzucił Wilson, znikając we wnętrzu wahadłowca. Przeszedł od razu na tył kabiny, założył pancerz i poczekał na pojawienie się pozostałych - oprócz Polonoi, którego natura wyposażyła w niemalże nieprzebijalną strukturę kostną, ale tylko z przodu - aby dopilnować, że nie zapomną o tym szczególe. - W porządku - stwierdził, gdy wszyscy zasiedli na swoich miejscach. - Po wejściu na pokład tej jednostki nie otwieracie ognia, dopóki nie wydam takiego rozkazu.

- Albo do momentu, w którym zostaniesz zabity - uzupeł-

niła Wal, gdy prom opuścił dok i zaczął podchodzenie do wiszącego ćwierć miliona mil dalej wraku.

- Odrobinę mniej optymizmu - poradził jej Cole. - Nie chcemy krzywdzić załogi, nie musimy też kopiować oznaczeń czy innych identyfikatorów tego okrętu. Lecimy tam po ich komputer, ale oni go zniszczą, jeśli zorientują się, że zamierzamy go zabrać. Uwierzcie mi, na pokładzie tego okrętu nie ma nic, za co warto umierać.

Wal wymamrotała coś pod nosem, ale miała na tyle rozsądku, by nie zaczynać sprzeczki z dowódcą na oczach członków zespołu tuż przed akcją. Pozostali siedzieli, milcząc, z oczami wbitymi w ekrany, na których gigantyczny okręt wojenny wyglądał w tym momencie jak jasna kropka.

Cole włączył komunikator.

- Panie Jacovic?

Hologram Teroni pojawił się kilka stóp od niego.

- Tak, sir?

- Właśnie przyszło mi do głowy, że znaleźliśmy się na łasce załogi okrętu, który na mój rozkaz uszkodzono - powiedział Cole. - Mają nas jak kaczki na strzelnicy. Proszę oddać kilka ostrzegawczych strzałów, ale nie za blisko kadłuba. Na tyle daleko, żeby wiedzieli, o co chodzi, ale też na tyle blisko, żeby uświadomić im, że jesteśmy gotowi do rozwalenia ich na atomy, jeśli otworzą ogień.

- Tak jest.

Moment później w stronę unieruchomionej jednostki Republiki pomknął gruby promień lasera i kula energii wystrzelonej ze stukacza, jak nazywano działło pulsacyjne. Oba ładunki przeszły bokiem, nie za daleko, ale i nie za blisko.

- To powinno wystarczyć - uznał Wilson. - Podejźmy z

postawionymi tarczami. Jeśli oddadzą choć jeden strzał, podkulamy ogon i wracamy na „Teddy’ego R”, a wy oddajecie drugą salwę, ale tym razem o wiele celniejszą... Chociaż nie sądzę, by doszło do czegoś podobnego. Oni wiedzą, że możemy ich zniszczyć, kiedy tylko chcemy. Teraz musimy ich tylko przekonać, że nie mamy zamiaru tego robić.

- Masz taką nadzieję - mruknęła Wal.

- Mam - odparł.

Nikt nie strzelał, gdy wykonywali podejście, potem szybko przemieścili się po panczeru, a Mollutei otworzył sprawnie włącz. Cole już ruszał do przodu, ale Wal odsunęła go na bok i wsunęła się do śluzy jako pierwsza. Za nią podążyli Pampas i Polonoi.

Wszyscy członkowie załogi jak jeden mąż stanęli naprzeciw nich z bronią gotową do strzału. Gdy rudowłosa upewniła się, że nie mają zamiaru pierwsi otwierać ognia, odsunęła się, umożliwiając Cole’owi wyjście przed szereg.

- Nie chcemy was krzywdzić - powiedział. - Uszkodziliśmy wasz transponder, ale jeśli odlecimy stąd z tym, po co przyszliśmy, gwarantuję wam, że nadamy do waszej floty wezwanie o pomoc i nie opuścimy tego sektora, dopóki nie upewnimy się, że ktoś je odebrał. Nie bierzemy jeńców. Chcemy jednak czegoś, co macie na pokładzie. I nie chodzi o systemy uzbrojenia. Jeśli nie podejmiecie próby ataku, nikomu nic się nie stanie. Opuścimy wasz okręt i nadamy sygnał SOS za niespełna dziesięć minut.

Przez prawie minutę oba oddziały mierzyły się wzrokiem w kompletnym milczeniu. W końcu republikański kapitan schował blaster do kabury, a reszta żołnierzy poszła jego śladem. W tym momencie Cole odwrócił się do Pampasa.

- Idź, Byku, zdemontuj komputer i przenieś go na pokład wahadłowca.

Erie podszedł do głównego panelu, przyjrzał mu się uważnie, pokręcił głową i zaczął rozglądać się po pokładzie. W końcu dostrzegł to, czego szukał, ruszył w tamtym kierunku. Na jego drodze stanął młody chorąży, niemal tak samo potężnie zbudowany jak on.

- Przestań - napomniął go kapitan i żołnierz posłusznie się cofnął.

Pampas wyjął narzędzia, poprosił o pomoc Polonoi i niepełna cztery minuty później skończył wymontowywanie bloku komputera pokładowego.

- Dobra robota - pochwalił go Cole, gdy ujrzał uniesioną rękę dzierzącą moduł. - Zapakuj go do wahadłowca i zbieramy się stąd.

Byk ruszył w stronę włazu, ale Wilson nie spojrzał nawet w jego kierunku. Patrzył na żołnierza, który bez przerwy gapił się na niego. Widać było, że jest spięty. Bez przerwy przebierał palcami.

- To on! - zawołał w końcu. - Kapitan spojrzał na niego pytająco. - To Cole! - wydarł się marynarz.

- Nie rób głupstw, synu - ostrzegł go Wilson.

- Ty sukinsynu, ścigamy cię od czterech lat! - nie odpuszczał załogant. Sięgnął przy tym po broń. Wal wypaliła mu solidną dziurkę pomiędzy oczyma, zanim zdążył chwycić za rękogęść.

Kilku innych republikanów także sięgnęło po blastery. Wal zaklęta i zaczęła do nich strzelać, w jej ślady poszli też Polonoi i Mollutei. Nawet Pampas rzucił komputer i sięgnął po broń. Promienie lasera i kule energii odbijały się od pancerza

Cole'a, gdy wyjmował palnik, by się ostrzeliwać.

To była rzeźnia. Jedna strona konfliktu miała na sobie pancerze, druga nie. Nie minęło trzydzieści sekund i cała załoga okrętu leżała na pokładzie martwa albo konająca. Zginął też Mollutei. Trafiono go w odłoniętą głowę. Cole odwrócił się, by sprawdzić, czy Pampas nie oberwał przypadkiem. Zobaczył Erica na kolanach, trzymającego w dłoni stopiony zabłąkanym trafieniem blok komputera.

- Cudownie - wymamrotał pod nosem Wilson. - Po prostu cudownie.

- Chce pan przenieść rannych na pokład „Teddy'ego R.”, sir?

Cole przyjrzał się poboju i pokręcił głową.

- Dziewięciu albo dziesięciu wciąż żyje. Nasze ambulatorium nie przyjmie tak wielu pacjentów, ich stan jest zbyt ciężki.

- Wysyłamy ten sygnał SOS?

- Nie - odparł Wilson. - Jeśli któryś z nich przeżyje, dowiedzą się, że sprawcą ataku był „Teddy R.”, i ruszy za nami cała pieprzona flota, a będziemy mieli nad nią nie więcej niż trzy godziny przewagi. Wracamy do wahadłowca.

- A co z naszym poległym towarzyszem broni? - zapytał Polonoi, wskazując Mollutei.

- Zostawcie go tutaj - polecił Cole. - I tak musimy się pozbyć jego ciała.

Lecieli promem na „Teddy'ego R.”, nie rozmawiając. Cole po wejściu na pokład udał się prosto do swojego gabinetu, gdzie nalał sobie porcję wódki. Wypił ją i wezwał Jacovica, który wciąż pełnił służbę na mostku.

- Słucham, sir?

- Rozwalcie uszkodzony okręt floty - rozkazał kapitan. -

Żeby mi po nim ślad nie został. Prędzej czy później Republika i tak odkryje, kto za tym stoi, ale osobiście wolę, żeby to było później niż prędzej.

- Tak jest.

Kilka minut potem do gabinetu weszła Sharon.

- Słyszałam, co się stało - powiedziała. Wpatrywał się w nią, ale milczał. - Cieszę się, że przeżyłeś.

- Zginęły czterdzieści trzy istoty - odezwał się w końcu. - Dla głupiego kawałka stopionego metalu.

- Jak to na wojnie - stwierdziła Sharon.

- Powinniśmy być lepsi od przeciwnika - zaprotestował Cole z ponurą miną. - To był paskudny początek operacji.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Zostały jeszcze trzy godziny, sir - oznajmił hologram Domak, wojowniczką Polonoi.

- Do czego? - zapytał Cole.

Siedział sam w swoim gabinecie i oglądał koncert na holokranie.

- Do przekroczenia granicy Republiki - wyjaśniła Domak.

- Jeśli porucznik Briggs prawidłowo opracował naszą trasę, nie spodziewałbym się na niej komitetu powitalnego... - Wilson zamilkł na moment. - Proszę o meldunek w momencie przekraczania granicy.

- Tak jest.

- Jakież wieści ze Stacji Singapur? - zapytał Cole.

- Tak jest. Okręty floty otoczyły ją, a gdy okazało się, że nikt nie stawia oporu, po prostu przycumowały, a ich załogi zaczęły korzystać z tamtejszych lokali.

- Proszę się upewnić, żeby te wieści dotarły do Platynowego Księcia.

- Tak jest. - Hologram Domak zniknął.

Cole uznał, że najwyższa pora sprawdzić gotowość bojową „Teddy’ego R.”. Wprawdzie permanentny stan alarmowy utrzymywano już od dawna, ale nudził się strasznie, więc postanowił zrobić parę rundek po pokładach. Zaczął od doków dla wahadłowców, w których stały promy noszące imiona czworga z sześciorga dzieci Teodora Roosevelta („Archie” i „Quentin” były drugimi jednostkami noszącymi te nazwy, a „Alice” trzecią. Z

oryginalnych wahadłowców „Teddy’ego R.” przetrwał do dzisiaj jedynie „Kermit”).

W następnej kolejności odwiedził przedział bojowy, którym zazwyczaj zarządzał Byk Pampas, ale sierżant teraz spał, a obowiązek pilnowania sprzętu przypadł Peponowi imieniem Bujandi. W ambulatorium nie było nikogo obłożnie chorego - a za takiego Wilson miałby każdego, kto musiał spędzić na koi przynajmniej dobę - za to nie brakowało wyposażenia.

Potem zapędził się w najgłębsze zakamarki okrętu, do królestwa Mustafy Odoma, aby tam wypytać pierwszego mechanika o stan okrętu i wysłuchać jego przydługiego wywodu, z którego przynajmniej połowy, tej dotyczącej technikaliów, nie zrozumiał.

Zatrzymał się też w mesie oficerskiej, w której zastał szczęśliwie zabawiających się graniem w karty i planszówki.

W końcu, gdy już zabrakło mu wymówek, udał się na mostek. Przez lata służby wyrobił w sobie ogromną niechęć do tego miejsca. Drażniła go oficjalna atmosfera tam panująca, a jeszcze bardziej fakt, że najnormalniejsi w świecie ludzie, stawiając stopę na jego pokładzie, natychmiast zmieniali się w wypowiedające urywane zdania kukły. Załoga miała poczucie, że wszystkie ważne decyzje muszą zapadać właśnie na mostku, chociaż równie dobrze mógł dowodzić okrętem, nie opuszczając własnej kajuty albo nie odchodząc od stolika w mesie. Wszystko, co mówiono i robiono na mostku, było transmitowane do najbardziej oddalonych pomieszczeń „Teddy’ego R.”, a mimo to wciąż otaczała go aura niezwykłości. Wszyscy jego podwładni obejmujący funkcję oficera dyżurnego, może prócz świętej pamięci Forrice’a, uważali obecność tam za swój największy obo-

wiązek. Molarianin zwykł puszczać do niego oczko i mówić: „Gdzie w nazwie oficer dyżurny widzisz słowo mostek?”.

Cole wysiadł z szybu windy, skręcił w prawo i ruszył wprost do celu.

- Kapitan na mostku! - zawołała Christine Mboya, stając na baczność i salutując. Razem z nią z foteli zerwały się Domak i chorąży Idena Mueller.

Wilson zastanawiał się, czy wypada nie odpowiedzieć na ten salut, ale zdawał sobie też sprawę, że wszystkie trzy pozostań w postawie zasadniczej do momentu, w którym uniesie dłoń do czoła. Potem rozważył, czy zwrócić Christine uwagę na to, że skróciła nieco tę komendę.

- Te formalności nie są nam potrzebne - powtórzył chyba po raz setny.

- Tak mówi regulamin, sir - odparła Christine.

- Regulamin stworzony przez flotę, z którą aktualnie walczymy - przypomniał jej.

- To także wyraz szacunku.

- Oraz znakomity sposób na podpowiedzenie wrogowi, do kogo najpierw strzelać - skonstatował ze smutkiem.

- Będę o tym pamiętać, kiedy razem opuścimy pokład, sir - obiecała.

- Powiedzcie mi coś, poruczniku Mboya - poprosił.

- Tak, sir?

- Czy zdarzyło się wam kiedyś ustąpić podczas kłótni z rodzicami, nauczycielami albo kimkolwiek innym?

- Nie pamiętam takiego przypadku, sir.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - Cole rozejrzał się po mostku. - Cicho jak makiem zasiał. Zakładam, że wszystko jest w najlepszym porządku.

- Tak jest.

- W takim razie nie zabieram wam więcej czasu. - Rzucił jej szybki uśmiech. - Musimy się jeszcze kiedyś odwiedzić.

W tym momencie ożył jeden z komputerów stojących po lewej stronie mostka.

- Chwileczkę, sir - odezwała się Domak. - Właśnie odbieramy zakodowaną wiadomość.

- Od kogo? - zapytał Cole.

- Nadawcą jest Lafferty, sir.

- Z Piccoli III?

- Nie sądzę, sir. Wiadomość przyszła z innego sektora.

Cole zmarszczył brwi.

- Ale nic nie wskazuje na jej prywatny charakter?

- Nie, sir.

- W takim razie proszę ją odtworzyć tutaj.

Pokryta zmarszczkami, ogorzała twarz Lafferty'ego pojawiła się na samym środku pomieszczenia.

- Mam dla pana niespodziankę, panie Cole - oświadczył staruszek z przebiegłym uśmiechem na ustach. - Spodoba się panu.

- I co dalej? - zapytał Cole po chwili ciszy.

- To nie jest przekaz na żywo, sir - wtrąciła Domak tuż przed tym, jak Lafferty odezwał się ponownie.

- Nie ufam transmisjom podprzestrzennym - kontynuował. - Od lat przechwytujemy i odszyfrowujemy wiadomości floty nadawane tym sposobem, więc nie jest mi obca myśl, że wróg może robić to samo. Tak czy inaczej, powinniśmy się spotkać. Domyśli się pan gdzie. Będę czekał przez trzy dni. Jeśli się pan nie pojawi, skontaktuję się ponownie. Jeśli to nie odniesie skutku, uznam, że pan już nie żyje, i sam zajmę się tą sprawą.

Holograficzna twarz Lafferty'ego zniknęła.

- To już wszystko? - zdziwił się Cole.

- Wszyściuteńko, sir - odparła Domak.

- I na podstawie tych kilku słów mam się domyślić, które miejsce w naszej galaktyce wybrał na spotkanie? Do diabła, jedyny raz widzieliśmy się na Piccoli III, potem tylko raz zbliżyliśmy się do siebie na mniej niż rok świetlny. Podczas obrony Stacji Singapur w zeszłym miesiącu.

- Może miał na myśli Piccoli III? - zasugerowała Idena Mueller.

Cole zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie nadawał z tej planety. I powiedział, że domyślę się, o jakie miejsce mu chodzi, a skojarzenie Piccoli III nie wymagało wielkiego wysiłku.

- Z pewnością nie zaproponował spotkania na Stacji Singapur - uznała Christine. - Nie odważymy się tak szybko na powrót.

- W takim razie jakim cudem mam się domyślić, o co mu chodziło? - Cole zamyślił się głęboko.

- Czy w czasie waszego spotkania wspominał o innych planetach?

- Nie - odparł kapitan. - Nasza rozmowa trwała raptem godzinę. Większą jej część stanowiły próby wymyślenia bezpiecznego sposobu ewakuacji na Wewnętrzną Granicę w sytuacji, gdy miałem na karku pościg.

- W takim razie obawiam się, że nie potrafię panu pomóc, sir - stwierdziła. - Zapewne nikt z nas nie może.

- Wiem - przyznał Cole. - Sam będę musiał to rozgryźć.

Wrócił do windy i zjechał na niższy poziom, by skorzystać ze swojego gabinetu. Usiadł w fotelu i gapił się w gródź przez

następne dziesięć minut.

- Czasami człowiek odczuwa ulgę, kiedy wypluje z siebie, co go męczy - powiedziała Sharon, jej hologram pojawił się nad stołem.

- Czy ty nigdy nie śpisz?

- Jesteś najbardziej zorientowaną osobą w tym temacie - zapewniła go. - Myślę, że moja bezsenność może mieć związek z tym, jak niezdarny okazałeś się minionej nocy.

- Świetnie - mruknął. - W takim razie życzę ci dzisiaj długich, słodkich i spokojnych snów. Chętnie pozanudzam Rachel albo inną smukłą i młodszą od ciebie załogantkę.

- Nie. Nie mogłabym zrobić czegoś takiego Rachel - odparła Sharon. - Ona jest taka młoda i czuła. I na pewno nigdy jeszcze nie widziała czterdziestopięcioletniego faceta, który usiłuje nieudolnie udawać dwudziestoletniego młodzieńca. Chichotałaby na to wspomnienie całymi latami... - Zamilkła, gdy na twarzy Cole'a pojawił się uśmiech. - Poza tym ona sypia teraz z panem Bellamym.

- Doprawdy? - zdziwił się. - Skąd wiesz?

Teraz ona mogła się uśmiechnąć.

- Jestem szefem sekcji bezpieczeństwa. Wiem o wszystkim, co dzieje się na pokładzie.

- Niech ci będzie... Czego chcesz?

- Pomyślałam, że ci pomogę - odparła. - Co dwie głowy, to nie jedna.

- Podstuchiwałaś.

- Taką mam pracę.

- Dobrze - uciął te przekomarzania. - Jakież sugestie?

- Nie - przyznała Sharon. - Ale wiesz przecież, że ja nigdy nie spotkałam Lafferty'ego. Tak przy okazji, czy ten facet ma

jakieś imię?

- Powinien mieć, ale jakoś tak wyszło, że nigdy mi go nie wyjawiał. Ale pewnie można je znaleźć w dokumentach waha-dłowca, który mi wtedy podarował.

- Może na jego pokładzie znajdziesz jakąś podpowiedz.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Porzuciliśmy go, gdy zaanektowaliśmy trzyosobowy okręt wojenny.

- My? - powtórzyła. - Ty i Lafferty?

- Nie, ja i mały kosmita, jego przyjaciel. Jak on się, u licha, nazywał... A, wiem: Dozhin. Wydaje mi się, że został na Stacji Singapur.

- Chcesz się z nim skontaktować?

Cole pokręcił głową.

- Nie. Jest tam teraz flota. Wolałbym, żeby nie namierzyli nas po sygnale. Poza tym, co on mógłby mi powiedzieć? Jest równie bohaterski i wrywny jak nasz przyjaciel Dawid, tyle że nie posiada jego zalet.

- Dawid posiada jakieś zalety?

- Ma kontakty. A to się liczy w jego, i przy okazji naszej, branży. - Cole zmarszczył brwi. - Dozhin musi znać odpowiedź. Lafferty wie, że poleciał ze mną na Wewnętrzną Granicę. Mo-że... - Wilson zeszywniał. - A niech to! Wiem. - Dotknął ciemniejszego punktu na blacie i połączył się z Christine.

- Słucham, sir?

- Przekaż pilotowi, żeby zabrał nas na Cicero VII. Naj-szybciej jak się da.

- Wie pan, gdzie znajduje się ta planeta?

- Nie mam pojęcia, ale sądzę, że nie dalej niż w odległo-ści kilku parseków od Piccoli III.

- Rozumiem.

Hologram Mboi zniknął, ale Sharon pozostała. Na jej twarzy malowało się wielkie zaciekawienie.

- To rodzinna planeta Dozhina - wyjaśnił Cole. - Twierdził, że musiał ją opuścić po tym, jak pojawiła się tam flota i rozpoczęto pacyfikację.

- Może wróg nadal ją okupuje?

Pokręcił głową.

- Lafferty nie zapraszałby mnie na nią, gdyby tak było.

- Miejmy nadzieję, że się nie mylisz - stwierdziła Sharon. - A tak na marginesie, nasz pilot nazywa się Wxakgini.

- Nie potrafię tego wymówić - przyznał Cole. - On zresztą wie o tym.

- Mógłbyś spróbować, na znak szacunku.

- Za każdym razem, gdy próbuję, widzę, że to go irytuje. Lepiej niech zostanie po prostu pilotem.

- I dlatego nigdy nie usłyszysz od niego zwyczajowego „sir”.

- Jakoś to przeżyję.

- Czasami trudno mi sobie wyobrazić, że byłeś kiedyś chlubą floty - rzuciła z uśmiechem.

- Sądzę, że z tą chlubą to lekka przesada - odparł zupełnie poważnie. - Dwa razy odbierali mi dowodzenie okrętem.

- I znowu ci je dawali.

- Nie mieli specjalnego wyboru - powiedział Cole. - Zbyt wielu kapitanów ginęło na wojnie.

- Wiesz, robisz się naprawdę nie do wytrzymania, kiedy zaczniesz być szczerzy.

- Dobrze, w takim razie pochwalę się załodze, co mi powiedziałaś wczoraj podczas najbardziej interesującego momentu nocy.

- Ależ proszę.

- Nie będziesz miała nic przeciw?

- Zrób to, jeśli chcesz spędzić samotnie każdą noc najbliższych sześciuset lat - burknęła i przerwała połączenie.

- Pilocie?

Hologram Wxakgini pojawił się natychmiast. Jego głowa podłączona była do systemów komputerowych wieloma rurkami, podobnie zresztą jak inne części ciała, którym aplikowano tą drogą środki odżywcze.

- Tak?

- Jaki jest przewidywany czas dotarcia na Cicero VII?

- Polecimy tunelem czasoprzestrzennym Glovera. Za siedemnaście minut dotrzemy do niego, potem siedemdziesiąt trzy minuty tranzytu i jeszcze dwie godziny lotu na dotarcie do celu.

- Gdy wrócimy do normalnej przestrzeni, nie leć na tę planetę, upewnij się najpierw, czy oficer dyżurny, ktokolwiek będzie pełnił wtedy tę funkcję, sprawdził dokładnie ślady obecności okrętów Republiki.

- Tak zrobię - zapewnił Wxakgini.

Cole rozłączył się, nadal jednak czuł niepokój, więc uznał, że najwyższa pora udać się do mesy na kolejną kawę i kanapkę. Gdy dotarł na miejsce, Wal właśnie kończyła posiłek.

- Słyszałam, że twój kumpel Lafferty ma dla nas niespodziankę - powiedziała, gdy sadowił się dwa stoliki dalej.

- Tak mówił.

- Miałam też wieści od porucznika Sokołowa - dodała. - Od czasu rozpoczęcia naszej operacji załatwił już trzy okręty wroga.

- Mam nadzieję, że niezbyt wielkie.

- Masz coś przeciw niszczeniu tych większych?

- Mając do dyspozycji taką jednostkę jak Sokołów, poważnie bym się tego obawiał - przyznał Cole. - Jest zbyt mała na to, by atakować okręty klasy J i wyższych bez ryzyka uszkodzenia ich reaktorów i posłania do nieba wszystkich na pokładzie.

- O to chyba chodzi na wojnach - zauważyła rudowłosa. - O zabijanie wroga.

- W wojnach chodzi głównie o to, by osiągać zakładane cele. Im więcej przeciwników zabijasz, tym mniej chętnie podporządkują ci się w przyszłości i w efekcie trzeba wybić wszystkich.

- I co z tego?

Westchnął głośno i spojrzał na Walkirię, dumając po raz nie wiadomo który nad tym, jakim cudem natura potrafiła połączyć ze sobą takie piękno i brutalność.

- Jesteś najlepszą wojowniczką, jaką kiedykolwiek widziałem, może nawet najlepszą w historii. Gdybym miał do dyspozycji sto kobiet podobnych do ciebie, mógłbym podbić galaktykę... - Zamilkł na moment. - Ale czasami myślę, że byłoby o wiele lepiej dla nas obojga, gdyby ktokolwiek wpadł na pomysł nauczania cię, jak zażegnawać konflikty bez użycia przemocy, a może nawet kilku podstaw etyki.

- Pobierałam nauki w szkole życia - przypomniała mu.

- Wiem.

- Knajpy i burdele pełne są kobiet, którym wpajano potrzebę łagodności - rzuciła Wal. - Ja do nich nie należę.

- I za to cię cenię - zapewnił ją Cole. - Ale czasami marzę o tym, kim mogłabyś zostać.

- Na przykład garbuską mierzącą pięć stóp wzrostu ze sztuczną nogą i stalowymi zębiskami - wyliczyła.

- Punkt dla ciebie.

- Jak sądzisz, co zastaniemy na Cicero? - zapytała.

Cole wzruszył ramionami.

- Niedługo się dowiemy.

Rozbawiła ją ta odpowiedź.

- Jeśli to coś będzie gryzło, obronię cię.

- Dzięki - odparł Wilson. - A jeśli będzie całowało, to ja stanę w jego obronie. Widziałem, jak sponiewierałaś te androidy w burdelu na Stacji Singapur.

- Chodzą tam, bo to jedyne miejsce, w którym pozwalają mi je sponiewierać - przyznała, wybuchając śmiechem.

Nagle oboje poczuli silne zawroty głowy.

- Zdaje się, że weszliśmy do tunelu czasoprzestrzennego - mruknął Cole.

- Na pewno - odparła, wstając od stołu. - Prześpię się ze dwie godzinki, na wypadek gdyby po dotarciu na miejsce czekała nas jakaś walka.

- Obudzę cię, gdybyś była potrzebna.

Gdy Wal opuściła mesę, kapitan zamówił kawę i kanapkę. Gdy posiłek znalazł się przed nim, ugryzł kęs hamburgera i skrzywił się. Dlaczego po tylu tysiącletniach doskonalenia produkty sojowe wciąż smakowały bardziej soją niż potrawami, które miała imitować?

Spędził całe pół godziny na dojadaniu kanapki, popijając kawę i czytając szczegółowe raporty na temat owych trzech zestrzeleń Sokołowa, które Christine otrzymała chwilę wcześniej od pilota. Właśnie zamierzał iść do własnej kajuty, gdy do mesy wkroczył Platynowy Książę i bezceremonialnie zajął miejsce przy tym samym stole. Zamówił kawę, sztuczne jajka, podróbkę steku i coś, co tylko przypominało tost.

- Dobry wieczór - powitał go Cole.

- Dla mnie ranek - odparł Książę.
 - Proszę nie poparzyć sobie warg kawą - ostrzegł Wilson, gdy na stole pojawiło się zamówienie. - Jest bardzo gorąca.
 - Nie mam warg - odparł szef stacji, podnosząc kubek do ust. Chwilę później odłożył go, złorzeczając głośno. - Ale mam pieprzony język!
 - Słyszał pan już zapewne o tym, że pańska ukochana Stacja Singapur wyszła z opresji bez szwanku, a być może wizyta floty sprawi, że jej zyski wzrosną po wielokroć.
 - Miał pan rację - przyznał Książę. - Ale ja nadal nie cierpię ucieczek i ukrywania się.
 - Pan ucieka i się ukrywa - poprawił go Cole. - My się co prawda ukrywamy, ale za to atakujemy.
 - Przyznam, że znacznie bardziej pana lubiłem, gdy był pan moim klientem - stwierdził Książę.
 - A ja pana, gdy częstował mnie pan wyszukаныmi daniami przyrządzanymi przez pańskiego prywatnego kucharza. Książę zachichotał.
 - A było tak wspaniale. Dawid i ja załatwialiśmy lukratywne kontrakty. Pan i „Teddy R.” wykonywaliście je... - Szef stacji zamilkł na moment. - Jakim cudem w tak krótkim czasie wyróciliśmy to wszystko do góry nogami?
 - Ktoś nam w tym pomógł - przypomniał mu Cole.
 - Tak... - przyznał Książę, mając przed oczami wydarzenia, które doprowadziły do ataku na Stację Singapur.
- Siedzieli w kompletnej ciszy przez kilka minut. Potem Cole poczuł znajome zawroty głowy i zdał sobie sprawę, że właśnie opuścili tunel nadprzestrzenny. Zbliżali się do systemu Cicero. Teraz Christine i Briggs mieli niemal godzinę na wypatrzenie

wszelkich śladów obecności floty - w tym czasie „Teddy R.” nie oddali się zbyt od wylotu studni grawitacyjnej. Potem Jacovic będzie sprawdzał wszystkie odebrane przez nich sygnały, co zajmie mu kolejne trzydzieści minut, i w końcu Wal, jeśli akurat będzie miała służbę na mostku, odbierze jego raport, co zmusi ją do uznania faktu, że tym razem się pomyliła.

Księżę dokończył posiłek i wyszedł z mesy. Cole sączył właśnie trzecią kawę, gdy usłyszał sygnał „droga wolna” i poczuł, jak jego okręt rwie do przodu.

- Sir, czy zechce pan przybyć na mostek i objąć dowodzenie?

Spoglądał na hologram twarzy Christine Mboi. Mianował ją na stanowisko drugiego oficera, ponieważ nie miała sobie równych, jeśli chodzi o lojalność, ale na walce w przestrzeni kompletnie się nie znała.

- Pani dowodzi podczas białej wachty - odparł. - Proszę nas zabrać na Cicero VII.

- Nie mam koordynat miejsca lądowania dla Wxakgini.

- Lafferty na pewno to przewidział.

- Nie nadążam za panem, sir.

- Nie zaprosił nas tutaj dla jaj. Jestem pewien, że sam poda nam koordynaty, gdy tylko znajdziemy się wystarczająco blisko planety. A jeśli nie nadejdą w rozsądnym czasie, zajmiemy się tym problemem sami.

- Tak jest - odparła Christine. - Dziękuję, sir.

Powstrzymał się od uwagi, że mogłaby zwracać się do niego per „Cole” albo „Wilsonie”, tylko dlatego, że wiedział, iż nie zrozumiałaby tej propozycji. Zamówił za to ciastko do kolejnej kawy.

W tym momencie zauważył go przechodzący obok mesy Dawid Copperfield.

- Kogo moje oczy widzą - Cole powitał małego kosmitę, gdy ten doczłapał do jego stolika.

- Dzień dobry, Steerforth. Słyszałem właśnie sygnał „droga wolna”.

- Wiesz coś na temat systemu Cicero?

- Słyszałem, że przemytnik nazwiskiem Krieder albo Krieter urządził sobie tutaj kryjówkę mniej więcej rok po tym, jak flota wybiła lokalnych mieszkańców. W granicach systemu krąży dziesięć planet. Sześć małych na wewnętrznych orbitach i trzy gazowe giganty na peryferiach. Zdaje się, że tylko siódma posiada atmosferę tlenową. Ale nie jest zbyt gościnna dla ludzi.

Cole postanowił nie komentować ostatniej uwagi Dawida.

- A nie słyszałeś o jakimś posterunku floty pozostawionym w tym systemie?

Kosmita pokręcił głową.

- Nie ma tu nic wartego uwagi od chwili, gdy nakryto Kriedera i skonfiskowano jego towary.

- Dlaczego flota spacyfikowała tak odległą i nic nieznaczącą planetę jak Cicero VII? - dopytywał się dalej Cole.

Dawid wzruszył ramionami.

- A czy oni potrzebują powodu? Przecież to flota.

- Kiedyś w niej służyłem - przypomniał mu Wilson. - Musiał istnieć jakiś powód. Może niezbyt dobry, ale powód.

- Mnie nie przekonasz - stwierdził wystrojony kosmita.

- Paliwo kosztuje, i to niemało. Amunicja też. A odciąganie okrętów i ludzi z frontu walki przeciw Teroni to już nie tylko kwestia pieniędzy. Nie robi się czegoś takiego dla czyjegoś widzimisię w czasach pokoju, nie mówiąc już o wojnie.

- To czas wojny dla mnie i dla ciebie, Steerforth - stwierdził Dawid. - Ale spora część ludzi walczących na frontach nie pamięta czasów, gdy panował pokój.

- Wszystko jedno...

- Wylądujemy i sam się przekonasz.

- Sharon, czy ty znów nas podsłuchujesz? - zapytał Cole, podnosząc głos.

- Jakżeby inaczej - odparła, gdy jej hologram pojawił się nad stołem.

- Nie wierzę, że flota wymazała z powierzchni tej planety rasę Dozhina, nie mając najmniejszego powodu.

- Też wolalabym w to nie wierzyć, ale tego się już raczej nie dowiemy.

- A może wręcz przeciwnie - stwierdził Wilson. - Weźmiemy najlepszych programistów, a skoro Christine ma teraz służbę podobnie jak Briggs, pozostaje nam albo Domak, albo Jabol. Jeśli utworzą pary, będą w stanie przekopać wszystkie archiwa w sąsiednich systemach, nawet jeśli będzie trzeba wlać się do nich, tyle tylko, że nie wiemy jeszcze, czego mają szukać. Dlatego będziesz nadzorować ich prace i kierować nimi. Sprawdźmy, dlaczego flota tak bardzo chciała wymazać Cicero VII z map galaktyki.

- Dobrze - zgodziła się. - Jeśli jednak zlikwidowali całą rasę, aby zdobyć coś, co się tutaj znajdowało, możemy być pewni, że już dawno stąd to zabrali.

- Sprawdźmy to tak czy inaczej - poprosił.

- Dobrze. Już się za to biorę - obiecała Sharon i jej hologram zniknął.

- Po co tyle zachodu, mój drogi Steerforth? - zapytał kosmita. - Pułkownik Blacksmith dobrze mówi. Cokolwiek tam

było, już dawno to zabrano.

- Dawidzie, czy ty naprawdę nie wyniosłeś niczego z pobytu w naszej szkole?

- Ha! - ryknął dandys. - Więc przyznajesz, że chodziliśmy do tej samej klasy!

- To było pytanie retoryczne - usprawiedliwił się Cole. - Sprawdźmy, czy nie przylecieli tutaj po jakieś dobra odnawialne, jak leki na bazie organicznej. A jeśli nie chodziło o nic takiego, nie korci cię, żeby dowiedzieć się, czego tak bardzo pożądała Republika, że zdecydowała się na wymordowanie ludności całej planety, aby położyć na tym łapska? Przecież zrobili wszystko, żeby nawet ten twój przyjaciel, Krieder, nie dowiedział się o tym.

- Jakim cudem doszedłeś do aż tak karkołomnych wniosków, mój drogi Steerforth?

- Trwa wojna. Flota nie traci czasu na szukanie i aresztowanie przemytników. Takie sprawy pozostawia się w gestii planetarnej i wewnątrzsystemowej policji, chyba że taki delikwent wchodzi w posiadanie czegoś niezwykle cennego albo zanadto się zbliża do miejsca, w którym to ukryto.

- Tu chodzi o jakieś magazyny - zawyrokował Dawid.

- Jesteś pewien?

- Krieder specjalizował się w drogiej biżuterii i dziełach sztuki - wyjaśnił mały kosmita. - Masz rację, flota nie ma czasu na takie pierdoły. - Uśmiechnął się. - Wydedukowaliśmy właśnie, że oni ukryli tam coś cennego.

Cole odwzajemnił uśmiech.

- Takie są korzyści z pobierania nauk w publicznych szkołach.

Dawid zachichotał i zamówił kubek kawy. Stolik zapytał,

czy ma być z cukrem i śmietanką, ale kosmita odparł hardo, że taki twardziel jak on pija wyłącznie czarną.

- Dawidzie... - zaczął Cole, zanim zamówienie pojawiło się na stoliku.

- Póki co miałem naprawdę dobry dzień. Chyba złamię swoją dietę.

- Nie jesteś na diecie i jeśli wypijesz choć łyk kawy, możesz nie dożyć końca tego dobrego dnia. Przecież o tym wiesz.

- Może się napiję, a może nie - odparł Dawid. - Nie rujnuj odświętnego nastroju.

- W sumie mogliśmy trafić gorzej... - mruknął Wilson.

- Cóż to miało znaczyć?

- Mogłeś na przykład czytać o Mowglim albo Tarzanie. Przynajmniej nie musisz zabijać jedzenia własnymi rękami i nie zapominasz o założeniu ubrania przed udaniem się na posiłek.

- Dlaczego z tak wielkim uporem drwisz ze mnie, mój drogi Steerforth? - zapytał Dawid.

- Wydawało mi się, że to będzie dla ciebie komplement.

Pojawiła się kawa. Kosmita popatrzył na nią, potem na Cole'a i znów na kubek.

- Za gorąca - zdecydował. - Niech przestygnie.

- Świetny pomysł - przyznał kapitan i postanowił ulitować się nad zblizowanym kosmitą. - Mam jeszcze trochę roboty u siebie - dodał, wstając. - A ty zostań i dokończ kawę, jeśli masz na to ochotę.

- Dobrze - odparł Dawid. - Rozlałbym większość tego cennego naparu, gdybym spróbował go przenieść. Przyjdę do ciebie, jak skończę.

Cole opuścił mesę, zastanawiając się, czy kosmita podda

się i zwróci kawę, zanim on zdąży dotrzeć do swojego gabinetu. Usiadł za biurkiem i skontaktował się z mostkiem.

- Żadnych śladów floty? - zapytał.

- Jak na razie żadnych, sir - odpowiedział Briggs, wciąż obsługujący skanery.

- To dobra wiadomość - uznał Wilson. - A skoro już o tym mowa, czy Lafferty skontaktował się z nami?

- Nie, sir.

- Może zgłosi się, jak będzie gotowy.

Cole rozłączył się, sięgnął po holoksiążkę i odszukał miejsce, w którym zakończył lekturę. Kilka minut później do gabinetu wszedł Dawid Copperfield.

- Jak tam kawa? - zapytał kapitan.

- Wprawdzie nie była brazylijska, ale zważywszy okoliczności, muszę przyznać, że i tak niezła.

- Masz jeszcze kropelkę na policzku.

Dawid podjął tę grę i otarł oblicze z nieistniejących resztek kawy.

- Nadal ani śladu floty?

- Nadal - odparł Cole. - Obawiam się, że systemy obronne twojej grodzi nie przejdą dzisiaj testu bojowego.

Nagle usłyszeli głos Sharon.

- Bingo!

- Bingo? - powtórzył Wilson, krzywiąc się z niesmakiem.

- Jak ci nie pasuje, może być trafiony, zatopiony - dodała, gdy jej hologram pojawił się nad biurkiem.

- Mów lepiej, czego się dowiedziałas.

- Ciceró VII miał spore zasoby materiałów rozszczepialnych.

- Miał? - zdziwił się Cole.

- Wydobyto je do końca w ciągu czterech lat - wyjaśniła.
- Potem planeta została porzucona na kolejne pięć lat. Dozhin, jego przyjaciele i rodzina mogą na nią wrócić, jeśli im przyjdzie ochota.

- Dzięki - powiedział kapitan. - Zamelduj, jeśli uda wam się odkryć coś jeszcze.

- Siedzimy nad tą sprawą, ja i Domak - odparła Sharon, zanim jej hologram zniknął.

Dawid obserwował z zaciekawieniem Cole'a.

- Jesteś roześmiany od ucha do ucha.

- Ludzie nie mają tak szerokich uśmiechów - poprawił go Wilson. - Ale gdyby mieli, pewnie tak bym teraz wyglądał.

- Dlaczego?

- Przecież słyszałeś to samo co ja. Skorzystaj raz jeszcze z edukacji nabytej w Salem House.

- Przestań mnie dręczyć i powiedz wreszcie, o co w tym wszystkim według ciebie chodzi!

- Flota mogła negocjować warunki wydobycia tych pierwiastków - zaczął Cole. - Mogła też wykupić całą tę cholerną planetę. Ale zamiast tego wybrała wyrżnięcie wszystkich jej mieszkańców. Dlaczego?

- Ponieważ kończyły jej się materiały rozszczepialne - zasugerował kosmita i zasępił się. - Przecież to oczywiste.

- Pomyśl, Dawidzie - zachęcał go Wilson. - Potrzebowali tych materiałów tak bardzo, że musieli wymordować wszystkich, zamiast się z nimi dogadać. To może oznaczać tylko jedno. Wojna idzie Republice jak po grudzie, może nawet po dziś dzień, dlatego nie mogli poczekać choćby miesiąc dłużej, żeby położyć łapy na tych złożach.

- To ma sens - przyznał Copperfield.

- To znaczy również, że w tym sektorze nie trafimy na wielki opór.

- Dlaczego tak uważasz, Steerforth?

- Wyeksploatowali już wszystkie złoża. A to była jedyna rzecz, jakiej pożąдали albo potrzebowali, więc dawno sobie stąd poszli. Nie ma nawet śladu po nich, a pan Briggs jest równie dokładny jak Christine. Gdyby zostawili tutaj choć jeden okręt, już dawno byśmy go zauważyli. Chyba jest jasne, że przenieśli wszystkie jednostki tam, gdzie naprawdę są potrzebne, czyli na front walk z Teroni. - Znow podniósł głos. - Sharon!

Nie odpowiedziała.

- Do diaska - zaklął. - Wtedy kiedy chcę, żeby nas słuchała, zawsze robi coś innego. Dobrze, Dawidzie, pozwolę ci to zrobić.

- Co zrobić?

- Przekazać na mostek, że mogą dać sobie spokój z poszukiwaniami śladów pobytu floty. Nie ma ich tutaj, a my powinniśmy szykować się na spotkanie z panem Laffertym.

- Nie posłuchają mnie - zastrzegął się kosmita.

- Wręcz przeciwnie - zapewnił go Cole. - Jeśli to będzie konieczne, możesz powołać się na mnie, ale jestem niemal pewny, że nikt o to nie będzie pytał.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ponieważ wylazłeś z za tej cholernej grodzi, Dawidzie. A to znaczy, że posiadasz pewne informacje o tym, że jest już bezpiecznie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Zbliżamy się do planety, sir - zameldowała Christine.

- Zbliżamy się do siódmej planety - wymamrotał do siebie Cole, a głośno powiedział: - Gdzie Lafferty chce nas widzieć?

- Załadowałam koordynaty do komputera. Zdaje się, że miejsce spotkania znajduje się wewnątrz krateru wygasłego wulkanu, sir.

- Dobrze. Przełącz mnie na kanał zewnętrzny, nadajemy na wszystkich częstotliwościach.

- Gotowe, sir.

- Panie Lafferty, mówi Wilson Cole. Otrzymaliśmy od pana koordynaty, ale „Teddy R.” nie może wylądować we wskazanym miejscu. Powstał w przestrzeni i w niej dokona żywota, aczkolwiek mam nadzieję, że nie nastąpi to zbyt prędko. Wyślę na dół dwa wahadłowce z moimi ludźmi.

- To nie będzie konieczne - odparł Lafferty. - Początkowo chciałem was skierować prosto do celu, ale zdecydowałem, że lepiej będzie, jak was tam sam doprowadzę. Jest pan pewien, że nie mieliście ogona?

- Nawet bardzo.

- To dziwne. Powinni za panem lecieć.

- Bez obaw - uspokoił go Cole. - Nikt nas nie niepokoił od momentu opuszczenia Stacji Singapur, a ten system jest jednym z ostatnich miejsc wartych odwiedzenia w całej Republice.

- Ciekawe, co pan powie za godzinkę - odparł Lafferty.

Nagle Cole zobaczył przed sobą hologram Jacovica.

- Wszyscy tylko o tym mówią, sir. Jak pan sądzi, co on tam znalazł?

- Zabijcie mnie, jeśli wiem - zbył go Wilson. - Może jakieś złoża uranu albo plutonu, które umknęły uwadze Republiki.

- Coś znacznie lepszego - odpowiedział Lafferty. - Przede wszystkim musiałem się upewnić, czy naprawdę nikt was nie śledził, i dlatego skierowałem was na Cicero VII. Teraz możecie lecieć za mną.

Z krateru uniósł się niewielki stateczek i ruszył w stronę pasa asteroid znajdującego się pomiędzy Cicero VIII a IX.

- Za nim, pilocie - rozkazał Cole.

- Po dotarciu na miejsce będzie wam potrzebny wahadłowiec, a może nawet dwa - rzucił Lafferty.

- Sukinsyn lubi bawić się w zgaduj-zgadulę - mruknął Wilson.

- Proszę o pozwolenie na dołączenie do załogi jednego z wahadłowców - powiedział Jacovic.

- Udzielam - odparł natychmiast Cole.

- Dziękuję, sir. - Hologram Teroni zniknął.

Wilson opuścił gabinet kapitana i ruszył w stronę doków. Gdy dotarł do windy, zastał przy niej Pampasa i Braxytę, jedyne go molariańskiego oficera, jaki mu pozostał.

- Bierzemy broń ze zbrojowni, sir, czy korzystamy z tej, którą mamy na pokładzie wahadłowca? - zapytał Braxyta.

- Lecimy w odwiedziny do przyjaciół, nie wrogów - odparł Cole.

- Jeśli ktoś nas zaatakuje, będziemy, praktycznie rzecz biorąc, bezbronni - upierał się Molarianin.

- Nikt nas nie zaatakuje - uspokoił go kapitan. - Okręty Republiki nie pojawiały się tutaj od lat. Poza tym leci ze mną

Jacovic, a Christine za moment skończy wachtę, a to oznacza, że dowodzenie przejmie po niej Wal. Naprawdę uważasz, że ona pozwoli, by ktokolwiek nas zaatakował?

- Ilu z nas weźmie udział w tej operacji, sir? - zapytał Pampas.

- Po pięć osób na wahadłowiec - odparł kapitan. - Jak rozumiem, ty, Byku, i Braxyta znajdujecie się na czele listy ochotników?

- Tak jest.

- Ciekawe - zauważył Cole. - Ostatnim razem też zajmowałś to samo miejsce.

- Wal umieszcza mnie na liście jako pierwszego - odparł zaniepokojony Pampas. - Twierdzi, że jestem jedynym członkiem załogi, który potrafi wytrzymać z nią minutę na ringu.

- Pewnie wie, co robi. Dobrze. Ja lecę pierwszym wahadłowcem, Jacovic drugim. Zostanie na orbicie, dopóki nie dam mu sygnału, że droga wolna. Wy będziecie naszymi zastępcami. Podzielcie wybranych ludzi wedle własnego uznania.

Pampas zasalutował.

- Tak jest!

- I jeszcze jedno, Byku. Zakładam, że po wyjściu z wahadłowca trafimy między przyjaciół, ale mimo wszystko nie życzę sobie żadnego salutowania.

- Wiem o tym, sir.

- Domyślam się, ale jak to mówią, nigdy za wiele ostrożności, zwłaszcza w przypadku człowieka, który salutuje odrucho, bez zastanowienia. Mam nadzieję, że nie masz mi tego napomnienia za złe?

- Tak jest. To znaczy, nie, sir - Pampas pogubił się. - Chciałem powiedzieć...

- W porządku, Byku. Uspokój się i wsiadaj do maszyny.
- Nie idzie pan z nami?
- Zamierzałem to zrobić, ale mam jeszcze jedną rzecz do załatwienia. Zaraz do was dołączę.

Zatrzymał się przed szybem windy i nawiązał połączenie z mostkiem.

- Christine, czy jest już Wal?
- Jestem - odparła rudowłosa i moment później miał jej hologram obok Mboi.

- To powinna być rutynowa misja - powiedział Cole. - Wprawdzie nie mam bladego pojęcia, po co Lafferty nas tutaj ściągał, ale przeskanowaliśmy cały system i nie ma w nim żadnej jednostki prócz jego jachtu. Wyślemy wahadłowce w momencie, gdy „Teddy R.” zbliży się do pasa asteroid, i wylądujemy w miejscu wskazanym przez Lafferty'ego. Nie wiem, jak długo pozostaniemy na powierzchni, ale nie sądzę, żeby to spotkanie trwało ponad dwadzieścia minut, w drodze wyjątku możemy tam siedzieć pół godziny. Czyli bułka z masłem.

- I dobrze - burknęła Wal. - Powiedz mi w takim razie, po co mnie wywołujesz?

- Ta misja wygląda na rutynową, ale mogę się mylić. Wprowadzę do komputera siedmiocyfrowy kod. To będzie nasze hasło. Jeśli w czasie powrotu nie podamy prawidłowej kombinacji, rozwal oba wahadłowce i zmiataj stąd gdzie pieprz rośnie.

- Chwileczkę, Wilsonie! - usłyszeli głos Sharon.
- O co chodzi?
- A jeśli z jakichś powodów nie będziesz mógł wprowadzić tego kodu? Czy ktoś inny będzie go znał? Nie możesz go wprowadzić do komputera na wahadłowcu, w takiej sytuacji

maszyna nadałaby sygnał bez względu na to, kto znalazłby się na jej pokładzie.

- Celna uwaga - przyznał Cole. - Dam go w takim razie Jacovicowi i Braxycie... - Zamilkł na moment. - Wracam do doków. Przekażę wam kod po wejściu na pokład „Kermita”.

Kapitan wszedł do windy i na poduszce powietrznej zjechał na najniższy pokład. *Pamiętam jeszcze czasy, kiedy odwiedzenie starego przyjaciela w odległym, niezamieszkanym systemie gwiazdowym nie musiało łączyć się ze ściśle tajną operacją militarną*, pomyślał, zastanawiając się jednocześnie, czy takie dni jeszcze wrócą.

- Wszyscy na pokładzie? - zapytał, wchodząc do „Kermita”.

- Tak jest - odparł Braxyta. - Komandor Jacovic pojawił się minutę przed panem. Jest na „Archiem”.

- Świetnie - ucieszył się Cole. - W takim razie ruszamy!

W chwili gdy wahadłowiec oderwał się od rękawa cumującego, by lecieć w ślad za jachtem Lafferty’ego, kapitan najpierw przesłał kod identyfikacyjny do komputera jednostki macierzystej, a potem rozsiadł się wygodnie.

- Domyśla się pan, co tam zobaczymy, sir? - zapytał Braxyta.

- Nic a nic - odparł Cole. - Gdybym wiedział, co tam jest, pewnie już dawno powiedziałbym Lafferty’emu, że nie było to warte przylatywania na takie zadupie. - Przyjrzał się asteroidom widocznym na ekranach. - Ciekawe, co też takiego może kryć w sobie podobne miejsce.

- Zaraz się tego dowiemy - odparł Molarianin. - Jacht właśnie zwolnił.

Od kadłuba jednostki Lafferty’ego oderwał się niewielki

dwuosobowy prom.

- Za moment będziemy na miejscu - usłyszeli głos staruszka. - Lećcie za mną.

- Cały czas lecimy za panem - odparł poirytowany Wilson.

- Widzicie ten złoty kamyk po lewej? - zapytał Lafferty. -

To nasz cel.

- Sprawy - zauważył Cole. - Mamy na nim wylądować?

- Tak.

- Dobrze. Panie Jacovic, proszę nakazać załodze nałożenie kombinezonów próżniowych. - Odwrócił się w stronę kabiny.

- Wy też to zróbcie.

- A teraz zwolnijcie - poradził staruszek. - Żebyście go nie minęli.

- Czego mamy nie minąć? - zapytał Cole.

- Zobaczycie sami.

Prom Lafferty'ego zaczął krążyć wokół wielkiej złotej asteroidy, a „Archie” i „Kermit” poszły w jego ślady. W końcu Lafferty zwolnił jeszcze bardziej, potem opadł na powierzchnię.

- Przygotowujemy się do lądowania - zameldowała siedząca za sterami Idena Mueller. - Ale nadal nie widzę celu.

- Zaraz go pani zobaczy - odpowiedział Cole, testując systemy tlenowe skafandra. - Proszę mnie połączyć z „Archie”.

Na kodowanym kanale.

- Gotowe, sir.

- Jacovic, tu Cole. Zostańcie nieco w tyle.

- Chce pan, abyśmy pozostali na orbicie, sir? - zapytał Teroni.

- Nie, to chyba nie będzie konieczne. Wyszedłem już cało z kilku zasadzek, a to miejsce nie wygląda mi na klasyczną pułapkę. Proszę po prostu lecieć o dwie minuty za nami. Po wylą-

dowaniu prześlę panu sygnał, wtedy posadzi pan swoją maszynę. Jeśli nie odezwę się, powiedzmy, przez trzydzieści sekund, proszę zawracać i gnać prosto na „Teddy’ego R.”, jakby się panu ogon palił.

- Mimo iż sprawdziliśmy to miejsce bardzo dokładnie, zachowuje pan, sir, ogromną ostrożność - zauważył Braxyta.

- Tylko takim sposobem kapitan najbardziej poszukiwanego okrętu w galaktyce mógł przeżyć cztery lata - odparł lekko poirytowany Cole.

- Przepraszam, sir - zmieształ się Molarianin. - Nie chciałem... To znaczy...

- Nic się nie stało - uspokoił go Cole. - Ja też się poruszam jak mucha w smole... Tylko że dla mnie podmiotem w tym zdaniu jest „porusza”, a nie „smoła”.

- Podchodzimy do lądowania - zameldowała Idena, gdy prom Lafferty’ego zniknął im z oczu.

- Gdzie on się podział? - zapytał Cole.

- Spójrzcie! - Mueller wskazała na ekrany czołowe.

Jednostka, za którą lecieli, wylądowała w czymś na kształt gigantycznego kamieniołomu, reliktu z zamierzchłych czasów, gdy ludzkość i inne rasy eksploatowały asteroidy. Prom zniknął im z pola widzenia, gdy zeszli na wysokość osiemdziesięciu stóp. Zobaczyli go dopiero, gdy zawiśli nad nim. Idena posadziła „Kermita” tuż obok.

Cole przyjrzał się ekranom, na których widać było, jak Lafferty wyprowadza swoich ludzi z pojazdu.

- Połącz mnie z „Archiem” - polecił.

- Jest połączenie, sir.

- Możecie lądować.

- Już się robi - odparł Teroni.

Załoga wahadłowca czekała na kolejne polecenia Cole'a, kazał więc Idenie otworzyć właz i stanął w nim, czekając, aż trap opadnie na powierzchnię asteroidy.

- Cieszę się, że znowu pana widzę - odezwał się Lafferty, występując przed szereg, by uścisnąć dłoń kapitana.

- Ja również - odparł Cole. - Nie oddalajmy się zbyt od naszych maszyn. Za moment wyląduje kolejna.

Obserwowali wspólnie, jak „Archie” podchodzi ostrożnie do lądowania i w końcu siada nie dalej niż trzydzieści stóp od „Kermita”.

Wyszedł Jacovic wraz z załogą. Cole dokonał prezentacji najważniejszych osób.

- Dobrze - powiedział na koniec. - A teraz proszę powiedzieć, po jaką cholere przyciągnął nas pan tutaj?

- Uczynię to z najwyższą rozkoszą - zapewnił go Lafferty.
- Czy wystarczająco szeroko się przy tym uśmiecham?

- W rzeczy samej - przyznał Cole.

- A oto powód mej radości. Proszę za mną.

Lafferty ruszył w stronę środka mierzącej prawie pół mili niecki kamieniołomu. Po przejściu mniej więcej stu jardów zatrzymał się, a Cole zobaczył w przydymionym świetle, że przed nim znajduje się jakaś trudna do opisanie, ale na pewno wielka masa.

- Ani kroku dalej, bo wpadniecie na niespodziankę.

Wilson zatrzymał się i skupił wzrok. Ktoś zadał sobie sporo trudu, by zamaskować tę rzecz i zrobił to dobrze. Nie potrafił odgadnąć, z czym miał do czynienia.

- Wyłączyć ekrany - rozkazał Lafferty i nagle oczom wszystkich ukazał się nieoznakowany okręt wojenny klasy L.

- I co pan o tym sądzi? - zapytał staruszek.

- Jestem pod wrażeniem - przyznał Cole. - Oto rzecz, w którą wyewoluował nasz stary dobry „Teddy R.” w ciągu ostatnich stu lat. Sześć stukaczy piątej generacji, trzy palniki piątej i trzy czwartej generacji... Osłony potrafią zaabsorbować wielokrotne trafienia każdej broni do czwartej generacji. Nie pamiętam zbyt dokładnie danych technicznych, ale zdaje się, że nawet dwa do trzech trafień na sekundę czymś cięższym spowoduje wyłącznie niewielkie uszkodzenia.

- Zna się pan na rzeczy - stwierdził z uznaniem Lafferty.

- Jeszcze parę lat temu służyłem we flocie - przypomniał mu Wilson. - Załoga składa się z siedemdziesięciu dwóch osób.

- Już nie - poprawił go staruszek. - Dzisiaj wystarczy pięćdziesiąt sześć. Wiele funkcji zautomatyzowano.

- Skąd pan go wytrzasnął, u licha? - zapytał Cole. - Na pewno nie został zestrzelony. To nówka nieśmigana.

- Z Kobernikowa II.

- W życiu nie słyszałem o takim miejscu.

- I nigdy pan nie usłyszy - odparł Lafferty z nieukrywaną dumą. - Znajduje się jakieś osiemdziesiąt lat świetlnych stąd. Republika otworzyła tam nowe stocznie. - Uśmiechnął się szeroko. - A my je właśnie zamknęliśmy.

- Widziałem, czym pan dysponował podczas bitwy o Stację Singapur - powiedział Wilson. - Jeden okręt tej klasy dałby sobie radę z pięćdziesięcioma pańskimi jednostkami.

- Bardzo możliwe - przyznał Lafferty. - Oczywiście gdyby miał napęd. - Cole wybałuszył na niego oczy. - Znaleźliśmy go w jedynym hangarze, którego nie zniszczyliśmy. Siedział tam jak nowo narodzone dzidzi. Tyle że nikt mu jeszcze nie dał po-

witalnego klapsa. Wiedzieliśmy, że flota nie zaglądała do systemu Cicero od wielu lat, dlatego przyholowaliśmy go tutaj, żeby zniknął ludziom z oczu do momentu, aż wykombinujemy, jak go wykorzystać. - Spojrzał z dumą na zdobycz. - Nie zdołalibyśmy posadzić go na normalnej planecie, nie uszkadzając przy okazji kadłuba, ale tutaj nie ma, praktycznie rzecz biorąc, grawitacji.

- Posiada wszystkie systemy uzbrojenia?

- Tak.

- W pełni sprawne? - zapytał Cole.

- Tak. Przetestowaliśmy je na orbicie Cicero IX, żeby uzyskać całkowitą pewność. Wydaje mi się, że tarcze i ekrany także działają, ale one niestety czerpią energię z głównego reaktora, którego jeszcze nie mamy.

Cole przyglądał się okrętowi przez całą minutę.

- Teraz wystarczy zdobyć napęd, nadać jednostce fałszywą rejestrację i będziemy mogli podlatywać do niczego niespodziewających się jednostek floty i rozwalać je, zanim załogi zorientują się, kto do nich strzela - powiedział Lafferty.

Cole pokręcił głową.

- Nie, znam lepsze zastosowanie dla takiego cacka.

- Lepsze niż możliwość rozwalenia kilku tysięcy okrętów wroga?

- O wiele - dodał Wilson i obrócił się raptownie do Lafferty'ego. - Od tej pory przestaje pan być bojownikiem naszej sprawy.

- A kim będę?

- Mechanikiem. Musicie się postarać o jednostkę napędową, którą można będzie zamontować na tym okręcie. Nie musi być dokładnie ten model, jaki instaluje się na jednostkach

tej klasy, wystarczy coś starszego, byle o odpowiedniej mocy. No i rejestrację.

- Przecież o tym właśnie mówiłem - obruszył się starszek. - Trzeba nam reaktora, lewych papierów i będziemy mogli rozwalać okręty wroga.

- Nie - zaprzeczył Cole.

- Przecież sam pan powie...

- Zdobędzie pan napęd i papiery, a potem poczeka tutaj na dalsze rozkazy.

- Co pan wygaduje - gorączkował się Lafferty. - Z takim cackiem możemy niszczyć do pięćdziesięciu okrętów dziennie. Miną całe miesiące, zanim flota zorientuje się, jak to robimy.

- Ale jak już się zorientuje - wtrącił Cole - to rozwali panu zabawkę. I tak zostaną jej ponad trzy miliony innych jednostek na stanie.

- A co pan zamierza zrobić z tym okrętem? - zapytał hardo starszek.

Cole raz jeszcze obrzucił okręt wzrokiem.

- Wygrać tę wojnę - odpowiedział.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Teddy R.” zostawił daleko za sobą pas asteroid na Ciceru, mijając kolejne, nie mniej odludne systemy gwiazdne.

- Co tu się działo, u licha? - zapytał Malcolm, gdy oderwał oczy od kolejnej wyludnionej planety pełnej ruin, o zrytej kraterami powierzchni.

- Wojna, panie Briggs - odparł Cole, którego nuda w końcu zagnęła na mostek. - Teroni nie zostawili tutaj żadnych przyczółków, bo nie ma tu nic, o co chcieliby walczyć po tym, jak flota Republiki się wycofała. A ta z kolei nie wróciła, bo nie ma tu nic, co by przyciągało uwagę Teroni. Jedynymi przegranymi pozostali dawni mieszkańcy tych planet.

- Może znowu je kiedyś zasiedlą - zasugerowała Rachel Marcos.

Cole pokręcił głową.

- Nie zostało tu nic, a jeśli ktoś kiedyś odbuduje tutejsze miasta, istnieje spora szansa na to, że Teroni wrócą i ponownie je zniszczą. Nie czarujmy się, nawet flota uważa ten sektor za zbyt mało ważny, żeby go zabezpieczać zbrojnie.

- Przecież to nie ma sensu - stwierdziła.

Spojrzał na jej młodzieńczą, gładką twarz. *Jakim cudem po tylu latach służby zachowałeś w sobie tyle niewinności i brak cynizmu?* - pomyślał. Nagle zdał sobie sprawę, że jej zazdrości.

Potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć jakiejś natrętniej myśli, potem podszedł do grodzi, na której, wysoko, wisiał kokon Wxakgini. Bdxeni, istoty, których mózgi można było łą-

czyć z komputerami, a bezwładne ciała żyły dzięki podawanym dożylnie odżywkom, byli ewenementem na skalę galaktyki. Ta rasa jako jedyna nigdy nie spała, dzięki czemu nadawała się idealnie na pilotów okrętów przestrzennych. Cole nie spotkał jednak do tej pory takiego, którego imię potrafiłby prawidłowo wymówić.

- Jak nam idzie, pilocie? - zapytał.

- Nie rozumiem pytania - odparł Wxakgini, po raz kolejny pomijając zwyczajowe „sir” w geście protestu wobec formy, w jakiej zwraca się do niego przełożony.

- Tak tylko zagajalem.

- Lecę przypadkowym kursem, nie mając celu, zgodnie z pańskimi rozkazami.

Cole przyglądał się przez chwilę Bdxeni, rozmyślając o tym, czy komukolwiek udało się kiedyś porozmawiać na luzie z przedstawicielami tej rasy, i uznał, że nie ma co na to liczyć. Wxakgini był jak komputer, potrafił milczeć całymi dniami.

Nagle tuż przed kapitanem pojawił się hologram platynowego Księcia.

- Dokonałem tego! - zawołał rozradowany.

- Czego? - zdziwił się Cole.

- Dowaliłem temu draniowi w wista!

- Grał pan w wista?

- Musiałem - wyznał Książę. - Dziad jeden ograł mnie do czysta w blackjacka.

- Tak to już jest, jak się chce uprawiać hazard w towarzystwie brytyjskiego gentlemana.

- Sir? - zagadnęła Rachel Marcos, gdy Książę się rozłączył.

- Tak?

- Nadeszła wiadomość od pana Moyera.

- Odpowiednio zakodowana i zaszyfrowana, mam nadzieję?

- Tak jest. Zgłasza kolejne zestrzelenia. To już jego piąte.

- I dobrze.

- Nie wygląda pan na zachwyconego - zauważyła.

- Zniszczył pięć jednostek wroga, to robi wrażenie - stwierdził Cole, ale jego twarz natychmiast spochmurniała. - Tyle tylko, że zostało ich jeszcze trzy i pół miliona. A ta liczba robi znacznie większe wrażenie.

Rachel przyglądała się przez chwilę ekranowi komputera.

- Moyer prosi o rozmowę z panem, sir.

- System przetłumaczy jego słowa na terrański, a nasze odpowiedzi będą automatycznie kodowane?

- Tak jest.

- W takim razie dawaj go.

- Będzie tylko sygnał audio. Transmisja holo na taką odległość zabrałaby zbyt wiele czasu.

- Obojętne.

- Sir - usłyszeli głos Moyera. - Potrzebuję rady. Mam jeńca, kogoś z załogi ostatnio zniszczonego okrętu. Nie mogłem pozwolić, by umarł z głodu i wycieńczenia w uszkodzonej kapsule ratunkowej. Co mam z nim zrobić?

- Wysadźcie go na którejś z odległych planet tlenowych - odparł Cole. - Tylko nie na terytorium Republiki, bo możecie z niej nigdy nie odlecieć. Jeśli znajdziecie na pograniczu jakąś niewielką kolonię albo planetę rolniczą, wysadźcie go tam.

Chwilę trwało, zanim wiadomość dotarła do Moyera i nadeszła kolejna odpowiedź.

- Nasze mapy są zbyt przestarzałe, sir. Te kolonie, które na nich zaznaczono, mogły już zostać włączone w skład Repu-

bliki. Myślę, że bezpieczniej będzie wysadzić go na jakiejś bezludnej planecie i przekazać władzom sektora jej koordynaty, ale nie prędzej niż za jakiś tydzień. Nic mu nie dolega, jest w dobrym stanie fizycznym, więc tydzień jakoś wytrzyma, a my w tym czasie odlecimy na wystarczającą odległość.

- To brzmi rozsądnie - przyznał Cole. - Dobrze, możecie tak zrobić.

Machnął ręką do Rachel, aby przerwała połączenie.

- Nadal nie wygląda pan na zadowolonego, sir - zauważyła.

- Nie możemy pozwolić na to, by wszystkie nasze okręty latały bez celu i wyłuskiwały każdą przypadkiem napotkaną, samotnie lecącą jednostkę wroga - wyjaśnił Wilson. - To nie jest nękanie lokalnego watażki, którego dwadzieścia statków terroryzuje kawałek pogranicza. To cholerna Republika. Ona nawet nie zauważa naszej obecności.

- Komandor Jacovic twierdzi, że ma pan genialny plan, którego realizacja powiązana jest w jakiś sposób z wykorzystaniem okrętu wyposażanego przez pana Lafferty'ego.

- Ale kupienie albo wykradzenie wszystkiego, czego będzie potrzebował Lafferty, może potrwać miesiące, jeśli nie lata - odparł Cole. - Może nawet zostać schwytany podczas tej roboty. Jeśli mu się uda, będzie cudownie, ale nie możemy siedzieć bezczynnie i czekać na ten moment. - Rozejrzyał się. - A tak na marginesie. Gdzie jest oficer dyżurny?

- Już jestem - odezwała się Wal, wyskakując z szybu windy z piwem w dłoni. - Zakończyłeś skanowanie, Briggs?

- Tak jest. To tylko deszcz meteoratów.

- I dobrze - uznała. - Ostrożności nigdy za wiele. Za cza-

sów piratowania wielokrotnie wykorzystywałam takie deszcze jako osłonę.

- To musiało być cholernie niebezpieczne - stwierdził Malcolm.

- Ale piekielnie skuteczne - odparła Wal z szerokim uśmiechem.

- Mogła pani stracić okręt - ciągnął Briggs. - Wystarczyłoby jedno trafienie i po zabawie.

- Czasami trzeba ryzykować - stwierdziła lekceważącym tonem Wal.

- Co racja, to racja - przyznał Cole. - Czasami trzeba.

Wal, Briggs i Rachel spojrzeli na niego jednocześnie.

- Co pan miał na myśli, sir? - zapytała rudowłosa.

- Dla Republiki nie jesteśmy nawet brzęczeniem komara - wyjaśnił Wilson. - Nie odpowiadają na nasze ataki, ponieważ nie wiedzą nawet o naszym pobycie tutaj. Możemy niszczyć po dziesięć okrętów dziennie, a w bilansie tygodnia oni będą ich mieli więcej, ponieważ ciągle budują nowe. Musimy zacząć bardziej ryzykowne działania, aby zdali sobie sprawę z naszej obecności.

- Czy to nie oznacza przypadkiem, że rzucą w pościg za nami przeważające siły? - zapytała zaniepokojona Rachel.

- Nie będą wiedzieli, gdzie je mają posłać - odparł Cole. - Poza tym prowadzą wojnę na wyczerpanie z Federacją Teroni. Nie będą wysyłali żadnych znaczących sił na takie zadupia.

- Osiemset okrętów w skali Republiki nie wydaje się znaczące - zauważył Briggs - ale nie przetrwalibyśmy starcia z nimi, sir.

- Nasza robota nie polega na prowadzeniu beznadziejnych bitew - poinformował go kapitan. - Musimy mobilizować

ich siły i mylić tropy.

- Nie rozumiem - powiedziała Rachel.

- Ja też nie - przyznała Wal z uśmiechem. - Ale i tak mi się podoba.

Cole spojrział na nią.

- Możesz wymienić mi dwóch najlepszych pilotów, jakich mamy?

- Ja i ktoś jeszcze - odparła bez zastanowienia.

- Pytam poważnie.

- A ja odpowiadam poważnie.

- Do cholery, Wal!

- Już dobrze. Oprócz siebie wymieniałabym Sokołowa i Moyera.

- Trafny wybór.

Na chwilę zapadła cisza.

- A co, wygraliśmy już tę wojnę? - zapytała rudowłosa, nie kryjąc ironii.

- Panie Briggs, czy istnieje sposób na to, by zakodowana wiadomość dotarła niezauważalnie do jednostek, których komputery zostały zaprogramowane przez Christine?

- Oczywiście, sir.

- Jeszcze nie skończyłem. Możemy przesłać ten sygnał także na przejęte okręty?

- Tak.

- Nadal nie skończyłem. Z tego, co wiem, część z nich nie ma jeszcze przerobionych komputerów, więc sygnał musiałby zostać nagrany na sześcian i dostarczony im fizycznie.

- Można i tak - stwierdził Briggs - ale nie widzę sensu...

- I jeszcze ostatnie pytanie - przerwał mu Cole. - Czy taki sygnał będzie można potem odkodować, odszyfrować i prze-

śłać dalej, w wybrane miejsce, już otwartą drogą?

- Cóż, to może się udać, jeśli prześlemy wcześniej oprogramowanie, dzięki któremu to będzie możliwe.

- Czy to trudne zadanie?

Briggs pokręcił głową.

- Najtrudniejsze było zakodowanie sygnału tak, by nikt go nie mógł odczytać, ale to mamy już za sobą.

- Jeśli więc przerobimy komputery przejętych jednostek, możemy decydować nie tylko, gdzie wysyłać sygnały, ale i kiedy to robić.

- Z tym nie będzie najmniejszego problemu.

- Dziękuję, panie Briggs. - Cole spojrzał na Rachel. - Chcę przesłać zakodowaną wiadomość do panów Sokołowa i Moyera. I nie obchodzi mnie, czy będą mnie widzieć, czy tylko słyszeć.

- Gotowe - odparła zaraz chorąży Marcos, koncentrując się całkowicie na konsoli komputera.

- Panowie, mówi Wilson Cole. Chciałbym przekazać wam gratulacje w związku z ostatnimi zestrzeleniami. Ale mam też dla was znacznie trudniejsze zadanie do wykonania. Musicie przejąć bądź uszkodzić niewielkie jednostki Republiki, najlepiej klasy H, a już na pewno nie większe niż J. Wysadźcie wszystkich wziętych do niewoli członków załogi na bezludne, powtarzam, bezludne planety tlenowe. Nie chcę, aby trafili w miejsca, z których mogliby skontaktować się z władzami albo sympatykami Republiki. Zostawcie im całe zapasy jedzenia i medykamentów, jakie znajdziecie na ich jednostkach. Możecie też zostawić im broń, po prostu wyrzucie ją z odlatujących wahadłowców... - Zamilkł, odchrząknął i podjął przemowę: - Za kilka minut otrzymacie kolejny przekaz, nagranie holograficzne. Pan Briggs wyjaśni wam dokładnie, co macie z nim dalej zrobić. Kiedy wy-

konacie jego polecenia, macie natychmiast spieprzać z sektorów, w których się znajdujecie. Jeśli nie zrozumiecie czegoś, kontaktujcie się z porucznikami Mboją albo Briggsem. - Spojrzał na Rachel, skinął głową, a ona na ten znak wysłała wiadomość.

- Dobrze. A teraz przekaz, o którym rozmawiałem z panem Briggsem. Ten musi być holo, nie tylko audio.

- Tak jest - odparła chorąży Marcos. - Może pan zaczynać w każdej chwili.

- Już - zdecydował Cole.

- Start.

- Mówi Wilson Cole, prosto z mostka „Teodora Roosevelta”. Jeśli ktokolwiek ma wątpliwości co do mojej tożsamości, może sobie porównać wzorzec głosu... - Zamilkł na chwilę, aby odbiorcy wiadomości mogli to zrobić. - Cztery lata temu uwięziliście mnie tylko za to, że ocaliłem pięć milionów istnień. To nas poróżniło i sprawiło, że ostatnie lata zmuszony byłem spędzić na Wewnętrznej Granicy, tam, gdzie nie sięga wasza jurysdykcja. Ale eskalacja waszych działań przeciw mnie doprowadziła do tego, że dzisiaj w sprawę zamieszane są całe miliardy ludzi i kosmitów. Popełniliście zbrodnię ludobójstwa, stosowaliście tortury, okazaliście się całkowicie niewarci zaufania, jakie pokładali w was obywatele Republiki. Daję wam standardową dobę na złożenie dymisji z zajmowanych stanowisk. Jeśli tego nie uczynicie, zostaniecie z nich usunięci siłą. To nie jest groźba bez pokrycia, a ja nie żartuję. Jeśli nie złożycie rezygnacji do jutra, zrobi się nieciekawie. Tyle że tym razem to nie ja będę musiał uciekać, ale wy. - Skinął głową Rachel, by zakodowała wiadomość, potem przeniósł wzrok na Briggsa.

- Prześle pan to Sokołowowi i Moyerowi - powiedział. -

Natychmiast po zdobyciu albo uszkodzeniu okrętu wroga, załadują do jego komputerów komunikacyjnych tę wiadomość i roześlą do wskazanych przeze mnie adresatów, ale jednocześnie, nie osobno. Mają to zrobić jednocześnie w odstępie nie większym niż minutowy, z dwóch odległych od siebie sektorów.

- To akurat nie powinno stanowić problemu.

- Świetnie. I chociaż obaj znajdują się na pokładach jednostek cywilnych, niech jak najszybciej spieszą z miejsca akcji. W chwili, gdy rozpocznie się nadawanie, mają być w odległości przynajmniej pięćdziesięciu lat świetlnych. Jeśli nie będą potrafili znaleźć odpowiednich tuneli czasoprzestrzennych, niech kontaktują się z naszym pilotem. On siedzi za sterami na okrągło i zna chyba każdą cholerną studnię grawitacyjną w naszej galaktyce. W każdym razie sprawia takie wrażenie.

- Przekażę im wszystko, sir - zapewnił go Briggs. - Nie powiedział pan tylko, do kogo ma trafić ta wiadomość.

- Moyer wyśle ją na „Kserksesa”, na okręt flagowy admirała Susan Garcii.

- Nie będę daleki od prawdy, jeśli powiem, że wcześniej zostanie ona przechwycona przez trzy albo i cztery dziesiątki innych okrętów. Może minąć sporo czasu, zanim przejdzie odpowiednie procedury i trafi na biurko admirała.

- Nie sądzę, by trwało to dłużej niż dwadzieścia sekund, jeśli sprawdzą wzorzec mojego głosu - zapewnił go Cole.

- A co z wiadomością przesłaną panu Sokołowowi?

- Jeszcze się pan nie domyślił? Prosto na Delurosa VIII, do rąk własnych Egana Wilkiego, sekretarza Republiki.

- Chcesz im wysłać holo z pogróżkami - powiedziała Wal.

- Po co? Żeby poumierali ze śmiechu?

- Zapewniam cię, że podejną do tego poważnie - odparł Cole. - Najpierw odszukają źródła sygnału, które, mam nadzieję, będzie dzieliło od siebie kilkanaście tysięcy lat świetlnych, i rozpieprzą je w drzazgi. W tym samym momencie zrozumieją, że nie działam już w pojedynkę. I zaczną sprawdzać, ile okrętów zaginęło albo nie zgłosiło się na czas do macierzystych jednostek. Pewnie część z nich została zniszczona w zasadzkach urządzanych przez Teroni albo miała najzwyklejsze w świecie awarie, ale i tak zapiszą je wszystkie na nasze konto. Wybuchnie jakaś elektrownia, ktoś dokona sabotażu w stoczni, bez względu na to, czy zrobimy to my, czy ktokolwiek inny, wszystko to będzie nam doliczone do rachunku. Będą musieli rozproszyć swoje siły na ogromnej przestrzeni, zupełnie odwrotnie, jak w przypadku walki z Teroni. My będziemy uderzali i znikali, oni za każdym razem zostaną zmuszeni do reakcji. Prędzej czy później znajdziemy rysy w ich pancerzu.

- Mocno nieciekawym sposobem prowadzenia wojny - mruknęła z rozbawieniem Wal.

- Wiem, że srodze cię zawiedzie - przyznał Cole - ale ja nie zamierzam wdawać się z nimi w otwartą wojnę. - Spojrzała na niego z zaciekawieniem. - Ja chcę jedynie wygrać i będę naprawdę szczęśliwy, jeśli uda mi się tego dokonać bez jednego wystrzału.

- Tego roku obrodziło mocno dziwnymi bohaterami - stwierdziła Wal.

- Bohaterowie walczą dzielnie i umierają młodo - odparł Cole. - Ja jestem tylko facetem, który gra takimi kartami, jakie mu rozdano.

- A może Garcia i Wilkie rozumieją aluzję i ustąpią ze stanowisk - wtrącił głos Sharon Blacksmith.

- Tak - mruknęła Wal. - Już prędeż wszystkie gwiazdy w galaktyce wstrzymają swój bieg, a ja ulegnę Dawidowi Copperfieldowi.

- Gdybym był bukmacherem - powiedział Wilson - postawiłbym sześć do pięciu na taką możliwość.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wiadomość Cole'a zadziałała natychmiast, ale w bardzo szkodliwy sposób. Może nie dla „Teddy'ego R”, który w tym momencie znajdował się jedną trzecią galaktyki od Delurosa VIII, lecz dla każdej innej jednostki nieposiadającej znaków rejestracyjnych Republiki.

Konwój jedenastu frachtowców przewożących urobek z górniczych planet Wewnętrznej Granicy do stoczni na Spicy II nie zdążył wystarczająco szybko podać danych identyfikacyjnych i został zlikwidowany.

Dwaj mężczyźni, jeden zapity w trupa, a drugi naćpany jak piec, wdali się w bójkę na Bishawnie IV. Wyciągnięto broń, padł pojedynczy strzał ze stukacza, na ślepo. Pech chciał, że trafił jednego z przechodniów. Barman wysłał sygnał alarmowy mówiący o tym, że rozpoczęła się strzelanina, a znajdujący się na orbicie okręt floty zareagował natychmiast. Sekundę później lokal oraz siedemdziesiąt jeden znajdujących się w nim osób wyparowało.

Każda jednostka poruszająca się w przestrzeni, bez względu na powód i cel podróży, była dokładnie przeszukiwana, wypuszczana, następnie trafiała do ponownej kontroli w każdym kolejnym systemie gwiazdnym. Każdy, kto nie udzielił wyjaśnień satysfakcjonujących flotę albo nie zrobił tego wystarczająco szybko czy konkretnie, był zamykany na cztery spusty bez możliwości odwołania.

Loyalne względem Republiki planety zamieszkałe przez

obce rasy stały się z dnia na dzień miejscami wysoce podejrzanymi i wymagającymi ścisłej obserwacji. Przerażeni ambasadorowie - wiadomość Cole'a wyciekła niespełna godzinę po jej nadaniu - nalegali na przyznanie im prawa do zbrojnej eskorty składającej się z okrętów floty. Cywilne jednostki, sądząc, że lecące za nimi inne statki są w zмовie z Cole'em, bez ostrzeżenia otwierały do nich ogień.

- Powinienem być już dawno wpaść na ten pomysł - stwierdził Wilson po przeczytaniu najnowszych raportów.

Siedział przy stoliku w mesie w towarzystwie Sharon, Dawida Copperfielda i Platynowego Księcia.

- Wiecie, że możemy wygrać tę wojnę, nie oddając ani jednego strzału? - zapytał kosmita.

- To najlepszy sposób wygrywania wojen - odparł Cole.

- Słyszałem, że wezwano Siedemnastą Flotę, aby wzmocnić obronę Delurosa - dorzucił Księżę i zachichotał. - Przed nami.

- Wszystko idzie jak z płatka - stwierdziła Sharon - ale lada moment zorientują się, że nie atakujemy ich ani tam, ani nigdzie indziej.

- Ależ wręcz przeciwnie - zaprotestował Wilson. - I uwierz mi, oni to udowodnią. Przecież zdołali zniszczyć już dwieście naszych okrętów i zdiesiątkowali populacje pięciu planet, na których mieliśmy kryjówki.

Sharon pokręciła głową ze zdziwienia.

- Kto im takich kitów nawciszał? - wymamrotała całkiem zadowolonym tonem.

- Mój przyjaciel Steerforth - odpowiedział jej Dawid z nieukrywaną dumą. - Tylko prawdziwy angielski gentleman może być tak subtelny i przenikliwy.

- Daj spokój - poprosił go Cole. - Ja nawet nie byłem na Ziemi.

- Przestańże mi w końcu zaprzeczać! - zażądał poirytowany kosmita. - Co do tego, że jesteś Brytyjczykiem, nie ma dwóch zdań. Gdybyś nim nie był, nie wpadłbyś na tak doskonały pomysł.

- Dlaczego pan się po prostu nie zgodzi na tę sugestię - zaproponował Książę. - Radziłbym, jeśli mamy mieć szansę na omówienie czegokolwiek w ciągu następnych kilku tygodni.

Nad stolikiem pojawił się hologram Jacovica.

- To oficjalna wiadomość, sir. Siedemnasta Flota została przeniesiona. Słyszałem też pogłoski, że Czwarta ma wzmocnić obronę wewnątrzsystemową.

Cole zmarszczył brwi.

- Przecież to nie ma sensu - mruknął Cole. - Jeśli wycofają Czwartą Flotę, zostawią sektor Mathesona na łasce Teroni.

- Widocznie pana obawiają się bardziej - zasugerował komandor.

- Nie mogą być aż tak niekompetentni - stwierdził Wilson. - A my mieć tak wielkiego szczęścia... - Zamilkł, aby przeanalizować dokładniej aktualną sytuację. - Przez ostatnie piętnaście lat pakowali w ten rejon wszystko, okręty, ludzi, pieniądze. A teraz odejdą z niego ot tak, po prostu, bo zagraża im jeden zbuntowany stateczek?

- Oni nie mają bladego pojęcia, iloma jednostkami dysponujesz - wtrąciła Sharon. - Wiedzą jedynie, że miesiąc temu wysłali trzysta okrętów na Stację Singapur i nie wrócił ani jeden... - Przerwała na chwilę. - Nie mają więc pojęcia, że mało brakowało, by zwyciężyli, a my w walce straciliśmy prawie dwa tysiące jednostek.

Hologram Jacovica zbladł i zniknął.

- Teraz pan zobaczy - zapewnił Cole'a Książę. - Potęgi strachu nie należy przeceniać.

- Znam admirała Garcję - odparł Wilson. - Jeśli w tej galaktyce istnieje coś, czego ona się boi, to ani pan, ani ja nigdy się o tym nie dowiemy.

- Zatem proszę powiedzieć, dlaczego Republika zareagowała tak nerwowo?

- Nie znam za to Egana Wilkiego - dodał Cole - a to pewnie były jego rozkazy, nie Garcii.

- Wiesz - wtrąciła Sharon - być może twoja akcja zmusi go w końcu do podpisania traktatu z Federacją Teroni. Jeśli będzie miał do wyboru walkę z nimi albo z wewnętrznym wrogiem, sądzę, że wybierze tę drugą możliwość.

- Nic takiego nie będzie miało miejsca - zapewnił ją kapitan.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Po pierwsze, ten stan nie potrwa za długo. W końcu się zorientują, że nie oddaliśmy do tej pory ani jednego strzału. A po drugie, Teroni nie są głupcami. Jeśli zbyt chętnie zgodzimy się na wiele z ich warunków, domyślą się, że robimy to, ponieważ stoimy na straconej pozycji. Ten konflikt trwa już ćwierć stulecia, dlaczego więc nie zaryzykować jeszcze jednego roku, żeby całkowicie zdołać wroga?

- W takim razie po co to wszystko? - zapytał Dawid Copperfield. - Jeśli ten stan ma potrwać dzień, tydzień, miesiąc albo nawet trzy, nie zdołamy zadać im zbyt wielkich strat. Na razie zdołaliśmy ich jedynie powiadomić o tym, że „Teodor Roosevelt” znajduje się na terytorium Republiki.

- Oni nawet tego nie wiedzą - odparł Cole. - Jedyne, co

mogli ustalić ponad wszelką wątpliwość, to fakt, że nie było mnie na Stacji Singapur, kiedy przyleciało tam ich osiemset okrętów.

- W takim razie pozwól, że powtórzę pytanie: po co robimy tak potworne zamieszanie?

- Wcale nie takie potworne. Wysłałem raptem jedną wiadomość do dwóch odbiorców, to chyba niezbyt wielkie zamieszanie.

- Niech cię licho, Steerforth! Znowu igrasz ze mną!

- Zaczynaj myśleć, Dawidzie - poprosił Cole.

Mały kosmita nachmurzył się.

- Przecież myślę - powiedział. - Ale nic mi do głowy nie przychodzi.

- Domak! - zawołał Wilson.

- Tak, sir? - Nad stolikiem pojawił się hologram Polonoj.

- Czy mamy najnowsze raporty o stratach?

- Ostatnio nasz okręt nie został uszkodzony, sir.

- Chodzi mi o doniesienia z sektora McAllistera.

- Tak jest. Mam go przed sobą.

- Proszę przesać mi go na holo.

Nad stolikiem zamiast twarzy Domak pojawiła się trójwymiarowa mapa, a pod nią długie kolumny z danymi. Cole studiował je przez kilka chwil, znalazł to, czego szukał, i usiadł wygodniej.

- Dzięki, Domak - powiedział.

- Czy to już wszystko, sir?

- Tak. Proszę przekazać Jacovicowi, że lecimy na Nowego Lenina, i pilotowi, żeby obrał nowy kurs na tę planetę. Tylko proszę zastrzec, że nie możemy się tam pojawić wcześniej niż za trzy dni. Lepiej, żebyśmy nie trafili na oprawców z floty.

- Już się do tego biorę, sir - odparła Polonoi i zakończyła połączenie.

- O co wam chodziło? - zdziwił się Dawid.

- Nowy Lenin jest bankową i handlową stolicą sektora McAllistera - wyjaśnił Cole. - A przynajmniej był nią jeszcze dwa dni temu.

- Co tam się wydarzyło?

- Flota uznała, że mamy tam tajną bazę - ciągnął Wilson.

- W rezultacie zginęło około sześćdziesięciu trzech tysięcy ludzi, większość dużych budynków w Gromyko, czyli stolicy, zostało zniszczonych, ale z tego, co wiemy, „Teddy R.” wyszedł z bombardowania bez jednej rysy.

- To tragedia, nie ma dwóch zdań - przyznał Dawid, ale raczej bez większych emocji. - Nie bardzo jednak rozumiem, jaki związek ma z tym, o czym rozmawialiście przed chwilą?

- Mój drogi - odparł Wilson - jeśli chcemy pokonać Republikę, nie możemy jej zaatakować ośmiuset okrętami i załogami w sile czterech tysięcy ludzi.

- Nadal nic nie rozumiem.

- Na Nowym Leninie mieszkały trzy miliony ludzi - kontynuował Cole. - A ich świat został zaatakowany przez Republikę bez uzasadnienia... - Zamilkł i spojrzał kosmicznie głęboko w oczy. - Gdzie szukałbyś kilku tysięcy nowych rekrutów i paru setek jednostek, jeśli nie na takiej planecie?

- Rozumiem! - wrzasnął zadziwiony Dawid.

- I dlatego lecimy tam teraz. Za każdym razem, gdy Republika atakuje jakiś świat, pojawia się na nim, zbierając ochotników do naszej sprawy.

- Za coś takiego nawet stary pan Creakle byłby z ciebie dumny - stwierdził Copperfield.

- Kim, u licha, jest pan Creakle?
- Naszym wychowawcą - wyjaśnił tonem napomnienia kosmita. - Jak mogłeś zapomnieć jego nazwisko?
- Sam nie wiem, gdzie mam dzisiaj głowę - stwierdził Cole, widząc, że do mesy wchodzi Wal. - Chyba pomyliłem go z Barkisem.
- Ach! - ucieszył się Dawid. - Barkis też jest niczego sobie.
- To świetnie - wtrąciła rudowłosa. - W takim razie zaciągnijmy tego suchego syna.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W czasie przelotu na Nowego Lenina Cole zlecił Christine zlokalizowanie wszystkich kolonii obcych ras leżących w pobliżu ich trasy. Wysłał „Quentina” z Braxytą na pokładzie, by znalazł chętnych do wojaczki w kolonii na Kiplingu V. Domak udała się „Alice” na Bednari III, gdzie osiedlili się Polonoi.

- Zostały nam jeszcze dwa wahadłowce - zauważyła Sharon. - Kogo chcesz wysłać następnym?

- Został nam tylko jeden - odparł Cole. Siedzieli razem w jego gabinecie. Blacksmith nie spuszczała go z oka. - „Teddy R.” nie może lądować, więc będziemy potrzebowali „Kermita” na Nowym Leninie... - Przerwał na moment. - Chyba dam „Archiego” Jabolowi.

- On nazywa się Jaxtaboxl.

- Ale nie ma mi za złe, że przekręcam jego nazwisko - zauważył Wilson. - Więc nie widzę powodu, by innym to przeszkadzało. Tak czy inaczej, na Winschlaagerze VI jest całkiem spora kolonia Mollutei.

- A co z Dawidem?

- Jest jedynym przedstawicielem swojej rasy, jakiego w życiu widziałem. Na dodatek utrzymuje, że pochodzi z dziewiętnastowiecznego Londynu. Jeśli jego pobratymcy przypominają go choć trochę, nie chciałabyś ich chyba mieć po naszej stronie konfliktu?

Roześmiała się.

- Masz rację. - I zaraz dodała: - Kogo wyślesz na po-

wierzchnię Nowego Lenina?

Za odpowiedź musiało jej wystarczyć przeciągłe spojrzenie.

- Nie! - oświadczyła zdecydowanym tonem. - Do cholery, kapitan nie opuszcza pokładu na terytorium wroga!

- Od kilku dni to terytorium nie jest już nam wrogiem - uspokajał ją Cole. - To nie my zdziesiątkowaliśmy tamtejszą ludność.

- Ale nadal stanowi część Republiki. A ty jesteś najbardziej poszukiwanym przestępcą.

- Lecimy tam przede wszystkim dlatego, że uważamy, iż ci ludzie nie czują się już obywatelami Republiki. - Wilson nie dawał za wygraną. - Chcę, aby mnie zobaczyli, usłyszeli, przepytali i mogli się przekonać na własne oczy, że wbrew temu, co marynarka Republiki rozpowiada od kilku lat, nie jestem wcielonym antychrystem.

- A co powiesz na przekonanie mnie i stosowanie się do regulaminu? - dopytywała się Sharon.

- Jakiego regulaminu? - wypalił w odpowiedzi. - Floty, z którą aktualnie walczymy? Nie należymy do niej już od kilku ładnych lat.

- Daj spokój, Wilsonie!

- Gwarantuję ci, że wrócę cały i zdrowy.

- A ile warte jest twoje słowo? - zapytała z rozgoryczeniem.

- Nie moje - poprawił ją - tylko Wal. - Spojrzała na niego ze zdziwieniem. - Zabieram ją jako mojego ochroniarza. Teraz czujesz się lepiej?

- Dobrze, ona obroni cię przed tymi ludźmi - zgodziła się Sharon. - Ale kto będzie ich chronił przed nią?

- Nie zrobi niczego głupiego - zapewnił Cole. - Już nieraz widziałem ją w tej roli.

- Ale wyślesz kogoś przodem, aby upewnić się, że nie zastrzelą cię, zanim zdążysz otworzyć usta?

- Oczywiście.

- Obiecujesz? - zapytała podejrzliwie.

- Wbrew opinii mojej szefowej bezpieczeństwa nie posiadamy skłonności samobójczych.

- Może i nie posiadasz, ale na pewno wydaje ci się, że możesz zginąć wyłącznie od srebrnej kuli. Na razie miałeś pod tym względem o wiele więcej szczęścia, niż zasługujesz.

- To też pomagało - przyznał Wilson.

- Sir? - usłyszeli głos zniecierpliwionej Christine, gdy w gabinecie pojawił się jej hologram.

- O co chodzi?

- Pojedynczy okręt wojenny klasy H zbliża się do nas z wywieszoną białą flagą.

- Ile osób liczy załoga takiej jednostki?

- Dziewięć, sir.

- Jest zaminowany?

- Nie, sir. Chyba niedokładnie się wyraziłam. Pan Briggs przeskanował wszystko dokładnie. Na pokładzie jest tylko dwóch członków załogi. To Lodinicy, nie ludzie. Nie mają żadnych ładunków wybuchowych.

- Wyśtali jakiś sygnał?

- Na razie nie, sir - odparła. - Chwileczkę. Coś właśnie odbieramy. Chcą z panem rozmawiać.

- Na odległość czy twarzą w twarz? - zapytał Cole.

- Jest im to obojętne.

- W takim razie porozmawiamy zdalnie. Przełącz ich do

mojego gabinetu.

Nad biurkiem natychmiast pojawiły się oblicza dwóch fu-trzastych Lodinitów.

- Które z was nazywa się kapitan Cole?

Wilson chciał zażartować, że paskudniejsze, ale w porę zreflektował się, iż każda rasa ma swoje standardy piękna i gdyby te istoty natychmiast zwróciły się do Sharon, on mógłby pośmiać się z nich przez chwilę, ale odpokutowałby to później srodze, spędzając kilka kolejnych nocy w samotności.

- Czym mogę służyć?

- Przybywamy pod sztandarami pokoju - obwieścił pierwszy z Lodinitów.

- Wiem - odparł Cole. - Dlatego udało wam się podlecieć tak blisko.

- Jesteśmy marynarzami floty.

- To też już wiem.

- We flocie służy ponad milion Lodinitów. Walczyliśmy u boku ludzi podczas wojny z Settami, w bitwie obok gromady Brazi, od dwudziestu dziewięciu lat trzymamy też waszą stronę w konflikcie z Teroni.

- Dlaczego zatem przybywacie z białą flagą do najbardziej poszukiwanego kryminalisty w Republice? - zapytał Cole, mając nadzieję, że tym razem uzyska konkretną odpowiedź.

- Ucieszyliśmy się, że widzimy „Teodora Roosevelta”. Właśnie zamierzaliśmy lecieć na terytorium Wewnętrznej Granicy.

- Po co?

- Republika ogłosiła stan wojenny na Lodinie XI! - wycharczała istota, która do tej pory milczała. - Byliśmy jej najwierniejszymi sojusznikami, a ona tak nam odpłaciła tylko dlatego, że

nasi przywódcy ośmielili się skrytykować nadpobudliwą reakcję sekretarza Wilkiego po pańskiej groźbie.

- Chcemy się do pana przyłączyć! - zagrział pierwszy Lodinita.

- To akurat da się zrobić - rzekł Cole. - Ale po spełnieniu kilku warunków.

- Jakich warunków? Na co mamy przysięgać?

- Nie przyjmuję żadnych przysięg ani obietnic. Chcę, aby jeden z was przyleciał na pokład „Teddy’ego R.”...

- Te... co? - przerwał mu jeden z Lodinitów.

- „Teodora Roosevelta” - wyjaśnił Wilson. - Jeden z was przyleci do nas, a ja w zamian wyślę na wasz pokład któregoś z moich ludzi.

- Mogę zapytać dlaczego?

- Ten człowiek zna nasze kody, wprowadzi je do waszego komputera pokładowego, wyciągnie też z niego takie cuda, o jakich wam się nawet nie śniło. A ten z was, który trafi do nas, pozna metody działania i zasady obowiązujące w naszej flocie. Przenosiny będą tymczasowe, za kilka dni znowu będziecie razem, ale najprawdopodobniej na innym okręcie.

- Dlaczego nie na tym?

- Bo to jednostka floty. Dam ją jednemu z moich najlepszych pilotów. Jeśli uda mu się namierzyć i zniszczyć kilka okrętów klasy H albo J i pozwoli ich załogom na identyfikację, admiralicja zacznie się mocno zastanawiać, czy przypadkiem nie mamy więcej dezertersów w naszych szeregach. Zaczną bać się własnego cienia i strzelać do siebie wzajemnie, tak jak poprzednio niszczyli planety, na których nigdy wcześniej nie byłem. Przyjmijcie te warunki albo wycofajcie się poza zasięg skutecznego rażenia naszej broni, zanim upłynie czas tego rozejmu.

- A pozwolicie nam na wstąpienie do załogi „Teodora Roosevelta”?

- Tak, jeśli taka będzie wasza wola.

- Zatem zgoda, akceptujemy pańskie warunki.

- Dobrze. Za chwilę jeden z moich ludzi wsiądzie na wahadłowiec, ta sama maszyna przywiezie któregoś z was w drodze powrotnej.

Cole przerwał połączenie i skontaktował się z Christine.

- Słucham, sir?

- Poradzisz sobie bez Briggsa przez kilka dni?

- Myślę, że tak, sir - odparła. - Ale będziemy musieli w takim razie zmienić grafik służby porucznik Domak, żeby nasze wachty nie wypadły w tym samym czasie.

- Oddzielne dyżury. Tak, to ma sens - skinął głową. - Przełącz mnie, proszę, na interkom.

- Zrobione.

- Panie Briggs - jego głos odbił się echem od pustych korytarzy „Teodora Roosevelta” - proszę spakować rzeczy na kilka dni i zgłosić się przy wahadłowcach.

Odczekał moment, potem zlecił Idenie Mueller pilotowanie „Kermita” na okręt Lodinitów, dopilnowanie wymiany i szybki powrót na „Teddy’ego R.”.

- Da mi pan kilka minut, sir? - zapytała zasnym głosem. - Dopiero się obudziłam.

- Przepraszam - odparł Cole. - Oczywiście, proszę się nie spieszyć. Republika czekała na ten moment od kilku tysięcy lat, kolejny kwadrans nie zrobi jej różnicy.

Wymiany dokonano około pół godziny później. Wtedy Wilson poprosił Luthora Chadwicka, aktualnego zastępcę Sharon Blacksmith, o odszukanie Wal. Okazało się, że trenowała na

siłowni z Bykiem Pampasem. Cole musiał więc poczekać kolejne trzydzieści minut, aż skończą, wezmą prysznic i założą mundury. Dopiero wtedy poprosił rudowłosą o przyjsie do gabinetu.

- Napiałabym się piwka - oświadczyła. - Dźwiganie ciężarów wzmacnia pragnienie. Dlaczego nie pogadamy w mesie albo tej przerośniętej szafie, którą nie wiadomo czemu nazywa się salonikiem oficerskim?

- Może być mesa - zgodził się kapitan. - Za pięć minut?

- Czyli gdzieś po trzecim piwku.

Pokręcił głową z podziwem.

- Nie rozumiem, jakim cudem zachowujesz taką sylwetkę, skoro chlejesz jak szewc.

- Kwestia dobrych genów - odparła, uśmiechając się szeroko. - A mój trening zabiłby ciebie i chyba każdego innego na pokładzie, oczywiście z wyjątkiem Byka.

Gdy wszedł do mesy kilka minut później, dopijała właśnie drugie piwo.

- Słyszałam, że poddał nam się jakiś okręt Republiki - powiedziała zamiast zwyczajowego powitania.

- To nie do końca precyzyjne stwierdzenie - poprawił ją Cole. - Trafiliśmy na łupinkę klasy H, a jej załoga przeszła na naszą stronę.

- Możemy im zaufać?

- A oni nam mogli? - odparł pytaniem na pytanie. - Wyślełem Briggsa na pokład tej jednostki, żeby wybebeszył jej komputer pokładowy.

- Dobra, koniec tych pogaduszek - stwierdziła nagle Walkiria. - Kogo mam przycisnąć?

- Mam nadzieję, że nikogo - odparł kapitan. - Lecę wahadłowcem na Nowego Lenina, chciałem, abyś zabrała się ze

mną i chroniła mi tyłek.

- Nie ma sprawy - odparła.

- Nie rwij się tak bardzo do tej roboty. Naszym zadaniem będzie przeciągnięcie mieszkańców na naszą stronę, nie wypowiedanie im wojny.

- A oni o tym wiedzą?

- Dowiedzą się, zanim wylądujemy.

- Wiesz o tym, że ludzie twojego pokroju odbierają wojnie cały urok, nie mówiąc już o zabawie?

- Spróbuję żyć jakoś z tą świadomością - zapewnił ją Cole.

Wal zamówiła w kambuzie kolejne piwo.

- Łykniesz sobie jedno? Na mój rachunek.

- Co znaczy na twój rachunek? Na tym okręcie nikt nie płaci za zamówienia.

- Nikt też nie wypłaca mi żołdu od momentu opuszczenia Stacji Singapur. Chcesz piwko czy nie?

- Nie chcę - odparł Cole. - Ty od jutra też uważaj z pi-
ciem. Nikt nie lubi pijanych królowych piratów.

Spojrzała na niego znacząco.

- To brzmi jak prawdziwe wyzwanie.

- W takim razie zapomnij, co powiedziałem - poradził. -
Po prostu bądź gotowa do roboty.

Wstał i wyszedł z mesy. Nie był jeszcze śpiący, a gdy wchodził do gabinetu po tygodniu, a nawet więcej spędzonym w przestrzeni, zaczynał odczuwać lekką klaustrofobię. Zastanawiał się, czy nie wpaść na salę ćwiczeń, ale nie ćwiczył z obciążeniem ani nie biegał po bieżni od dobrych dwudziestu lat. Zajrzał więc do przedziału bojowego, niby na inspekcję, chociaż tak naprawdę miał zamiar zabić czas pogawędką z Pampa-

sem. Tyle tylko, że Byk miał teraz wolne, a z dyżurującym Mollutei nie za bardzo było o czym mówić. Skoro nie sierżant, to może pierwszy mechanik, też zawsze skory do rozmowy. Jednak po przybyciu do maszynowni okazało się, że Mustafa Odom odspia ostatnią wachtę.

Samo życie! - pomyślał kapitan. *Przemierzam przestrzeń, odwiedzając gromady gwiazd, których nawet nie sposób dostrzec z mojej rodzinnej planety, znam wszechświat jak własną kieszeń, ale przez większość czasu czuję się tutaj jak sardynka zamknięta w puszcze.*

Zajrzał do mesy oficerskiej i zastał w niej Dawida Copperfielda i Platynowego Księcia grających w karty.

- Witaj, Steerforth - odezwał się kosmita, podnosząc głowę.

- Nie wiedziałem, że jesteście oficerami - stwierdził oschłym tonem Cole.

- Ale jesteśmy gentlemanami - odparł Dawid. - Czyli na jedno wychodzi.

- Ciągle gracie w wista?

- To odpowiednia gra dla gentlemanów.

- I jedyna, w którą potrafię wygrać - dorzucił Książę. - Jeśli zdołam kiedykolwiek wyliczyć szanse na wygraną, z pewnością postawię stolik do niej na Stacji Singapur. - Cole nawet nie spojrzał w jego stronę. - Wiem, wiem - ciągnął tymczasem Książę. - Gdybym nie wierzył, że mam na to choć minimalne szanse, nie siedziałbym teraz na waszym okręcie.

- Jakież tam szanse są - przyznał przez grzeczność Cole.

Pozwolił im grać dalej i w końcu znów znalazł się na mostku. Christine pełniła obowiązki oficera pokładowego. Wła-

Śnie przemawiała szybko do komputera w języku, który spośród wszystkich obecnych w tym pomieszczeniu, tego akurat Cole był pewien, rozumiała tylko ona i ta maszyna. Pozostali wachtowi, czyli Idena Mueller i Bujandi, rodowity Pepon, także pracowali, obsługując dwa dodatkowe stanowiska.

Kapitan podszedł do Ideny.

- Nie było problemów z transferem?

- Wydawało mi się, sir, że złożyłam już meldunek o zakończeniu akcji pełnym sukcesem - odparła Mueller. - Zdaje się, że pułkownik Blacksmith przesłuchuje właśnie tego Lodinitę.

- I dobrze - stwierdził Cole, odwracając się do Christine. - Pan Briggs nie miał żadnych problemów?

- Zameldował, że zna ten model komputera, potwierdził też, że w ciągu dwudziestu godzin standardowych powinien dać sobie radę z zainstalowaniem potrzebnego oprogramowania i zgraniem wszystkich oficjalnych i poufnych baz danych.

- Proszę przekazać mu wiadomość, że zostanie tam do momentu, w którym zakończymy indoktrynację Lodinity.

- Melocin, sir.

- I wzajemnie, Christine - odparł Cole, robiąc zdziwioną minę.

- To nazwisko tego Lodinity, sir. Melocin.

- Też dobrze.

Zamierzał ciągnąć dalej tę pogawędkę, ale cała trójka dyżurujących była zajęta wykonywaniem swoich obowiązków. Nagle poczuł złość na samego siebie. *Co złego jest w chwili nudy podczas prowadzenia działań wojennych?* - zapytał w myślach. Jest dobrze, nikt do nikogo nie zamierza strzelać, w promieniu parseka nie ma jednego wrogiego okrętu... Ale i tak dla każdego na pokładzie „Teodora Roosevelta”, a zwłaszcza dla niego,

całe terytorium Republiki było jedną wielką strefą wojny.

Rozważył pomysł odwiedzenia sekcji bezpieczeństwa i siedzącej w niej Sharon, ale ona z kolei zajęta była przesłuchiowaniem Lodinity. Gdy uznał w końcu, że czas wracać do kajuty, gdzie będzie mógł zabijać czas oglądaniem kolejnego programu muzycznego - a widział je wszystkie po co najmniej tuzin razy - tuż przed nim pojawił się hologram Christine.

- Sir?

- Tak?

- Nadeszła zakodowana informacja od Ośmiornicy.

- Otwórz ją i pokaż.

Chwilę później na głównym ekranie pojawiło się oblicze byłego watażki. Nadal nie miał na sobie koszuli, a sześć dodatkowych dłoni wyrastających z jego klatki piersiowej zdawało się zaciskać w pięści zupełnie niezależnie od jego woli. Cole pomyślał nawet, że robią to samo, gdy Ośmiornica śpi.

- Witaj, Wilsonie - odezwał się szorstkim tonem. - Trafiliśmy na coś mocnego.

- Może mi pan to bliżej wyjaśnić? - poprosił kapitan.

- Znaleźliśmy konwój floty liczący dwanaście okrętów, ale są w nim tylko dwa klasy L. Wracają na Deluros z gromady Quinellusa. Niech pan zgadnie, co wiozą.

- Czemu sam mi pan tego nie powie?

- Dwadzieścia ton złota! Właśnie ogołocili kilka kolonii górniczych. Tam mieszka z dziesięć ras, które nie znają takiego pojęcia jak kredyt i rozliczają się wyłącznie w złocie.

- Nie chce mi pan chyba powiedzieć, że zamierzacie obrabować ten konwój? - zapytał z niedowierzaniem Cole.

- Gdybym mógł, zrobiłbym to bez wahania - odparł Ośmiornica. - Niestety, nie dysponuję odpowiednią siłą ognia.

- W takim razie po co pan w ogóle o tym wspomina? - zapytał Wilson. - Kontaktuje się pan ze mną, żeby mnie poinformować o tym, iż nie zamierza pan obrabować tego konwoju?

- Zamierzam rozpieprzyć go w drzazgi! - Ośmiornica podniósł głos. - Wiemy, które jednostki przewożą złoto, a które robią za przynętę. Może nie udałoby mi się zdobyć tego kruszcu dla siebie, ale mogę go zniszczyć. Z punktu widzenia Republiki wyjdzie na to samo. Nie będzie wypłat dla kosmitów w tym miesiącu!

- Iloma jednostkami pan dysponuje?

- Siedmioma.

- I chce pan się porwać na dwanaście, w tym dwa okręty klasy L? - zapytał z powątpiewaniem Cole.

- Dwa parseki za systemem Beauforta konwój musi przejść przez obłok pyłowy - wyjaśnił Ośmiornica. - To znaczy, mogą przejść też tuż obok. Zasadzimy się na nich wewnątrz obłoku. Gdy nas zauważą, natychmiast zmienią szyk, aby uniemożliwić nam przejęcie złota. Ale na pewno nie pomyślą, że my je chcemy zniszczyć.

- Sądzę, że tym razem porywa się pan z motyką na słońce.

- Nie chce pan po prostu, by kto inny zajął pana miejsce na szczycie listy najbardziej poszukiwanych przestępców Republiki - odparł były pirat, wybuchając śmiechem.

- I tak nie uda mi się pana przed tym powstrzymać - powiedział Wilson. - Zatem życzę powodzenia. Bóg z wami, a ich pošlijcie do piekła.

- Tak zrobię - obiecał Ośmiornica i przerwał połączenie.

- Co pan o tym sądzi, sir? - zapytała Christine.

Cole wzruszył ramionami.

- Zanim zwąchał się z nami, był najpotężniejszym z przywódców świata przestępczego na Granicy. Zna się na swoim fachu. Może i dałby radę...

- Ale... - zachęciła go do kontynuacji.

- Ale gdybym miał obstawiać, to dałbym sporą kwotę na to, że mu się nie uda. Może przetrzymać atak jednego okrętu klasy L, ale zsynchronizowany ostrzał dwóch takich jednostek to zupełnie inna sprawa. Sam już nie wiem... - Przerwał na moment. - Jeśli jednak zdoła zniszczyć złoto i wiadomość o jego wyczynie rozejdzie się, a my już zadbamy, by wieści dotarły gdzie trzeba, uczynimy Republice znaczne szkody, większe nawet od zniszczenia tysiąca jej okrętów.

- Czy ja wiem? - wtrąciła Idena. - Spóźnią się z wypłatami, ale to ich specjalnie nie zuboży.

- Tu nie chodzi o rzeczywistą wartość tego złota - wyjaśnił Cole. - Raczej o publiczne zademonstrowanie, że nie potrafią ochronić nawet czegoś takiego, co ma dla nich wielkie znaczenie. A skoro nie są w stanie, kto zagwarantuje ludziom, że lepiej pójdzie flocie obrona ich planet przed Teroni albo „Ted-dym R.”?

- O tym nie pomyślałam, sir - przyznała Mueller.

Uśmiechnął się.

- Więcej wojen wygrano nagłówkami gazet niż bombami.

- Tak mi się nasunęło na myśl, kiedy pan o tym wspomniał, że propaganda istniała na długo przed tym, jak wymyślono bomby - stwierdziła Idena.

- Co jednak wcale nie oznacza, że wołałbym, aby Ośmiornica zaatakował ich słowami, a nie palnikami i stuka-

czami - odparł Cole.

Został na mostku jeszcze przez kilka minut, potem przeszedł do swojej kajuty. Włączył rozrywkowe holo, pooglądał chwilę, stwierdził, że nie tego mu trzeba, i następne dwie godziny spędził na oglądaniu programów sportowych, ściągniętych na serwery okrętu z potężnych pangalaktycznych przekazników. W końcu usnął w ubraniu, oglądając mecz morderballa pomiędzy drużynami Rockgarden i Dalekiego Londynu.

Gdy się obudził, zauważył obok siebie śpiącą Sharon. Także w ubraniu. Poruszył się, co wybiło ją szybko ze snu. Usiadła, ziewając i przecierając oczy.

- Witam o poranku - powiedział.

- W kosmosie nie ma czegoś takiego jak świt czy poranek - odparła całkiem poważnym tonem.

- To prawda - przyznał. - W takim razie dobry wieczór... - Zamilkł na moment. - Czy my coś... to znaczy ty i ja?

- Ty chrapałeś, a ja spałam jak księżniczka z bajki, snem delikatnym niczym skrzydła wróżki.

- Proszę cię - jęknął. - Nie zaczynaj przed śniadaniem.

- Dobrze - odparła, zrywając się na równe nogi. - Miałam nadzieję, że w nocy wyrośnie ci broda i nikt na Nowym Leninie cię nie pozna, ale nic takiego nie nastąpiło, więc nie pozostaje nam nic innego, jak spożyć ostatnie wspólne śniadanie.

- Nie okazuj tak wielkiej wiary we mnie - poprosił ją nie bez ironii Cole. - Jeszcze za bardzo w siebie uwierzę.

Opuścili kajutę i skierowali się do mesy. Zaraz po wejściu Cole skontaktował się z Jacovicem. Komandor pełnił w tym momencie funkcję oficera dyżurnego.

- O której godzinie przybędziemy na Nowego Lenina? -

zapytał Wilson.

- Wejdziemy na jego orbitę za mniej więcej godzinę, sir.

- Ci ludzie na dole na razie nie wiedzą, że to my jesteśmy tymi dobrymi - kontynuował Cole - dlatego lepiej będzie, jeśli włączymy wszystkie tarcze, zanim tam dotrzemy.

- Tak jest - odparł Jacovic, ale zaraz dodał: - Sir?

- Tak.

- Proszę o pozwolenie towarzyszenia panu w tej misji.

- Odmawiam. Doceniam chęci, ale to byłoby niewłaściwe.

Republika zaatakowała tę planetę, więc mam szansę przeciągnąć jej mieszkańców na naszą stronę. Niemniej ci ludzie walczyli z Teroni od niemal trzydziestu lat. Wątpię, aby posłuchali najbardziej poszukiwanego buntownika, jeśli u jego boku będzie stał przedstawiciel wrogiej rasy.

Przez chwilę panowała kompletna cisza.

- Rozumiem, sir - odezwał się w końcu Jacovic. - Nie pomyślałem o tym.

- Nie szkodzi - uspokoił go Cole. - Mam nadzieję, że Walkiria już wstała i jest na miejscu?

- Tak. Zdaje się, że jest na siłowni.

- Zapewne. Cóż, jedno jest pewne, ona wie, kiedy ma być gotowa.

Po tej rozmowie zamówili śniadanie. Zanim skończyli jeść, pojawił się Platynowy Książę.

- Naprawdę zamierza pan to zrobić? - zapytał, zamiast przywitać się grzecznie. - Chce pan wejść prosto do jaskini lwa?

- Republika właśnie rozwalila jaskinię i wszystkie lewki trzęsą się z zimna - odparł Cole. - Ja chcę je otulić kocym.

- Proszę oszczędzić sobie takich metafor - powiedział człowiek z platyny. - Gdybyśmy byli na Stacji Singapur, posta-

wiłbym piętnaście do jednego, że nie dożyje pan zmięch. Nie może pan porozmawiać z nimi z orbity?

- Mogę.

- Dlaczego więc pan tego nie zrobi?

- Nie zależy mi na zdobyciu dwudziestu albo nawet trzydziestu jednostek, albo kilkuset rekrutów - wyjaśnił Cole. - Na tej planecie mieszka co najmniej trzy miliony ludzi, którzy mają bardzo dobry powód, by znienawidzić Republikę. Niemniej jeszcze bardziej nie cierpią, a przynajmniej na razie tak uważają, wrogów swojej krnąbrnej ojczyzny. Jeśli dobrze to rozegram, zaciągnie się do nas cała ta cholerna planeta. Chcę, żeby ci ludzie mogli mnie zobaczyć na własne oczy, porozmawiać ze mną i tą drogą dowiedzieć się, po co tam przybyłem. Nie wiem, czy udałoby się osiągnąć coś podobnego za pomocą transmisji. Podążyłby pan za kimś, kto obawia się wylądować na pańskiej planecie?

- A nie powinien pan być ich uprzedzić o swoim przybyciu?

- Żeby dać im trzy dni na awanturę, czy pozwolić mi wylądować, czy posłać do wszystkich diabłów?

- Z kim zamierza się pan skontaktować, skoro połowa Gromyko leży w gruzach?

- Rząd tej planety mnie nie interesuje - wzruszył ramionami Cole.

- Zatem kto?

- Mam kilka pomysłów. Rozegram to po mojemu.

- Pozostaje mieć tylko nadzieję, że nikt nie pokrzyżuje pańskiego planu promieniem lasera - stwierdził Książę.

- Nikt go nie tknie - oznajmiła Wal, stając w drzwiach mesy.

- Liczę, że zrobisz co trzeba, żeby tak się nie stało - po-

wiedziała Sharon.

- Skoro rozmawiacie tak, jakby mnie tu już nie było - stwierdził Wilson, wstając od stolika - sądzę, że pójdę i powiadomię mieszkańców Nowego Lenina o przybyciu „Teddy’ego R.”.

- A ja za to wypiję - dodała rudowłosa.

- Nie, dzisiaj żadnego picia - zaprotestował Cole.

Wal wyglądała, jakby zamierzała oprotestować jego słowa, ale w końcu wzruszyła ramionami.

- Ty tu jesteś szefem - powiedziała.

- Cieszę się, że ktoś jeszcze o tym pamięta - odparł Wilson i poszedł nadawać wiadomość.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Cole stanął na mostku i skinął głową Domak.

- Dobrze - powiedział. - Proszę o najszerze pasmo nadawania. Chcę, żeby każdy mieszkaniec tej planety mógł mnie zobaczyć albo usłyszeć, jeśli tego zechce.

- Jest pan pewien, że lepiej nadać wiadomość stąd niż z pańskiego gabinetu? - zapytał Jacovic. - Tamto otoczenie może wydać się ludziom o wiele mniej groźne. Było nie było, niedawno zaatakowały ich takie same okręty jak pański.

Wilson nie potrafił stłumić śmiechu.

- Nie takie same jak mój - odparł. - Były pewnie z dziewięćdziesiąt lat nowsze od „Teddy’ego R.” i o stulecie nowocześniejsze. Ale odpowiadając na pańskie pytanie: tak, mam nadzieję, że mnie wysłuchają i powitają z otwartymi ramionami. Niemniej chcę, żeby wiedzieli, że moi ludzie tutaj, na orbicie, w razie czego nie będą stali z założonymi rękami. Jeśli więc do jakiegokolwiek ataku albo mieszkańcy potraktują nas jak wrogów, wykorzystamy każdy sposób, by się bronić. - Spojrzał w tym momencie na Domak. - Czy dobrze zrozumiałem, że nasz sygnał zajmie miejsce każdej transmisji audio i wideo nadawanej z powierzchni tej planety?

- Teoretycznie tak - odparła Polonoi. - Porucznik Mboya powinna wiedzieć lepiej.

- Proszę jej nie budzić - rzucił Cole. - Ma teraz dwunastogodzinne zmiany, zanim nie sprowadzimy z powrotem Briggsa. Proszę udowodnić, że jest pani przynajmniej tak dobra, za jaką

panią uważam. Zaczynamy nasze przedstawienie.

- Teraz - powiedziała Domak.

Cole spojrział prosto na wymyśloną kamerę.

- Witajcie, mieszkańcy Nowego Lenina. Nazywam się Wilson Cole. Nadaję z pokładu „Teodora Roosevelta”. Jeszcze kilka dni temu mogliście sądzić, że jestem waszym wrogiem, ale od tamtego czasu doświadczyliście na własnej skórze moralności, rozsądku, lojalności i współczucia Republiki. Tak samo potraktowała mnie osobiście cztery lata temu. Zniszczono pół Gromyko i zamordowano dziesiątki tysięcy lojalnych obywateli Nowego Lenina tylko dlatego, że Republika zareagowała nadpobudliwie na groźby skierowane pod adresem zaledwie dwóch osób, z których żadna nie mieszka bliżej niż piętnaście tysięcy lat świetlnych od tego miejsca... - Przerwał na dłuższą chwilę, by słuchacze i widzowie mogli przetrawić te informacje, potem odezwał się znowu. - Chciałbym pojawić się na powierzchni waszej planety i porozmawiać z waszymi delegatami. Oko w oko. Nie będę miał nic przeciw, jeśli ściągniecie na to spotkanie sprzęt nagrywający i transmitujący, żeby wszyscy obywatele Nowego Lenina mogli mnie wysłuchać. Żądam od was wyłącznie gwarancji bezpieczeństwa dla mnie i jeszcze jednej osoby. Proszę o pozwolenie na lądowanie we wskazanym miejscu. „Teodor Roosevelt” pozostanie na orbicie. Jeśli odmówicie, nie spotka was żadna kara. Po prostu stąd odlecimy. Jeśli jednak obiecacie mi bezpieczeństwo, a potem nagle zmienicie zdanie, spotkają was przykre konsekwencje, ale mam nadzieję, że do niczego takiego nie dojdzie. Daję wam godzinę na przedyskutowanie mojej oferty. Brak odpowiedzi zostanie uznany za odmowę, wtedy niezwłocznie odlecimy z waszego systemu. - Od-

czekał kilka sekund, aby upewnić się, że wszystko rozumieją i dokończył: - Przybywam z ważną propozycją. Jeśli ją odrzucicie, także odlecimy w pokoju. Czekam na waszą odpowiedź.

Skinął głową w kierunku Domak, nakazując zakończenie transmisji.

- Otwórzcie wszystkie kanały nasłuchu - powiedział. - Awantury powinny im zająć nie mniej niż czterdzieści minut. Potem nadejdzie odpowiedź.

- Wydajesz się tego bardzo pewien - zauważyła Sharon.

- Do tego momentu zdadzą sobie sprawę, że gdybyśmy chcieli do nich strzelać, mielibyśmy ku temu wiele dogodnych okazji przed nadaniem mojego komunikatu i pozwoleniem na uruchomienie wszystkich czynnych jeszcze instalacji obronnych, jakimi dysponuje ta planeta.

- Cztery Oczy miał rację - stwierdziła. - Mało w tobie z prawdziwego bohatera. On by nie myślał za wiele, tylko polazłby tam z blasterem w dłoni.

- I zobacz tylko, jaki los go spotkał - powiedział Cole z żalem. - W tej galaktyce pochowano całą masę bohaterów. - Rozejrzył się. - Zakładam, że Wal już czeka przy wahadłowcu?

- Zdaje się, że poszła do przedziału bojowego. Sprawdza, ile armat uda jej się zabrać - odparła Sharon z uśmiechem.

- Widzisz? - powiedział Cole, także okazując radość. - Jednak mamy na pokładzie rasową bohaterkę. Twardą, nieustraszoną, rudowłosą, mierzącą cal albo dwa poniżej siedmiu stóp. Czego jeszcze można chcieć od kogoś takiego?

- Określiłeś ją mianem swojej asystentki - zauważyła Sharon. - Jeśli wejdzie tam objuczona bronią, ludzie będą mieli problem ze zrozumieniem, dlaczego ją tak nazwałeś.

- Będą mieli znacznie więcej poważniejszych powodów do

niepokoju.

Nagle rozległy się sygnały alarmowe.

- To ostrzeżenie przed atakiem z zewnątrz? - zapytał Mollutei pełniący dyżur przy jednym ze stanowisk.

- Nie - zaprzeczyła Sharon, marszcząc brwi. - To alarm pokładowy. - Podniosła głos. - Słyszysz mnie, Luthor? Co tam się dzieje?

- Nic wielkiego - odparł Chadwick, gdy jego hologram pojawił się w powietrzu. - To tylko mały problem z naszym nowym członkiem załogi.

- Z Lodinitą? - zapytał Cole.

- Tak - odparł Luthor. - Z Meloctinem, tak chyba się nazywa, o ile dobrze zapamiętałem. Zwykły błąd, wydawało mu się, że jest jeden poziom niżej niż w rzeczywistości, i wszedł przez pomyłkę do ambulatorium. Sprawa została już wyjaśniona i odprowadzono go do kajuty.

Hologram zniknął.

- Trudno uwierzyć, że ktoś może się zgubić na tym złomie - rzuciła Domak.

- Może dlatego, że służy pani na nim, niech no policzę, od siedmiu lat? - odparł Cole. - A on jest na pokładzie niespełna dzień. To jednak wielki okręt. Jest przestarzały i pokancerowany, ale nie ustępuje złożonością konstrukcji klasie L.

Jeszcze przez pół godziny musieli zabijać czas rozmowami, a potem nadeszła odpowiedź wyczekiwana przez Wilsona.

- Kapitanie Cole, mówi Augustus Lake - usłyszeli głos wysokiego, chudego mężczyzny o zmierzwionych, siwych włosach. - Pełnię obowiązki burmistrza Gromyko. Co więcej, jestem jedynym wciąż żywym przedstawicielem władz miasta i tej planety. Chcemy posłuchać, co ma nam pan do powiedzenia. Prześlę do

waszego komputera koordynaty miejsca lądowania - to dach jednego z nielicznych nieuszkodzonych budynków. Gdy wysiądzie pan z wahadłowca, znajdzie się przed szeregiem uzbrojonych mężczyzn i kobiet. Nie otworzymy ognia, jeśli nie zostaniemy sprowokowani, ale powinien pan zrozumieć, dlaczego straciliśmy zaufanie do ludzi twierdzących, że nie mają zamiaru nas skrzywdzić.

- Nie tylko rozumiem, ale i akceptuję takie zachowanie - odparł Cole. - Moja asystentka również będzie uzbrojona, ale nie użyje niczego, jeśli coś nie zagrazi mojej skromnej osobie.

- Proszę dać nam trzydzieści minut na przygotowanie wszystkiego - poprosił Lake. - Zabierzemy pana do bezpiecznego pomieszczenia, w którym wszyscy aktualni przywódcy naszej społeczności będą mogli pana wysłuchać. Umieściliśmy tam też holokamery, aby cała ludność planety mogła obserwować nasze spotkanie.

- Świetnie. Proszę przesyłać koordynaty. Zjawię się na miejscu za pół godziny.

- Proszę wybaczyć mój strój - usprawiedliwił się jeszcze burmistrz. - Dopiero co wydostano mnie z ruin.

- Rozumiem i współczuję.

Gdy obraz zniknął, Cole spojrzał na Sharon.

- Czujesz się nieco spokojniejsza? - zapytał.

- Augustus Lake wygląda na porządnego człowieka - odparła.

- Mówiłem ci, że nie masz powodów do obaw.

- Nie pozwoliłeś mi skończyć - napomniała go. - Wygląda na porządnego człowieka, ale staniesz twarzą w twarz z dziesiątkami, jeśli nie setkami uzbrojonych ludzi, z których wielu utraciło kogoś kilka dni temu.

- Przecież wiedzą, że nie my ich zaatakowaliśmy.

- Wiedzą też, kto był powodem tego ataku - rzuciła Sharon. - Nie udawaj, że nie rozumiesz. Kiloro z nich może być tak zaślepionych gniewem, że bez względu na koszty postanowią usunąć człowieka, który doprowadził flotę do białej gorączki i zmusił do tak potwornego ataku.

- To nie był efekt niczyjej wściekłości - zapewnił ją Wilson - tylko zaplanowany i wykonany z zimną krwią odwet na planecie, która od początku stanowiła integralną część Republiki.

Sharon westchnęła głośno.

- Wiem. Po prostu robię, co mogę, żebyś miał oczy i uszy otwarte.

- Będę miał u boku Wal. Ona jest czujna za nas oboje.

Kilka minut później Cole i Wal wsiedli na pokład „Kermitta” i opadli łagodnie na dach budynku stojącego na skraju zniszczonego Gromyko.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gromyko cuchnęło śmiercią. Większości ciał nie wydobyto jeszcze spod gruzów, ich odór dało się wyczuć nawet z wysokości dachu, na którym wylądował wahadłowiec.

Cole chwycił Wal za rękę, zanim zdążyła otworzyć właz.

- Żadnych gwałtownych ruchów. Ci ludzie mogą być na krawędzi załamania nerwowego.

- Wiem - odparła, nie okazując zaniepokojenia.

- Mówię poważnie, Wal. Jeśli poczujesz na biodrze swędzenie o kilka cali od palników i puszczalek, wytrzymaj. Spróbuj się podrapać, a oni potraktują to jako doskonały pretekst do otwarcia ognia.

Zmarszczyła brwi.

- Po co mnie w takim razie zabierałeś?

- Na pewno nie dla stawienia czoła kilkudziesięciu uzbrojonym ludziom. Ale jak już znajdziemy się w tym studiu, miej oczy i uszy otwarte bez względu na to, co tam będzie mówione.

- Naprawdę uważasz, że Republika zostawiła tu swoich agentów? - zapytała z powątpiewaniem.

- Nie. Po tym, co zrobili z tą planetą, na pewno nie - odparł Wilson. - Ale nie zapominaj, że za moją głowę wciąż płacą dwadzieścia milionów kredytów. Nie trzeba popierać żadnej ze stron konfliktu, żeby chcieć je zarobić.

- To ma sens - powiedziała.

- Cieszę się, że to rozumiesz - rzucił, otwierając właz. -
Idziemy.

Wyszli na dach, na którym stało około pięćdziesięciu uzbrojonych ludzi ubranych w normalne, cywilne ubrania - co było w końcu logiczne, nikt przy zdrowych zmysłach nie założyłby na tej planecie munduru Republiki, a w ciągu kilku dni trudno o zorganizowanie nowych uniformów dla niezależnych już sił zbrojnych.

Augustus Lake wystąpił przed szereg.

- Nieśławny kapitan Cole - rzucił zamiast powitania. - Czy pańska asystentka może opuścić broń?

- Nie - odparł Wilson, zanim Wal zdążyła odmówić znacznie mocniejszymi słowami. - Nie użyj jej bez powodu, ale nie chciałbym być na miejscu faceta, który spróbuje odebrać jej te pukawki.

Lake spojrzął na rudowłosą kobietę przewyższającą go o całą stopę.

- Jak pan sobie życzy. Powinniśmy ufać sobie wzajemnie. - Ruszył w stronę szybu windy powietrznej. - Proszę za mną.

Cole zjechał tuż za nim. Wal wyglądała, jakby chciała zachęcić kogoś do sięgnięcia po broń, ale żaden z obecnych nie drgnął nawet, więc i ona zjechała za kapitanem dwanaście piętér w dół.

- Jak źle było? - zapytał Cole.

- Gorzej, niż pan myśli - odparł Lake. - Jesteśmy na miejscu.

Wysiedli z windy i przeszli do dużej sali. Stało w niej około trzydziestu krzeseł, wszystkie były zajęte. W rogach pomieszczenia znajdowały się także trzy kamery holograficzne, ich obiektywy zogniskowały się natychmiast na gościu i śledziły każdy jego ruch.

Cole poczekał, aż Lake usiądzie. Wal stała obok niego, w

odległości niespełna dziesięciu stóp, wodząc uważnym spojrzeniem po zebranych. Jej broń spoczywała w kaburach.

- Chciałbym wam podziękować za możliwość wygłoszenia tej mowy - zaczął Wilson. - Wiem, co mówiła o mnie machina propagandowa Republiki od czasu, gdy nasze drogi się rozeszły. Dlatego zacznę od opowiedzenia wam prawdy o wydarzeniach, które do tego doprowadziły. Każdy członek załogi, który był ze mną wtedy, może poświadczyć z pełną stanowczością, że nie kłamię. Admirał Garcia, gdyby posiadała choć odrobinę honoru, także musiałaby potwierdzić prawdziwość moich słów. „Teodor Roosevelt” dowodzony przez kapitan Podok, wojowniczkę rasy Polonoi, otrzymał zadanie patrolowania gromady Kasjusza. Ja podówczas byłem na nim pierwszym oficerem. Rozkazano nam ochronę składów paliwa znajdujących się na dwóch planetach: Benidosie i Nowej Argentynie. Nie mogliśmy pozwolić, by paliwo to wpadło w ręce wroga... - Zamilkł na moment, żeby słuchacze dobrze to zapamiętali. - Któregoś dnia w sektorze pojawiła się cała Piąta Flota Teroni, licząca co najmniej dwieście jednostek. Kierowała się prosto na Benidosa. Nie mieliśmy żadnych szans na powstrzymanie tak wielkiej potęgi. Kapitan Podok sądziła, że nasze rozkazy mówiły o uniemożliwieniu wrogowi przejęcia paliwa bez względu na koszty... - Cole raz jeszcze zamilkł, tym razem, aby opanować emocje towarzyszące wspomnianiu tamtych wydarzeń. - Wydała rozkaz zniszczenia Benidosa, uznając, że to będzie lepsze rozwiązanie niż pozwolenie Teroni na zawładnięcie naszymi zapasami. Tym sposobem pozbawiła życia trzy miliony obywateli Republiki. Następnie skierowała „Teodora Roosevelta” w stronę Nowej Argentyny, na której mieszkało podówczas pięć milionów osadni-

ków, głównie ludzi. Nie mogłem pozwolić na kolejną rzeź, dlatego pozbawiłem ją dowodzenia i zawarłem układ z dowódcą Piątej Floty: w zamian za gwarancje bezpieczeństwa dla ludności planety zobowiązaliśmy się nie przeszkadzać w przejściu składów, a przede wszystkim nie robić z Nową Argentyną tego, co Podok zrobiła z Benidosem. Na marginesie tej opowieści wspomnę tylko, że dowódca floty Teroni także doszedł do wniosku, że w jego oczach Federacja nie jest w niczym lepsza od Republiki, i służy teraz jako pierwszy oficer na moim okręcie. Po tych wydarzeniach oddałem się dobrowolnie w ręce admiralicji, licząc na uczciwy proces przed sądem wojennym. W tym czasie Podok wygłosiła orędzie dla mediów, w którym stwierdziła, że pozbawiłem ją dowództwa, ponieważ należała do rasy Polonoi. Tak się złożyło, że większość istot zamieszkujących Benidosa, choć była obywatelami Republiki, należała do obcych ras. Nikt na pokładzie nie wiedział, jaki los Podok szykuje tej planecie, dopóki nie padł rozkaz jej ostrzelania, ale w mediach rozpowszechniono wersję, według której odebrałem jej dowodzenie dopiero, gdy wykonywanie jej rozkazów zagroziło życiu członków mojej rasy na Nowej Argentynie. Informacje o tym przekazał mi mój adwokat, mówiąc przy okazji, że pod taką presją mediów wyrok wydaje się przesądzony i że ja oraz dwoje moich tak zwanych „wspólników” zostaniemy uznani winnymi, aby nie wywoływać niepokojów społecznych. Oficerów, którzy mogliby oprotestować taki werdykt sądu, skrycie zastępowano bardziej uległymi. Dlatego też załoga uwolniła mnie z aresztu i od kilku lat przebywamy wspólnie na Wewnętrznej Granicy.

Zlustrował uważnie siedzących przed nim ludzi, próbując sprawdzić, czy wierzą jego słowom. Nikt jednak nie odezwał się,

nie zadał pytania, więc Cole podjął przemowę:

- Zamierzałem pozostać na tym wygnaniu do końca życia, ale okrucieństwa, jakich dopuszczały się siły Republiki na terenach przygranicznych, nie miały końca. Plądrowano tamtejsze planety, wcielano do floty całe kontyngenty mężczyzn i kobiet, bezprawnie panoszone się i rządzone terenami nieznanymi się pod jurysdykcją Rady. Czyniono to od zarania dziejów. W minionym roku przebrała się miarka. Na jednym z takich światów schwytano mojego pierwszego oficera. Torturowano go, by wyciągnąć informacje na temat miejsca pobytu „Teodora Roosevelta”. Planetę, na której go schwytano, spotkał równie zły los. Okręty floty powróciły na nią i unicestwiły wszystko, co żywe. Wtedy ogłosiłem, że jednostki Republiki nie mają wstępu na terytorium Wewnętrznej Granicy. Zawarłem przymierza z bardzo dziwnymi istotami, aby przeciwstawić się siłą, skutkiem czego mniej więcej miesiąc temu Republika wysłała przeciw nam zespół uderzeniowy liczący niemal trzysta okrętów. Pokonaliśmy je, ale oni odpowiedzieli na tę porażkę, wysyłając jeszcze potężniejsze siły. Wtedy zrozumiałem, że bez względu na to, ile razy jeszcze wygramy, w końcu nas pokonają, chyba że udamy się prosto do źródła problemu, którym w rzeczywistości nie jest sama flota, a ludzie, którzy kształtują aktualną politykę Republiki i wydają marynarce rozkazy. Jak sami wiecie, wszyscy oni siedzą na Delurosie VIII.

- Iloma okrętami pan dysponuje? - zapytała jedna z kobiet.

- Mam ich mniej więcej osiemset.

- To samobójstwo - zagrzmiął ktoś inny. - Osiemset okrętów przeciw Republice?

Mężczyzna w średnim wieku zerwał się z miejsca. Wal obserwowała go wzrokiem drapieżnika śledzącego przyszłą ofiarę, gdy przeciskał się pomiędzy zebranymi, by stanąć na podwyższeniu obok Cole'a.

- Tydzień temu miałem żonę i troje dzieci. Dzisiaj jestem tylko ja. - Wyciągnął rękę w kierunku Wilsona. - Kapitanie Cole, posiada pan osiemset pierwszy okręt.

Nagle wszyscy zebrani wstali, by wyrazić głośno swoje poparcie.

- Zakładam, że po to właśnie pan tutaj przyleciał - stwierdził Lake.

- Chciałem zdobyć nowe okręty, zaciągnąć ludzi do załóg i zebrać pieniądze, czyli zorganizować to wszystko, czego moja flota potrzebowała - przyznał Cole. - Ale teraz będziemy musieli się przeorganizować, a to oznacza, że przydadzą nam się nie tylko rekruci, ale i rekrutujący. - Odczekał chwilę, aby emocje na sali opadły, i podjął temat: - Ludzie potrzebują władzy, a w tak wrogim wszechświecie nie poradzimy sobie bez potężnej floty. Nie zamierzam burzyć ładu społecznego. Nie chcę rozwiązywać marynarki. Nie pragnę anarchii. Chcę jedynie, żeby Republika robiła to, do czego została stworzona, i jeśli warunkiem koniecznym do urzeczywistnienia mojego planu będzie usunięcie sekretarza Wilkiego i admirała Garcii, uczynię to bez wahania. Dzisiejsza Republika zachowuje się jak słabo wytresowane zwierzę albo krnąbrne dziecko. Jeśli będziemy ignorować jej błędy, nie napominając za każdym razem, może uznać, że te wady są w istocie zaletami i nawet się nie obejrzymy, gdy wyhodujemy prawdziwego potwora. Ludzie zbyt długo tolerowali samowolę Republiki, skutkiem czego mamy dzisiaj do czynienia

z potworem i dlatego musimy załatwić tę sprawę raz a porządnie. I możemy tego dokonać. Republika składa się z sześćdziesięciu tysięcy zamieszkałych planet. Większość z nich nigdy nie została potraktowana równie brutalnie jak Nowy Lenin, ale sporo żywi wielką niechęć, nie do systemu jako takiego, ale wobec konkretnych posunięć rządzących. Gdy nadejdzie odpowiedni czas, poproszę was o przyłączenie się do walki, ale dzisiaj będziecie stanowili dla mnie o wiele większą wartość, jeśli udacie się na inne planety Republiki i przekonacie tamtejsze społeczności do naszej sprawy.

- Może pan na mnie liczyć - zawołał ktoś - jeśli wyda nam pan Egana Wilkiego, gdy już go obalimy.

Cole pokręcił głową.

- Tego nie mogę obiecać. Boję się, że mamy setki, jeśli nie tysiące planet, które wysuną podobne żądania.

- Zatem nie o sprawiedliwość tu chodzi, ale o mięso armatnie! - zawołał w gniewie inny człowiek.

- Jeśli pan tak uważa, proszę nie przyłączać się do naszej sprawy - odparł spokojnie Cole.

- Nie wygra pan bez naszej pomocy i wielu nam podobnych światów - upierał się mężczyzna z audytorium.

- Nie wygram - przyznał Cole. - Ale wiem jedno, nie będę przyrzekał czegoś, czego nie mogę wam zagwarantować.

Rozmowa w tym tonie trwała jeszcze przez dwadzieścia minut, ale gdy Cole i Wal wracali na „Teddy'ego R.”, kapitan miał poczucie, że wygrał większość tych utarczek słownych, a co za tym idzie - zdobył tysiące mieszkańców Nowego Lenina, co powinno przełożyć się na ogromną masę zwolenników, których dla niego zdobędą w przyszłości.

Czuł wielką euforię, gdy „Kermit” dokował, a on mógł

ponownie postawić stopę na pokładzie. Po chwili Jacovic poinformował go o wydarzeniach, jakie miały miejsce podczas jego nieobecności, i doskonały nastrój Wilsona prysnął niczym bańka mydlana.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Kiedy to się stało? - zapytał Cole, gdy dotarł na mostek.

- Trudno powiedzieć - odparł Jacovic. - Na pewno pomiędzy dwiema a dziesięcioma godzinami temu.

- A mówiłem, że nie da rady dwóm okrętom klasy L - zżymał się kapitan. - Co z pozostałymi jednostkami jego eskadry?

- Nie wiemy, albo zostały zniszczone, albo je przechwycono.

- Ale to pewne, że on sam trafił do niewoli? - dopytywał się Cole.

- Tak.

- Wiecie, gdzie go przetrzymują?

- Nie - odparł Jacovic.

- Pieprzony pozer! - wybuchnął Wilson. - Wiedział lepiej ode mnie! Przez niego ze stu ludzi straciło życie.

- Gdyby mu się udało, zakłóciłby funkcjonowanie całej Republiki przynajmniej na kilka tygodni - stwierdził Jacovic, broniąc Ośmiornicy.

- Raczej jej mikroskopijnej części - burknął Cole. - Chciał zniszczyć dwadzieścia ton złota, też mi wyczyn! W pieprzonej Republice jest sześćdziesiąt tysięcy zamieszkałych planet. Przecież to nawet nie funt kruszcu na każdą z nich...! - Zamilkł na moment. - Obawiam się, że Christine albo Briggs nie wprowadzili ograniczników dla sygnałów alarmowych, które ograniczałyby ich zasięg tylko do naszej wiadomości. - Jacovic nawet na

niego nie spojrział. - Nie, nie sędzę. Sharon, jak rozumiem jesteś na nasłuchu? - zapytał, podnosząc głos.

- Jestem - odparła. - Przykro mi z powodu wpadki Ośmiornicy.

- A mnie znacznie bardziej z powodu losu jego załogi - rzucił Cole. - Republika wystarczająco dba o to, by liczba ludzi malała z każdym rokiem. On nie powinien się do tego dokładać. - Bez powodzenia próbował pozbyć się napięcia, jakie go opanowało. - Skoczę po kanapkę. Może spotkamy się w mesie?

- Muszę najpierw dokończyć robotę - odparła. - Przyjdę za dziesięć minut.

- Świetnie. - Gdy Sharon rozłączyła się, Cole spojrział na Jacovica i Domak. - Jeszcze jakieś dobre wiadomości? - zapytał ironicznie.

- Kontaktował się Lafferty... - zaczęła Domak.

- I?

- Nadal nie zdobył silnika, ale uważa, że trafił na ślad czegoś odpowiedniego.

- Cóż, w porównaniu z informacjami o Ośmiornicy, można to chyba uznać za dobrą wiadomość - mruknął Cole, podchodząc do Wxakgini. - Pilocie, istnieje niebezpieczeństwo, że flota wróci tutaj, żeby podziwiać dzieło swojej broni, dlatego zabierz nas jak najdalej.

- Czyli dokąd? - zapytał Bdxeni.

- Jak daleko znajduje się system Polluksa?

- Trzydzieści sześć lat świetlnych.

- Ile czasu potrzebujemy, aby tam dolecieć?

- Dziewięć godzin, jeśli skorzystamy z comeańskiego tunelu czasoprzestrzennego - odparł Wxakgini. - Aczkolwiek tunel ten bywał niestabilny ostatnimi czasy, więc czas podróży może

się nieco wydłużyć.

- Skorzystaj z niego - powiedział Cole i odwrócił się do podchodzącego Jacovica. - Polluks IV to jedyna zamieszкана planeta systemu. Jej populacja nie przekracza jednak dziesięciu tysięcy mieszkańców, głównie rolników. Flota nie ma tam czego szukać, a my uzupełnimy zapasy kambuza. Zapewne nie jestem jedynym na pokładzie, który rzyga już tymi sojowymi podróbkami.

Jacovic skinął głową.

- Skontaktuję się z nimi, jak tylko wyjdziemy z nadprzestrzeni.

- Świetnie - odparł Cole. - Zobaczymy się później.

Poszedł do windy i zjechał nią na pokład mesy. Właśnie kończył komponować sobie kanapkę, gdy przy stoliku pojawiła się Sharon.

- Wal opowiadała, jakie to miażdżące zwycięstwo zanotowałaś na swoim koncie - powiedziała.

- Doprawdy? - zdziwił się. - Wydawało mi się, że dla niej sukces to wyłącznie całkowita eliminacja przeciwników.

- Zamierzasz pozwolić, by wpadka Ośmiornicy kładła się cieniem na wszystkim, o czym będziesz dzisiaj rozmawiał? - zapytała Sharon. - Widzę pięć wolnych stolików, chętnie usiądę przy jednym z nich.

- Przepraszam - powiedział. - Ja po prostu nie cierpię marnotrawstwa, a za takie uważam zmarnowanie siedmiu okrętów i cholera wie ilu istnień. - Pochylił się nad stolikiem, chwycił ją za rękę i ścisnął delikatnie. - Dobra, temat uważam za zamknięty.

Niestety, nie dane mu było przejść nad tym do porządku

dziennego.

Jakąś godzinę po wyjściu z tunelu czasoprzestrzennego głos Christine obudził go z drzemki przed wyświetlaczem, na którym leciało jakieś kryminalne holo.

- Tak? - mruknął, starając się skupić. - Co się dzieje?

- Właśnie dostaliśmy wiadomość od pana Sokołowa, sir.

- I?

- Ma jeńca.

- Przecież on leci dwuosobowym okrętem. Jakim cudem mógł wziąć kogoś do niewoli?

- Zboczył z kursu, żeby go schwytać, sir.

- Długo tak jeszcze będziesz się ze mną droczyć? - irytował się Cole. - Gadaj natychmiast, o co chodzi.

- Czekałam, aż się pan do końca obudzi, sir.

- No to się obudziłem.

- Dzięki kodom, które napisałam, a porucznik Briggs zainstalował w komputerze pana Sokołowa, zdołał on przechwycić sygnał z innej niewielkiej jednostki, dotyczący miejsca przetrzymywania Ośmiornicy.

- I? - ponaglił ją Cole, czując niepokój.

- Zdaje się, że Republika ma jego i osiemdziesięciu innych członków załóg ocalonych z wraków. Zamierzają go przenieść, a raczej ich wszystkich, za dwa dni. Podobno ma się odbyć pokazowy proces transmitowany na całą Republikę, a kiedy zapadnie wyrok za zdradę, bo innego werdyktu nikt nie przewiduje, wszyscy zobaczą holo z przebiegu egzekucji.

- Gdzie ma się odbyć ten proces?

- Tego nie wiem.

- To i tak nie ma znaczenia - stwierdził Cole. - Gdziekolwiek to widowisko urządzą, i tak się tam nie dostaniemy. Gdzie

teraz trzymają Ośmiornicę?

- Nie wiem.

- A Sokołow wie?

- Nie.

- Jak daleko od nas jest jego okręt?

- Wxakgini twierdzi, że jeśli Sokołow skorzysta z tunelu Bellermaina, powinien być tutaj za mniej więcej dwie godziny.

- W takim razie przekaż mu, że ma natychmiast zabierać dupę w troki i lecieć do nas! - rozkazał Cole. - Może uda nam się ocalić tego ośmiorękiego pajaca przed plutonem egzekucyjnym.

- Tak jest.

Skontaktowała się z nim mniej więcej trzy minuty później.

- Jakiś problem? - zapytał Wilson.

- Nie, sir. Pan Sokołow już do nas leci.

- W takim razie o co chodzi?

- Zastanawiałam się, czy nie powinniśmy skontaktować się z kimś z naszych sojuszników. Na wypadek gdybyśmy chcieli odbić Ośmiornicę...

- Na razie nie rób tego - poprosił Wilson. - Najpierw musimy się dowiedzieć, gdzie go przetrzymują. Po co ścierać tutaj nasze okręty, skoro może się okazać, że będą potrzebne tysiąc lat świetlnych stąd?

- O tym nie pomyślałam, sir - odparła. - Przepraszam, sir.

- Nie ma sprawy.

- Wal od razu by o tym pomyślała - stwierdziła Christine.

- Prawdopodobnie - przyznał Cole. - Ale ona nie potrafi tak przerobić komputera, żebyśmy mogli przechwycić tę rozmowę.

W końcu się rozpromieniła.

- Tego też nie brałam pod uwagę. Dziękuję, sir.

Cole zerwał się na równe nogi, opuścił kajutę i ruszył do sekcji bezpieczeństwa.

- Witam, sir - powiedział Luthor Chadwick, stając na baczność i salutując sprężysto. - Zakładam, że chce pan porozmawiać z pułkownik Blacksmith? - Ruszył w stronę drzwi.

- Zostań - poprosił kapitan. - Chcę porozmawiać z wami.

Chadwick wyglądał na zaskoczonego, ale posłusznie wrócił za biurko.

- Sharon. - Cole stanął przed drzwiami jej biura. - Pozwól do nas na chwilkę.

- Słyszałam, że mamy nowego jeńca - powiedziała, gdy wyszła po chwili.

- O tym właśnie chcę z wami porozmawiać - przyznał kapitan.

- Nie ma sprawy - odparła. - Mów.

- Ośmiornica wciąż żyje - zaczął Cole. - Podobnie jak większość jego ludzi. Nie wiemy, gdzie są przetrzymywani, ale przypuszczam, że w pobliżu tego obłoku, przy którym szykowali zasadzkę. Problem w tym, że znajduje się tam co najmniej trzydzieści zamieszkałych planet. Szykuje się transfer, jego, a może nawet wszystkich schwytanych. Za dwa dni albo jeszcze wcześniej, zakładam, że zostaną przeniesieni gdzieś do centrum Republiki, skąd nie da się ich odbić. Wątpię też, czy uda nam się uwolnić Ośmiornicę po przeniesieniu na okręt. W trakcie walki każda ze stron może doprowadzić do zniszczenia jednostki transportowej, nawet przypadkiem... - Przerwał, by spojrzeć im kolejno w oczy. - A to znaczy, że musimy wydobyć informacje z więźnia w ekspresowym tempie, zanim rozpocznie się pro-

cedura transferu.

- Jak pan sądzi, ile będziemy mieli na to czasu? - zapytał Chadwick.

- Sokołów dotrze tutaj za około dwie godziny. Powiedzmy, że dam wam kolejne sześć godzin na złamanie tego człowieka.

- Tylko tyle?

- Na wydobycie miejsca pobytu Ośmiornicy możemy potrzebować dziesięciu, piętnastu godzin albo kilku kwadransów. Nie dowiemy się tego, dopóki nie będzie wyniku przesłuchania. Moglibyśmy w tym czasie sporządzić jakieś plany działania, ale to chyba będzie miało sens dopiero, jak zlokalizujemy miejsce akcji. Nie możemy tak po prostu przebić się przez więzienne mury. Gdyby coś poszło nie tak, moglibyśmy równie dobrze wybić jeńców, nie tylko strażników.

- Sześć godzin - powtórzył nieobecny głosem Chadwick.

- Góra. Wolałbym, abyście wykonali tę robotę w trzy godziny.

- Zawsze możemy wypróbować bliathol - stwierdziła Sharon po chwili namysłu.

- Cóż to takiego? - zapytał Cole.

- Serum prawdy. Najnowsze.

- Używałaś go już kiedyś?

- A kiedy mieliśmy ostatniego jeńca na grillu?

- Od czasu, jak dowodzę „Teddym R.”, coś takiego nie miało miejsca - przyznał. - A jeśli to nie zadziała?

- Sama nie wiem - mruknęła Sharon. - Nie mamy na pokładzie komory deprywatyzyzacyjnej.

- Wielka szkoda, że nie ma w załodze żadnego telepaty - dodał Chadwick.

- W galaktyce są tylko dwie rasy wykazujące takie zdolności, ale żadna z nich nigdy nie służyła Republice - powiedział Cole.

- Zostaw nas samych - poprosiła Sharon. - Omówimy ten problem.

- Dobrze - zgodził się Wilson. - Zajrzę do was później.

- Będziemy tutaj.

Wrócił na mostek.

- Christine, połącz mnie z Sokołowem na kodowanym kanale.

Holograficzna twarz Władimira pojawiła się nad konsolą komputera Mboi.

- Dobra robota - pochwalił go od razu Cole.

- Dziękuję, sir.

- Na razie mam wyłącznie informacje z drugiej ręki. Możesz mi pan powiedzieć, jakie informacje zaprowadziły pana do tego jeńca?

- Głos jego rozmówcy, przepraszam, ale nie potrafiłem namierzyć miejsca, z którego nadawał. Meldował, że schwytano prawie osiemdziesięciu ludzi - referował Sokołow. - Gdy opisywał ich przywódcę, od razu zorientowałem się, że chodzi o Ośmiornicę. W każdym razie przekazywał mojemu jeńcowi informację, że transfer w bezpieczniejsze miejsce jest umówiony za dwa dni standardowe. Spodziewają się przybycia pancernika klasy N, ale na wypadek gdyby nie przyleciał z jakiegoś powodu albo się spóźnił, organizowali pospolite ruszenie, w tym jednostkę mojego jeńca. Gdy to usłyszałem, namierzyłem go i zaatakowałem, zanim zorientował się, że ktoś jest obok niego. Rozwaliłem mu anteny, transmitter i działło pulsacyjne drugiej generacji, a potem nawalałem we wrak tak długo, aż się pod-

dał.

- Fakt, że się poddał, może świadczyć o tym, że zdołamy go namówić do współpracy - stwierdził z nadzieją w głosie Cole.

- Podał mi nazwisko, stopień i numer statystyczny planety, z której pochodził wszystko, co było mi potrzebne - odparł Sokołow. - Oczywiście oprócz miejsca, w którym przetrzymywany jest Ośmiornica.

- Sharon i Luthor spróbują mu przywrócić pamięć - odparł Cole. - Do zobaczenia wkrótce.

Rozłączył się.

- A jeśli nie zechce mówić? - zapytała Christine.

- Nie ma takiej możliwości - odparł Wilson grobowym głosem. - Jeśli nie powie tego, co chcemy usłyszeć, zginie prawie osiemdziesiąt osób.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sokołow przybył półtorej godziny później i przeprowadził jeńca korytarzami „Teddy’ego R.” Schwytany pilot miał niemal trzydziestkę, był krótko ostrzyżony i służył we flocie od siedmiu lat. Nazywał się Alberto Torres i przejawiał typowe oznaki oszołomienia, jak każdy, kto znajdował się nie tak dawno na pokładzie niszczonej jednostki przestrzennej.

Przed oblicze Cole’a przyprowadzili go chorążcy Brill i Dunyach, podwładni z działu Sharon.

- Witam na „Teodorze Rooseveltie”, panie Torres - odezwał się kapitan. - Dlaczego pan mi nie salutował?

- Bo jest pan buntownikiem i przestępcą - odparł jeńiec. - A ja salutuję wyłącznie prawdziwym żołnierzom.

- Wie pan, dlaczego pana tu sprowadziliśmy?

- Wiem - odparł Torres.

- Zapytam tylko raz, zanim trafi pan w czułe dłonie mojego szefa ochrony: czy powie mi pan, gdzie znajduje się osiemdziesięciu jeńców, których ostatnio schwytaliście?

- Nie powiem.

- Dobrze. Zabrać go na przesłuchanie - powiedział kapitan do obu chorążych.

Zrobili w tył zwrot i pociągnęli Torresa za sobą do szybu windy, a potem do pomieszczeń sekcji Sharon.

- A wyglądał mi na takiego miłego, młodego człowieka - rzuciła Christine. - Mam nadzieję, że nie obejdą się z nim zbyt okrutnie.

- Ciekawe, jak się spisze to cudowne serum prawdy?

Odpowiedź na to pytanie poznał mniej więcej godzinę później, gdy holograficzna twarz Sharon pojawiła się nad jego stolikiem w mesie.

- Nie zadziałało - zameldowała.

- To jakaś podróbka?

- Wątpię - odparła. - Chyba został na nie uodporniony.

- A co powiesz na staromodną hipnozę? - zapytał Cole.

- Nie znam się na tym. Niemniej jeśli zdołał oprzeć się działaniu bliatholu, pewnie nie ulegnie czemuś tak prostemu jak hipnoza.

- W takim razie sprawdź, co tam jeszcze kryje się na półkach twojej szafki z medykamentami. Tracimy czas.

Westchnęła ciężko.

- Dobrze.

Przerwała połączenie. Zaraz potem w mesie pojawiła się Wal, zamówiła piwo i usiadła naprzeciw Wilsona.

- Powiedział już coś? - zapytała.

- Nie.

- Powinieneś podejść do niego ostrzej - poradziła. - Domyślam się, że twoja przyjaciółka stosowała na nim jakieś środki, ale nie działają.

- Przynajmniej na razie.

- Daj znać, jeśli będziesz potrzebował pomocy przy przesłuchaniu.

- Wolalbym dowiedzieć się, co ma nam do powiedzenia, a martwy niewiele powie - stwierdził oschle Cole.

Roześmiała się.

- Pamiętaj, zanim pierwszy raz się widzieliście, powiedziałam ci, że Ośmiornica to zwykły dupek. Jeśli go ocalisz, na-

tychmiast popełni kolejne głupstwo.

- Może to i dupek - przyznał Wilson - ale nasz. A co ważniejsze, osiemdziesięciu ludzi może zostać skazanych na śmierć za to, że słuchało jego rozkazów. Musimy ich uwolnić.

- Życie pirata było o wiele prostsze - stwierdziła sentencjonalnie. - Wtedy kierowałam się tylko jedną zasadą w takich sytuacjach: nie ma ludzi niezastąpionych.

Cole zauważył przechodzącego korytarzem Sokołowa i natychmiast przywołał go do stolika.

- Słucham, sir?

- Siadaj, Władimir - poprosił kapitan. - Chcę porozmawiać z tobą o Torresie.

- Mam dość słuchania tych chwytających za serce dyrdymałów - stwierdziła Wal. - Spadam stąd.

Gdy opuściła mesę, Cole wskazał opuszczone przez nią miejsce Sokołowowi.

- Opowiedz mi o nim, Władimir.

- A co tu do opowiadania? Nie zauważył, że nadlatuję, rozwalilem mu wszystko, zanim zdążył oddać choćby jeden strzał.

- Nie chodzi mi o jego zdolności pilotażu - poprawił się kapitan. - Jaki jest jako człowiek?

Sokołow wzruszył ramionami.

- Wydaje się miłym facetem. Gdybym nadal służył we flocie, moglibyśmy się pewnie zaprzyjaźnić.

- Czy mówił cokolwiek, kiedy go tu wieźliście?

- Nie rozmawialiśmy o niczym ważnym, sir. Na samym początku wypytałem go o miejsce przetrzymywania Ośmiornicy, więc wie, czego chcemy. Potem przeważnie nie odpowiadał na pytania.

- Przeważnie? - powtórzył Cole.

- Na początku sądził, że należę do floty, i chciał wiedzieć, dlaczego go zaatakowałem. Wydaje mi się, że wziął to za rodzaj testu na lojalność albo umiejętność dotrzymywania tajemnicy, ale potem wyjaśniłem mu, że jestem członkiem załogi „Teddy’ego R.” i służę pod panem. Od tej pory odmawiał odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania dotyczące kwestii militarnych, oprócz nazwiska, stopnia i numeru służbowego.

- Milczał przez prawie dwie godziny?

- Nie, sir - zaprzeczył Sokołow. - Rozmawialiśmy o sporcie.

- Tylko o sporcie?

Sokołow uśmiechnął się.

- I o dziewczynach.

- Dostrzegł pan jakieś słabe punkty, coś, co mogłoby go zmusić do mówienia?

- Nie znam się na tym, sir - odparł Sokołow. - Nie jestem psychologiem. Mam do czynienia jedynie z głęboką przestrzenią i moim okrętem.

- Rozumiem. Dziękuję, Władimirze.

Cole wstał i udał się do gabinetu. Po półgodzinie ponownie skontaktował się z Sharon.

- Jakież postępy?

- Nie - odparła. - Żadne środki farmakologiczne na niego nie działają. Jeśli podamy mu ich jeszcze trochę, rozwalimy siatkę neuronową w jego mózgu. - Westchnęła. - Dobrze go uodpornili.

- A jak on to znosi?

- Trzyma się. Prawdopodobnie utracił ostrość widzenia, ale to przejdzie z czasem.

- Nie mamy już czasu - ponaglił ją Cole. - Z wiadomości,

którą przechwyił Sokołow, wynikało, że transfer jeńców ma się odbyć nie później niż w ciągu dwóch dni standardowych. Sądzę, że zostały nam jeszcze trzy albo cztery godziny na złamanie tego chłopaka.

- Środkami farmakologicznymi niczego nie zdziałamy, tego jestem akurat pewna.

- W takim razie musimy użyć czegoś mocniejszego.

- Jak mocnego?

- Jak najmocniejszego - sprecyzował Cole. - Zaczynij od półśrodków i powoli przechodź do najtwardszych metod przesłuchań. Po pierwsze, jak powiedziałem, nie mamy już czasu, po drugie, wiemy, że jego umysł oprze się wszystkim środkom farmakologicznym, jakie posiadamy, dlatego musimy sprawdzić, jak wytrzymałe jest jego ciało. Tyle tylko, że nie może umrzeć, zanim nie powie nam tego, co chcemy usłyszeć.

- Przedyskutuję tę propozycję z Luthorem i resztą moich ludzi, zobaczymy, do jakich wniosków dojdziemy.

- Tylko nie radźcie zbyt długo - powiedział Cole. - Będę na mostku. Christine sprawdza jego numer służbowy. Może już dokopała się do czegoś użytecznego.

Piętnaście minut później na mostku pojawił się hologram Sharon.

- Wilsonie, lepiej zejdź tu do nas.

- Powiedział coś?

- Nie.

- Zabiliście go? - zapytał podniesionym głosem.

- Nie.

- Więc o co chodzi?

- W moim dziale pracuje pięć osób, wliczając w to mnie - wyjaśniła Sharon.

- I co z tego?

- Dwie już odmówiły uczestniczenia w tym przesłuchaniu - ciągnęła Blacksmith. - Uznali, że między ostrym przesłuchaniem a torturami nie ma, praktycznie rzecz biorąc, żadnej różnicy, i odmówili w nich udziału.

- Różnica polega na tym, że jeśli ich nie zastosujemy, umrze osiemdziesięciu naszych ludzi - zaczął wyjaśniać Cole.

- Nie przekonuj mnie - zbyła go. - Powiedz to im.

- Są tam teraz z tobą?

- Tak.

- Już do was schodzę.

- Oni mają rację - odezwał się w tym momencie chorąży Walsh, pełniący dyżur przy jednym ze stanowisk. - Jeśli dopuścimy się czegoś takiego, nie będziemy w niczym lepsi od Republiki.

- Republika, o której pan wspomniał, pozbawi życia osiemdziesięciu naszych ludzi, jeśli tego nie zrobimy.

- Takie są prawa wojny - stwierdził Walsh.

- Schwytałeś Alberto Torresa i powie nam to, co musimy wiedzieć - powiedział Cole. - To także prawo wojny.

- Nie dostrzega pan różnicy? - zapytał chorąży. - Ludzie Ośmiornicy zostali wzięci do niewoli na polu bitwy, jeśli można tak powiedzieć.

- Jedna trzecia naszej galaktyki jest teraz polem bitwy - zbył go Cole. - Torres także został na nim pojmany.

- Tylko że ich schwytano po nieudanej próbie napaści, a jego nie.

- Nie mam ochoty na filozoficzne dysputy z panem, panie Walsh - stwierdził Cole. - Życie zbyt wielu ludzi zależy od efektu tego przesłuchania.

- Ale to nie przesłuchanie, tylko tortury.

- Może uściślę, żeby wszystko było jasne: Torres musi przeżyć, ponieważ martwy nie powie nam tego, co musimy z niego wyciągnąć. Proszę więc zadać sobie pytanie, co jest gorsze: ostre przesłuchanie człowieka, który i tak przeżyje, czy pewna śmierć osiemdziesięciu innych?

Cole opuścił mostek, zanim Walsh zdołał sformułować sensowną odpowiedź. Dwie minuty później był już w sekcji bezpieczeństwa. Sharon czekała na niego.

- Gdzie oni są? - zapytał.

- W następnym pomieszczeniu.

Wszedł za drzwi i stanął twarzą w twarz z Brillem i Dunnyachem, dwoma chorążymi, którzy odprowadzali wcześniej Torresa na przesłuchanie.

- Jak rozumiem, odmówiliście wykonania rozkazu wydanego przez waszego bezpośredniego przełożonego - powiedział.

- Jak by pan na to nie patrzył, mamy do czynienia z torturami, sir. Nie mam zamiaru brać w nich udziału - odparł Brill.

- Wiecie, o jaką stawkę gramy? - zapytał Cole.

- Prowadzimy wojnę. Oni wiedzieli, co robią, i przegrali.

- A czy o naszym więźniu nie można powiedzieć tego samego?

- Proszę osadzić go w areszcie - zaproponował Dunnyach. - Albo rozstrzelać, jeśli to panu bardziej pasuje. Ale proszę nie prosić nas o pomoc w torturowaniu człowieka.

- Tortury. Ostatnio zbyt często słyszę to słowo - wybuchnął Cole. - Macie go przesłuchać, stosując nieco ostrzejsze metody i tyle.

- Bawi się pan w gierki słowne, sir - stwierdził Brill. - Każe nam pan zadać mu tak wielki ból, żeby się załamał i powie-

dział wszystko, co chcemy wiedzieć.

- Zgadza się.

- A to jest właśnie definicja tortur.

- Naprawdę? - zapytał kapitan. - A jeśli jeden solidny cios w splot słoneczny zmusi go do mówienia?

- Nie zmusi.

- Ale założmy przez chwilę, że jednak poskutkuje. Czy to też będą tortury?

- Nie - przyznał, aczkolwiek niechętnie, Brill.

- A cztery takie ciosy?

- Wiem, do czego pan zmierza, sir - stwierdził chorąży. - Nie potrafię jednak powiedzieć, gdzie przebiega granica pomiędzy ostrym przesłuchaniem a torturami i dlatego odmawiam teraz, żeby jej przypadkowo nie przekroczyć.

- Czy pułkownik Blacksmith zażądała, abyście robili z więźniem coś, co uważacie osobiście za odrażające? - Cole zadawał kolejne pytania. - Kazała mu wydłubać oko albo wbijać drzazgi pod paznokcie?

- Nie, sir - przyznał Dunyach. - Ale nie zamierzam trzymać więźnia, kiedy ktoś inny będzie to robił.

- Przytrzymałby mu pan głowę pod wodą do momentu, w którym by się utopił?

- Nie!

- Przytrzymałby mu pan głowę pod wodą do momentu, w którym prawie by się utopił? Powiedzmy przez sześćdziesiąt, siedemdziesiąt sekund.

Dunyach wyglądał, jakby rozważał w myślach odpowiedź. W końcu spojrzał kapitanowi w oczy.

- Mam już dość tego gadania. Może pan zrobić ze mną to, co z więźniem, ale odmawiam udziału w dalszym przesu-

chiwaniu.

- Mimo tego, że tym samym skazuje pan osiemdziesięciu ludzi na pewną śmierć?

- Tak jest.

- A czy świadomość, że oni wszyscy mogą być przed śmiercią poddani podobnym przesłuchaniom, nie robi na panu żadnego wrażenia?

Dunyach znów zaczął walczyć z myślami. Tym razem Brill odpowiedział jako pierwszy.

- Nie będziemy brali w tym udziału, sir. To nasza ostateczna decyzja.

- Rozumiem - stwierdził Cole. - Udajcie się teraz do swoich kajut. Zostaniecie wysadzeni na pierwszej tlenowej planecie, na jaką trafimy.

- Za to, że nie chcieliśmy torturować jeńca? - zapytał Brill.

- Nie - odparł kapitan. - Za odmowę wykonania rozkazu bezpośredniego przełożonego. Za to, że woleliście wybrać śmierć osiemdziesięciu naszych zamiast sprawienia manta jednemu wrogowi. A teraz jazda mi stąd.

Wyszli bez słowa, a Cole wrócił do biura Sharon.

- Czy możesz poprowadzić to przesłuchanie, mając do dyspozycji trzech ludzi zamiast pięciu?

- Nie wiem - przyznała szczerze. - Ale poproszę o pomoc Wal, jeśli będę miała z tym problem.

- Nie poprosisz - zastrzegł kapitan.

- Dlaczego? - zapytała, mocno zaciekawiona jego stanowczością.

- Ja tu dowodzę i tylko ja mogę wydać na to zgodę. Jeśli będziesz potrzebowała pomocy przy kolejnych metodach przesłuchania, zwrócisz się o nią bezpośrednio do mnie, nie do kogoś

innego.

- Jesteś pewien, Wilsonie?

- Nie mogę wyrzucić tych ludzi z załogi tylko za to, że nie zrobili czegoś, czego sam bym nie chciał, ale z drugiej strony nie mogę pozwolić, by zginęło osiemdziesięciu naszych, skoro istnieje choćby cień szansy na ich ocalenie.

- Rozumiem. Bierzmy się zatem do roboty. Czas nam się kończy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nie było miło, nie obeszło się bez bólu, ale zrobili to szybko i w niespełna pół godziny wyciągnęli wszystkie potrzebne informacje. Cole opuścił sekcję bezpieczeństwa i wrócił na mostek.

- Rozwiązaliście mu język? - zapytała Wal, ledwie dotarł na miejsce.

- Rozwiązaliśmy - odparł zwięźle Cole.

- Wiedziałaś, że się uda - mruknęła. - Choć wyglądał mi na twardziela. - I zaraz dodała: - Ale przeżył?

- Tak.

- I nie zrobiliście z niego kaleki na całe życie?

- Nie.

- W takim razie był mięczakiem - oświadczyła zdecydowanym tonem.

- Nie wszyscy są tacy twardzi jak ty - wypalił w odpowiedzi Cole. - A mnie jest żal tego biednego sukinsyna. Zajmował się swoimi sprawami gdzieś na zadupiu. Nie prosił wcale o tę informację ani o kontakt z bazą. Jest klasyczną ofiarą zbiegu okoliczności.

- Wszyscy mamy podobny problem - odparła. - Ale tylko ludzie kompetentni potrafią obrócić go na swoją korzyść.

Cole chciał jej powiedzieć, że pewnie sama nie wytrzymałaby takich metod przesłuchania, jakie zastosowali przy Torresie, ale nagle uświadomił sobie, że ma do czynienia z jedyną osobą na pokładzie okrętu, której mogłoby się to udać. Dlatego zmilczał tę uwagę i podszedł do Wxakgini.

- Pilocie, zabierz nas na jednej nodze do systemu Malagori.

- Na jednej nodze? - zdziwił się Bdxeni.

- To takie starodawne powiedzonko. Oznacza: najszybciej jak możesz.

- Ale przecież to nie ja mam się poruszać najszybciej, tylko nasz okręt...

- Zrób, o co proszę! - Cole podniósł głos. - Mam za sobą naprawdę paskudny dzień i nie zamierzam wdawać się w kolejne dyskusje o semantyce!

Wxakgini odwrócił się bez słowa do komputera nawigacyjnego.

- Malagori? - Rachel zmarszczyła brwi. - Gdzie on leży? Wydawało mi się, że jest niezamieszkaany.

- Kilka lat temu skolonizowano piątą planetę tego systemu - wyjaśnił Cole. - Nazwano ją Ostowiskiem.

- Ciekawe dlaczego - mruknęła Domak.

- Dowiemy się, jak tam dolecimy - odparł kapitan. - Z tego, co do tej pory zdołałem ustalić, to tranzytowa planeta. Republika zbudowała na niej kilkanaście gigantycznych magazynów, w których przetrzymywane są towary z odległych kolonii oraz to, co flota zdoła zagrabić na Wewnętrznej Granicy. Stamtąd rozsyła się wszystko na inne światy.

- I mają tam więzienie na osiemdziesiąt osób? - zapytała Rachel.

- Wątpię. Dlatego chcą ich tak szybko przenieść. Pewnie trzymają ich w jednym z magazynów.

- Jakimi środkami obrony dysponują? - Wal zmieniła temat rozmowy.

- Zwykłymi planetarnymi - odparł Cole. - Nic, czym mo-

gliby zagrozić „Teddy’emu R.”

- W takim razie to bułka z masłem - stwierdziła.

Pokręcił głową, słysząc tę uwagę.

- Źle mnie zrozumiałaś. Na planecie nie ma niczego, co by nam mogło zagrozić, ale musimy założyć, że w systemie znajduje się sporo okrętów. Nie wiedzą przecież, czy Ośmiornicy nie udało się wysłać zakodowanego wezwania o pomoc, zanim trafił w ich łapy.

- Czy teraz możemy już poprosić naszych sojuszników o pomoc? - zapytała Domak.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - powiedział kapitan. - Dysponowaliśmy tylko dwoma okrętami mogącymi wytrzymać równie mocny ostrzał jak „Teddy R”. Jeden z nich nie ma silnika, drugi został przejęty przez flotę... - Zamilkł na moment. - Musimy wymyślić coś mniej bezpośredniego. - Odwrócił się do Rachel. - Sokołów jeszcze nie odleciał?

- Nie, sir.

- Jego okręt wciąż jest przycumowany?

- Tak, sir.

- Świetnie - ucieszył się Cole. - Powiedz pilotowi, żeby wybrał najdogodniejsze miejsce na spotkanie z Moyerem, Perezem, Floresem i... może Jonaszem, synem Ośmiornicy, jeśli nie pojmano ich razem. Potem skontaktuj się z nimi i przekaż, że mają tam być za dziesięć godzin.

- Tak jest.

- I daj mi znać, gdyby pojawiły się jakieś problemy.

Ruszył w stronę wind, gdy z tyłu dobiegł głos Wal.

- A ty gdzie idziesz?

- Do saloniku oficerskiego. Zamówię drinka i spróbuję nim zmyć z ust gorycz ostatnich godzin.

Powiedziawszy to, zjechał dwa pokłady niżej. Zastanawiał się, czy nie poprosić o towarzystwo Sharon, ale gdy opuszczał sekcję dwadzieścia minut wcześniej, jej spojrzenie sugerowało, że nie pragnęła niczyjego towarzystwa, nawet jego.

Dawid Copperfield i Platynowy Książę grali w saloniku w karty, tym razem w coś, czego nie wymyślił człowiek.

- Nauczyłeś Księcia nowej gry? - zapytał Dawida.

- Tym razem to on uczy mnie - odparł mikry kosmita. - Pod tym warunkiem zgodził się grać w wista.

- Cóż, wszyscy musimy poświęcać się w taki czy inny sposób - stwierdził kapitan, opadając na miękką skórzany fotel.

- Czy jeniec powiedział w końcu to, co chcieliśmy wiedzieć? - zapytał Książę.

- W końcu tak.

- Jak długo wytrzymał?

- Osiemnaście albo dwadzieścia minut - podliczył kapitan, krzywiąc się. - Dla niego to musiała być wieczność.

- Nie pytam nawet, co mu robiliście. - Książę się wzdrygnął. - Ale musi mi pan jedno powiedzieć.

- Tak.

- Czy pozwoliłby pan na coś takiego, gdyby potrzebował pan strategicznej informacji posiadanej przez tego człowieka, ale nie wiedział, że zależy od niej życie osiemdziesięciu naszych sprzymierzeńców?

- Nie wiem, czy „coś takiego” pozwoli nam ich uratować - odparł Cole. - Pozyskanie tej wiadomości jedynie zwiększa szanse powodzenia. Nie wiemy przecież, jakie niespodzianki przygotowała flota w miejscu ich uwięzienia.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Bo nie znam na nie odpowiedzi - przyznał szczerze kapi-

tan. - I mam nadzieję, że nigdy jej nie poznam.

- Cóż, przynajmniej jest pan ze mną szczerzy.

- Ja mogę odpowiedzieć na pańskie pytanie - wtrącił Dawid Copperfield. - Mój przyjaciel Steerforth pod żadnym pozorem nie pozwoliłby na stosowanie tortur.

- Zdaje się, że nie słuchałeś uważnie naszej rozmowy, mój drogi - napomniał go Książę. - On już to zrobił.

- Czy więzień przeżył? - kontynuował kosmita. - Czy wyjdzie z tego bez szwanku na zdrowiu?

- Odpowiedź na oba pytania brzmi: tak.

- Zatem mieliśmy do czynienia z przesłuchaniem, a nie torturami.

- Granica pomiędzy tymi pojęciami jest naprawdę mglista - stwierdził Cole. - I nie wiem, czy jej przypadkiem nie przekroczyliśmy. Jedno jest tylko pewne, gdybyśmy tego nie zrobili, skazalibyśmy na pewną śmierć osiemdziesięciu naszych ludzi. A tak mamy chociaż cień szansy na ich ocalenie.

- Wojna to piekło - stwierdził Dawid.

- Cytat z Shermana - zauważył Wilson.

- Nie, z admirał Vosburgh. Tak powiedziała tuż przed zniszczeniem Pinchona V - zaprotestował Książę.

- Obaj się mylicie - rzucił Dawid. - To cytat z nieśmiertelnego Karola.

- Zapewniam cię, przyjacielu, że nie każde błyskotliwe zdanie zostało napisane przez Dickensa - powiedział Cole.

Mały kosmita wyjął z kieszeni talię kart. Wyciągnął rękę z nimi w kierunku Wilsona.

- Wyjmij jedną.

Cole wyjął siódmkę.

- Teraz moja kolej - powiedział Dawid i wyciągnął wale-

ta.

Z wyrazem tryumfu na twarzy schował karty do kieszeni.

- Po co to wszystko było? - zapytał kapitan.

- Wygrałem.

- Dobra, wygrałeś, i co z tego?

- To, że ustaliliśmy autora. Dickens to powiedział.

- Ciekawe, co by było, gdyby nasz przyjaciel przeczytał najpierw „Manifest komunistyczny”? - zapytał z przekąsem Książę.

- Obawiam się, że mógłby trafić jeszcze gorzej - stwierdził Cole. - Gdyby trafił na „Fanny Hill”, wszystkie kobiety z naszej załogi miałyby nielichy problem.

- Albo na tego canphoryjskiego poetę Tanblixta, wie pan, tego, który wykorzystuje pełną symbolikę kosmosu.

- Czy możecie przestać o mnie mówić w taki sposób, jakby mnie tu nie było? - poprosił Dawid.

- Przecież ciebie tu nie ma - odparł Książę.

- Co proszę?

- Zastąpił cię ktoś, kto tak bardzo kocha Karola Dickensa, że wydaje mu się, iż jest Dawidem Copperfieldem.

- Steerforth, przyjacielu, każ wtrącić tego gbura do aresztu! - zażądał kosmita.

- Uspokójcie się natychmiast. Obaj - powiedział Cole.

- On mnie obraził! - żalił się Copperfield.

- Lubię cię, Dawidzie - stwierdził Książę - ale to nie zmienia faktu, że jesteś obłąkany.

- Zamknijcie się wreszcie! - kapitan wydarł się tak głośno, że obaj wlepili w niego wytrzeszczone oczy. - Właśnie zrobiłem coś, czego przysięgałem nigdy nie robić - dodał. - Nie dobijajcie mnie, proszę.

Zanim zdążyli przeprosić go albo wrócić do sprzeczki, on zerwał się na równe nogi i opuścił salonik. Podążając podniszczonymi korytarzami, mijając powgniatane tu i ówdzie grodzie, dotarł w końcu do sekcji bezpieczeństwa. Sharon była tam sama, więc od razu podszedł do niej.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Marnie.

Ujął ją za dłoń i zmusił do wstania.

- Idziemy - powiedział.

- Dokąd?

- Do mojej kajuty. Zmarniejemy na spótkę.

- Miałam nadzieję, że to właśnie powiesz - stwierdziła.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wyszli z tunelu czasoprzestrzennego Baxtera około trzech lat świetlnych od najdalej wysuniętej planety systemu Malagori. Niespełna godzinę później dołączył do nich Moyer, a po nim pozostali wezwani.

Cole pomyślał, że im bardziej tego nienawidzi, tym częściej musi pojawiać się na mostku. A skoro już tu był, zwrócił się do Jacovica.

- Nie mamy sposobu na sprawdzenie z tego miejsca, czym dysponuje obrona Malagori V. Jeśli podejmiemy bliżej, ryzykujemy, że nie tylko my ich, ale także oni nas zobaczą. Nie wiem, kto może lepiej zaprogramować sondę, Christine czy pan Odom, ale muszę to zlecić komuś z nich. Zanim wlecimy w ten system, chciałbym wysłać próbnik w pobliże planety, żeby przesłał nam kompletne dane o jej systemach obrony. Potem pošlę go w samo serce Malagori.

- Malagori... - powtórzył Teroni. - Chodzi panu o gwiazdę o tej nazwie, nie planetę?

- Oczywiście. Zapewne zdążą ją wcześniej zniszczyć, ale na wypadek gdyby im się to jednak nie udało, wolalbym, aby nie mieli szansy na jej przechwycenie i sprawdzenie, kiedy i komu przesłała dane.

- Myślę, że pan Odom okaże się lepszy w te klocki - odpowiedział Teroni.

- Tak, wiem, ale na wszelki wypadek każę mu ściśle współpracować z Christine, aby zyskać stuprocentową pewność,

że nikt inny nie przechwyci sygnału - powiedział Cole. - Szlag by to. Szkoda, że nie ma z nami pana Briggsa. Christine pracuje na okrągło. Zaczynam się powoli obawiać o jej stan psychiczny.

- Mogłabym jej trochę pomóc w tej robocie - zaoferował głos Sharon.

- Doprawdy?

- Melocin, Lodinita, który niedawno dołączył do naszej załogi, jest ekspertem od komputerów i oprogramowania. Przeszedł śpiewająco wszystkie testy psychiki, jakie tylko mogłam mu zrobić, pamiętając oczywiście, że to nie człowiek, i stosując miary odpowiednie dla jego rasy. Wydaje mi się, że jeśli Christine pokaże mu kody, nad którymi pracuje, to po godzinie otrzyma odpowiedź, w których miejscach była zbyt zmęczona, by zachować odpowiednią czujność.

- Skoro ty ręczysz za niego, to dla mnie wystarczająca rekomendacja - stwierdził Cole.

- To naprawdę warunkowe poręczenie.

- Ale wystarczy. Jak tylko Christine upora się z sondą, poproszę ją, by nauczyła go czego trzeba.

Zaprogramowanie urządzenia trwało dłużej, niż kapitan zakładał, ale po czterdziestu minutach pracy można je było wystrzelić. Po minucie sonda mknęła już z prędkością światła, a dosłownie chwilę później zaczęła przekazywać pierwsze obrazy.

- Szlag by to! - zaklął Cole, przyglądając się nadsyłanym hologramom. - To okręt klasy M.

- Ale tylko jeden - zauważył Sokołow, który od chwili przycumowania spędzał sporo czasu na mostku w towarzystwie Cole'a.

- Tak, ale proszę nie zapominać, że ten jeden samotny okręt posiada większą siłę ognia niż „Teddy R.” i trzydzieści

jednostek klasy H i J razem wziętych - powiedział Wilson. - Nie możemy się z nim mierzyć. Na dodatek to jeden z najnowocześniejszych modeli. Nie wiem nawet, czy dysponujemy czymkolwiek, co przebije jego osłony.

Transmisja sondy urwała się nagle.

- Co się stało? - zapytał Cole. - Została zestrzelona?

- Nie, sir - odpowiedział mu głos Mustafy. - Zakończyła transmisję i leci teraz z prędkością nadświatlną w kierunku tu-tejszej gwiazdy.

- Rozumiem - ucieszył się Cole. - Dziękuję, panie Odom.

- Sir? - odezwała się Domak.

- Słucham.

- Namierzyłam emisję neutrino na powierzchni piątej planety - zameldowała Polonoi. - Wydaje mi się, że to może być miejsce, w którym przetrzymywany jest Ośmiornica i pozostali jeńcy.

- O ile nie wybudowano tutaj innych kompleksów, o których nie mamy nawet pojęcia - wtrącił Sokołow.

- Nie sądzę - odparł Cole. - Gdyby istniał tutaj jeszcze jeden ośrodek Republiki, Domak odbierałaby dwie emisje neutrino. - Odwrócił się do Polonoi. - Proszę szukać dalej, ale jeśli nie znajdzie pani nowych źródeł emisji, przyjmujemy, że zlokalizowała pani miejsce pobytu jeńców.

- Ma pan dla mnie jakieś instrukcje, sir? - zapytał Jacovic. Kapitan zaprzeczył ruchem głowy.

- Proszę dać Domak pół godziny na ostateczne sprawdzenie, czy to jedyne źródło emisji na powierzchni planety.

- Czy załoga tego okrętu nie zorientuje się, że przebywamy w pobliżu, sir? - zaniepokoił się Sokołow. - Wątpię, aby przeoczyli naszą sondę.

- Wiedzą o niej - rzucił Cole.

Sokołow zmarszczył brwi.

- Zatem...

- Uspokój się, Władimir - przerwał mu kapitan. - Nie polecą nas szukać.

- Dlaczego pan tak uważa? - zapytała Domak.

- Ponieważ widzieli jedynie sondę. Nie mają pojęcia, iloma jednostkami dysponujemy. Oni mają jedną, to prawda, że wielką i potężną, ale tylko jedną. Dlatego nie opuszczają orbity w pogoni za nami, żeby nie wystawić jej na żer, gdybyśmy mieli znaczną przewagę liczebną.

Christine Mboya pojawiła się na mostku.

- Nieźle pani sobie poradziła z tą sondą - pochwalił ją na przywitanie Cole.

- To raczej zasługa pana Odoma, sir - odparła. - Ja znałam kody, ale to on wiedział, jak zaprogramować sondę.

- W takim razie cofam pochwałę - stwierdził Cole, zaskakując ją zupełnie. - Żartowałem, poruczniku.

- Żeby pana pokreć, sir - odparła z poważną miną.

- Poproś Meloctina, tego nowego Lodinitę, żeby przyszedł na mostek. Jak już się tu znajdzie, chcę, żebyś razem z Domak wyjaśniła mu wszystko na temat obsługi swojego stanowiska, żeby mógł je od ciebie przejąć.

- Tak jest.

- Sir? - odezwał się Sokołow.

- Tak?

- Wracając do tematu poruszonego w rozmowie z porucznik Domak, jakim cudem chce pan przejść obok nich i odbić jeńców, jeśli ten pancernik nie ruszy się z orbity?

- Nie ja - zbył go Cole - tylko Wal to robi.

- Pierwsza rozsądna rzecz, jaką powiedziałaś od wielu miesięcy - stwierdziła rudowłosa, jej hologram pojawił się nad konsolą stanowiska Christine.

- Dzięki za ten głos rozsądku - mruknął kapitan.

- Gadaj lepiej, jaki masz plan - popędziła go Walkiria.

- Wciąż nad nim pracuję.

- W takim razie lepiej się pospiesz - odparła. - Akcja straci sens, kiedy wywiozą stąd jeńców.

- Wydawało mi się, że los Ośmiornicy średnio cię obchodzi.

- Mam go gdzieś. Ale zależy mi na zabiciu ludzi, którzy go przetrzymują.

- Minęłaś się z powołaniem - stwierdził Cole.

- Doprawdy?

- Powinnaś być pacyfistką.

- A to ci odmiana - zdziwiła się Wal. - Briggs i Sokołow wmawiają mi, że powinnam zostać modelką, a Książę nieustannie proponuje mi zostanie szefem sali w jego norze.

- Idź się prześpij, żeby ci uroda nie zwietrzała - poradził jej Cole. - Dam ci znać, kiedy będziesz potrzebna.

- Nie jestem śpiąca.

- Do cholery, będę potrzebował kogoś o jasnym umyśle, jeśli do akcji dojdzie dopiero za osiem, dziesięć godzin!

- W takim razie trzymaj rękę na pulsie - powiedziała Wal, gdy hologram zaczął blaknąć. - Będę gotowa.

Gdy zniknął całkowicie, kapitan odwrócił się do Sokołowa.

- Ona to zrobi, jak pan widzi.

- Wiem, sir... - Na moment zapadła niezręczna cisza. -
Może mi pan powiedzieć, jak będzie wyglądała akcja uwolnie-

nia Ośmiornicy i jego ludzi?

- Jedno jest pewne: nie polecimy na spotkanie z tym pan-cernikiem Republiki - stwierdził Cole.

- Zatem jak...

- Pracuję nad tym.

Wilson podszedł do Wxakgini, wiszącego wysoko na grodzi, ni to w hamaku, ni w kokonie. Bdxeni miał zamknięte oczy, dzięki bezpośrednim połączeniom mózgu z obwodami komputerów nawigacyjnych widział wszystko, co rejestrowały czujniki.

- Pilocie, musimy porozmawiać.

- Przecież nie śpię - odparł Wxakgini.

- Czy w systemie Malagori są jakieś tunele czasoprzestrzenne? - zapytał kapitan. - Chodzi mi zwłaszcza o rejon pomiędzy piątą a szóstą planetą?

- Jest jeden.

- Dokąd prowadzi?

- Jego wyjście znajduje się w systemie Benadotti, mniej więcej dwadzieścia dziewięć lat świetlnych stąd.

- To powinno wystarczyć - uznał Cole i odwrócił się do Domak. - Ile księżyców mają Malagori VIII i IX?

- Ósma planeta posiada ich jedenaście, a dziewiąta sześć - wyliczyła Polonoi.

- Świetnie. Panie Jacovic, iloma niewielkimi jednostkami dysponujemy w chwili obecnej?

- Czterema wahadłowcami i okrętem porucznika Sokółowa, sir - odparł Teroni.

- A w najbliższej przestrzeni?

- Są jeszcze jednostki panów Moyera, Pereza, Floresa i... jeszcze ten okręt Lodinitów z panem Briggsem na pokładzie. Zdaje się, że on także przyleciał tutaj za nami.

- Który z siedemnastu wspomnianych księżyców najmniej nadaje się do zamieszkania? - pytał dalej Cole.

- Powiedziałbym, że czwarty z należących do ósmej planety, sir - uznał Jacovic. - Atmosfera metanowa, górzysta powierzchnia pokryta ostrymi formami krystalicznymi, średnie temperatury na poziomie minus dziewięćdziesiąt pięć stopni Celsjusza, nieustannie wiejące huraganowe wiatry...

- Wystarczy, panie Jacovic - przerwał mu kapitan. - Przyjmuję pański wybór. - Ruszył przez mostek w stronę szybów wind. - Będę w mesie jakby co.

Zjechał na odpowiedni pokład, wszedł na salę i zajął miejsce przy ulubionym stoliku. Nie zdziwił się, widząc, że Sharon siedzi już przy nim.

- Czy mogę przyjąć pańskie zamówienie? - odezwał się stolik.

- Kawa i sernik.

- Dziękuję.

- Sernik? - zdziwiła się Sharon. - Wydawało mi się, że jesteście na diecie.

- A kogo to obchodzi, skoro mamy zginąć za kilkanaście godzin - odparł spokojnie Cole. - A jeśli przeżyjemy, możesz potraktować ten posiłek jako przedwczesne świętowanie sukcesu.

- To chyba znaczy, że masz już plan.

- Mam.

- Mam tylko nadzieję, że nie dojdzie do walki z tym pancernikiem.

- Ja też mam taką nadzieję - wtrącił z uśmiechem na ustach.

Rozluźniła się nieco.

- To mi ulżyło.

- Wiedziałem, że ta myśl ci się spodoba - powiedział. - Jak tam nasz młodzieniec?

- Alberto Torres? - zapytała. - Zajrzałam do niego godzinę temu. Śpi jak zabity, wygląda na to, że nie mamy powodów do obaw.

- Świetnie - ucieszył się Wilson. - Za kilka godzin będziemy wiedzieli, czy warto było posuwać się tak daleko.

- Oczywiście, że warto było - zapewniła go Sharon. - Gdyby nie wyciągnięte informacje, nie wiedzielibyśmy nawet, że oni tu przebywają.

- To prawda.

- Jaki masz plan?

- Nie odchodź za daleko, to dowiesz się razem z innymi. Muszę jeszcze raz porozmawiać z pilotem.

- Dlaczego więc nie zrobisz tego od razu?

- Ponieważ każda rozmowa z nim doprowadza mnie do rozstroju żołądka, a skoro już zamówiłem sobie ciastko, chciałbym je spożyć i strawić w spokoju.

- Dalekowzroczny i zapobiegliwy - stwierdziła Sharon, uśmiechając się szeroko. - Nic dziwnego, że zostałeś kapitanem.

Kawa i sernik pojawiły się na stoliku. Cole natychmiast przystąpił do konsumpcji.

- Jak ci smakuje? - zapytała z zaciekawieniem Blacksmith.

- Kawa jest niezła. Sernik przypomina w smaku klej mączny, ale nie jest aż tak dobry. - Westchnął głośno. - Zaczynam tęsknić za Stacją Singapur.

- Zacznij się od niej odzwyczajając - poradziła. - Jeszcze wiele czasu upłynie, zanim będziemy mogli tam wrócić.

- Wiem - przyznał, wstając od stołu. - Im szybciej załatwi-

my złych facetów i obalimy najpotężniejszy rząd, jaki kiedykolwiek istniał, tym prędzej znowu skosztuję cielęciny w parmezanie w kasynie Księcia.

- Nie zamierzasz dojeść serniczka? - zapytała, gdy ruszył w stronę drzwi.

- Jest twój.

Nabrała mały kawałek na widelec i włożyła go do ust.

- Nie miałeś racji - powiedziała.

- W której kwestii?

- To nie ma smaku kleju mącznego.

- Dla mnie ma.

Pokręciła głową.

- Klej ma o wiele przyjemniejszy zapach, nie mówiąc już o konsystencji.

- Niech ci będzie - rzucił i wyszedł.

Chwilę później znów stał na mostku i rozmawiał z Wxakgini.

- Czy w tym systemie albo w jego pobliżu są jeszcze inne tunele czasoprzestrzenne, którymi okręt może wynieść się stąd w diabły?

- Już mówiłem.

- Chodzi mi o inne tunele.

- Muszę to sprawdzić - burknął Wxakgini.

- Nie ma sprawy, i tak nigdzie się nie wybieram.

- W takim razie po co pan pyta?

- To taka figura retoryczna - wyjaśnił Cole. - Oznacza, że będę tu czekał na odpowiedź.

- Ziemianie - mruknął rozdrażniony Bdxeni, ale zaraz potem spojrzał w dół na kapitana. - Jest tunel czasoprzestrzenny MacGrudera, aktualnie obejmuje sto trzydzieści stopni prze-

strzeni wokół gwiazdy i znajduje się mniej więcej na orbicie Malagori IX. Można nim odlecieć na odległość czterystu lat świetlnych, w pobliżu czwartej planety systemu Delamere.

- To powinno wystarczyć - powiedział Cole. - Dziękuję.

Wxakgini nie usłyszał odpowiedzi, jego umysł pogrążył się ponownie w trzewiach komputera.

Christine Mboya i Domak wciąż przyuczały Meloctina, gdy kapitan podszedł do nich.

- Nie chciałbym przeszkadzać - wtrącił - ale potrzebuję cię na chwilę, Christine. - Spojrzał na Lodinitę. - Wybacz, ale to naprawdę pilna sprawa.

- Rozumiem, kapitanie Cole - odparł kosmita.

- O co chodzi, sir? - zapytała Mboya.

- Chciałbym, abyś porozmawiała z pilotem i wyciągnęła z niego dokładne koordynaty tunelu czasoprzestrzennego, o którym rozmawialiśmy - tego znajdującego się na orbicie Malagori IX - oraz informacje na temat znajdującego się u jego wylotu systemu Delamere. Trzeba je potem zaimplementować do komputerów na okrętach panów Moyera, Sokołowa, Pereza, Floresa oraz na jednostce Lodinitów i naszych wahadłowcach. Na koniec umieść w nich także dokładne koordynaty emisji neutrino namierzonej na powierzchni Malagori V. Zdasz to zrobić w kwadrans?

- Tak jest.

- Świetnie. Możesz zaczynać.

Teraz Cole skontaktował się z Walkirią.

- Nie śpisz już, Wal?

- A wyglądam na śpiącą?

- Wyślemy cztery wahadłowce z pełną obsadą. Będzie lekki ścisk, ale dasz sobie radę, to tylko trasa pomiędzy planetą

a „Teddym R.” Masz wybrać dwanaście osób do zespołu uderzeniowego i rozmieścić ich po równo na wszystkich jednostkach. Mają być gotowi za dwadzieścia minut, ale nie startujcie, zanim nie wydam rozkazu. Zrozumiano?

- No wreszcie - powiedziała tylko tyle.

Dwanaście minut później Christine oderwała wzrok od komputera.

- Gotowe, sir - zameldowała.

- Świetnie - ucieszył się Cole. - Daj mi znać, kiedy Wal i jej ludzie znajdą się w dokach wahadłowców.

Nagle uprzytomnił sobie, że napięcie na mostku rośnie z każdą chwilą, ludzie zaczynali zdawać sobie sprawę z tego, że klamka zapadła i rozpoczynają operację ratunkową.

- Zaraz wrócę - rzucił Cole i ruszył w stronę windy.

Chwilę później otwierał drzwi saloniku oficerskiego, w którym, zgodnie z jego przypuszczeniem, Copperfield i Platynowy Książę grali w karty.

- Dawidzie - powiedział - nie chciałbym cię dekoncentrować, ale wydaje mi się, że najwyższa pora wracać za gródź.

Mały kosmita nie odezwał się słowem. Rzucił karty na stół, zerwał się na równe nogi i pognął w stronę drzwi.

- A pan może zacząć zbierać zakłady o to, czy dożyjemy wieczora - zasugerował Księciu kapitan.

- Jeśli wyjdziemy z tego cało - odparł człowiek z platyny - zamierzam wydać wszystkie moje przyszłe dochody i kupić sobie pańskie poczucie humoru.

- Jeśli dożyjemy do jutra, obiecuję, że będę się śmiał razem z innymi po jednym z pańskich dowcipów - przyrzekł Cole.

- Trzymam pana za słowo.

- Tylko niech pan nie opowiada tego o ministrze i tance-

reczce.

Cole opuścił salonik i wrócił na mostek.

- Wszyscy są już w drodze do doków, sir - zameldowała Christine.

- Poprawka - odezwał się głos Wal. - Już tu są.

- Świetnie. Christine, połącz mnie z dokami, Moyerem, Perezem, Floresem i Briggsem. Aha, i jeszcze z okrętem pana Sokołowa.

- Tego ostatniego nie musisz robić - wtrąciła Wal. - Sokołow jest ze mną.

- Wszystko gotowe, sir - zameldowała Christine.

- Dobrze. - Cole stanął na rozstawionych szeroko nogach.

- Wal, kiedy wydam rozkaz, wszystkie wahadłowce opuszczą pokład „Teddy’ego R.” i udadzą się na czwarty księżyc ósmej planety tego systemu. Macie wylądować na jego przeciwległej stronie, nie pozostawać na orbicie. Pozostałe cztery jednostki uczynią to samo. Wiem, że mamy zakodowaną łączność i nikt nie może nas podsłuchać, ale na wszelki wypadek zachowajcie kompletną ciszę radiową.

- I co dalej, sir? - zapytał Dan Moyer. - Z tego, co wiemy, jeńcy znajdują się na czwartej planecie.

- To prawda, ale mając na karku pancernik klasy M, nie zdołamy do niej podejść. Wasze jednostki pozostaną w ukryciu do momentu odciągnięcia tej jednostki przez „Teddy’ego R.”. Pilot twierdzi, że pomiędzy piątą a szóstą planetą znajduje się tunel czasoprzestrzenny, który prowadzi do odległego o dziewięć lat świetlnych systemu Benadotti. W chwili, gdy okręt Republiki wejdzie w niego za nami, startujecie z księżycy i robicie co trzeba, by oswobodzić Ośmiornicę i jego ludzi. Christine wgrała do waszych komputerów koordynaty miejsca, w którym

się znajdują.

- Dobra - odezwała się Wal. - Uwalniamy ich i co dalej? Ten pancernik może za tobą nie polecieć, a jeśli nawet, to nie zniknie na długo.

- Prawdę powiedziawszy, waszym zadaniem będzie także upewnienie się, żeby wrócił jak najszybciej - stwierdził kapitan. - Jak tylko wykonacie zadanie i uwolnicie jeńców, musicie przed odlotem zrobić, co się da, by włączyły się wszystkie alarmy, lokalne i podprzestrzenne... - Przerwał na moment, by upewnić się, że nikt nie ma dodatkowych pytań. - Wszystkie komputery pokładowe mają dokładne dane tunelu czasoprzestrzennego MacGrudera. Dzięki niemu znajdziecie się niemal czterysta lat świetlnych stąd. Gdy wrócicie do normalnej przestrzeni, skierujcie się na trzecią planetę systemu Delamere i poczekajcie na nas, a jeśli nie zjawimy się w ciągu sześciu albo siedmiu godzin, uznajcie nas za poległych i ruszajcie swoją drogą. Dowództwo przejmie po mnie Ośmiornica. A teraz do dzieła.

Przerwał połączenie i obserwował na głównym ekranie, jak wszystkie jednostki kierują się na czwarty księżyc Malagori VIII.

- Przewidywany czas lądowania? - zapytał.

- Za około dwanaście minut, sir - odparł Jacovic.

- Dajmy im dwadzieścia - poleciał Cole. - Kto jest w przedziale bojowym? A zresztą jakie to ma znaczenie? Zaczniemy strzelać już z tej pozycji.

- Wątpię, abyśmy mogli wyrządzić im jakiegokolwiek szkody, sir - zaoponował Jacovic.

- Mam zamiar ich rozzłościć - wyjaśnił Cole. - Mamy jakieś szanse na uszkodzenie ich transmitera?

- Wątpię, sir - powiedział Teroni. - Klasa M ma znakomitą ochronę zarówno anteny, jak i transmitera.

- Rozumiem. Są z pewnością szybsi od nas, ale szczerze mówiąc, wątpię, by dogonili „Teddy’ego R.”, zanim wykona skok do Benadotti. Poza tym my wiemy, dokąd zmierzamy, a oni nie.

- Nie zawrócą, jeśli zorientują się, że odciągamy ich od planety? - zapytała Christine.

- Pilot twierdzi, że nie ma sposobu na dokonanie zwrotu w tunelu czasoprzestrzennym - wyjaśnił Cole. - Do tej pory jeszcze ani razu nie mylił się w takich kwestiach. I mam nadzieję, że tak zostanie, bo dzisiaj jest naprawdę nieodpowiedni moment na popełnianie pierwszego błędu.

- Po wyjściu z tunelu nadal będziemy w nieciekawej sytuacji, sir - zauważyła. - Tam nas zaczną doganiać.

Cole odwrócił się do Jacovica.

- Proszę jej to wyjaśnić, komandorze.

- W tym właśnie celu Wal musi włączyć wszystkie alarmy - powiedział Teroni. - Mając do wyboru konieczność obrony Malagori V i przebywających tam jeńców albo pościg za „Teodorem Rooseveltem”, powinni wybrać to pierwsze.

- O ile wszystko pójdzie zgodnie z planem - dodał Cole.

Czekali w kompletnej ciszy, aż upłynie dwadzieścia minut. Potem kapitan polecił Wxakgini, aby rozpoczął podejście do piątej planety systemu.

- Żadnych przyspieszeń, żadnych wybiegów. Lecisz prosto jak strzała, pilnując tylko jednego: żebyśmy byli bliżej wylotu tunelu niż oni.

- Czy wolno mi wykonywać uniki, jeśli otworzą ogień? -

zapytał Bdxeni.

- Jeśli nie będzie to kolidowało z poprzednim rozkazem, czyli trzymaniem się bliżej wylotu tunelu czasoprzestrzennego. Pozostałe polecenia może wydawać ci komandor Jacovic. On już nieraz przechodził przez coś podobnego.

- Dziękuję za zaufanie, sir - odezwał się zniżonym głosem Teroni. - Ale prawdę powiedziawszy, ani razu nie miałem do czynienia z podobną sytuacją.

- W takim razie niech to pozostanie naszym małym, słodkim sekretem - zaproponował Cole, gdy „Teddy R.” ruszył w stronę Malagori V.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Jesteśmy bliżej tego cholernego tunelu? - zapytał Cole, gdy mijali szóstą planetę systemu Malagori.

- Jego wlot znajduje się mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Malagori V i VI.

- Do tej pory powinni już nas zauważyć - wtrąciła Domak.

- I zauważyli - odparł kapitan. - Mamy do czynienia z pancernikiem klasy M. Uwierz mi, jeśli my ich widzimy, oni także widzą nas.

- Dlaczego w takim razie nic nie robią? - zdziwiła się Polnoi.

- Dlatego że nie wiedzą, ilu nas tu jeszcze może być i z jakiego kierunku możemy nadlecieć.

- Dlaczego więc sądzi pan, sir, że ruszą w pościg za nami?

- Musimy ich porządnie wkurzyć, żeby to zrobili - stwierdził Cole, uśmiechając się krzywo.

- To znaczy, że nasz kapitan ma plan - rozległ się głos Sharon. - Ale gdyby teraz umarł nagle na zawał serca, nigdy nie dowiedzielibyśmy się, co wykombinował.

- Sir? - odezwała się Christine.

- Tak?

- Kazali nam się zidentyfikować.

- Nie odpowiadaj.

- Dlaczego jeszcze nie strzelają? - zapytał Książę, który właśnie pojawił się na mostku.

- Ponieważ mają do czynienia z okrętem floty. Nie potrafią nas jednak zidentyfikować od razu.

- Ponawiają pytanie, sir.

- Czy może pani przerwać jakoś komunikację albo ją zakłócić, na przykład nakładając głośne szумы? - zapytał Cole.

- Okręt tak nowoczesny jak ten pancernik oczyści każdą wiadomość, sir - odparła Christine.

- Rozumiem. W takim razie proszę im odpowiedzieć, że wykonujemy tajną misję, mamy najwyższy priorytet, a na koniec niech im pani zada pytanie, co tutaj robią, u licha.

Gapła się na niego przez chwilę, nie ruszając się z miejsca.

- Wykonać - polecił kapitan. - Jeśli stracą choćby pół minuty na zrozumienie tego komunikatu, zbliżymy się o trzydzieści sekund do tunelu czasoprzestrzennego Benadotti.

Zrobiła, co kazał. Przez ponad minutę nie nadchodziła odpowiedź, potem pancernik nadał kolejną prośbę o identyfikację.

- Na czym stoimy, panie Jacovic? - zapytał Cole.

- Znajdujemy się bliżej wlotu do tunelu niż oni - odparł Teroni. - Powiedzielibym, że dotrzemy do niego w niespełną minutę, natomiast okręt Republiki będzie potrzebował na to przynajmniej dwa i pół raza tyle.

- Proszę dać mi znać, kiedy znajdziemy się trzydzieści sekund od tunelu.

- Sir, otrzymaliśmy pierwsze ostrzeżenie - zameldowała Christine. - Kazali nam opuścić ten system.

- Odpowiedz im, że mamy pełne prawo przebywać w systemie Schoemachera - rzucił Cole.

Tym razem nie pytała, od razu wykonała polecenie.

- Tym sposobem kupimy kolejne kilka sekund - zauważył

Wilson.

W czasie gdy czekali na odpowiedź, Jacovic spojrział w stronę Cole'a i skinął znacząco głową.

- Jest trzydzieści sekund, sir.

- Świetnie - ucieszył się kapitan. - Christine, następną odpowiedź damy im nie tylko na fonii, ale i na wizji.

- Nadchodzi - zameldowała moment później.

Mężczyzna w średnim wieku, o kanciastej szczęce i wystających ramionach pojawił się nagle na środku ekranu.

- Nazywam się Trevor Gladstone, jestem dowódcą „Gwiazdy Północy” - oświadczył. - Znajdujecie się w zamkniętym systemie gwiazdnym. Nie odpowiadaliście na zadawane pytania, a gdy w końcu otrzymaliśmy od was przekaz, były w nim same łgarstwa. Dlatego pytam po raz ostatni: kim jesteście i co tu robicie?

- Kapitanie Gladstone, mówi Wilson Cole, dowódca „Teodora Roosevelta”, przybywam, aby uwolnić jeńców przetrzymywanych przez pana na Malagori V. Przekáže mi pan ich bez rozlewu krwi?

Oczy oficera Republiki zrobiły się wąskie jak szparki, gdy wpatrywał się w twarz rozmówcy.

- Wielki Boże, pan jest Wilsonem Cole'em! Żądam, aby pan natychmiast się poddał, sir!

- Zabawna sprawa, właśnie miałem zażądać tego samego. - Kapitan rzucił ukradkowe spojrzenie na Jacovica, a ten pokazał mu dziesięć palców. Dziesięć sekund.

„Gwiazda Północy” zeszła z orbity i ruszyła w stronę „Tedy'ego R.”

- Komandorze Jacovic, proszę otworzyć ogień - rozkazał Cole, a Teroni posłał cztery torpedy pulsacyjne piątej generacji

prosto w nadlatującą jednostkę.

- Jacovic? - powtórzył Gladstone. - Dowódca Piątej Floty Federacji? Co tu się wyrabia, u licha?

Wilson uśmiechnął się do pierwszego oficera.

- Widzę, że pańska reputacja wyprzedza pana.

- Otworzyli ogień z laserów i dział pulsacyjnych - zameldowała Domak.

- Panie Odom? - zapytał Cole. - Jak się trzymamy?

- Damy radę przyjąć jeszcze kilka trafień - z megafonów popłynął głos pierwszego mechanika. - Ale nie więcej. Nie zdaliśmy przetrwać ciągłego ognia ze strony pancernika klasy M.

- Może powinniśmy się wycofać i przegrupować - powiedział Cole na użytek Gladstone'a i dopiero potem kazał Christine zamknąć kanał łączności.

- Pilocie, wpakuj nas w ten tunel nadprzestrzenny na pełnym ciągu, a po wylocie z niego nie zwalniasz nawet na moment!

„Teddy R.” wyrwał do przodu i dziewięć sekund później zniknął w wylocie tunelu Benadotti. „Gwiazda Północy” nie przerwała pościgu i zrobiła to samo niespełna dwie minuty później.

- Proszę o instrukcje, co mam zrobić po dotarciu do wyłotu tunelu - powiedział Wxakgini.

- Po prostu gnaj przed siebie jak szybko możesz - odparł Cole. - Jeśli znajduje się tam jakaś kupa kosmicznego śmiecia, rój meteorów, obłok pyłowy, cokolwiek, leć w jej stronę.

Okręt zakołysał się lekko.

- Czuję, że zwalniamy - mruknął Książę.

- W tunelach nadprzestrzennych pojęcia zwalniania i przyspieszania nie istnieją - poprawił go kapitan.

- Przecież słyszałem, jak kazał pan pilotowi gnać przez tunel ile wlezie.

- Siła przyzwyczajenia - wyjaśnił Cole. - Tunele czasoprzestrzenne są idealnymi skrótami, ale kiedy w nie wlatujesz, poruszasz się z taką prędkością, jaką one tobie nadają. Ale im dłużej w nim pozostaniemy, tym więcej czasu zyska Wal na przeprowadzenie operacji ratunkowej.

Osiem minut później wynurzyli się z nadprzestrzeni w odległości dwudziestu dziewięciu lat świetlnych od systemu Malagori i od razu osiągnęli prędkość maksymalną.

Pancernik Republiki pojawił się dwie minuty później i natychmiast zaczął używać potężnych systemów uzbrojenia. „Teddy R.” zadrżał dwukrotnie, gdy jego osłony przechwyciły energię bezpośrednich trafień. Na szczęście wytrzymały i okręt Cole'a mógł kontynuować ucieczkę w głąb galaktyki. Moment później „Gwiazda Północy” zaczęła gwałtownie hamować, zawróciła i skierowała się do wylotu tunelu czasoprzestrzennego.

- Zrobione! - ucieszył się kapitan.

- Jest pan pewien? - zapytał Książę.

Cole skinął głową.

- Nie przerwali pościgu zaraz po wyjściu z tunelu tylko dlatego, że Wal nie zakończyła jeszcze operacji ratunkowej. Dopiero po uwolnieniu ludzi odezwały się alarmy. To zmusiło pancernik do zawrócenia. Tyle tylko, że po powrocie nie zostanie już żadnych jeńców. My dotrzemy do znajdującego się po przeciwnej stronie tego systemu tunelu nadprzestrzennego MacGrudera, zanim „Gwiazda Północy” dotrze na Malagori V. - Uśmiechnął się chytrze. - Oto, jak się przeprowadza akcje ratunkowe. - Podszedł do Wxakgini. - Czy istnieje inny sposób na dotarcie do

systemu Delamere niż lot tunelem MacGrudera albo normalną przestrzenią?

- Zawsze istnieje inna droga, tyle że nie tak prosta.

- A da się ją pokonać w niecałe pięć godzin?

- Muszę to przemyśleć i przeliczyć - oświadczył Bdxeni, zamykając oczy.

- Ty czy komputer nawigacyjny? - zapytał Cole.

- A jaka to różnica? - odparł pytaniem na pytanie Wxakgini, a Wilson uznał, że to dosyć celna uwaga. Pilot milczał około minuty, potem otworzył oczy. - Możemy polecieć nienazwanym jeszcze tunelem do systemu Beethoven i przeskoczyć tam do tunelu Yamaguchi. Jego wylot znajduje się w okolicach Delamere. Resztę drogi pokonamy w normalnej przestrzeni. Łącznie zajmie to nam sześć godzin i czterdzieści trzy minuty.

- A ile czasu mamy do momentu wyjścia z tunelu Yamaguchi? - zapytał kapitan.

- Pięć godzin i trzydzieści siedem minut.

- To powinno wystarczyć. - Kapitan odwrócił się i zauważył, że wszyscy obecni na mostku wpatrują się w niego. - Możemy nawiązać kontakt z Wal za pięć i pół godziny, po wyjściu z tunelu Yamaguchi. Kazałem im czekać sześć godzin, zanim nas skreślą.

- Ale udało nam się! - ucieszył się Książę.

- Teoretycznie - uspokoił go Cole.

- Co pan wygaduje? Wal uwolniła jeńców, a my wyszliśmy cało z tej awantury.

- Nie wiemy przecież, czy strażnicy nie wystrzelali wszystkich więźniów, kiedy zobaczyli nadlatujące wahadłowce - wyjaśnił kapitan. - Nie wiemy też, czy nie było strat pośród na-

szych ludzi. Dlatego lepiej będzie, jeśli odczekamy te siedem godzin z odtrąbieniem zwycięstwa.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Dotarli na miejsce spotkania bez opóźnień, chwilę później Ośmiornica i jego ludzie zostali przeniesieni na pokład „Teddy’ego R.”.

- Tego okrętu nie budowano z myślą, że ma pomieścić stu trzydziestu członków załogi - stwierdził Cole, gdy zasiedli razem z uwolnionym watażką w jego gabinecie, by uczcić sukces szklaneczką czegoś mocniejszego. - Musimy dla was znaleźć coś bardziej odpowiedniego.

- Trochę o tym myślałem - przyznał ośmioręki. - Znajdujemy się blisko systemu Bellermaine. Znam na nim niewielki posterunek wojskowy. Może „Teddy R.” mógłby go zaatakować i zniszczyć, pozostawiając kilka okrętów nietkniętych. Przeniósłbym na nie moje załogi.

- Na nic by się panu nie przydały - burknął Cole.

- Dlaczego? Przecież to dobre okręty wojenne Republiki.

- Dwie minuty po waszym odlocie admiralicja znałaby już ich numery identyfikacyjne i nazwy. Nie mówiąc o kodach wgranych do komputerów. Bylibyście najłatwiej namierzalnymi celami w przestrzeni Republiki. - Kapitan przyglądał mu się, kręcąc głową. - Czasami trudno mi uwierzyć, że doszedł pan do pozycji najpotężniejszego pirata na Wewnętrznej Granicy.

- Nie byłem piratem - oświadczył zdecydowanie Ośmiornica - tylko przedsiębiorcą. Pańska śliczna rudowłosa przyjaciółka była piratką. - Nagle rozpromienił się. - Nie uwierzy pan, ile razy plądrowała mi ofiary, zanim sam zdążyłem się do nich

dobrac.

- Wróćmy może do tematu - poprosił Cole. - Musimy przenieść pańskich ludzi z pokładu „Teddy’ego R.” nie dalej niż za kilka dni, zanim dojdzie do poważniejszych konfliktów. Nam samym brakuje tutaj przestrzeni życiowej. A nie zamierzam atakować bazy wojskowej, żeby pana uszczęśliwić.

- Taka tam baza - nalegał ośmioręki. - Aż się prosi o zajęcie.

- Po co podpowiadać flocie, gdzie jesteśmy? - zapytał Wilson. - Niespełna osiem godzin temu wystrychnęliśmy ją na dudka. Wyciągnijmy z tego więcej zysków.

- Jestem teraz na pokładzie „Teodora Roosevelta”, a nie w więzieniu na Malagori V. Czego jeszcze panu potrzeba?

- Pokażę panu - odparł Cole i połączył się z Jacovicem.

- Słucham, sir - odezwał się Teroni, gdy jego hologram pojawił się nad biurkiem.

- Ile sond nam jeszcze zostało?

- Pozwoli pan, że sprawdzę... - Zamilkł na chwilę, by wywołać odpowiednie dane na ekran komputera, którego Cole nie widział. - Pięć, sir.

- Wydaje mi się, że możemy poświęcić jedną z nich - stwierdził Wilson. - Proszę mnie przełączyć do Meloctina.

Oblicze Lodinity natychmiast zastąpiło twarz pierwszego oficera.

- Słucham, kapitanie.

- Jeśli przekażę panu pewne nagranie, będzie pan potrafił umieścić je w sondzie i zaprogramować tak, by zostało odtworzone w określonym czasie?

- Nie powinno być z tym najmniejszego problemu, sir -

odparł kosmita.

- Chciałbym, aby dotarło do jak największej liczby zamieszkałych planet, ale to nie wszystko. Transmisja audio ma trafić do wybranej przeze mnie osoby.

- Nie widzę w tym nic trudnego, sir.

Cole uśmiechnął się.

- Cieszę się, że ktoś taki jak pan trafił do mojej załogi, idę też o zakład, że pan Briggs, Christine, a nawet Domak są z tego powodu jeszcze bardziej zadowoleni. Niedługo zrobimy nagranie.

Rozłączył się.

- Co pan zamierza? - zapytał natychmiast ośmiórki.

- Nie chce pan zostać gwiazdorem holo?

- Co pan znowu wygaduje?

- Proszę dokończyć drinka i iść za mną - powiedział Cole.

Niedługo potem obaj zjawili się na mostku. Kapitan od razu podszedł do Melocina.

- Jest pan gotowy?

- Tak jest - odparł Lodinita.

- Gdzie mam stanąć?

- Gdzie pan chce.

- Tu gdzie stoję teraz, będzie dobrze. - Cole odwrócił się do Ośmiornicy. - Niech pan zostanie na swoim miejscu, kiedy dam znak, podejdzie pan do mnie. - Rozejrzał się. - Panie Jacovic, proszę trzymać się z dala podczas całego nagrania. Gdyby pana zobaczyli, mogliby pomyśleć, że to jakaś sztuczka Federacji Teroni.

Komandor skinął głową i cofnął się.

- Powiedz, kiedy możemy zacząć - kapitan zwrócił się do Lodinity.

- Kiedy pan zechce.

- W takim razie natychmiast. - Cole spojrział prosto przed siebie. - Witam ponownie, sekretarzu Wilkie. Mówi Wilson Cole z pokładu „Teodora Roosevelta”. Nadal jestem wolny i wciąż zbliżam się do Delurosa VIII. Dwa dni temu wziął pan do niewoli osiemdziesięciu moich przyjaciół i przetrzymywał ich pan potajemnie na piątej planecie systemu Malagori. Nie mogłem tego zaakceptować, więc uwolniłem ich, nie tracąc ani jednego człowieka podczas akcji. Ponieważ jest pan urodzonym kłamcą, mam pewność, że zaprzeczy pan każdemu mojemu słowu, ale zanim pan to uczyni, chciałbym przedstawić mojego przyjaciela. - Skinął na ośmiorękiego, zapraszając go do siebie. - Oto niesławny pan Ośmiornica, jeden z najstraszliwszych przedsiębiorców - tu wskazany roześmiał się głośno - Wewnętrznej Granicy. Wczoraj znajdował się w niewoli na Malagori V. Dzisiaj stoi obok mnie na mostku „Teodora Roosevelta”. Zapewne stwierdzi pan, że ma do czynienia z aktorem, ale proszę nie być śmiesznym, ilu aktorów, przypadkowo służących w mojej załodze, może mieć osiem dłoni? Może pan też uznać, że ma pan przed oczami nie żywego człowieka, tylko twór efektów specjalnych. Dlatego poproszę pana Ośmiornicę, by powiedział kilka słów do pana, aby każdy mógł sprawdzić wzorzec jego głosu.

Cole odwrócił się do ośmiorękiego, który wpatrywał się w ten sam punkt w przestrzeni.

- Witaj, paskudna glisto - powiedział były watażka. - Módl się, by Wilson dopadł cię pierwszy, bo jeśli mnie się powiedzie, zamierzam rozerwać cię na tyle kawałeczków, że nigdy ich wszystkich nie wyzbierają. Mówię to jako szef organizacji przestępczej do innego szefa organizacji przestępczej, którym jesteś, tyle że z powszechnego wyboru. Twoje dni pładrowania

galaktyki dobiegają końca. Możesz ustąpić ze stanowiska, aczkolwiek mam nadzieję, że tego nie uczynisz. Możesz też kurczowo trzymać się stołka przez następne kilka dni, co da mi możliwość usunięcia cię z niego siłą, zanim zacznę robić naprawdę nieprzyjemne rzeczy.

Cole poczekał do momentu zakończenia tej przemowy, potem sam zabrał głos.

- Dni udręki, jaką sprawiałeś mieszkańcom Republiki i Wewnętrznej Granicy, dobiegają końca. Jesteś największym draniem w tym rządzie, dlatego skończymy z tobą, ale nie myśl, że zadowolili nas zastąpienie cię nowym tyranem. Tym razem ustanowimy rząd, który będzie robił to co trzeba.

Skinął głową na Meloctina, a ten natychmiast wyłączył urządzenia rejestrujące.

- Wszystko się nagrało? - zapytał.

- Tak. Chce pan dokonać montażu tego nagrania, zanim wgram je do sondy?

Cole pokręcił głową.

- Nie, powiedzieliśmy wszystko co trzeba.

- Gdzie chce pan wysłać tę sondę?

- Pilotcie? - Kapitan podszedł pod gródź z Wxakgini.

- Tak?

- Jaki jest najdłuższy tunel czasoprzestrzenny w tej okolicy?

- Zdefiniuj pojęcie okolicy.

- Pół dnia lotu.

Przez moment, potrzebny Bdxeni na skontaktowanie się z mechanicznym symbiontem, na mostku panowała kompletna cisza.

- Powiedzmy, że jest to tunel Miranda.

- Jeśli pošlemy nim sondę, gdzie się pojawi?
- W odległości dwudziestu trzech tysięcy lat świetlnych.
- Kiedy?
- Za około czternaście godzin.
- A niech mnie, to strasznie szybko, nawet jak na tunel czasoprzestrzenny! - zawołał Cole, ale zaraz dodał już spokojniejszym głosem. - W jakiej odległości od systemu Deluros?

Wxakgini zamknął oczy i raz jeszcze skonsultował się z komputerem.

- Trzy tysiące dwieście lat świetlnych.
- Dziękuję. - Kapitan odwrócił się do Meloctina. - Weź koordynaty tego miejsca od pilota - powiedział. - Masz wiedzieć, gdzie się zaczyna i kończy ten tunel. Chcę, abyś przesłał tę wiadomość na Delurosa zaraz po wyjściu sondy z nadprzestrzeni. Transmisja dla pozostałych ma się skończyć dwadzieścia minut później.

- To strasznie mały margines czasu - zauważył Lodinita.
- Nie możemy liczyć na więcej. Sonda pojawi się w odległości nieco ponad trzech tysięcy lat świetlnych od Delurosa i zostanie zniszczona natychmiast po zlokalizowaniu.

- Rozumiem, sir. Sądzę, że za pół godziny będę gotowy.
- I jeszcze jedno - dorzucił Cole.
- Tak, sir?
- Ustaw ją na samozniszczenie natychmiast po zakończeniu transmisji. Jeśli nie będziesz umiał, poproś o pomoc pana Odoma.
- Już pracowałem nad takimi sondami, sir - zapewnił Meloctin.

- Dobrze - ucieszył się kapitan. - W takim razie pozostawiam wszystko w twoich rękach. - Odwrócił się do Ośmiornicy. -

Chodźmy stąd - rzucił. - Musimy porozmawiać.

Przeszli razem do wind i chwilę później znów zasiedli przy biurku w gabinecie.

- I co teraz? - zapytał ośmioręki.

- A teraz wyteżymy wspólnie umysły i spróbujemy rozwiązać pański problem.

- Mój problem?

- Jest pan żeglarzem bez okrętów.

- A pan nie zaatakujecie tej bazy Republiki?

- Proszę na to nie liczyć - powiedział Cole. - Oni nie mają pojęcia, gdzie teraz jesteście. Nie dotrą do sondy przed wykonaniem procedury samozniszczenia, ale namierzą źródło sygnału, które będzie się znajdowało tysiące lat świetlnych stąd. Jeśli zaatakujemy w tym sektorze albo dostrzeże nas jakakolwiek jednostka Republiki, cała maskarada pójdzie na marne.

- Tak, ale zdejmując co kilka dni jeden okręt klasy H, nie wygramy tej wojny - odciął się Ośmiornica.

- Nad tym też pracuję.

- Doprawdy? - zapytał z przekąsem watażka.

- Oczywiście - odparł poirytowany Cole. - Uwierz mi, że znam lepsze sposoby na podbudowanie ego niż rozpętywanie wojny z Republiką. Powtórzę raz jeszcze: moim celem jest obalenie Republiki albo chociaż zmuszenie Wilkiego i Garcii do ustąpienia ze stanowisk i stworzenie podwalin pod fundamentalne zmiany.

- W takim razie dlaczego chce się pan ukrywać? - zapytał Ośmiornica. - Gdyby nie ta wiadomość, którą pan wysłał, Wilkie nie wiedziałby nawet o naszym istnieniu.

- Wiedziałby - zapewnił go Cole.

- Tak, ciekawe skąd?

- Ponieważ pewien idiota pozwolił schwytać siebie i swoich ludzi, a my ich wszystkich sprzątnęliśmy sprzed nosa floty - wyjaśnił Cole. - Nawet on by się domyślił, o co chodzi.

- Wiem, nie powinienem był się na to porywać - przyznał ośmióręki. - Ale do tamtego momentu nie osiągnęliśmy znaczącego sukcesu w naszej kampanii. Do diaska, do dzisiaj go nie mamy!

- To nie do końca prawda - zaprzeczył kapitan. - Dysponując niespełna tysiącem okrętów sprawiliśmy, że Republika zaczęła strzelać do wszystkiego, co się rusza, dziesiątkując ludność kilku planet tylko dlatego, że musiała jakoś zareagować na nasze posunięcia. Chciałbym dysponować kilkoma milionami okrętów, ale ich nie mam, dlatego muszę prowadzić tę wojnę bardziej umysłem niż siłą.

- Proszę mi więc powiedzieć, czy ma pan jakikolwiek plan.

- On naprawdę istnieje - odparł Cole. - Jak i z dziesięć zapasowych, ale żaden z nich nie przewiduje starcia z tak liczny i potężny wrogiem.

- Ale ma pan ten plan? - powtórzył Ośmiornica.

- Mam.

- No to mi ulżyło! - wywarczał były watażka.

- Skoro mamy już za sobą ten mały napad złości, zastanówmy się, jakim sposobem zdołam się pozbyć pana i pańskich ludzi z pokładu, zanim się wzajemnie pozagryzamy.

- Skoro tak się pan nas obawia, może nas pan wysadzić na pierwszej lepszej planecie z atmosferą tlenową.

- Wolałbym doprowadzić do sytuacji, w której będziecie mogli znów podjąć walkę - zapewnił go kapitan.

- Dobrze, skoro nie chce pan napadać na bazy wojskowe, może przejmujemy jakąś jednostkę pasażerską? Możemy uwięzić wszystkich, załogę i pasażerów, potem wysadzić ich na jakiejś planecie i udać się taką jednostką głęboko na terytorium Republiki, może nawet w pobliże samego Delurosa, bez ryzyka ataku ze strony floty.

- To mogłoby się udać tylko w przypadku wymordowania całej załogi i wszystkich pasażerów - stwierdził Cole. - Zdaje pan sobie chyba sprawę z tego, że dziewięćdziesiąt procent z nich dysponuje komunikatorami osobistymi, dzięki którym już w chwili ataku przekazaliby informacje o nas przebywającym w pobliżu jednostkom policji albo floty. W takim przypadku miałby pan znacznie bardziej przesrane niż na skradzionych okrętach wojennych, bo na nich można się przynajmniej bronić.

- Możemy ich rozebrać do naga, co samo w sobie wydaje mi się smakowitą ideą, zwłaszcza kiedy pomyślę o zmuszaniu do tego atrakcyjnych pasażerek, i odstawić wszystkich na jakąś niezamieszkaną planetę.

- Bez broni, środków łączności, lekarstw? Zostawimy bandę nagusów pośrodku totalnie dziewiczej dziczy? Dzięki takim posunięciom chce ich pan odsunąć od Republiki i przekonać do siebie? I wciąż zapomina pan o jednym, że załoga liniowca albo którykolwiek z pasażerów może nadać wiadomość identyfikującą pana jako napastnika, zanim zdąży ich pan porozbierać.

Ośmiornica przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę.

- Najbardziej nie lubię pana, gdy ma pan rację - stwierdził. - A teraz po prostu pana nie cierpię.

- Przyjmę te słowa jako komplement, jeśli pan pozwoli -

odparł ze stoickim spokojem kapitan. - Ma pan jeszcze jakieś sugestie?

- Obaj wiemy, że i tak je pan poutrąca - powiedział ośmiórki. - Przecież od samego początku tej rozmowy chce mi pan coś zaproponować.

- Mam jeden dobry pomysł - przyznał Cole. - Ale pomyślałem, że sprawdzę, czy pan nie ma czegoś lepszego.

- Proszę skończyć z tymi zgadywankami - ponaglił go Ośmiornica - i powiedzieć, jakie pan widzi wyjście z tej sytuacji.

Cole przyglądał mu się przez chwilę.

- Myślę, że zaczniemy od zorganizowania dla pana frachtowca. Takiego, który pomieści wszystkich pańskich ludzi i będzie się mógł poruszać swobodnie po całej Republice, w każdym razie po sporej jej części. W odróżnieniu od liniowca będziemy musieli wziąć do niewoli tylko kilka osób, a może nawet nikogo. Sporo jednostek tego typu jest dziś w pełni zautomatyzowanych.

- Przecież taki statek nie posiada uzbrojenia - zaprotestował ośmiórki.

- Na początku na pewno nie będzie posiadał - przyznał Cole. - Ale z czasem opanuje pan z tuzin podobnych jednostek...

- Zamilkł na moment. - One posiadają nad nami tę przewagę, że potrafią lądować. Może pan wybrać dowolną planetę, najlepiej jakieś centrum aktywności Republiki, choćby stolicę sektora, i narobić zamieszania na jej powierzchni. Oni spodziewają się ataku z przestrzeni, ze strony „Teddy’ego R.” albo okrętów Teroni. To da panu wielką przewagę podczas ataku powierzchniowego.

- To nie takie proste - zauważył Ośmiornica.

- Ośmielę się zauważyć, że większość pańskich ludzi to

łotry i rzezimieszki - kontynuował kapitan. - To daje im przewagę w wojnie partyzanckiej, jaką teraz prowadzimy. Jeśli będzie pan potrzebował broni, kolejnych jednostek czy pieniędzy, znajdzie je pan na atakowanych planetach.

- Z niechęcią przyznaję, że to kusząca propozycja.

- A kiedy zgromadzi pan większą flotyllę, może pan koordynować ataki. Powiedzmy, że ma pan na oku dwie republikańskie planety w sąsiednich systemach. Jeśli zaatakuje pan jedną, z drugiej natychmiast nadejdzie odsiecz, a wtedy reszta pana sił będzie ją mogła spokojnie złupić.

- Dobrze, przekonał mnie pan - powiedział ośmióręki.

- Jeszcze jedna sprawa.

- Tak?

- Nie będzie się pan angażował w regularne bitwy. Naszym celem jest wytrącenie Republiki z równowagi. Mają zgadywać, jak liczni jesteśmy i gdzie się ukrywamy, dopóki nie będziemy gotowi na konkretne działania.

- A podejmiemy jakieś konkretne działania? - zapytał Ośmiornica.

- Gdy nadejdzie stosowna pora.

- Ale nie pomrzemy wcześniej ze starości?

- Ja nie zamierzam - zapewnił go Cole. - Pan może, bo chyba jest pan o wiele starszy, niż sugeruje to wygląd.

Były watażka roześmiał się.

- Niech panu będzie, żadnych regularnych bitew.

- Świetnie. Do jutra załatwię panu nowy statek.

Ośmiornica wstał.

- Wracam do mesy - oznajmił. - Nie uwierzy pan, jak podle karmili nas na Malagori.

- Ależ wierzę - zapewnił go kapitan. Widząc pytające

spojrzenie rozmówcy, natychmiast dodał - Przez osiemnaście lat byłem oficerem floty. Wiem, czym się karmi w niej ludzi.

Ośmiornica roześmiał się i opuścił gabinet. Ledwie drzwi zamknęły się za jego plecami, nad biurkiem pojawił się hologram Sharon.

- Znowu podsłuchiwałaś - stwierdził Cole.

- Oczywiście.

- I co o tym myślisz?

- Sama nie wiem, Wilsonie - powiedziała. - On jest taki jak Wal, tylko nie posiada jej talentów. Jak sądzisz, ile czasu będzie potrzebował, żeby złamać dane słowo i zrobić coś naprawdę głupiego?

- Na Granicy radził sobie znakomicie, i to przez wiele lat - stwierdził kapitan. - Wydaje mi się, że on ma po prostu problem z dostosowaniem się do nowej sytuacji. Tam, skąd pochodził, nie było silniejszych od niego.

- A potrafi się szybko uczyć?

Cole wzruszył ramionami.

- Przekonamy się. Jeśli go ponownie schwytają, nie kiwnę nawet palcem. Nie będziemy go wечно ratować. Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

- Czy masz już ten idealny plan?

- Tak bym go nie nazwał - powiedział Cole. - Jest w nim jeszcze zbyt wiele zmiennych.

- Ale z grubsza wiesz, co chcesz zrobić?

- Chcę wygrać tę wojnę.

- Czasami nie da się z tobą normalnie porozmawiać. W tym akurat Ośmiornica się nie mylił.

- Być może.

- Do cholery, Wilsonie! Dlaczego nie chcesz mi tego powie-

dzieć?

- Z tego samego powodu, z jakiego nie mówię niczego Jacovicowi, Wal i każdemu innemu członkowi załogi - odparł. - Gdyby ktokolwiek z was został schwytany, wolałbym, aby nie wydobyto tych szczegółów w taki sposób, jak my to zrobiliśmy z Alberto Torresem.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Kocham cię - wyszeptwała - ale czasami potrafisz być zimnym sukinsynem.

- To przychodzi razem z umiejętnością dowodzenia - wyjaśnił Cole. - Osobiście wolę, żeby inni ludzie podejmowali decyzje na własną rękę. - Wstał. - Sądzę, że czas wracać do roboty. Wprawdzie nie kończy nam się tlen ani żywność, ale przez kilka najbliższych dni będziemy się czuli, jakby miało ich zabraknąć. Dajmy ten frachtowiec Ośmiornicy, niech zabierze na niego wszystkich swoich ludzi.

Opuścił gabinet, zamierzając przeprowadzić tę operację z mesy, która ostatnimi czasy zastępowała mu stanowisko dowodzenia, ale przypomniał sobie, że to właśnie tam skierował swoje kroki Ośmiornica, więc nie mając innego wyboru, udał się na mostek. Wal miała służbę, Jacovic albo poszedł coś zjeść, albo spał w najlepsze, a Melocin najwyraźniej zadomowił się przy komputerze Christine.

- Wal - odezwał się Cole - namierz dla mnie jakiś frachtowiec, na tyle duży, żeby można było wsadzić na niego z osiemdziesięciu ludzi.

- To nie powinien być wielki problem - uznała. - Delamere IV to planeta rolnicza. Powinniśmy znaleźć przy niej masę frachtowców.

- Znajdź mi go tylko - poprosił kapitan. - Żadnego ostrze-

liwania. Muszę go dostać w stanie nietkniętym.

- Spoko.

Meloclin przeżył jakoś brak salutowania, ale potoczne „spoko” zamiast zwyczajowego „tak jest” wyraźnie go dobiło. Cole uśmiechnął się, gdy dotarło do niego, jak wiele jeszcze niespodzianek czekało Lodinitę ze strony tej rudowłosej kobiety.

Przez kolejną godzinę niewiele się działo. Potem Wal znalazła odpowiednią jednostkę.

- Mam tu coś - zameldowała. - Jest teraz poza orbitą siódmej planety. - Odwróciła się do Cole'a. - Nie mogłam trafić lepiej. Czekają tam na swoją kolej załadunku zmutowanej kukurydzy, więc nie będziemy musieli pozbywać się w przestrzeni łatwego do zidentyfikowania towaru.

- Trafna uwaga - pochwalił ją kapitan. - Dobrze, przejmujemy go w pobliżu księżyców szóstej planety.

„Teddy R.” wystrzelił do przodu i poczekał, aż frachtowiec dotrze po raz kolejny w pobliże orbity Delamere VI. Cole nakazał mu wyłączyć napęd, a gdy otrzymał odmowę, oddał strzał ostrzegawczy tuż za rufę jednostki. To zmusiło jej załogę do zatrzymania się w przestrzeni.

Chwilę później okazało się, że kobieta nazwiskiem Gentry jest jedyną żywą istotą na pokładzie. Właśnie wykonała krótki skok z sąsiedniego systemu Kilgore i miała być wymieniona na świeżego pilota po załadunku towaru.

W czasie gdy wahadłowce przewoziły Ośmiornicę i jego ludzi na pokład frachtowca, Gentry trafiła na mostek, przed oblicze Cole'a.

- Pozostanie pani naszym gościem przez kilka najbliższych dni - poinformował ją kapitan. - Nie mam zamiaru wysa-

dzić pani na niezamieszkaną planecie, na której dokona pani żywota w samotności, ale nie mogę też zostawić pani na którymś ze światów należących do Republiki, aby nie złożyła pani raportu o tym, co się tutaj wydarzyło. Zatem nie pozostaje mi nic innego, jak zatrzymać panią na pokładzie „Teodora Roosevelta” do momentu, gdy moi przyjaciele załatwią lewe dokumenty dla tej jednostki i zmienią jej wygląd nie do poznania, a potem opuszczą ten sektor. Jeśli zgodzi się pani na moje warunki i będzie zachowywać rozsądnie, nie każę pani osadzić w areszcie, tylko przydzielę normalną kabinę i potraktuję nie gorzej niż resztę członków załogi.

- To „Teodor Roosevelt”? - zapytała, robiąc wielkie oczy. - Pan naprawdę jest Wilsonem Cole'em?

- Tak.

- Spodziewałam się bestii z rogami i ogonem - przyznała Gentry, a potem zamilkła, aby zastanowić się nad dostępnymi rozwiązaniami. - Akceptuję pańskie warunki.

- Rachel - Cole uruchomił interkom. - Przyjdź, proszę, na mostek i odprowadź naszego gościa do pustej kajuty.

- Mamy tam straszny nieład - zameldowała Marcos. - O ludziach Ośmiornicy wiele można powiedzieć, ale na pewno nie to, że są schludni i czyści.

- Nic nie szkodzi - odparł kapitan. - Nasz gość będzie miał sporo czasu do dyspozycji. Jestem pewien, że nie będzie miał nic przeciw zrobieniu porządku u siebie.

Rachel pojawiła się chwilę później i odprowadziła Gentry w stronę szybów wind.

- Zbieramy się - poinformował hologram Ośmiornicy, sądząc po tle, na jakim było go widać, przebywał w sterowni

frachtowca.

- Nie tak szybko - powstrzymał go Wilson. - Za minutkę albo dwie wpadnie do was pan Briggs. Musicie zainstalować nasze kody w komputerze.

- Jasne, czemu nie? - stwierdził ośmioręki, wzruszając ramionami. - Godzina w tę czy we w tę.

Okazało się, że Briggs zrobił co trzeba w niespełna czterdzieści minut i frachtowiec mógł odlecieć do innego systemu, w którym zaplanowano zrobienie całej masy przeróbek, żeby zmienić jego wygląd, zdobyć lewe dokumenty i kilka kolejnych jednostek handlowych.

- Co teraz? - zapytała Wal, gdy Ośmiornica w końcu odleciał.

- Koniec z maskowaniem, zaczynamy prawdziwą wojaczkę - powiedział Cole.

Wal zrobiła wielkie oczy.

- Dlaczego mam wrażenie, że za tymi słowami nie kryje się niszczenie okrętów wroga i równanie z ziemią jego miast?

- Ponieważ szybko się uczysz - odparł kapitan.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Sir? - Cole usłyszał głos stojącej w drzwiach mesy Rachel Marcos.

Jako że był jedynym człowiekiem na sali, oderwał wzrok od kubka kawy.

- Mamy taką niezręczną sytuację, sir - powiedziała, podchodząc i siadając naprzeciw niego. - Nie wiem, ile już wie reszta załogi, więc nie poruszałam tego tematu na mostku, bo tam ktoś mógłby nas podsłuchać.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Dobrze, a o co chodzi?

- Mamy na pokładzie dwóch ludzi, o których nie za bardzo wiadomo, czy są wolni, czy powinni trafić do ancla - dodała.

- Nikt tego nie wie, to znaczy nikt poza panem, sir.

- O kim ty, u licha, mówisz, Rachel?

- O chorążych Brillu i Dunyachu, sir - sprecyzowała. - Siedzą w areszcie domowym od momentu uwolnienia Ośmiornicy z Malagori V.

- Cholera, zupełnie o nich zapomniałem - jęknął Cole. - Ostatnio mieliśmy zbyt wiele na głowie. Obiecałem wysadzić ich na neutralnej planecie. A jeszcze na taką nie trafiliśmy. - Kapitan zmarszczył brwi. - I prawdę powiedziawszy, im bardziej zagłębialiśmy się w terytorium Republiki, tym mniejsze szanse na jej znalezienie. Muszę raz jeszcze zastanowić się nad rozwiązaniem tej sprawy.

- Mogę ci w tym pomóc - zaproponował głos Sharon, a jej

hologram pojawił się chwilę później.

- Jak? - zapytał Wilson.

- Zajrzałam do ich kajut kilka godzin temu, żeby sprawdzić, czy dostają na czas posiłki i są dobrze traktowani. Pytali mnie, czy mogłabym poprosić cię o pozostawienie ich na pokładzie. Oni nie zmienili nastawienia do naszej sprawy. Zrobią wszystko, co w ich mocy, aby obalić starą Republikę.

Cole spojrzał na Rachel.

- I to by było na tyle, chorąży Marcos.

Zasalutowała i wyszła.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała Sharon. - Jak sam wspominałeś, trudno w tej okolicy o planetę, na której można ich zostawić.

- To może być trudne - przyznał i natychmiast zastrzegł: - Ale nie niemożliwe.

- Chcą pozostać na pokładzie „Teddy’ego R.” i kontynuować walkę z Republiką.

- Do cholery, Sharon! - wybuchnął poirytowany sytuacją. - Odmówili wykonania rozkazu dowódcy, przebywając na terytorium wroga! Muszą ponieść jakieś konsekwencje tego czynu!

- Rozumiem - przyznała. - W takim razie wysadźmy ich na jakiejś planecie rolniczej i po krzyku. Nie możesz bez końca odwlekać decyzji i trzymać ich w zawieszaniu, bo takie masz zasady.

Przyglądał się jej hologramowi przez dłuższą chwilę.

- A co słyhać u Torresa?

- Wszystko w porządku - odparła. - Wścieka się na siebie, że zdradził nam te informacje, ale fizycznie doszedł już do siebie.

- Zatem my daliśmy z siebie co najgorsze, a jemu nic nie

jest - podsumował Cole. - Gdybyśmy ich posłuchali, dzisiaj mielibyśmy osiemdziesięciu martwych sprzymierzeńców.

- Nie zamierzam temu przeczyć, Wilsonie - ona też podniosła głos. - Do diabła, sama w tym wzięłam udział! Chcę ci tylko przypomnieć, że być może nie zdołamy wrócić na Wewnętrzną Granicę prędzej niż za rok albo dwa. Nie możesz ich trzymać tak długo w areszcie domowym.

- Dobrze, zastanowię się nad tym raz jeszcze - obiecał.

- Jeśli chcesz poznać moją opinię...

- Już ją znam - warknął. - Daj mi w końcu spokój.

Rozłączyła się, a Cole mógł wreszcie porozmyślać o tej sprawie w ciszy pokładowej mesy. W końcu połączył się z jednostką kapitana Floresa, znajdującą się niespełna pół roku świetlnego od aktualnej pozycji „Teddy’ego R.”. Rozmawiał z nim kilka minut.

- Sharon?

- Tak?

- Nie ma sensu załatwiać tego na oczach załogi. Przyprowadź ich do mojego gabinetu.

- Będziemy tam za pięć minut.

Zostawił kubek na serwomechu czyszczącym stoliki, zjechał windą na niższy pokład i stanął przed drzwiami maleńkiego pomieszczenia służbowego. Po zeskanowaniu siatkówki, zważeniu i porównaniu struktury kostnej mógł wejść do środka.

Usiadł za biurkiem, rozkazał drzwicom, aby pozostały otwarte, i czekał. Niebawem pojawiła się Sharon w towarzystwie Brilla i Dunyacha.

Cole przyglądał się ich twarzom przez dłuższą chwilę. Nie wyglądali o wiele gorzej niż przed zamknięciem.

- Jak rozumiem, macie do mnie prośbę - powiedział w

końcu.

- Tak jest! - Brill odezwał się jako pierwszy. - Znaleźliśmy się tutaj, ponieważ wyraziliśmy zgodę na uczestnictwo w wojnie przeciw Republice. I nie zmieniamy zdania w tej kwestii... - Zamilkł, jakby musiał zebrać się na odwagę. - Prosimy o możliwość pozostania na pokładzie „Teodora Roosevelta” i powrót do pełnienia dawnych obowiązków.

- A co zrobicie, jeśli następnym razem poproszę o coś, co wam się nie spodoba? - zapytał Cole.

Brill patrzył mu prosto w oczy, nie mrugnawszy nawet powieką.

- Jeśli to będzie taki sam rozkaz, nasza odpowiedź też się nie zmieni.

Kapitan przeniósł wzrok na Dunyacha.

- Czy on mówi także w twoim imieniu?

- Tak jest! - odparł drugi z chorążych. - Proszę o wybaczenie, ale wydał mi pan rozkaz, którego nie mogłem wykonać.

- I za to cię szanuję, chłopcze - przyznał Cole. - Wiele bym dał, żeby go nie wydawać. Ale stawką było w tym wypadku życie osiemdziesięciu naszych ludzi.

- Mogliśmy go zmusić do mówienia innymi metodami, sir.

- Mogliśmy - przyznał Wilson. - Ale równie dobrze mogło nam się to nie udać, a moim zdaniem ryzyko było zbyt wielkie. A skoro o tym mowa, na pokładzie tego okrętu moje zdanie jest święte.

- Zatem wysadzi pan nas na najbliższej planecie, sir? - zapytał Brill.

- Możliwe - odparł Cole. - Ale jak już wspominałem pułkownik Blacksmith, szanuję was za to, że pozostaliście wierni

wyznawanym przez siebie zasadom. Wiem też, że w tej krucjacie będę potrzebował każdego, kto się do niej nadaje.

- Czy to znaczy, że wrócimy do pełnienia dawnych obowiązków? - zapytał skołowany Dunyach.

Cole pokręcił głową.

- Nie. Odmówiliście wykonania rozkazu i właśnie usłyszałem, że jeśli w przyszłości ktoś każe wam zrobić coś sprzecznego z wyznawanymi przez was zasadami, także odmówicie. Z tego też powodu nie chcę was na pokładzie „Teddy’ego R.”.

- Ja już nic z tego nie rozumiem, sir - rzekł Brill.

- Skontaktowałem się ze „Złotym Świtem”, jednostką pana Floresa - wyjaśnił kapitan. - To dobry okręt klasy K, zdolny pomieścić dwudziestodwuosobową załogę. Aktualnie służy na nim szesnastu ludzi i kosmitów. Jeśli nadal chcecie służyć naszej sprawie, powitają was z otwartymi ramionami. Jeśli to wam nie pasuje, zostaniecie wysadzeni na najbliższej planecie rolniczej, aczkolwiek trudno mi powiedzieć, czy jej mieszkańcy entuzjastycznie powitają parę buntowników. Wybierajcie. Trwa wojna, znajdujemy się w głębi terytorium wroga, tylko tyle mogę dla was zrobić.

Brill spojrział pytająco na Dunyacha, a ten tylko skinął głową.

- Zgadza się na przejście do pana Floresa, sir - powiedział pierwszy z nich.

- I dobrze - ucieszył się Cole. - Wracajcie do kajut i spakujcie rzeczy. - Gdy opuścili gabinet, spojrział na Sharon. - Skontaktuj się z Floresem i powiedz, żeby przysłał kogoś i odebrał dwóch nowych członków załogi.

- Dziękuję, Wilsonie.

- Nie musisz. Ciężko dzisiaj o fachowców w twojej specjalności.

- I o dobrych kapitanów - dodała.

Pocałowała go w policzek i wyszła.

A najtrudniej o kapitanów, pomyślał z goryczą, którzy potrafiliby trzymać się zasad tak, jak ci dwaj. Posmutniał nagle. Ja chyba nigdy taki nie byłem.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Cole ustawił naprzeciw biurka w gabinecie trzy krzesła. Chciał jeszcze wygospodarować miejsce dla Sharon, ale w tym pomieszczeniu robiło się ciasno, nawet gdy był w nim sam.

O umówionej porze Jacovic przekazał dyżur na mostku Braxycie, aby z Christine i Wal zjechać na dół. Gdy wszyscy zajęli miejsca, Cole zaczął mówić.

- Sharon monitoruje naszą rozmowę, ale nie będzie się odzywała, o ile nie zadacie jej konkretnego pytania. Wezwałem was, ponieważ jesteście trójką moich najstarszych oficerów. Nadszedł czas, abyście poznali następny cel naszej kampanii. Sprawiliśmy, że Republika i flota dowiedziały się o naszym istnieniu, zmusiliśmy je do nerwowych reakcji, udało nam się także odbić jeńców przetrzymywanych przez marynarkę. Czas na eskalację działań, ale nie mówię tutaj bynajmniej o stawaniu do otwartej walki. Mam parę pomysłów, ale najpierw chciałbym poznać wasze zdanie na ten temat. Czy ktoś ma jakieś sugestie?

- Nie mam odpowiednich kwalifikacji, by dyskutować o strategii, sir - odezwała się Christine. - Obawiam się, że na moim miejscu powinien siedzieć pan Sokołow albo Jaxtaboxl.

- Zaprosiłem tutaj kogo trzeba - oświadczył Cole zdecydowanie.

- Dowiedliśmy już, że jesteśmy w stanie uratować własnych ludzi z umocnionego przyczółka na Malagori V - dodał Jacovic. - Może powinniśmy rozpocząć ataki na więzienia znaj-

dujące się w pobliżu granicy z Republiką. Moglibyśmy uwolnić więcej więźniów. Zanim wieści o tym dotrą do serca Republiki, będziemy razem z nimi tysiące lat świetlnych dalej.

- Niezły pomysł - uznała Wal.

- Sama nie wiem - rzuciła Christine. - Wiem, że chodziło o uwolnienie więźniów politycznych, lecz tych będzie kilku, a reszta osadzonych to pospolici przestępcy i szaleńcy.

- I co z tego? - zdziwiła się rudowłosa. - Tacy to dopiero potrafią robić zamęt.

- Tyle tylko, że jedynym efektem tego „zamętu” będzie wdzięczność ludzi okazywana Republice za ponowne osadzenie ich za kratkami - zaprotestowała Christine. - A my, zdaje się, nie zamierzamy robić niczego, co postawi naszych wrogów w korzystnym świetle, a tak się to skończy, jeśli siły porządkowe opanują sytuację, zanim wymknie się spod kontroli i ucierpią okoliczni mieszkańcy.

- Masz rację - poparł ją Jacovic. - Cofam to, co powiedziałem. Powinienem był przemyśleć sprawę, zanim się odezwałem.

- A co z więzieniami floty? - zapytała Wal. - Ci, co w nich siedzą, muszą być zapiękłymi wrogami admiralicji.

Cole pokręcił głową.

- Nie sądzę. To, że osadzono ich w wojskowych więzieniach, oznacza tyle, że są ludźmi łamiącymi regulamin i nieznośnymi dyscypliny, a fakt, że mają na pieńku z flotą, nie musi wcale sugerować, iż z ochotą pójdą obalać Republikę.

- Zatem co mamy robić? - zapytał Teroni. - Nie zbliżymy się bardziej do Delurosa, nie narażając się na wykrycie, albo zaważenie przez okręty floty.

- Ja tam nie widzę w tym problemu. Odeszlibyśmy w

nimbie sławy, zabierając ze sobą tak wielu drani, jak tylko się da - rzuciła Wal i zaraz dodała: - Ale nawet ja wiem, że to by nie załatwiło naszej sprawy.

Cole uśmiechnął się.

- Wiedziałem, że jeśli przez kilka lat będę przemawiał ci do rozsądku, doczekam dnia, w którym zobaczę tego efekty.

- Daruj sobie te komplementy - prychnęła rudowłosa. - Ty nas tutaj wezwałeś. Ty czekałeś, aż wszyscy oznajmią, co chcieliby dalej robić. Dlaczego nie ujawnisz swoich zamiarów, skoro nas tutaj po to ściągnąłeś?

Cole spojrzął kolejno na trójkę swoich oficerów.

- Wydaje mi się, że nie ma sensu robić dalej tego samego. Groziliśmy Susan Garcii i Eganowi Wilkiemu. Uwolniliśmy jeńców. Pora na dokonanie czegoś niespodziewanego. - Wszyscy pochylili się do przodu, próbując odgadnąć, co miał na myśli. - Rządy podpierają się propagandą - tłumaczył Wilson. - Zazwyczaj nakłaniają media do współpracy, oferując w zamian przywileje i pieniądze. To niemal zawsze działa... - Zamilkł na moment. - Ale chyba żaden rząd nie jest w stanie wytrzymać konfrontacji z propagandą wymierzoną przeciw niemu, zwłaszcza jeśli będzie ona docierała nie z zewnątrz, ale z jego własnego obozu.

- Niezła teoryjka - przyznała Wal. - Ale jak to ma wyglądać w praktyce?

- Mam parę przemyśleń na ten temat - oświadczył Wilson.

- To akurat wszyscy wiemy - odparła rudowłosa, szczerząc zęby.

- Wydaje mi się, że znam sposób na podważenie autory-

tetu i wiarygodności Republiki, a może nawet jej obalenie bez narażania kogokolwiek z nas na szwank.

- A następny twój numer będzie polegał na zniknięciu Andromedy? - zapytała Walkiria.

Cole zignorował ją i popatrzył w oczy drugiego oficera.

- Christine, czy potrafiłabyś wyszukać pięć opuszczonych planet znajdujących się na terytorium Republiki, ale w większej odległości od Delurosa niż my teraz?

- Niezamieszkanymi? - zapytała. - Są ich miliony.

- Nie powiedziałem niezamieszkanymi, tylko opuszczonymi - sprostował kapitan. - Chcę, abyś znalazła pięć planet, na których ludzie się osiedlili, pozostawili po sobie jakieś budowle, a potem się wynieśli.

- Budowle? - powtórzyła zaskoczona.

- Mogą być miasta, ale chodziło mi głównie o jakiegokolwiek sztuczne twory.

- Czy to, jaki był powód ich odejścia, ma dla pana znaczenie? - zapytał Jacovic. - W grę może wchodzić pandemia, wojna, wyczerpanie bogactw mineralnych, kataklizm...

- Nieważne, byle coś po nich zostało - powiedział Cole i ponownie spojrzał na Christine. - Możesz je wyszukać?

- Czemu nie - odparła. - W gruncie rzeczy teraz, kiedy mam do dyspozycji Malcolma, a nawet Meloctina i Domak, co pozwala nam pracować na zmiany, w jeden dzień standardowy będziemy w stanie wyszukać tuzin podobnych miejsc.

- Świetnie - ucieszył się Cole. - Zaczynaj natychmiast po zakończeniu tego spotkania i przekaz pozostałej trójce, że mają ci pomagać. Gdyby mieli z tym jakieś problemy, skieruj ich do mnie. - Spojrzał na Jacovica. - Co pana tak rozbawiło, komandorze?

- Chyba już rozumiem, co pan ma zamiar zrobić - odparł Teroni. - Wydaje mi się też, że ma to spore szanse powodzenia.

- Cieszy mnie, że rozumiemy się tak świetnie z dowódcą o wielkim doświadczeniu.

- A ja nic z tego nie rozumiem - wtrąciła poirytowana Wal. - Będziemy się bawili w zgadywanki czy wyjaśnisz nam wszystko jak trzeba?

- Proszę jej powiedzieć, komandorze - Cole zwrócił się do Jacovica.

- Jeśli pana dobrze zrozumiałem, mamy zamiar zbombardować kilka opuszczonych planet - wyjaśnił Teroni. - Nie zniszczymy ich całkowicie, ponieważ chcemy, aby ocalały na nich ruiny.

- Ale po co? - dziwiła się rudowłosa.

- Aby udowodnić, że zdziesiątkowaliśmy ludność tych opuszczonych światów.

- Ale tam nikogo nie będzie? - nie odpuszczała Wal.

Cole uśmiechnął się.

- Jeśli ty nikomu tego nie powiesz, ja również będę milczał - zapewnił ją Cole.

Nagle Walkiria walnęła się otwartą dłonią w czoło.

- Jasne! - wrzasnęła. - Ogłosimy, że unicestwiliśmy ileś tam cywilizacji. Wilkie zaczną zaprzeczać. Ale my powiemy mediom, że jak chcą, mogą sobie same sprawdzić...

- ...a one przylecą i zobaczą, że na tych planetach przed atakami kwitło cywilizowane życie! - dokończyła Christine.

- Właśnie - zgodził się Cole. - Tyle tylko, że nie przyznamy się do tych ataków. Dysponujemy tylko jednym okrętem i nie powinniśmy niepotrzebnie zwracać na to uwagi mediów.

Stwierdzimy, że to dzieło Federacji Teroni.

- Nigdy w to nie uwierzą - powiedziała Wal.

- Możesz być pewna, że uwierzą - zapewnił ją kapitan. -
Zwłaszcza że ogłosi to ktoś, kto należy do tej rasy. - Wskazał na
Jacovica, uśmiechając się szeroko.

- Ty sukinsynu! - rudowłosa aż podniosła głos. - Wilsonie
Cole, jesteś podstępny gnojkiem!

- Sekretarz Wilkie zaprzeczy wszystkiemu, to oczywiste -
ciągnął Cole. - Być może uda mu się nawet przekonać więk-
szość mediów, że to zmyłka. Ale zawsze znajdzie się kilku mło-
dych, ambitnych reporterów, którzy podążą tym tropem, a jeśli
nie pojawi się nikt taki, sami opublikujemy artykuły na ten te-
mat. Dzięki temu zyskamy pewność, że normalni obywatele
Republiki zaczną szukać tych planet i wkrótce dojdzie do situa-
cji, w której z jednej strony będą zapewnienia Wilkiego, a z dru-
giej zeznania całej masy bezstronnych, naocznych świadków,
którzy w odróżnieniu od sekretarza nie pełnią funkcji zobowią-
zującej do zapewnienia bezpieczeństwa wszystkim światom
zrzeszonym w Republikę. Jak myślicie, komu uwierzy opinia
publiczna?

- A kto zbombarduje te pięć planet? - dopytywała się
Wal.

- Do tego zadania oddelegujemy jeden mały okręt - wy-
jaśnił Cole. - Będziemy atakowali kolejne cele co trzy, cztery
dni. Gdyby to był jeden zmasowany atak, być może Wilkie zdo-
łałby z tego wybrnąć, ale jeśli zbombardujemy jedną planetę i
rozgłosimy, że nie zrobił nic, by obronić jej mieszkańców, a w
momencie, gdy będzie zaprzeczał, nadejdą informacje o na-
stępnych zniszczeniach i jeszcze kolejnych... Cóż, to się nazywa

efekt kuli śnieżnej.

- Postaram się wybrać cele znajdujące się o setki albo tysiące lat świetlnych od siebie - obiecała rozentuzjarmowana Christine. - Gdy flota popędzi sprawdzić doniesienia, my uderzymy w zupełnie innym rejonie galaktyki.

Cole spojrzał na Jacovica.

- Nie będzie pan miał nic przeciw użyczeniu twarzy i głosu dla naszej sprawy?

- Nie jestem już obywatelem Federacji - odparł Teroni - co jednak nie oznacza, że automatycznie stałem się przyjacielem Republiki.

- Jakież pytania?

Odpowiedziała mu cisza.

- Dobrze. Christine, możesz już zaczynać. Znalezienie tych planet jest najważniejsze w tej chwili. Koniec odprawy.

Cała trójka opuściła gabinet, a Cole rozparł się wygodnie w fotelu, gdy drzwi zamknęły się za Wal.

- Co o tym sądzisz? - zapytał, gdy pojawił się przed nim hologram Sharon.

- Chyba doprowadzisz Egana Wilkiego do szaleństwa - stwierdziła. - Być może uda ci się go nawet usunąć z urzędu. Ale oboje wiemy, że zastąpi go równie wielki drań. Nie bardzo rozumiem, jak tym sposobem chcesz obalić Republikę.

- Ja wcale nie chcę jej obalać - odparł Cole - tylko zreformować. Przez niegodziwości, jakich dopuszcza się ten rząd, człowiek stał się wrogiem reszty galaktyki.

- Dziwnymi rewolucjonistami obrodziło tego roku - rzuciła Sharon.

- Nie jestem rewolucjonistą - odparł. - Służyłem temu rządowi i flocie przez całe dorosłe życie. Nie chcę upadku Repu-

bliki, tylko jej naprawy.

- I zamierzasz to osiągnąć bombardowaniem opuszczonych planet? - spytała z rozbawieniem.

- Dlaczego nie? - zapytał, odwzajemniając jej uśmiech. - Wolałbym, żeby w Republice pozostał ktoś żywy po tym, jak już wygramy.

Spojrzała mu w oczy, nagle poważniejąc.

- Naprawdę masz zamiar wygrać tę wojnę?

- Gdybym w to nie wierzył, nie opuszczałbym Wewnętrznej Granicy - zapewnił ją solennie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Forli II była niewielką planetą o atmosferze tlenowej, na której jakiś czas temu mieściło się centrum finansowe sektora Wajima. Niestety, kolonizację poprowadzono w innych kierunkach i w końcu porzucono ją przed niemal trzystu laty.

Pięć dni po naradzie, na której Cole przedstawił swoim oficerom podstawy nowego planu, Władimir Sokołow rozpoczął bombardowanie jej powierzchni, upewniając się, że część starożytniej zabudowy pozostanie nietknięta.

Dwa dni później Egan Wilkie tłumaczył obywatelom Republiki podczas orędzia wygłoszonego na wszystkich pasmach, że Forli II była od dawna niezamieszkana i nikt nie stracił życia podczas tej akcji.

Dzień później Jacovic - utrzymując, że nadaje z pokładu okrętu flagowego Piątej Floty - wyjaśnił tym samym odbiorcom, że owszem, Forli II jest niezamieszkana, ale ma to związek z niedawnymi bombardowaniami, a co więcej, jest to dopiero pierwsza z planet, jakie ma zamiar zaatakować.

Cztery dni później wypłynęła sprawa zbombardowania Buchanana IV. Wilkie natychmiast złożył dementi. Jacovic wykpił go i obiecał kolejne ataki. Media wysłały tym razem kilka ekip, aby sprawdziły, czy na odległym globie są jakieś ślady cywilizacji.

Cole czuł się świetnie. Pozwolił sobie nawet na takie zbytki jak piwo i deser. Siedział właśnie przy ulubionym stoliku w towarzystwie Dawida Copperfielda i Platynowego Księcia, ale

chyba tylko dlatego, że byli oni jedynymi istotami na pokładzie „Teddy’ego R.”, które nie pełniły żadnej funkcji.

- Te planety staną się atrakcjami turystycznymi po tym, jak Republika upadnie - stwierdził Książę. - Z przyjemnością nabędę od pana koncesję na uprawianie na nich hazardu.

- Wydawało mi się, że chciał pan wracać na Stację Singapur - powiedział Cole.

- Tam jest mój dom - przyznał człowiek z platyny. - Ale to chyba nie uniemożliwia mi posiadania inwestycji w innych rejonach przestrzeni.

- Inwestycji? - powtórzył kapitan z uśmiechem. - Zatem nie liczy pan na żadne dary. Chce pan zapłacić za tę koncesję?

- Proszę ze mnie nie dworować - rzucił poirytowany Książę. - Wie pan doskonale, o czym mówiłem.

- Dobrze, są pańskie - ustąpił Wilson. - Pozostała nam tylko jedna niewielka przeszkoda na drodze do ich podpisania.

- Jaka?

- Obalenie Republiki - wyjaśnił Cole, kiwając głową.

- To już przesądzone - zbył go człowiek z platyny. - Wilkie nie przetrwa takiego kryzysu.

- Jeśli nawet ma pan rację, schedę po nim obejmie kolejny podobny mu drań, a po nim jeszcze jeden i tak dalej. Mam nadzieję, że nie wierzył pan, że to będzie aż tak łatwe.

- Pokładałem w panu pełne zaufanie.

- A także nadzieję na załatwienie sobie kilku atrakcyjnych miejsc do zarabiania na turystach - oświadczył Cole, po czym zwrócił się do Dawida Copperfielda: - Jesteś dzisiaj bardzo milczący, przyjacielu.

- Bo myślę - wyjaśnił kosmita.

- Cóż, to krok w dobrym kierunku - stwierdził kapitan. -

A o czym to rozmyślasz?

- Posiadam pewien magazyn, który zupełnie wyleciał mi z pamięci. Dopiero co sobie o nim przypomniałem - powiedział Dawid. - Trzymam w nim, oprócz innych rzeczy, dwa starożytne obrazy, wyobraź sobie malowane jeszcze farbami, pędzla niejakiego Bartłomieja Miksisa, największego artysty dwudziestego szóstego stulecia, czyli datowane na czterysta lat przed rozpoczęciem Ery Galaktycznej.

- I co z tego? - zapytał Wilson.

- Jak zapewne wiesz - kontynuował kosmita - miałem wielu wrogów na Wewnętrznej Granicy, złych ludzi, którzy nienawidzili mnie zupełnie bez powodu. Swego czasu zdecydowałem się, aczkolwiek z wielką niechęcią, na pozbycie się części z posiadanych przeze mnie dzieł sztuki, w tym rzeczonych obrazów. Niestety, wiązało się to z takim mianowicie problemem, że ktokolwiek by je kupił, musiał wiedzieć, gdzie dostarczyć za nie pieniądze. Stąd też pomysł, aby zrobić to na jednej z aukcji w Republice, na której terenie byłem zupełnie nieznany.

- Dlaczego, u licha, nie skorzystałeś z opcji „płać teraz” i przelewu na konto na okaziciela? - zapytał Książę.

- Domyślam się, że bankierzy z Wewnętrznej Granicy także należeli do układu gnębiącego Dawida - wtrącił Cole.

- Ależ skąd! - zaprotestował Copperfield i zamilkł. - Tylko kilku z nich było mi wrogich. Garstka zaledwie.

- Mogłeś założyć konta gdziekolwiek - kontynuował Książę.

- Nie jest pan w stanie pojąć moich ekonomicznych uwarunkowań - bronił się Dawid.

- Niech zgadnę - Cole znów włączył się w rozmowę. - Skoro te obrazy nie były twoje w prawnym tego słowa znacze-

niu, nic nie mogło powstrzymać pozbawionych etyki bankierów przed zagarnięciem gotówki za nie, a ty nie znałeś ani jednego uczciwego finansisty.

- Dokładnie - przyznał kosmita. - Aczkolwiek to rozumowanie oparte zostało na całkowicie fałszywej przesłance. Otóż na Wewnętrznej Granicy nie istnieje pojęcie prawa jako takiego, zatem nie ma tam rzeczy nielegalnych. Tylko bankierzy są nieetyczni! A poza tym - dodał - nie jestem złodziejem, tylko pase-rem, a w każdym razie byłem. To, czy obrazy te weszły w moje posiadanie legalnie, czy bezprawnie, to już inna sprawa. W Republice i na Granicy ich stan prawny był zupełnie inny, co jednak nie zmienia jednego faktu: ja ich nie ukradłem. Odkupiłem je tylko od człowieka, który... - Zamilkł, zachmurzył się. - Od dostawcy - zakończył mało przekonująco.

- W takim razie wszystko gra - mruknął Cole, rozbawiony zakłopotaniem małego kosmity.

- Jak wy dwaj się spiknęliście? - zapytał Książę.

- Podczas niechlubnego epizodu pirackiego w karierze „Teddy’ego R.” - wyjaśnił Wilson.

- Wtedy to Steerforth i ja odkryliśmy, że jesteśmy przyjaciółmi ze szkolnej ławy - dodał Dawid. - Od tamtej pory jesteśmy jak papużki nierozłączki.

Książę spojrział na Cole’a, spodziewając się szybkiej riposty, ale ten tylko wzruszył ramionami i powiedział:

- Też dobre wytłumaczenie.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, potem Książę i Dawid wyszli, aby rozegrać partyjkę wista, a moment później w mesie, nad blatem sąsiedniego stolika, pojawił się hologram twarzy Sharon.

- Co znowu? - zapytał Cole.

- Gentry.
 - I wzajemnie.
 - To nazwisko pilotki tego frachtowca, który zarekwirowaliśmy dla Ośmiornicy.
 - Rozumiem - odparł Wilson. - Co z nią?
 - Chce z tobą rozmawiać.
 - Przełącz ją tutaj.
 - Osobiście - powiedziała Sharon, a gdy zmarszczył brwi, dodała jeszcze: - Nie jest wrogiem ani jeńcem, tylko osobą, która pilotowała statek w złym miejscu, w złym czasie.
 - Zakładam, że wiesz, o co jej chodzi?
 - Wiem.
 - I popierasz jej prośbę?
 - Tak.
 - Dobrze - zdecydował Cole. - Przyślij ją do mnie.
 - Dziękuję, Wilsonie.
- Ledwie się rozłączył, Gentry już stała w drzwiach.
- Proszę siadać. - Wskazał jej ręką krzesło po drugiej stronie biurka.
 - Dziękuję, kapitanie Cole - odparła, zajmując miejsce.
 - Szefowa bezpieczeństwa twierdzi, że ma pani do mnie jakąś sprawę.
- Skinęła głową na potwierdzenie.
- Tak - odparła. - Spędziłam sporo czasu na rozmyślniach i rozmowach z pułkownik Blacksmith... - Zamilkła, nie wiedząc, jak sformułować kolejne zdanie. - Przez całe życie trzymałam się z dala od polityki. Nie miałam też pojęcia o zbrodniach floty, ani na naszym terytorium, ani tym bardziej na Wewnętrznej i Zewnętrznej Granicy... - Kolejna przerwa. - Kapitanie Cole, chciałabym przyłączyć się do załogi „Teddy’ego R.”.

- Zdaje sobie pani sprawę z tego, że prowadzimy aktualnie działania zaczepne wobec Republiki?

- Tak.

- I z mikrych szans na zwycięstwo?

- Jestem ich świadoma.

- Mamy już pilota - stwierdził Wilson. - Nie spał i nie jadł od jakichś dziesięciu lat, jak sędzę, i jest częścią tego okrętu w takim samym stopniu jak nasze działa i te grodzie, więc raczej nie poszukujemy kogoś, kto go zastąpi. Co innego może pani dla nas robić?

- Znam siedem języków obcych ras, których nie programuje się standardowo w T-torach - odparła. - Przykładowo, mogę porozmawiać z waszym Tolobitą w jego ojczystym narzeczu.

- Zna pani język Śliskiego? - zdziwił się Cole. - Przecież to tylko gulgoty i młaśnięcia.

- Wiem.

- Jestem pod wrażeniem - przyznał. - Gdzie się pani tego nauczyła?

- Lata temu utknęłam na jego planecie na całe trzy miesiące... - Znowu zamilkła. - Zadziwiająca rasa, nieprawdaż? Podobna mi się też słowo, którym pan go nazywa.

- Śliski? Cóż, ta druga skóra, tak określam jego symbionta, wygląda, jakby była nasmarowana olejem. Według Tolobity jest to inteligentna forma życia, ale jeszcze nigdy nie widziałem dowodu na to twierdzenie.

- Symbionty mogą się komunikować wyłącznie z tolobickimi nosicielami. Swoją drogą, to fascynujący związek.

- Tak. Symbiont pozwala Śliskiemu na przebywanie w otwartej przestrzeni kosmicznej bez powietrza przez cztery do

pięciu godzin. Dzięki niemu dokonujemy sami napraw poszycia, chociaż ostatnio niewiele miał do roboty. - Cole spojrzął na nią uważniej. - Dobrze, Gentry, wcielę panią do mojej załogi. Poproszę Jacovica, żeby znalazł dla pani odpowiednią funkcję na pokładzie, żeby miała pani jakieś zajęcie do momentu, kiedy trafimy na rasę, której języka nie zaprogramowano w T-torach.

- Dziękuję, sir.

- A tak na marginesie, Gentry to pani imię czy nazwisko?

- Ostatnio jedno i drugie zarazem - odparła.

- Widzę, że kryje się za tym jakaś ciekawa historia - rzucił Wilson. - Może któregoś dnia podzieli się nią pani ze mną. - Połączył się z mostkiem. - Mówi Cole. Od tej chwili pani Gentry jest pełnoprawnym członkiem naszej załogi. Wal, przekaż Jacovicowi, żeby znalazł dla niej przydział, gdy tylko przejmie od ciebie obowiązki oficera pokładowego. Sharon, wyłącz pole siłowe otaczające jej kajutę. - Znów patrzył na pilotkę. - Sprawa załatwiona, to znaczy zostanie załatwiona, jak tylko komandor Jacovic obejmie wachtę. Nie ma pani jedynie wstępu do saloniku oficerskiego, który w sumie i tak by się pani nie spodobał, nie radzę też zaglądać do maszynowni, o ile nikt tam pani nie wyśle. Resztę okrętu może pani zwiedzać do woli.

- Czy będę musiała nosić mundur, sir? - zapytała kobieta.

- Nie ma takiego przymusu - odparł kapitan. - My mamy własne mundury, jeszcze sprzed ucieczki, ale prawdę powiedziawszy, dzisiaj są to barwy wroga, z którym, notabene, zgodziła się pani walczyć.

- W takim razie pozostanę przy swoich ciuchach, sir.

- Świetnie - ucieszył się Cole i zaraz dodał: - Właśnie pomyślałem o kolejnej umiejętności, jaką może nam pani zaofe-

rować, choć w zasadzie mówię o pewnej wiedzy...

- O co panu chodzi, sir? - zapytała. - Pomogę z największą ochotą, jeśli tylko będę potrafiła.

- W ciągu ostatnich czterech lat pilotowała pani frachtowiec po terytorium Republiki - wyjaśnił kapitan. - W tym czasie my przebywaliśmy na Wewnętrznej Granicy. A sporo rzeczy musiało się zmienić w tak długim czasie. Społecznie, ekonomicznie, politycznie. Chciałbym, aby spotkała się pani z Christine Mboją oraz Malcolmem Briggsem i pomogła im uaktualnić bazy danych na ten temat o wiedzę z ostatnich czterech lat.

- Uczynię to z przyjemnością, sir - zapewniła go Gentry - jeśli tylko ktoś mi ich wskaże.

- Christine to Murzynka nieoddalająca się dalej niż na pięć stóp od swojego komputera, a Briggs...

- Ja jej pomogę - zaoferował głos Sharon.

- Czy któreś z nich pełni teraz służbę? - zapytał Cole.

- Nie - odparła Blacksmith.

Kapitan spojrzał na Gentry.

- No i dobrze. Ma pani kilka godzin na zapoznanie się z rozkładem pomieszczeń.

- Dziękuję, sir - powiedziała pilotka frachtowca i ruszyła w stronę drzwi.

- Jeszcze jedna sprawa - zatrzymał ją Wilson.

- Tak?

- Prędzej czy później, choć zakładam raczej tę pierwszą możliwość, wpadnie pani na rudowłosą gigantkę o niewyparzonej gębie i sporych brakach w etykietce pokładowej - powiedział kapitan. - Proszę się nią nie przejmować. Jest naszym trzecim oficerem, ale cieszymy się bardzo, że jest po naszej stronie,

kiedy zaczyna się ostra zadyma.

Jakby na zawołanie nad jego biurkiem pojawił się hologram Wal.

- A niech cię wszyscy diabli, Cole! Mam gdzieś, co o mnie gadasz, ale zaręczam, że osobiście rozpieprzę następną planetę, na którą trafimy! Dlaczego tylko ci cholerni Rosjanie mogą mieć z tego frajdę?

Hologram zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- To pański trzeci oficer? - zdziwiła się Gentry.

- Zgadła pani - odparł Wilson, uśmiechając się szeroko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Do czasu ataku na czwartą planetę informacje o bombardowaniach stały się newsem na skalę galaktyki, choć rząd dwoił się i troił, by sprawę wyciszyć. Kolejki eksperci dowodzili, że rzekome nieistniejące ofiary w rzeczywistości można szacować na dziesiątki milionów.

Cole uznał, że Jacovic podczas swojego czwartego wystąpienia nie powinien być sam na wizji. Wybrał więc kilku członków załogi spośród istot zamustrowanych na Wewnętrznej Granicy, aby nie kojarzyły się nikomu z „Teddym R.”, kazał im założyć mundury i udawać, że pełnią służbę w tle, za plecami przemawiającego komandora.

Nowe przekazy wywołały istne szaleństwo. Czy ci ludzie byli zdrajcami pracującymi dla Federacji Teroni? Niedługo trwało, zanim uważniejsi obserwatorzy dostrzegli kilka szczegółów mostka sugerujących, że materiał nagrano na okręcie należącym kiedyś do floty, co natychmiast wywołało falę plotek o tym, że część jednostek przeszła na stronę wroga, i sprawiło, że społeczeństwo zaczęło traktować wszystkie załogi jak potencjalnych zdrajców. Okręty wojenne omijano z daleka, łgano, gdy padały z nich jakieś pytania, a nawet, choć z rzadka, ostrzeliwano.

Cole doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co teraz nastąpi, i dlatego nagrał kolejne wystąpienie, które sonda zaniosiła głęboko na terytorium Wewnętrznej Granicy. Ktoś rzucił uwagę, że Jacovic mógł przemawiać z pokładu „Teddy’ego R.” a

Cole, nadając z daleka, oświadczył, że z wielką przyjemnością dokonałby podobnych ataków, gdyby nie to, że jego okręt jest zbyt stary na takie wyczyny, co mogła poświadczyć choćby Susan Garcia, bo miał już przecież ponad sto lat, a poza tym przebywał w tym czasie w głębi Wewnętrznej Granicy, gdzie przechodził stosowny remont. A niedowiarkom polecił, by namierzyli, skąd pochodzi sygnał (wiedząc, że sonda dokona samozniszczenia zaraz po zakończeniu nadawania).

Wystarczył tydzień, by popularność Egana Wilkiego w sondażach spadła do jednocyfrowej liczby, najniższej w dziewiętnastowiecznej historii Republiki. Sekretarz musiał ulec w końcu opinii publicznej i przyznał, że kilka leżących na pograniczu planet zostało poważnie zbombardowanych, i obarczył za to winą admiralicję oraz Susan Garcia w szczególności. Zażądał też, aby użyła wszelkich dostępnych jej środków i pojmała albo zabiła sabotażystów. W jednym z przekazów nazywano ich w ten sposób, ale w innych określani byli mianem powstańców, a nawet ludobójców. Sekretarz wyjaśnił także, że został wybrany na to stanowisko, aby przewodzić rządowi, natomiast osobą odpowiedzialną za bezpieczeństwo obywateli Republiki jest Susan Garcia i to jej zadaniem jest rozprawienie się z atakującymi.

- Słyszałeś ostatnie wieści? - zapytała Sharon, wpadając do gabinetu Cole'a.

- Czyżby Dawid zorganizował turniej wista? - zaciekał się kapitan.

- Bądź choć raz poważny - poprosiła. - Mówię o najnowszych wiadomościach.

- Raczej ich nie słyszałem.

- Wiem o tym, Luthor przechwycił je zupełnym przypad-

kiem. Poczekaj chwilę.

Wydała Chadwickowi krótki rozkaz i odsunęła się na bok, by Cole mógł bez przeszkód przyglądać się hologramowi admirała Garcii nad swoim biurkiem.

- Uczynimy wszystko, co w naszej mocy, by powstrzymać tych terrorystów - mówiła Susan - ale sekretarz Wilkie mylił się, i to bardzo, sądząc, że użyjemy do tego celu wszystkich sił, jakie posiadamy. Wygląda na to, że wypowiadając swoje słowa, zapomniiał o jakże istotnym fakcie, jakim jest bez wątpienia wojna z Federacją Teroni. Wycofywanie z frontu wszystkich naszych jednostek, a nawet tylko ich części, aby ścigać jakąś niewiele znaczącą grupkę terrorystów, może doprowadzić do przegranej Republiki w ciągu zaledwie jednego tygodnia. Sugerowałabym więc panu sekretarzowi, aby skupił się na wydatkach i przychodach budżetu i pozostawił kwestie bezpieczeństwa Republiki w naszych, czyli admiralicji, rękach.

Twarz Susan Garcii zniknęła, co Sharon skwitowała szerokim uśmiechem.

- Zdaje się, że zaczynają sobie skakać do gardeł!

- Idiotka - podsumował Cole. - Jest wprawdzie mądrzejsza z nich dwojga, ale tej walki nie wygra. Co najwyżej doigra się i otrzyma propozycję rezygnacji ze stanowiska. Jeśli się na nią zgodzi, będzie skończona, jeśli odmówi, mogą to zakwalifikować jako otwarty bunt.

- Jeśli odmówi, flota stanie po jej stronie czy rządowej? - zapytała Sharon.

- Nie należę do marynarki już od czterech lat - stwierdził wymijająco Cole. - Nie mam pojęcia.

- Ale widziałeś ją na własne oczy - nie ustępowała

Blacksmith. - Jaka jest naprawdę?

- Osobiście nie pałam miłością do niej - przyznał Wilson. - Jest zapatrzoną w siebie, odpychającą egoistką, co jednak nie zmienia faktu, że potrafi być kompetentnym dowódcą.

- Czy to nie ona dekorowała cię ostatnim medalem za odwagę, tym, który przyznano ci już po przeniesieniu na „Teddy’ego R.”?

- Ale zrobiła to z wielką niechęcią - przyznał Cole, uśmiechając się ponuro. - Całe szczęście, że dzisiaj medale przylegają same do mundurów, gdyby ta ceremonia miała miejsce w zamierzchłej przeszłości, gdy odznaczenia przypinano, podejrzewam, że miałbym do dzisiaj jątrzącą się ranę w klatce piersiowej.

- No tak, ty przecież jesteś ucieleśnieniem taktu i dobra - zakpiła Sharon, odwzajemniając uśmiech.

- Nigdy nie potrafiłem się z nią dogadać - przyznał Wilson.

- Wydaje mi się, że z Eganem Wilkiem też by ci lepiej nie poszło.

- Przy odrobinie szczęścia już za parę tygodni pan sekretarz przejdzie do historii.

- Idę o zakład, że on wciąż nie ma pojęcia, co tu się naprawdę dzieje - zasugerowała.

- Na tym zasadza się mój plan - przyznał Cole. - A tak na marginesie, jak się sprawuje nasz najnowszy nabytek?

- Gentry? Nie mamy na pokładzie obcych, z którymi mogłaby sobie pogadać, w każdym razie tych spoza bazy danych T-tora, więc Byk Pampas przyucza ją do służby w przedziale bojowym.

- Nie ma z tym problemów?

- A powinna mieć?

Wzruszył ramionami.

- Łatwo iść na wojnę, kiedy wszystko, co trzeba robić, to tłumaczenie z obcego na nasze.

- Ja uważam, że ona jest w porządku.

- I dobrze - zgodził się. - Powiem ci, że moim zdaniem w galaktyce jest parę miliardów ludzi podobnych do Gentry - uczciwych, porządných, czujących odrazę do rzeczy robionych w imieniu Republiki, w ich imieniu, takich, którzy chcą dożyć jutra, nie krzywdząc przy okazji nikogo ani nie zostając samemu skrzywdzonym... - Zamilkł na moment i westchnął. - Zdecydowana większość ludzi tak postępuje. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego historia ludzkości jest tak pogmatwana i ciemna.

- Sir - kapitan usłyszał głos Briggsa. - Zbliży się okręt wojenny Republiki. Żąda, abyśmy podali tożsamość.

- I tak wystarczająco długo udało nam się unikać zwracania na siebie uwagi - stwierdził Cole. - Jakiej klasy jest ta jednostka?

- Klasa K, z dwudziestoosobową załogą.

- Uzbrojenie?

- Sprawdzam... O ile nie wprowadzono jakichś unowocześnień, tego typu okręt ma na pokładzie dwa działa laserowe czwartej generacji i stukacz trzeciej.

- Dziękuję. Podajcie im któryś z lewych numerów rejestracyjnych i przyślijcie mi tu jak najszybciej Gentry.

- Tak jest!

Chwilę później kobieta stawiała się w jego gabinecie.

- Pan mnie wzywał, sir?

- Tak - odparł Cole. - Potrzebuję twarzy, której nikt nie będzie kojarzył z „Teddym R”. Za chwilę nawiążemy połączenie

z okrętem floty, który żąda naszej identyfikacji. Zapewne podejrzewają, że mają z nami do czynienia, ale nie są tego do końca pewni. Sądzę, że wydadzą nam kilka rozkazów, być może zażądają nawet zatrzymania się, aby wejść na nasz pokład. Musi pani przedstawić się jako kapitan tej jednostki i wyjaśnić im, że przybywa pani do tego sektora na osobisty rozkaz admirała Garcii, aby tropić sabotażystów. Proszę też zaznaczyć, że jeśli zażądają, abyśmy się zatrzymali do inspekcji, podporządkuje się pani ich woli, ale po zakończeniu tych procedur napisze pani raport do rąk własnych Susan, w którym przedstawi pani z imienia i nazwiska osoby odpowiedzialne za opóźnienia w wykonywaniu misji. Da pani radę zapamiętać to wszystko?

- Proszę mi tylko powiedzieć, jaką nazwę ma nosić ten okręt - odparła.

- Taką, jaką poda w odpowiedzi pan Briggs - powiedział Cole, a zaraz potem wszyscy usłyszeli słowa Malcolma w interkomie. - „Dzielny Byk” - mruknął kapitan, krzywiąc się mocno. - Mógł się nieco bardziej wysilić. - Potem, już na prywatnym kanale, dodał: - I proszę pamiętać, panie Briggs, Sharon i ja nie możemy się im pokazać.

- Wiem o tym, sir - odparł porucznik.

- „Dzielny Byk”, chcemy rozmawiać z waszym dowódcą - usłyszeli obcy głos.

- Już pana przełączam, sir - odpowiedział Malcolm i nagle zobaczyli przed sobą mężczyznę w kapitańskim mundurze.

- Pani dowodzi tą jednostką? - zapytał.

- Zgadza się - odparła Gentry.

- Nie ma pani na sobie munduru.

- W czasie wykonywania tajnych misji zleconych osobiście

przez admirał Susan Garcie ubieram się, jak chcę - odparła wyniośle.

- Nie posiadamy żadnych danych na temat jednostki o nazwie „Dzielny Byk” ani podanego przez was numeru rejestracyjnego.

Kobieta uśmiechnęła się pogardliwie.

- Której części zdania o tajnej misji pan nie zrozumiał?

Im bardziej wyniośle go traktowała, tym bardziej potulny robił się kapitan okrętu Republiki. W końcu doszli do porozumienia, że ona ma prawo przebywać w tym sektorze, a on wycofa się i przestanie wtykać nos w jej sprawy.

- Doskonale - pochwalił ją Cole, gdy połączenie zostało przerwane. - Czy pani przypadkiem nie grywała wcześniej na scenie albo w holo?

- Nie - zapewniła go Gentry, opadając ciężko na krzesło.

- Ale się zdenerwowałam!

- Wcale tego nie było widać - zapewnił ją kapitan. - Dzięki temu ocalała pani dwadzieścia istnień.

- Naprawdę? - zapytała zaskoczona. - Czyich?

- Załogi tamtego okrętu. Nie posiadał broni zdolnej do pokonania naszych tarcz, a my dysponujemy działami, które rozbiłyby ich na atomy.

- Wiem, że wyjdę na krwiożerczą bestię - stwierdziła Gentry - ale dlaczego nie rozkazał pan zniszczyć tego okrętu? W końcu to nasz wróg.

- Po pierwsze, nie wiedzieliśmy, czy ta jednostka nie ma otwartej łączności z innymi okrętami floty, a nam zależy, i to bardzo, aby admiralicja uważała, że przebywamy aktualnie głęboko na terytorium Wewnętrznej Granicy.

- A po drugie? - zapytała.

- Mogli nas ostrzelać, ale tego nie zrobili - powiedział Cole.
- Mogli upierać się przy wejściu na pokład, ale też to sobie odpuścili. To tylko porządni ludzie, którzy próbują chronić innych, nie gorszych od siebie obywateli. Oni nie są naszymi wrogami, tylko narzędziami w ich rękach.

- Ale zabiłby ich pan, gdyby zaszła taka konieczność?

- Nie wahałbym się nawet przez chwilę - zapewnił ją.

- W to akurat wierzę - przyznała, wpatrując się w jego twarz, a potem zerwała się z krzesła. - Sądzę, że powinnam już wracać do przedziału bojowego.

Gdy drzwi zamknęły się za nią, Cole odwrócił się do Sharon.

- Odwaliła kawał dobrej roboty. Jest w tym lepsza niż Moyer i reszta naszych sprzymierzeńców z Wewnętrznej Granicy.

- To prawda - przyznała Blacksmith.

- Miej na nią oko - poprosił kapitan. - Ta kobieta ma w sobie potencjał.

- Przecież to ja ci ją poleciłam.

- A ja zgodziłem się z twoim zdaniem. Spodobała mi się.

- I bardzo dobrze - ucieszyła się Sharon. - Ale spróbuj ją tylko dotknąć, a pucina ci łapy.

- A po co mi ręce - burknął Wilson. - Kapitan nie musi nikomu salutować.

- Po chwili zastanowienia doszłam do wniosku, że obetnę ci coś innego - odparła natychmiast.

- Wy, staruszki, jesteście takie zazdrosne.

- Udajemy, żeby takie stare capy jak ty czuły się lepiej.

- Chodźmy do mojej kajuty - zaproponował Cole. - Tam oboje poczujemy się lepiej.

Mniej więcej sześć godzin później obudził ich głos Walkirii.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam w intymnym momencie - powiedziała na wstępie rudowłosa.

- Nie - zapewnił ją Cole. - Trafiłaś na krótki moment odpoczynku pomiędzy intymnymi momentami.

- Zanim ponownie się za siebie zabierzecie, sugerowałabym małą uroczystość - powiedziała Wal, a na jej twarzy pojawił się naprawdę szeroki uśmiech.

- Niech będzie - zgodził się Cole. - Skoro już nie śpimy. Mów, co takiego mamy świętować.

- Z pewnością zainteresuje was informacja, że dwadzieścia minut temu Egan Wilkie zażądał usunięcia Susan Garcii ze stanowiska.

- Tak szybko? - zdziwił się kapitan.

- Zaskoczę cię jeszcze bardziej - dodała Walkiria. - Pięć minut temu jego żądanie zostało spełnione.

- Żartujesz! - nie wytrzymała Sharon.

- Twój plan działa! - zwołała rudowłosa. - Republika zaczyna się chwiać w posadach!

Nagle kadłub okrętu zadrżał.

- Co jednak nie przeszkadza jej w strzelaniu do nas - dodała pośpiesznie Wal.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

- Kto to zrobił, do cholery? - zapytał Cole, zrywając się na równe nogi.

- A któż by inny? Republika!

- Ale chyba nie ta łupinka, która chciała nas dzisiaj zatrzymać?

- Nie, oni dobrze wiedzieli, że z nami nie wygrają. Ale najwyraźniej odpowiedzi udzielane przez tę pańską Gentry nie zadowolily ich w wystarczającym stopniu, bowiem ścignęli nam na głowę jednostkę klasy L.

- Czy towarzyszą jej inne okręty? - zapytał kapitan.

- Na razie nie - odparła Wal. - Ale ostrzał rozpoczął się dopiero kilkadziesiąt sekund temu.

- Odpowiedziałaś ogniem?

- Jasne, że im oddajemy! - warknęła poirytowanym tonem. - Przecież strzelają do mojego okrętu!

- Zwiewamy stąd - rozkazał Cole.

- Jeśli to zrobimy, damy im namacalny dowód, że nie powinno nas tutaj być - zauważyła Wal.

- Jeśli odpowiedziałaś ogniem na ten atak, już o tym wiedzą - zapewnił ją Wilson. - Zwiewamy.

- Ale gdzie?

- Jak najdalej stąd i od Delurosa - stwierdził. - Ściąganie na siebie uwagi nie ma najmniejszego sensu.

- Czy my kiedykolwiek powalczymy z jakimś porządnym okrętem wroga? - Walkiria zaczęła wylewać swoje żale.

- I na to przyjdzie pora - zapewnił ją Cole. - Daj mi pilota. Na hologramie pojawiło się oblicze Wxakgini, oczy miał zamknięte, jego mózg pracował z podłączonym do niego komputerem.

- Pilocie, jak daleko od nas znajduje się najbliższy wielowylotowy tunel czasoprzestrzenny? - zapytał kapitan.

- Nie ma takiego w pobliżu - odparł Bdxeni. - Jeśli jednak skorzystamy z tunelu Sondermeyera, możemy pokonać nim dystans sześciu tysięcy lat świetlnych i dotrzeć w pobliże hydry Tiznowa.

- A to wielowylotowy tunel.

- Jak sama nazwa wskazuje, aczkolwiek tylko z jednej strony - potwierdził Wxakgini.

- Na wejściu czy przy wyjściu?

- Od tej strony przy wyjściu.

- Ile wylotów ma ten tunel?

- Sześć - odparł pilot. - Ale dwa bardzo niestabilne.

- Leć tam, ale migiem!

Na moment zapadła cisza, potem przez kadłub przebiegło lekkie drżenie.

- Znajdujemy się w tunelu Sondermeyera - zameldował Wxakgini.

- Świetnie - ucieszył się Cole. - Zakładam, że ostrzeliwujący nas okręt poleci za nami. Po powrocie do normalnej przestrzeni wykonamy jak najszybciej skok w hydrę. Czy będziesz w stanie nawigować podczas lotu tamtym tunelem? To znaczy, czy możesz wybrać dowolny jego wylot?

- Nie, tego nie potrafię zrobić - zastrzegł się Bdxeni. - To tunel wybiera, do którego wyjścia chce mnie skierować.

- Ale nie za każdym razem trafiasz w to samo miejsce?

- Nie za każdym razem.
- Jeśli więc ścigający nas okręt wleci w niego po dwóch minutach, może trafić w zupełnie inne miejsce?
- Zgadza się.
- Jaka odległość dzieli te wyloty?
- Średnio dwa tysiące lat świetlnych - odparł Wxakgini.
- To powinno wystarczyć - uznał Cole. - Wał, zakładam, że przysłuchiwałaś się naszej rozmowie?
- Tak.
- Nie odpowiadaj ogniem, dopóki nie wyjdziemy z tunelu Tiznowa - kontynuował kapitan. - Jeśli ścigająca nas jednostka trafi do tego samego wylotu, wtedy koniec uciekania i podejmujemy z nią walkę.
- Mówisz poważnie? - podnieciła się rudowłosa.
- Skoro nie będziemy mieli szansy na ucieczkę, nie pozostanie nam nic innego, jak stawić im czoła i walczyć.
- Wyjdziemy z tunelu Sondermeyera za mniej niż cztery minuty - zameldował Wxakgini.
- Świetnie - powiedział Cole. - Któregoś dnia musimy znaleźć czas i zapisać w komputerach położenia wszystkich tych cholernych tuneli.
- Przecież one już są w komputerze - zdziwił się Bdxeni.
- Naprawdę? - zapytał zaskoczony Cole. - Nigdy ich tam nie widziałem.
- Może dlatego, że tak je zakodowałem, żeby nikt inny nie mógł ich znaleźć.
- Przecież nie jesteśmy wrogami, pilocie.
- Nigdy tak nie twierdziłem - odparł Wxakgini. - Zakodowałem je na wszelki wypadek.
- A co by się stało, gdybyś zginął w trakcie bitwy? - zapy-

tał kapitan.

- W takim wypadku „Teodor Roosevelt” utraciłby możliwość manewrowania i został zniszczony w ułamkach sekund.

- Facet nie ma wcale wybujałego ego - mruknęła Wal, nie kryjąc ironii.

- Ale ma rację - przyznał Cole.

Kadłub zadrżał po raz kolejny i znaleźli się w normalnej przestrzeni.

- Szybko poszło, nawet jak na tunel czasoprzestrzenny - zauważyła Sharon.

- Bo nie prowadzi przez normalną przestrzeń - wyjaśnił kapitan. - Gdybyśmy znaleźli odpowiedni, być może moglibyśmy latać do galaktyki Andromedy w dwadzieścia minut zamiast potrzebnych na to dwustu lat.

- Stu osiemdziesięciu siedmiu - poprawił go Wxakgini.

- A kogo dzisiaj obchodzi Andromeda - zachnął się pracujący na pobliskim stanowisku Melocin. - Jest parę naprawdę odległych galaktyk.

Cole spojrział na Sharon.

- Nie sądzisz, że moja sypialnia utraciła sporo z charakteryzującej ją jeszcze jakieś dwadzieścia minut temu prywatności?

- Idź bawić się w bohatera - poradziła mu Blacksmith. - Ja wracam do mojej sekcji.

- Nigdzie nie idę - stwierdził. - Powiedziałem pilotowi, gdzie mamy lecieć, jeśli nie będą do nas strzelać. A Wal lepiej poradzi sobie z obroną okrętu niż ja sam.

- Chyba nie zamierzasz spać, mając na karku ścigający nas tunelem nadprzestrzennym okręt wojenny klasy K? - zapytała z niedowierzaniem.

- Nie - przyznał. - I tak już mnie obudzili. Chyba wezmę prysznic i skoczę do mesy na kawkę i może kilka tych ohydnych ciasteczek.

- Mimo iż jesteśmy atakowani?

- Nie jesteśmy atakowani - poprawił ją. - Ścigają nas. A wszystko wskazuje na to, że po drugiej stronie następnego tunelu znajdziemy się o kilka tysięcy lat świetlnych od prześladowcy.

- A co zrobisz, jeśli ten okręt dostrzeże nas w przestrzeni pomiędzy tunelami i otworzy ogień, gdy będziesz pod prysznicem?

- Od tego mam kompetentnych podwładnych - zaznaczył. - Czasy, w których kapitanowie nie schodzili z mostka przez dwa, trzy dni i osobiście trzymali koło sterowe, już dawno minęły.

- Lepiej pomartwiłbyś się o to, czy nadal nie wiesz się na masztach schwytyanych kapitanów.

- W zeszłym roku rozkazano usunąć z pokładów wszystkie maszty - odparł z uśmiechem.

- Do licha, Wilsonie, bądź choć raz poważny!

- Odłóżmy na bok kwestię naszego związku i to, że Wal nie jest w twoim typie. Powiedz, ale tak szczerze, pod czyją ochroną chciałabyś być, kiedy zrobi się naprawdę gorąco: pod moją czy raczej jej?

- Pod twoją - odparła po chwili wahania Sharon.

- Prosiłem o szczerą odpowiedź, a nie kolejny powód do sporów - irytował się Cole.

- To była szczerza odpowiedź. Może Wal lepiej radzi sobie w walce, ale zawsze wybiera jedno rozwiązanie: zabij albo sam zginiesz. Ty za każdym razem szukasz innych wyjść.

- Wolalbym, żeby twoje słowa okazały się pochwałą dla mojego umysłu niż wytknięciem braku odwagi.

- Raczej braku żądzы krwi - poprawiła go natychmiast.

- Jak tam sobie chcesz - powiedział, ruszając w stronę łazienki. - Umyjesz mi plecy?

- Nie sędzę, aby to była najlepsza pora na takie zabawy - stwierdziła. - Będę u siebie w sekcji.

Gdy Cole puścił wodę, okręt raz jeszcze zadrżał, co uświadomiło mu, że weszli w tunel Tiznowa. Zdążył osuszyć się dokładnie, ubrać i zejść do mesy, zanim kadłubem zatrzęsło po raz ostatni.

- Wyszliśmy - zameldowała Wal, gdy kończył zamawiać posiłek.

- Jakieś ślady okrętu Republiki?

- Na razie nie, ale leciał mniej więcej dwie minuty za nami.

- Daj mi znać, gdyby co - poprosił Wilson. - A skoro już o tym mowa, poproś pilota, żeby sprawdził, gdzie, u licha, zalecieliśmy.

Moment później znów zobaczył jej twarz.

- Kogo tym razem zabiłaś? - zapytał.

- Nikogo - odparła zdziwiona. - Dlaczego o to pytasz?

- Może dlatego, że podejrzanie szeroko się uśmiechasz... - Zamilkł. - Zatem wiemy już, gdzie jesteśmy, a ścigająca nas jednostka pojawiła się w normalnej przestrzeni...

Uśmiech wrócił na jej twarz.

- Jeszcze nie, ale mam cholerną nadzieję, że zaraz tu będzie.

- Tak? - Teraz on był zaskoczony. - Dlaczego tak sędzisz?

- Bo ta cholerna odnoga tunelu wyrzuciła nas na teryto-

rium Wewnętrznej Granicy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Cole wszedł do saloniku oficerskiego i zastał w nim, tradycyjnie już zresztą, Dawida Copperfielda i Platynowego Księcia. Tym razem nie grali, tylko się kłócili. Poszło o procent dochodowości gry w jaboba, co wydawało się o tyle pozbawione sensu, że Dawid nigdy nie stanął przy stole i nie zagrał, aczkolwiek zdawać się mogło, że ten fakt w niczym nie zmniejszył zapału, z jakim się teraz wykłócał.

- Z okrętem wszystko w porządku? - zapytał Księżę.

- A dlaczego nie miałoby być? - zdziwił się Cole.

- Zatrzęsło nami kilkakrotnie, nawet już po wyjściu z pola rażenia tego okrętu Republiki.

- Przelatywaliśmy przez kilka tuneli czasoprzestrzennych.

- To dobrze. - Człowiekowi z platyny wyraźnie ulżyło. - Przez chwilę miałem wrażenie, że to pudło się rozpada.

- Nie wygląda pan jednak na specjalnie przejętego.

- A czym miałbym się martwić, skoro rozszczelnienie kadłuba skutkuje wysaniem w próżnię bez skafandra ochronnego? - zapytał protekcyjnym tonem Księżę.

- Zakładam, że oddaliliśmy się na bezpieczną odległość od atakującego nas okrętu - powiedział Dawid. - W przeciwnym razie poradziłbyś mi od razu... - poszukał właściwych słów - że „czas wracać za gródź”.

- Nic nam nie grozi.

- A gdzie jesteśmy? - zainteresował się mały kosmita.

- Na Wewnętrznej Granicy.

Platynowy Książę zachichotał.

- Zatem wróciliśmy tam, gdzie to wszystko się zaczęło.

- Ale nie na długo - zapewnił go Wilson, siadając na krześle. Choć wyglądało na miękkie, okazało się niewygodne jak diabli. Jak reszta sprzętów w tym saloniku. - Dam naszemu prześladowcy kilka godzin na ochłonięcie, a potem wracamy na terytorium Republiki, aczkolwiek chyba w inne miejsce.

- Chyba zrobicie to już beze mnie - stwierdził Książę po chwili.

- Doprawdy?

- Poleciałem z wami, ponieważ flota miała zaatakować Stację Singapur albo przynajmniej aresztować moją skromną osobę. Ale minęło już sporo czasu. Więc albo już odlecieli, albo przynajmniej przestali mnie szukać.

- Tego nie może być pan pewien.

- Ja oszaleję na tym okręcie - powiedział człowiek z platyny. - Stacja Singapur to moja inwestycja, mój dom. A skoro jesteśmy tak blisko, chcę tam wrócić.

- Nie zaryzykuję wysłania wahadłowca na stację, ponieważ istnieje spore prawdopodobieństwo, że flota nadal tam stacjonuje - odparł Wilson. - Ale mogę wysłać pana na jedną z pobliskich planet, z których spokojnie zabierze się pan do siebie.

- To mi wystarczy - zapewnił go Książę.

- A ja sądzę, że jest pan szalony, chcąc wracać na stację, na której może wciąż stacjonować kilkuset żołnierzy Republiki.

Człowiek z platyny roześmiał się.

- Ale nie aż tak szalony, jak człowiek posiadający pod rozkazami osiemset okrętów, któremu zamarzyło się obalenie Republiki. A tak na marginesie, nadal dysponuje pan tyloma jednostkami?

- Zapewne nie - przyznał Cole.
- Dlaczego więc nie wróci pan ze mną na stację?
- Ponieważ Republika wróci prędzej czy później na Wewnętrzną Granicę, a gdy ją odeprzemy, znowu uderzy na Stację Singapur.
- Nie myśli pan chyba na poważnie, że tę wojnę uda się panu wygrać?
- W ciągu miesiąca udało nam się usunąć ze stanowiska Susan Garcję i sprawiliśmy, że w następnych wyborach Egan Wilkie nie będzie miał szans nawet na stanowisko woźnego w parlamencie - przypomniał mu Wilson.
- To szczegóły - zbyt go człowiek z platyny. - Republika nadal ma się nieźle.
- Ale różni się już od tej, jaką jeszcze niedawno była - zaprotestował kapitan. - Ja to nazywam postępem.
- A ja mydleniem oczu - odciął się Książę.
- Nikt panu nie zabrania odejść - wtrącił Dawid. - Jest pan zły, że nie chcę iść z panem?
- Jeszcze zechcesz - oświadczył zdecydowanym tonem człowiek z platyny. - Na stacji przynajmniej nikt nie chciał do ciebie strzelać.
- My, Anglicy, jesteśmy ulepieni z lepszej gliny - stwierdził Copperfield. - Nie opuszczę mojego przyjaciela Steerfortha.
- Jaki tam z ciebie Anglik, Dawidzie - zachnął się Książę. - Nawet człowiekiem nie jesteś.
- Powiedz mu coś, Steerforth - poprosił kosmita.
- Jeśli mój przyjaciel mówi, że jest Anglikiem, wierzę mu na słowo - poparł go Cole.
- Obaj zwariowaliście! - wrzasnął człowiek z platyny, zrywając się od stolika. - Idę się spać. Dajcie mi znać, kiedy

wahadłowiec będzie mógł mnie zabrać.

Gdy opuścił salonik, Dawid spojrzał na kapitana.

- Dzięki ci za poparcie, Steerforth - powiedział.

- Ja mogę zaprzeczać tezie, że chodziliśmy razem do szkoły w dziewiętnastowiecznej Anglii - stwierdził Cole. - On nie.

- Jesteś prawdziwym przyjacielem, Steerforth.

- Chcesz uszczęśliwić swojego najlepszego przyjaciela? - zapytał Wilson. - To zwracaj się do niego prawidłowo. Jego własnym nazwiskiem.

- Przecież to jest twoje prawdziwe nazwisko - oświadczył z wielką stanowczością mały kosmita. - Nigdy nie narażałbym życia dla kogoś, kto nazywa się Cole albo Wilson. Takie poświęcenie rezerwujemy wyłącznie dla przyjaciół ze szkolnej ławy.

- Skoro tak mówisz - odparł zrezygnowanym tonem kapitan.

- Nadal ani śladu pościgu - zameldowała Wal. - Zdaje się, że tunel wyrzucił ich gdzie indziej.

- No i dobrze - stwierdził Cole. - Jak daleko stąd do Stacji Singapur?

- A skąd mam wiedzieć?

- Zapytaj pilota.

- Czy mogę coś zasugerować, Steerforth? - wtrącił Dawid.

- O co chodzi?

- Jak już ustalicie pozycję, prześlijcie tutaj trójwymiarową projekcję tego sektora Wewnętrznej Granicy.

- W jakim celu?

- Możliwe, że macie tu więcej przyjaciół, niż sądzicie - odparł Dawid. - A w każdym razie możecie zdobyć tam sporo zapatrzona.

- Słyszałaś go, Wal?

- Słyszałam. Pozwól mi pogadać z Wxakgini.

Cole wymamrotał przekleństwo.

- Jakim cudem potraficie wszyscy wypowiedzieć jego imię?

- Imiona są proste - odparł natychmiast Dawid.

- Dzięki.

- Trudna to jest mechanika kwantowa - kontynuował mały kosmita. - Opanowanie jej zajęło mi kilka miesięcy.

- Chyba cię jednak wysadzę razem z Księciem - uznał Cole.

Zanim Dawid zdążył odpowiedzieć, usłyszeli głos Wal.

- Przesyłam.

Zaraz potem nad stolikiem pojawiła się trójwymiarowa mapa sektora. Mały migoczący punkt oznaczał aktualną pozycję „Teddy’ego R.”. Dawid przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, potem wskazał palcem na sporą niebieską gwiazdę.

- Komputer, czy to Horatius?

- Tak - odparł mechaniczny głos.

Dawid uśmiechnął się i wskazał kolejną gwiazdę.

- W takim razie to powinna być Nowa Macademia?

- Tak.

Kosmita opuścił rękę i spojrzał na Cole’a.

- Teraz już wiem, gdzie jesteśmy. - Wskazał na żółtą gwiazdę. - Widzisz ją? To Nyerere, a piąta planeta jej systemu nazywa się Ngorongoro. Mam tam dobrego partnera w interesach.

- Złodzieja czy pasera? - zainteresował się Cole.

- Zależy, kiedy pytać - odparł spokojnie Dawid. - Ale jest mi winien przysługę. Wydaje mi się, że on może odwiedzić Księcia

na Stację Singapur.

Cole przyjrzał mu się uważnie.

- Dawidzie, byłeś jednym z najlepszych fachowców w swojej branży. Nie ma ludzi, którzy winni są ci przysługę. Egzekwowałeś je zawsze i szybko.

- Semantyka - zbył go kosmita.

- Słucham?

- Kwestia punktu widzenia.

- O czym ty mówisz, u licha?

- On będzie chciał wyświadczyć mi przysługę - wyjaśnił Copperfield.

- Skąd ta pewność?

- Masz okręt wojenny Republiki. Powiem mu, że załatwię, byście zostawili Ngorongoro w spokoju, jeśli pomoże mi w przetransportowaniu Księcia.

- Jeśli ma choć w połowie tak sprawne systemy obrony, zorientuje się, że ma do czynienia z „Teddym R.”.

- Tutaj wszyscy wiedzą, że sprzymierzyłeś się z Ośmiornicą, największym piratem i złoczyńcą na Wewnętrznej Granicy.

- Dlaczego nie zaoferujemy mu pieniędzy za tę przysługę? - zapytał Cole. - Dzięki temu będziemy mogli zachować te groźby dla kogoś, kto znacznie mniej nam sprzyja niż ten gość.

- Cóż, można zrobić i tak - zgodził się Dawid.

- Załatw to, zanim wystartuje wahadłowiec.

- Dobrze cię wyedukowali w naszej szkole - pochwalił go kosmita. - To był tylko test z mojej strony.

- Jakżeby inaczej.

- Dość tego gadania. Skoczmy na cynaderki w cieście i pudding z Yorkshire?

- A może do naszego kambuza? - zapytał Cole, uśmie-

chając się przymilnie.

- Niech będzie - odparł kosmita. - W takim razie sztuka mięsa i butelka przedniego wina.

- Może później.

- Dobrze - zgodził się Dawid, idąc już w stronę drzwi. - Zajrzę do ksiąg i sprawdzę, jak skontaktować się z tym przyjacielem.

- Dawidzie, przecież ty nie zabrałeś ze sobą ksiąg.

- Masz rację - przyznał kosmita. - Zamierzam jednak sprawdzić to i owo w komputerze, żeby ustalić, czy on nadal siedzi w branży. Nie każdy ma tak doskonale rozwinięty instynkt samozachowawczy jak ja.

- Mogę to potwierdzić moim słowem - zapewnił go kapitan.

- Dzięki za komplement, Steerforth - rzucił Dawid, opuszczając salonik.

W tym samym momencie pojawił się hologram Sharon.

- Zastanawiałeś się kiedyś, jak wyglądałyby wasze losy, gdybyś podczas pierwszego spotkania z Dawidem twierdził, że nazywasz się Wilson Cole?

- Miał dziewięciu ochroniarzy, którzy mierzyli do mnie z odbezpieczonej broni - odparł kapitan. - Zapewne chwilę później położyliby mnie trupem.

- Naprawdę tak myślisz?

- Dawid rzadko kiedy mówi prawdę, ale tym razem nie mogę zaprzeczyć jego słowom. On ma naprawdę bardzo rozwinięty instynkt samozachowawczy. Chyba tylko dlatego utrzymał się w tym interesie tak wiele lat. Wielu rywali próbowało go zabić albo obrabować, ale to on trwał na stanowisku,

kiedy po nich już słuch zaginął.

- Powiedz mi, co zamierzasz, skoro znaleźliśmy się poza terytorium Republiki?

- Cóż, Sokołów ma jeszcze jedną opuszczoną planetę do zbombardowania... - Zamilkł i zamyślił się głęboko. - Zastanawiam się, czy nie zlecić Christine wyszukania jeszcze trzech czy czterech celów i tym razem wysłać wiadomości tuż przed samymi atakami.

- Jakże znowu wiadomości?

- Na przykład spanikowany głos kobiety wrzeszczącej, że rząd obiecał jej ochronę, a floty jak nie było, tak nie ma, mimo iż zaraz rozpocznie się bombardowanie. No i dlaczego Republika nic z tym nie robi. Coś w tym stylu.

- I upewnisz się, by ją usłyszano na tysiącu światów?

- Nie sądzisz, że przesyłanie takich wiadomości prosto na Deluros VIII raczej miałyby się z celem?

- To bardzo skuteczna metoda nacisku, Wilsonie, ale nie możemy bombardować bez końca opuszczonych planet.

- I nie mamy zamiaru tego robić. Ale jeśli chcemy pogonić tych drani ze stołków, musimy sprawić, żeby większość społeczeństwa nas poparła. My po prostu kształtujemy opinię publiczną.

- Co jeszcze zamierzasz zrobić? - zapytała Sharon.

- To zależy od warunków.

- Jakich znowu warunków?

- Różnych - powiedział Cole.

- Ciężko się z tobą rozmawia.

- W takim razie zajrzyj później do mojej kajuty. Obiecuję, że nie będziemy rozmawiać.

- Może skorzystam z tej propozycji, ale nie dam ci się tknąć, dopóki nie powiesz tego, co chcę wiedzieć.

- Jeśli to cię uszczęśliwi. Na pewno zauważyłaś, że ta Gentry jest całkiem urodziwą kobietą.

- Ech, wy faceci! - prychnęła i przerwała połączenie.

- Wal - Cole skontaktował się ponownie z mostkiem. - Kto teraz obsługuje główny komputer?

- Idena.

- Pozwól mi z nią porozmawiać.

Hologram Mueller pojawił się przed nim niemal natychmiast.

- Słucham, sir?

- Połącz mnie z Laffertym - poprosił. - Jestem pewien, że nie opuścił jeszcze tego pasa asteroid na Cicero. Koordynaty i kody masz w komputerze.

Czekał prawie dwie minuty, zanim twarz Lafferty'ego pojawiła się nad biurkiem.

- Jak leci? - powiedział na powitanie Cole.

- Chciałem zapytać o to samo.

- Czynimy postępy. Susan Garcia nie jest już admirałem floty.

- To krok w dobrym kierunku - przyznał Lafferty. - Jej następcą na pewno nie będzie aż tak kompetentny. Jakim cudem udało wam się ją zabić?

- Nie zabiliśmy jej.

- Zatem kto? Teroni?

- Ona wciąż żyje - zapewnił go Wilson. - Została jedynie usunięta ze stanowiska.

- Przez pańskie działania?

- Uwielbiam tę myśl.

- Jeden z moich ludzi podróżujących poza system Cicero twierdzi, że przy okazji pozbawił pan życia miliony ludzi.

- Cieszy mnie, że wieści o tym tak szybko się rozchodzą - powiedział Cole.

- Naprawdę musieliście robić takie pogromy? - zaniepokoił się Lafferty. - Przecież mieliście walczyć z rządem i flotą, a nie obywatelami Republiki.

- Daję panu słowo, że w trakcie tych akcji nie zginął nawet jeden cywil.

Na holograficznej twarzy Lafferty'ego pojawiło się zaskoczenie.

- Jak w takim...?

- Opowiem panu, jak się zobaczymy. To wprowadzie zakodowany kanał łączności, ale ja nie ufam dzisiaj niczemu, jeśli tego osobiście nie sprawdzę.

- Nie ma sprawy. Na razie przyjmuję pańskie zapewnienie.

- Tak wygląda postęp z naszej strony - powiedział Cole. - A co u was słychać?

- W nasze ręce wpadł jeden - odparł enigmatycznie Lafferty, aby nie zdradzać niepotrzebnych szczegółów, na wypadek gdyby połączenie rzeczywiście nie było bezpieczne.

- Jak wam się to udało?

Staruszek uśmiechnął się.

- Myślę, że opowiem panu o tym, jak się spotkamy twarzą w twarz.

- Kiedy zakończycie prace? - dopytywał się Wilson.

- Dostanę go dopiero za dwa dni, a potem będziemy potrzebowali czterech następnych na montaż i przeprowadzenie testów.

- Sześć dni - podsumował Cole. - Nie jest tak źle. A co z rejestracją?

- W tej kwestii nadal nic się nie dzieje.

- W takim razie mamy sześć dni, żeby coś wykombinować. Potrzebuje pan czegoś?

- W tym momencie nie.

- W takim razie do zobaczenia - powiedział kapitan, przerywając połączenie.

Wstał i pogrążony w myślach zaczął się przechadzać po gabinecie. Brakowało mu jednak przestrzeni, dlatego opuścił ciasne pomieszczenie i udał się na pokład załogowy, gdzie miał nieco więcej swobody. Następnie skierował się na mostek. Krążył po nim szybkim krokiem, z miną świadczącą o tym, że nie chce, aby mu przeszkadzano. W końcu wylądował w mesie, zamówił kawę i wgapił się w zawartość kubka przez całe dziesięć minut.

Po kolejnych pięciu minutach do pomieszczenia wszedł Dawid Copperfield.

- Dobrzy ludzie powiedzieli mi, że tu cię znajdę, mój drogi Steerforth - odezwał się mały kosmita. - Dodali także, że wyglądasz na zakłopotanego, więc pomyślałem, że przyjdę, aby ci ulżyć w potrzebie.

- Witaj, Dawidzie - odparł Cole. - Właśnie miałem złożyć wizytę w twojej kajucie.

- Naprawdę?

- Naprawdę - kapitan skinął głową.

- A w jakiej sprawie? - zagadnął Copperfield.

- Chciałem zapytać, czy zechciałbyś być bohaterem, który pomoże nam wygrać tę wojnę - oświadczył Cole.

- Znowu się ze mnie naigrawasz? - zapytał nerwowo mały kosmita.

- Nie tym razem, przyjacielu ze szkolnej ławy.

- Nie cierpię bohaterstwa! - wrzasnął Dawid.

- Ale zrobisz to dla królowej i ojczyzny?

- Sprawiasz, że zaczynam odczuwać bóleści w brzuchu.

- Dawidzie, gdybym mógł poprosić o to kogoś innego...

- Niech ci będzie - jęknął nieszczęśliwy kosmita. - Ale spodziewam się szlacheckiego tytułu w zamian.

- Osobiście porozmawiam o tym z królową Wiktoria - zapewnił go Cole.

- Lepiej, byś dotrzymał cholernego słowa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Cole zasiadł na fotelu w kajucie Platynowego Księcia. Gospodarz przycupnął na skraju koi, a Dawid Copperfield, wciąż z nieszczęśliwą miną, stanął w progu.

- Mogę powtarzać wszystko do znudzenia, żeby nie było żadnych niejasności - powiedział kapitan. - Aczkolwiek nie widzę w tym niczego skomplikowanego.

- Ha! - zawołał z goryczą w głosie Dawid.

- Nie mam pojęcia, co pan tym razem zamierza - przyznał Książę. - Wiem tylko tyle, że jeszcze parę godzin temu miałem was opuścić, aby wrócić na moją stację, a „Teodor Roosevelt” wyruszał ponownie na terytorium Republiki. Natomiast teraz, niespodziewanie, biorę udział w jakiejś misji, a Dawid leci ze mną.

- Właśnie dlatego lepiej słuchać, niż gadać - stwierdził Cole.

- Dlaczego prowadzimy tę dyskusję w mojej kajucie? - zainteresował się człowiek z platyny. - Obawia się pan, że na pokładzie są szpiedzy albo, co gorsza, zdrajcy?

- Nie - odparł kapitan. - Pomyślałem po prostu, że Dawid poczuje się lepiej, jeśli omówimy tę sprawę w miejscu, gdzie nikt nie będzie mógł podsłuchać, o czym rozmawiamy.

- Dlaczego zatem nie udaliście się do jego kajuty?

- Nie spodobałoby się tam panu - odparł Wilson. - Wszystkie te ozdóbki...

- Dobrze już, przejdźmy do rzeczy - poprosił Książę.

- Poleci pan wahadłowcem na Ngorongoro. Z Dawidem. I Braxytą.

- Z Braxytą? - zdziwił się człowiek z platyny. - A on nam po co?

- Choćby po to, żeby kontakt uwierzył, iż obaj zamierzacie wrócić na Stację Singapur, a ktoś musi pilotować wahadłowiec z powierzchni planety na okręt.

- Mój przyjaciel może chcieć, aby to jeden z jego ludzi odprowadził wahadłowiec - zauważył Copperfield.

- W takim razie wybij mu to z głowy. Ale jeśli nawet ci się to nie uda, Braxyta poleci z wami.

- Powtórzę pytanie: po co? - wtrącił Książę.

- Gdyby kontakt Dawida upierał się przy tym, że jego człowiek ma być pilotem, ktoś musi dopilnować, aby statek poczekał na stacji do momentu wykonania misji przez Dawida. Jeśli zajdzie konieczność obezwładnienia pilota, aby umożliwić naszemu przyjacielowi powrót, Braxyta uczyni to bez wahania. Zapłacimy potem kontaktowi tyle, że nie będzie narzekał.

- Dobrze. Dawid i ja lecimy na Stację Singapur i co dalej?

- Pan wraca do zarządzania stacją, chyba że flota nadal traktuje pana jak tarczę strzelniczą. Gdyby miał pan z tym problem, proszę ukryć się dobrze i przeczekać do chwili, gdy Dawid będzie gotowy do odlotu. Wróci pan z nim.

- Przecież ja nawet nie wiem, po co go pan tam wysyła! - nie wytrzymał Książę. - Jak mam mu pomagać, skoro nie wiem nawet, co ma zrobić?

- Chodzi o pewien rodzaj infiltracji i niewielki sabotaż.

Człowiek z platyny popatrzył z politowaniem na małego kosmitę.

- On ma tego dokonać? - zapytał, wybuchając śmie-

chem.

- On - potwierdził Cole.

- Ja - dodał Dawid łamiącym się głosem.

- Potrzebuję czegoś, a nasz przyjaciel ma największe szanse na zdobycie tego bez wywoływania natychmiastowych reperkusji.

- A cóż to takiego? - zapytał Księżę.

- Potrzebujemy nazwy i dokumentów rejestracji okrętu wojennego klasy M. Nie możemy ich sami zrobić. Potrzebne nam są takie dokumenty, których nawet na Delurosie nikt nie podważy.

- Do tego nie trzeba Dawida - zachnął się człowiek z platyny. - Sam mogę je bez trudu załatwić. Każdy okręt dokujący na stacji musi podać swoją nazwę i numer rejestracyjny.

- A pan ma do nich dostęp?

- Mogę mieć, jeśli tylko zechcę - potwierdził Księżę. - Nigdy z tego wprawdzie nie skorzystałem, ale mechanizm takiej kontroli istnieje.

- Czy wszyscy ludzie przebywający na stacji mają do niego dostęp?

- Nie. Tylko kilku z moich podwładnych, aczkolwiek gdyby była potrzebna tylko nazwa, wystarczy wybrać się na przejażdżkę po ramionach doków i popatrzeć na cumujące tam jednostki. Nazwy okrętów wojennych są zazwyczaj wypisane wielkimi literami na ich burtach.

- Skoro tylko kilka osób ma dostęp do tych danych - kontynuował Cole - zapewne są chronione hasłami albo kodami.

- Tak.

- Każdy ma inne?

- Oczywiście.

- Zatem ani pan, ani pańscy podwładni nie możecie wykonać tej misji, jeśli chcecie pozostać na stacji. Wykrycie, kto wykradł dane, mogłoby narazić was na ryzyko. Ale może pan odwalić papierkową robotę i uczynić z Dawida swojego pracownika, co uprawni go do posiadania haseł i kodów. Jeśli zdoła opuścić stację z nazwą i numerem rejestracyjnym, flota może się dowiedzieć, kto odpowiada za tę kradzież i nikomu włos z głowy nie spadnie.

- Cholernie skomplikowany ten plan - mruknął Książę.

- Staram się tylko chronić pański tyłek - stwierdził Cole. - Po tym, jak załatwimy ten okręt, flota wpadnie w prawdziwy szaf i będzie łąknęła krwi. Ale jeśli woli pan, aby upuszczono pańskiej, a nie Dawida...

- Skoro tak pan stawia sprawę... - zaczął człowiek z platyny.

- Wiedziałem, że dostrzeże pan dobre strony mojego planu - przerwał mu kapitan, uśmiechając się szeroko.

- A dlaczego pan sądzi, że flota wpadnie w szaf? - nie ustępował Książę.

- Choćby dlatego, że Dawid zamierza unieruchomić ten okręt.

Książę ponownie skierował spojrzenie na małego kosmitę.

- Ty?

Copperfield uśmiechnął się tylko.

- Zatem twierdzi pan, że on zamierza wysadzić ten okręt w moich dokach, ale flota nie obciąży mnie winą za jego czyny?

- Nie będzie niczego wysadzał. To by tylko zaszkodziło naszej sprawie.

- W takim razie jak można wyeliminować okręt wojenny

klasy M tak, żeby nie wyrządzić szkody pańskiej sprawie?

- Zniszczenie go zostałoby odnotowane w rejestrach floty - wyjaśnił Cole - a my nie chcemy, aby ktokolwiek na Delurosie wiedział, że ma do czynienia nie z tą jednostką co trzeba.

Książę zrobił wielkie oczy.

- Chce pan nadać tę nazwę i numer rejestracyjny okrętowi zdobytemu przez Lafferty'ego!

- Zgadza się.

- Może pan narobić szkód, ale na pewno nie obali pan Republiki, atakując jej stolicę pojedynczym okrętem. Nawet klasy M.

- Nie zamierzam robić niczego podobnego - zastrzegł się kapitan.

- W takim razie na czym polega pański plan?

- Pożyje pan znacznie dłużej, jeśli nie będzie pan tego wiedział - zapewnił go Wilson. - W każdym razie Dawid pobierze kilka lekcji subtelnego sabotażu u prawdziwych mistrzów, jakimi są Bujandi, pan Moyer i oczywiście Wal. Następnie znajdzie jakiś sposób na unieruchomienie tego okrętu, ale nie na stałe, wystarczą nam trzy, cztery tygodnie jego postoju. Musi to jednak wyglądać na poważną, ale usterkę, bo takich przypadków nie raportuje się admiralicji.

- I co dalej?

- Potem wsiądzie na statek i wróci na Ngorongoro, a my odbierzemy go stamtąd wahadłowcem i dostarczymy na pokład „Teddy'ego R.”.

- I naprawdę wierzy pan, że to się uda?

Cole wstał, podszedł do Dawida i położył dłoń na jego wątłym ramieniu.

- Raz już zaryzykował życiem w mojej obronie, w pań-

skim kasynie zresztą. Dzisiaj poniesie podobne ryzyko, ale dla stawki większej niż los jednego człowieka.

- Albo kosmity - dodał Książę, mając na myśli samego Copperfielda.

- Proszę nawet o tym nie myśleć! - zawołał Dawid.

- Kiedy lecimy na to Ngorongoro?

- Jutro - odparł kapitan. - Dawid musi pobrać jeszcze kilka lekcji sabotowania okrętów. A pan zyska trochę czasu na wymyślenie dla niego hasła, chyba że woli pan to zrobić w czasie podróży na Ngorongoro.

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedział człowiek z platyny.

- Słucham.

- A jeśli w tym czasie na stacji nie będzie żadnego okrętu klasy M?

- Nie spodoba się panu odpowiedź - stwierdził Cole.

- Doprawdy? - zapytał z obawą w głosie Książę. - A mogę ją usłyszeć?

- Będzie pan musiał zrobić coś, aby go tam ściągnąć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Cole kręcił się nerwowo po okręcie, jak dzikie zwierzę zamknięte w klatce. Miał paskudny nastrój. Gdy otwierał usta, by coś powiedzieć, warczał. Gdy jadł, połowa posiłku zostawała na talerzu. Wydzierał się nawet na Jacovica, co miało miejsce po raz pierwszy, od kiedy Teroni wstąpił do załogi. Doprowadził Christine do łez. Wal nie był w stanie urazić, ale ona też omijała go szerokim łukiem.

Gdy nie przemierzał korytarzy okrętu, zwykł przesiadywać w swoim gabinecie. W końcu, po czterech dniach takiej udręki, Sharon zdecydowała się opuścić pomieszczenia sekcji i zejść do kapitańskiego przybytku.

- Są jakieś wiadomości? - zapytał zaciekawiony Wilson.

- Niestety nie - odparła. - Ale gdyby coś przyszło, dostałbyś powiadomienie z mostka.

- Wiem - odparł.

- Jak długo jeszcze zamierzasz zachowywać się w podobny sposób?

- Dopóki nie dowiem się, jak wygląda sytuacja na Stacji Singapur.

- Na to będziesz musiał poczekać jeszcze przynajmniej dwa dni - zauważyła.

- Wiem.

- Nie sądzisz więc, że pora się uspokoić?

- Do cholery, Sharon, ja go w to wszystko wpakowałem! Ten mały gnojek tak pasuje na sabotażystę, jak ja na spa-

ringpartnera dla Byka albo Wal. Nie powinienem być go o to prosić.

- Dlaczego nie usiądziesz na tyłku i nie poczekaasz na rezultaty misji, zamiast go oplakiwać?

- Nie mogłem tam wysłać nikogo innego - kontynuował Cole. - Był jedynym przedstawicielem tej rasy, jakiego w życiu widziałem, a każdy, kto przebywał wcześniej na tej stacji, musiał go tam zauważyć. Jego pobratymcy nie brali udziału w tej wojnie, nie sprzymierzyli się z Teroni, a zważywszy fakt, że przebywał razem z Księciem, kiedy my znajdowaliśmy się daleko od stacji, nikt nie powinien kojarzyć go z „Teddym R.”.

- Wiem. I dlatego to był najrozsądniejszy wybór.

Cole zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

- Trząś się jak osika, kiedy odprowadzałem go do waha-dłowca.

- Ale poleciał - zauważyła. - Gdyby nagle mu się odwizdowało na Ngorongoro, to już dawno dostałbyś informację z tej planety, że mamy tam przylecieć i go odebrać.

- Wiesz, jak dobrze są chronione okręty wojenne klasy M? - zapytał Cole. - Nawet Cztery Oczy kazałby mi zapomnieć o tej sprawie, a on był najlepszym sabotażystą, jakiego kiedykolwiek znałem.

- Nie wiem dokładnie, co planowałeś, oprócz tego, że posłałeś go tam po nazwę i numer rejestracyjny takiego okrętu i kazałeś go unieruchomić przynajmniej na kilka tygodni. Trwa wojna, a jak zapewne wiesz, podczas takich konfliktów trzeba ryzykować, nawet kiedy wydaje się, że nie ma szans na zwycięstwo.

- Wiem o tym doskonale - zapewnił ją Wilson. - Ale nie czuję się dzięki temu nawet odrobinę lepiej. Wysłałem najbar-

dziej tchórzliwą istotę, jaką znałem, w sam środek bezlitosnej wojny, która jej zupełnie nie dotyczyła, przydzielając na domiar złego niemożliwą do wykonania misję.

- Już raz zaryzykował dla ciebie życiem, kiedy ten watażka miał cię na muszce.

- To była zupełnie inna sytuacja.

- Na czym polegała różnica?

- Wtedy to on zdecydował, co robić - wyjaśnił Cole. - A teraz ja wydałem mu rozkaz.

Sharon skrzywiła się z irytacji.

- Zatem będziesz się dalej wściekał, dopóki się nie zgłosisi?

- Raczej tak.

- Zatem racz uczynić sobie i temu okrętowi jedną niewielką przysługę.

- Jaką znowu przysługę?

- Siedź w tym pieprzonym gabinecie i nie odzywaj się do nikogo - powiedziała. - Dzięki temu oszczędzisz sobie i nam kolejnego tygodnia zmarnowanego na przepaszanie.

Nie odpowiedział, ale nie spuszczał z niej wzroku. Początkowo chwile, a potem obróciła się na pięcie i wyszła.

Cole posłuchał jej rady. Nie krążył już po okręcie. Posiłki dostarczano mu do kajuty albo gabinetu, co miało tę dodatkową zaletę, że mógł wyrzucać całkiem spore resztki do atomizera z dala od ciekawskich oczu i nie wysłuchiwał dobrych rad, aby mimo wszystko jadł więcej. Po kolejnych dwóch dniach uznał ostatecznie, że Dawid zawiódł, a Księżę nie ma odwagi, by mu o tym powiedzieć. Oznaczało to ni mniej, ni więcej tylko tyle, że cel, jaki sobie wyznaczył, był równie odległy jak miesiąc wcześniej.

Właśnie rozważał, czy nie zejść do doku i nie wsiąść na

pierwszy z brzegu wahadłowiec, aby polecieć na Ngorongoro, skąd, po zakupie albo wynajęciu innej jednostki i przebraniu się, mógłby dotrzeć na Stację Singapur, gdy spokój i ciszę przerwała wiadomość od Jacovica.

- Kapitan Cole jest proszony na mostek.

- A ci co znowu? - burknął, wychodząc z gabinetu.

- Mamy tam bohatera, który chciałby złożyć ci osobiście meldunek - odpowiedział głos Sharon, gdy zmierzał w kierunku wind.

Cole przebiegł ostatnie kilka kroków dzielących go od szybu, wjechał na mostek i moment później stał już przed całym i zdrowym Dawidem Copperfieldem - kosmita pęczniał z dumy, choć widać było po nim spore zmęczenie.

- Dokonałem tego! - powiedział. - Ja osobiście, Steerforth! Zrobiłem to!

- Zawsze w ciebie wierzyłem - skłamał Wilson. - Opowiadaj, jak było.

- Zdobyłem nazwę i numer rejestracyjny już w trzy godziny po przybyciu na stację - zaczął Dawid. - Było to tak proste, jak obiecywał Platynowy Książę.

- A co z sabotażem?

- Nie mogłem dostać się na okręt - wyznał kosmita. - Był zbyt dobrze strzeżony, więc nie mogłem zastosować żadnej z technik, jakich nauczyli mnie Bujandi, pan Moyer i Walkiria... - Zamilkł na chwilę. - Ale miałem przecucie, że wejście na pokład może być trudne, jeśli nawet nie niemożliwe, więc jeszcze przed opuszczeniem „Teddy’ego R.” poprosiłem pana Briggsa o napisanie wirusa, który niszczy kompletnie pamięć komputera nawigacyjnego. Pokazał mi też, w jaki sposób przesłać go do systemu, żeby pilot z rasy Bdxeni nie zauważył go przynajmniej

przez trzy doby. Wirus potrafił także zniszczyć część sprzętu odpowiedzialną za transmisję i aktualizowanie danych, tak więc zdalne uzupełnienie braków w pamięci jest, praktycznie rzecz biorąc, niemożliwe. Sama naprawa sprzętu powinna potrwać około dwóch tygodni, wliczając w to czas dostawy części, a ponieważ są one produkowane przez inną firmę niż oprogramowanie, muszą być zainstalowane najpierw, aby zaprogramować je odpowiednio i umożliwić przesył danych.

Cole spojrzął na Briggsa.

- Nigdy mi pan o tym nie wspominał.

- Nigdy pan nie pytał, sir - odparł porucznik. - Poza tym sądziłem, że to część zaaprobowanego przez pana planu.

- Że też sam o czymś takim nie pomyślałem - zbesztął się Cole.

- Co zamierzasz uczynić ze zdobytą nazwą i numerem rejestracyjnym okrętu? - zapytał kosmita, któremu przebywanie w świetle jupiterów bardzo się spodobało.

- Przekaż je panu Briggsowi, on je prześle Lafferty'emu. A co słychać u Księcia?

- Ogłosił, że marynarze i oficerowie floty jedzą i piją przez dwa dni na jego rachunek, i wszyscy są znowu jego przyjaciółmi - referował Dawid.

Cole spojrzął na niego z ojcowską dumą.

- Świetnie się spisałeś, przyjacielu.

- Dziękuję, Steerforth.

- Nawet pan Creakle musiałby to przyznać, aczkolwiek niechętnie.

Pierś kosmity wyprężyła się z dumy.

- Kim jest pan Creakle? - zapytała Sharon.

- Naszym dawnym wychowawcą - oświadczył Cole, na co

Dawid skwapliwie przytaknął.

Na mostku pojawiła się Wal.

- Słyszałam, że wróciłeś - powiedziała do Copperfielda. -

Robota wykonana?

- Tak - odparł kosmita.

- Świetnie - ucieszyła się i spojrzała na kapitana. - Zatem jesteśmy gotowi do rozpoczęcia nowej fazy wojny?

- Całkowicie - Wilson kiwnął głową.

- Kiedy zaczynamy atak?

- Nie będziemy nikogo atakowali.

Zmarszczyła czoło.

- A co będziemy robili?

- Poddamy się - odparł Cole.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

„Teddy R.” wszedł do systemu Cicero i skierował się prosto na asteroidę Lafferty’ego, tak bowiem ochrzciła ją załoga. Znalezienie jej było bardzo proste. Według starożytnych wyobrażeń takie pasy asteroid były pędzącymi z niesamowitymi prędkościami kłębowiskami gigantycznych głazów. W rzeczywistości zobaczenie kilku z nich naraz - co przy dzielących je, liczonych w dziesiątkach tysięcy mil odległościach, było naprawdę rzadkie - powodowało ekscytację ludzi znudzonych lotem w próżni.

Cole wybrał jak zwykle „Kermita” i ustalił, że jego załogę stanowić będą Jacovic, Idena Mueller, Byk Pampas, Jaxtaboxl oraz Gentry. Kilka minut później wszyscy wymienieni stanęli przed okrętem klasy M.

- Nieźle się prezentuje - stwierdził z dumą Lafferty, witając ich w skafandrze kosmicznym.

- Jak spod igły - przyznał Cole. - Obawiam się, że będę musiał poprosić Platynowego Księcia o kilka holo prezentujących wygląd jednostki, pod którą mamy zamiar się podszycić. Śliski skopiuje i naniesie wszystkie oznaczenia.

- Oznaczenia? - zdziwił się Lafferty. - Chodzi panu o numery i nazwę?

Cole pokręcił głową.

- Te już znamy. To, że okręt, którego numery pobraliśmy, nadal lata, nie oznacza jednak, że nie brał wcześniej udziału w poważnych starciach z Teroni albo kimś innym. Dlatego może mieć na kadłubie wiele widocznych uszkodzeń od trafień albo

kolizji z pomniejszym kosmicznym śmieciem. Dlatego Śliski będzie musiał je skopiować.

- Jaką bronią dysponuje ten okręt? - zapytała Gentry.

- Standardowym zestawem - odparł staruszek. - Osiemnaście dział, z czego dziesięć, po równo palników i stukaczy, należy do piątej generacji, ale, co ciekawe, dysponuje także dwiema puszczalnikami.

- Przecież to jakiś bezsens - obruszył się Wilson. - W przestrzeni nie można używać broni sonicznej. Nie ma w niej wystarczającej ilości molekuł, by wprowadzić je w śmiertelne drgania, a okręt tego typu nie zbliża się do planet na tyle, by wchodzić w ich atmosferę.

- Może jego budowniczy wiedzą o czymś, o czym my nie mamy pojęcia - stwierdził Jacovic. - To, że nie widziałem nigdy na okręcie wojennym dział sonicznych, podobnie zresztą jak pan, nie oznacza jeszcze, że się ich tam nie montuje. Może wynaleziono coś, co przenosi fale dźwiękowe bezpośrednio do wnętrza kadłuba wrogiej jednostki, dzięki czemu nie rozpraszają się w próżni.

- Może - zgodził się Cole. - Zresztą to nie ma dla nas większego znaczenia. Użycie któregoś z tych dział oznacza dla nas wyrok śmierci. Chciałem tylko sprawdzić, czy ta jednostka ma na pokładzie wszystko, co mieć powinna, na wypadek gdyby komuś przyszło na myśl przeprowadzić inspekcję.

- Chcecie obejrzeć go od środka? - zapytał Lafferty.

- Po to tu przylecieliśmy.

Staruszek zaprowadził ich na platformę, która uniosła wszystkich do głównego wjazdu, i niedługo potem kroczyli już korytarzami okrętu.

- Jeju! - zawołała Idena. - Spodziewałam się sporej przestrzeni, ale tu jest mnóstwo miejsca!

- Sklepienia są na poziomie przynajmniej dziewięciu stóp, jeśli nie wyżej - zauważył Pampas. - Na tej dziecinie trudno nabawić się klaustrofobii.

- Jak dużą załogę posiada taka jednostka? - zainteresował się Jaxtaboxl.

- Na to pytanie ja mogę odpowiedzieć - zaoferował się Jacovic. - Zgodnie z posiadanymi informacjami okręty klasy M dysponują dziewięćdziesięciosześcioosobową załogą.

- Ale nie ten - poprawił go Lafferty. - Wprawdzie jest tu tyle miejsca, że spokojnie pomieści parę setek załogantów, ale z tego, co wiem, ma tylko czterdzieści dwa stanowiska. Nie uwierzycie, jak wiele funkcji zostało ostatnio zautomatyzowanych.

- Tylko proszę nie mówić, że ma najsilniejszy promień ściągający - odezwał się Cole.

- Jakżeby inaczej - odparł staruszek. - Ale to teraz jest montowane w standardzie, nawet w niższych klasach. - Uśmiechnął się szeroko. - Może nie na takich antykach, jak pański okręt, ale on chyba chodzi na parę albo jeszcze gorzej.

- Zobaczmy, co tu jeszcze mamy - rzucił Cole, ignorując uwagę.

Lafferty zaprowadził ich do przedziału bojowego, wypełnionego imponująco wyglądającymi działami, a potem do centrum dowodzenia.

- Widział pan kiedyś tak wielki mostek? - zapytał Pampas, nie kryjąc podziwu.

- Admirał Garcia miała jeszcze większy na swoim flagowcu - odparł Cole. - Ale nie przeczę, robi wrażenie. - Podszedł pod kokon - siedzisko pilota. - To ten sam układ? - zapytał. -

Pilot wisi tam i ma bezpośrednie połączenie z komputerami?

- Zgadza się - przytaknął Lafferty. - Zakładając oczywiście, że to Bdxeni, ale dzisiaj już tylko oni służą na tych stanowiskach.

- Dobrze, sprawdźmy, jak działa system komunikacji. - Włączył transmitters. - Jesteś tam, Dawidzie?

- Oczywiście, Steerforth - odparł Copperfield, a jego hologram pojawił się nad konsolą w tym samym momencie.

- Daj mi na moment Wal.

Rudowłosa pojawiła się mgnienie oka później.

- Czego znowu chcesz?

- Weź wahadłowiec albo któryś z mniejszych okrętów i przeleć kilkaset mil. Sprawdzisz, czy możesz przejąć jakąś rozmowę pomiędzy „Teddym R.” a tą jednostką.

- Już lecę - odparła i zniknęła. - Będę na „Alice”.

- Dobrze. Dawidzie, musimy pogawędzić kilka minut, aby przekonać się, że system łączności jest szczelny.

- Nie ma sprawy - powiedział mały kosmita i zamilkł.

- A to oznacza, że masz do mnie mówić - wyjaśnił Cole. - Wal nie zdoła niczego przejąć, jeśli będziesz cały czas milczał.

- Kombinuję cały czas - stwierdził Copperfield - ale nic mi na myśl nie przychodzi.

- Opowiedz mi o szczegółach twojej wyprawy na Stację Singapur - poprosił kapitan.

- Przecież już to zrobiłem.

- W takim razie powtórz raz jeszcze.

- Tak na oczach wszystkich? Boję się - wyjęczał Dawid.

- Będziesz się bał jeszcze bardziej, kiedy wycelują prosto w ciebie działo soniczne piątej generacji dlatego, że jakiś okręt wroga przejął transmisję, która miała być rzekomo niewykry-

walna.

Mikry kosmita rozgadał się nagle, jakby plotkowanie leżało w jego naturze. W końcu Cole przerwał mu ten słowotok i skontaktował się z „Alice”.

- Odebrałaś jakieś sygnały? - zapytał.

- Nie - odparła Wal. - Nie potrafiłam nawet wykryć transmisji.

- Świetnie - ucieszył się kapitan. - Możesz wracać na pokład.

Rozłączył się najpierw z rudowłosą, potem z Dawidem.

- W porządku - powiedział do Lafferty’ego. - Wygląda na to, że kody Briggsa działają. - Rozejrzył się raz jeszcze. - Mam tylko nadzieję, że ten cholerny kambuz jest lepszy od naszego.

- Widział pan kiedyś dobre jedzenie na okręcie wojennym floty? - zapytał starszek, szczerząc zęby.

- Nie - przyznał Cole. - W każdym razie nie było go na jednostkach, na których służyłem, ale proszę nie zabijać we mnie nadziei.

- A miej se pan nadzieję, na co pan tam chcesz - odparł Lafferty. - Zważywszy na systemy obrony „Sabine Nova”, prędzej umrze pan na jej pokładzie z głodu albo na zatrucie pokarmowe, niż zginie od ognia wroga.

- Taką nazwę nosi ten okręt? „Sabine Nova”?

- Dowodzi nim kapitan Tucker Marchand - dodał starszek, nie kryjąc zaskoczenia. - Nie wiedział pan o tym?

- Rozkazałem Dawidowi przesłać te informacje prosto do pana - wyjaśnił Wilson. - Wiedziałem, że dowiem się wszystkiego po przybyciu do systemu Cicero.

- Zaprogramowaliśmy już wszystkie numery rejestracyjne i kody floty dla tej jednostki, pan Briggs poinstruował nas także,

jak wprowadzić wasze dodatki, więc okręt jest gotowy do lotu.

- Jeszcze nie - poprawił go Cole. - Najpierw Książę musi nam przestać holo z aktualnym wyglądem tej jednostki. Potem Śliski naniesie na kadłub wszystkie znaki szczególne, które posiada oryginalna „Sabine Nova”.

- Co to za Śliski, o którym ciągle pan wspomina?

- Tolobita.

- A niech mnie! - zawołał Lafferty. - Żebym ja miał jednego z nich u siebie! To by mi ułatwiło prace na poszyciu okrętu.

Cole odwrócił się do członków załogi, którzy przylecieli z nim na asteroidę.

- Przyjrzyjcie się temu okrętowi od wewnątrz, zapamiętajcie rozkład pomieszczeń i sprawdźcie, czy wszystko działa.

- Nie wyłączając broni? - zapytał Pampas.

- Wszystko oprócz broni. Jak skończycie, wracajcie na pokład i przyślijcie tu następną szóstkę. Będziecie się zapoznawali z nową jednostką w takich grupach. Chcę, żeby do jutra wszyscy członkowie załogi potrafili się swobodnie poruszać po pokładach. - Spojrzał na Jacovica. - Proszę się skontaktować z Księciem i przekazać mu prośbę o holo kadłuba.

Teroni skinął głową i ruszył na obchód okrętu razem z pozostałymi.

- Nie rozumiem - odezwał się Lafferty. - Chce pan wiedzieć, czy działają spłuczki i amortyzatory wind, a nie interesuje pana stan uzbrojenia?

- Nie interesuje.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ oddanie jednego strzału ściągnie nam na głowy ogromne problemy - odparł Cole.

Staruszek skrzywił się.

- Jak blisko serca Republiki chce pan dolecieć?
- Aż na Delurosa.
- Bez oddania jednego strzału?
- Zgadza się.
- Zdaje pan sobie sprawę z tego, że jest szalony? - zapytał

Lafferty.

- Być może - odparł ze spokojem Cole.
- Na pewno - podkreślił staruszek.

Wilson uśmiechnął się.

- Słyszał pan kiedyś opowieść o koniu trojańskim?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

- I tak to właśnie ma zadziałać - podsumował Cole przemowę przez interkom do załogi. - Zostawimy szkieletową załogę na „Teddy R.”, tylko tylu ludzi, by utrzymywać okręt w gotowości bojowej i bronić go w razie ataku. Potrzebuję sześcioro ochotników, raczej ludzi, jako że stanowią trzon załóg okrętów floty. Jednym z nich musi być oficer, na wypadek gdyby zaszła konieczność pilnego podjęcia znaczących decyzji. Wykluczam od razu komandora Jacovica, ponieważ Teroni nie służą po naszej stronie... - Zamilkł na moment, aby mieli czas na przetrawienie tych słów. - Pilot zostanie przeniesiony na „Sabine Nova” i zostanie podłączony do jej komputerów w taki sam sposób, jak u nas. Wszyscy, którzy dołączyli do naszej załogi już po buncie i ucieczce, automatycznie przechodzą na nową jednostkę, nie chcę, by na pokładzie „Teddy’ego R.” był ktokolwiek, kogo nie ma w rejestrach marynarki.

- Ja zostanę, sir - zaoferowała się Christine. - Skoro Jacovic musi odejść, pozostają tylko ja i Wal, a zważywszy niebezpieczeństwo tej misji, ona bardziej przyda się panu niż mnie.

- Dziękuję, poruczniku Mboya - odparł Cole.

- W dodatku ona też przyłączyła się do nas już na Wewnętrznej Granicy, sir, więc prawdę powiedziawszy, nie ma innego wyboru.

- Tak się do niej przyzwyczaiłem, że już o tym zapomniałem - przyznał kapitan. - Dobrze - podsumował. - Wszyscy, którzy mają zostać przeniesieni na nowy okręt, wiedzą, na czym

polega mój plan. Tylko jednostka, która przechwyci „Teddy’ego R.”, zdoła dostać się w pobliże Delurosa. A okręt klasy M byłby w stanie dokonać podobnej rzeczy. Zatem „Sabine Nova” weźmie „Teddy’ego R.” na hol i jeśli dopisze nam szczęście, doprowadzi go aż do Delurosa VIII. Jestem pewien, że sekretarz Wilkie i jego przydupasy zrobią wszystko, by nas osądzić i przy okazji pokazać się mediom, a nigdzie nie mają tak posłusznych redakcji jak w stolicy Republiki. Dlatego wydaję kategoriyczny rozkaz załogom obu okrętów, aby pod żadnym pozorem nie otwierały ognia. Tylko ja mogę go odwołać. Nawet okręt tak potężny jak „Sabine Nova” nie pokona tysięcy lat świetlnych dzielących go od Delurosa VIII, jeśli flota zdecyduje się go powstrzymać. Christine, nie możesz ostrzeliwać jednostek, które będą nadlatywały z mijanych systemów, aby do was strzelać.

- A możemy przynajmniej mieć włączone osłony? - zapytała Mboya.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie widzę przeciwwskazań - odparł. - Fakt, że „Sabine Nova” nie rozwalila was na kawałki, musi świadczyć o tym, że osłony wciąż są sprawne. Przecież dowódca tej jednostki nigdy by nie wziął „Teddy’ego R.” na hol, gdyby ten drugi miał wciąż sprawne systemy uzbrojenia. Co więcej, zapewne sam nakazałby włączenie tarcz, przecież nie mógłby się pochwalić zdobyczą, gdyby ktoś po drodze ją zniszczył. Zatem tak, możecie się ukryć za osłonami, ale za nic w świecie nie odpowiadajcie ogniem. Nie może paść ani jeden strzał. Nie możecie się też komunikować z nikim prócz „Sabine Nova”, a i to wyłącznie kanałami, które nie mogą być przechwycone przez najnowsze i najbardziej skomplikowane systemy marynarki.

- Rozumiem, sir.

- Świetnie. Ochotnicy do pozostania na pokładzie „Teddy'ego R.” zgłoszą się do komandora Jacovica. Jeśli będzie was więcej niż sześcioro bądź siedmioro, on dokona ostatecznej selekcji. Reszta pakuje swoje graty i kieruje się do doków, skąd będziemy przewozili wszystkich na „Sabine Nova”. Pilot umieści „Teddy'ego R.” na stałej orbicie. Jego przeniesimy na samym końcu, kiedy wszyscy pozostali zajmą już stanowiska na zdobywczej jednostce, łącznie z ludźmi Lafferty'ego, którzy zgodzą się z nami lecieć. Po jego przybyciu od razu ruszamy w drogę, holując „Teddy'ego R.”. Okręty floty powinny nas dostrzec niedługo później. Będziemy im odpowiadali, że przejęliśmy okręt Cole'a i lecimy po nagrodę na Delurosa.

- A jeśli mimo to każą nam się zatrzymać? - zapytał Jaxtaboxl.

- Odpowiemy, z całym szacunkiem, rzecz jasna, że taki rozkaz może nam wydać wyłącznie admirał Susan Garcia - odparł Wilson. - Przebywaliśmy na Wewnętrznej Granicy, więc nie słyszeliśmy o jej usunięciu, a kiedy nas o tym poinformują, po prostu nie uwierzemy.

- Mam pytanie, sir - wtrąciła Gentry.

- Pani zawsze mówi do rzeczy - pochwalił ją Cole. - O co chodzi tym razem?

- Wieści o przejęciu „Teddy'ego R.” przez „Sabine Nova” rozejdą się błyskawicznie po Republice, więc załoga oryginalnej jednostki także się o nich wkrótce dowie. Co ją powstrzyma przed powiadomieniem admiralicji o faktycznym stanie rzeczy? Nawet jeśli marynarka nie uwierzy w taki meldunek, z pewnością wyśle kogoś, aby sprawdził go u źródła i u nas na pokładzie, zanim zbliżymy się do Delurosa.

- Świetne pytanie - pochwalił ją kapitan. - Panie Briggs, będzie pan tak uprzejmy i odpowie na nie?

- Jeden z podprogramów wirusa, którym zainfekowaliśmy komputery „Sabine Nova”, ma za zadanie zniszczyć po dwóch dobach jej systemy komunikacyjne - powiedział Malcolm. - Dzięki temu załoga będzie mogła zgłosić usterkę i zamówić części zamienne, ale zanim ktoś rozpowszechni wieści o nas, „Sabine Nova” straci oczy i uszy. My w tym czasie poprosimy Platynowego Księcia o uziemienie całej komunikacji publicznej w obrębie Stacji Singapur aż do odwołania.

- Czy to wystarczająca odpowiedź na pani pytanie?

- Tak, sir, wystarczająca - odparła Gentry.

- Czy ktoś jeszcze chce o coś zapytać? - Cole odczekał chwilę. - Nie? W porządku, zaczynajcie się pakować i przechodzić do wahadłowców. - Odszukał wzrokiem Pampasa. - Byku, weź lekarza pokładowego i pomóż mu odpiąć pilota. Przenieście go potem na pokład wahadłowca i przetransportujcie na „Sabine Nova”. Nie odchodź na krok, dopóki nie zostanie ponownie podłączony.

- Przenieście go? - zapytał zaskoczony sierżant.

- Byku, on nie ruszał się z tego kokonu przez dziesięć albo i piętnaście lat. Mięśnie jego kończyn musiały ulec atrofii.

- Rozumiem, sir.

- Świetnie - ucieszył się Cole. - W takim razie bierz się do roboty.

Gdy załoganci ruszyli do kajut, Wilson zauważył, że Sharon przygląda mu się badawczo.

- Co znowu? - zapytała.

- Jesteś gotowa na to, by przestać w końcu udawać, że śpimy w osobnych kajutach?

- To już nie tajemnica - odparła z uśmiechem na ustach.
- I dobrze. Po przeniesieniu na „Sabine Nova” zanieś swoje rzeczy to apartamentu kapitańskiego.
- Apartamentu? - zdziwiła się.
- To okręt klasy M, kobieto.
- Do prawdziwego apartamentu! - powtórzyła z radością w głosie. - Ale jak się pokłócimy i zerwiemy, ja w nim zostaję.
- Nie bądź aż tak wielką optymistką - uspokoił ją Cole. - Nie zerwiemy naszego związku. Już raczej prędzej powieszą nas razem za zdradę.
- Dzisiaj już się nie wieszka ludzi - zapewniła go Sharon.
- Naprawdę? - Wilson udał zdziwienie. - Do diaska, gdybym wiedział, zbuntowałbym się z dziesięć lat wcześniej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Sabine Nova” holowała „Teddy’ego R.” przez ponad standardową dobę, zanim dostrzegła ją w końcu pierwsza jednostka należąca do floty Republiki.

- Podajcie dane identyfikacyjne - zażądał dowódca okrętu klasy L.

- Odpowiedź tylko audio - rozkazał Briggs. - Żadnego holo.

- Tak jest!

- Tutaj „Sabine Nova” - odpowiedział Cole. - Czterydzieści trzy dni temu wyruszyliśmy ze Spicy IV, numer rejestracyjny HVT678939Q-W2, dowódca Tucker Marchand, cel podróży De-luros VIII.

- A towarzyszący wam okręt?

- On nam nie towarzyszy - sprecyzował Wilson. - To trofeum, które mamy zamiar zaprezentować sekretarzowi Eganowi Wilkiemu.

- Trofeum? - zapytał dowódca republikańskiej jednostki. - Wyjaśnijcie mi to, proszę.

- Okręt, który holujemy, to „Teodor Roosevelt”.

- Jednostka Wilsona Cole’a? - w głosie rozmówcy pojawiło się podekscytowanie. - Naprawdę go dorwaliście?

- Naprawdę go dorwaliśmy - zapewnił kapitan.

Następna odpowiedź miała tryumfujący ton.

- Świetna robota, „Sabine Nova”! Będziemy was ubezpieczali w drodze przez ten sektor.

- Będziemy wdzięczni za okazaną pomoc - odparł Cole i

przerwał transmisję.

- Wdzięczni? - rzuciła porywczo Wal.

- Wiesz, co by zrobili, gdybym kazał im od razu spadać? - zapytał Wilson.

- Wiem, że moglibyśmy rozpieprzyć ich na atomy - odparła. - W sumie nadal możemy to zrobić. Teraz są znacznie większym i prostszym celem.

- Nie znajdujemy się na Wewnętrznej Granicy ani obrzeżach Republiki - przypomniał jej Cole. - Ten okręt może mieć otwarte kanały łączności z innymi jednostkami floty.

Jakby na zawołanie dwa kolejne okręty patrolujące ten sektor zgłosiły się na ochotnika do eskortowania cennej zdobyczy na Deluros.

- To będzie przypominało bardziej paradę, jeśli w każdym mijanym sektorze dołączy do nas tyle nowych jednostek eskorty - zauważyła Sharon, gdy kapitan wyraził wdzięczność ich dowódcom i zezwolił na dołączenie do szyku.

- To ma też dobre strony - odparł na to Wilson. - Dzięki nim żaden napalony patriota nie otworzy ognia do „Teddy’ego R.”.

Trzy godziny później Briggs przechwycił ogólnogalaktyczny program holo, na którym podawano sensacyjną wiadomość o schwytaniu niesławnego Wilsona Cole’a i jego zbuntowanej załogi. Politycy jeden po drugim wygłaszali mowy pochwalne dla samych siebie, a trzech z nich posunęło się nawet do otwarcia twierdzenia, że gdy cała prawda wyjdzie na jaw, wszyscy zobaczą, że dawny bohater Republiki pracował teraz dla Federacji Teroni.

- Zadeptają się w walce o mikrofon, byle tylko odtrąbić sukces i podkreślić własną rolę w naszym ujęciu - zauważyła

Sharon podczas obiadu jedzonego w kapitańskim apartamencie. - Nigdy nie myślałam za dobrze o naszym rządzie, ale teraz mam go naprawdę za nic.

- Ciesz się, że Susan Garcia nie wróciła z emeryturki, aby ogłosić, że to dzięki jej planowi udało się nas schwytać - odparł Cole, uśmiechając się szeroko.

- Co zamierzasz zrobić, jak już dotrzemy do celu? - zapytała. - Media będą chciały niekończących się holo z bohaterką załogą.

- Na co pozwolimy.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Powiesz mi w końcu, co zamierzasz?

- Byłoby zabawniej, gdybyś wyciągnęła to ze mnie w bardziej uwodzicielski sposób - stwierdził. - Ale co mi tam. Chcą tryumfującej załogi? Dam im ją. Mamy na pokładzie jedenastu załogantów, jak Moyer czy Gentry, którzy nie służyli przed buntem na „Teddym R.». Zebraliśmy tych ludzi i kosmitów dopiero po dotarciu na Wewnętrzną Granicę... Lafferty ma z tuzin swoich, a może i więcej. Zadbamy tylko o to, by mieli na sobie nasze dawne mundury, jeden ze swoich dam Lafferty'emu, bo jeśli przyjdzie co do czego, on jeden będzie wiedział, co powiedzieć, i możemy umawiać się na konferencje prasowe.

- Wal też do nich dołączy? - zapytała Sharon.

Cole pokręcił głową.

- Nie, jej będę potrzebował przy sobie. - Nagle roześmiał się. - Poza tym wyobrażasz sobie, jakich odpowiedzi udzielałaby na pytania reporterów?

- Ze sposobu, w jaki wypowiedziałeś przedostatnie zdanie, domyśliłam się, że zamierzasz opuścić pokład.

- Chyba cię tym nie zaskoczyłem?
- Idziesz tylko z Wal?
- Nie, musi nas być więcej. Szkoda, że nie mogę zabrać Jacovica, ale czyż Teroni na ulicach Delurosa nie wywołałby prawdziwej sensacji?
- Ja mogę iść z tobą? - zapytała.
- Jeszcze nie zdecydowałem - odparł.
- Chciałabym.
- Wiem.
- Ale nie powiedziałaś „nie” tylko dlatego, żeby mnie chronić? - naciskała.
- Wybiorę tych, którzy najbardziej będą odpowiadali profilowi misji - zapewnił ją. - Jeśli się nie powiedzie, i tak wszyscy zginiemy.
- Sharon połączyła się z mostkiem.
- Komandorze Jacovic, jaki jest przewidywany czas dotarcia na Delurosa VIII?
- Wxakgini twierdzi, że czterdzieści trzy godziny, ale pod warunkiem, że skorzystamy z tunelu czasoprzestrzennego Kominsky'ego i nikt nie zatrzyma nas po drodze - odparł Teroni.
- Całkiem szybko - zauważyła, gdy przerwała połączenie.
- Najbardziej strzeżona planeta w historii kto wie czy nie całej galaktyki, a my i tak się na nią dostaniemy, prawda, Wilsonie?
- Naprawdę dolecimy aż na Delurosa - zapewnił ją. - Ale to akurat najłatwiejsza część naszego zadania.
- Najłatwiejsza? - powtórzyła z niedowierzaniem.
- Skinął głową.
- W porównaniu z resztą planu na pewno.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Przybili do jednego z sześciu tysięcy orbitalnych hangarów pod czujnym okiem władz lokalnych, systemowych, sektorowych, admiralicji i mediów. Cole stał przed maszynownią, na rękach miał lśniącego kajdany.

- Jest pan całkowicie pewien? - zapytał.

- Absolutnie - zapewnił go Odom. - Niech pan sam spróbuje.

Wilson napiął mięśnie, usiłując oswobodzić dłonie. Najpierw pomyślał, że próba się nie powiodła, ale później poczuł, że obręcze puszczają. Jeszcze chwila i miał wolne ręce.

- A nie mówiłem? - stwierdził Mustafa, urażony, że kapitan nie zaufał mu na słowo.

- Dobrze, już dobrze - mruknął pojednawczo Cole. - Zaczynam przysyłać tu na dół kilka osób z załogi, ma ich pan wszystkich zakuć.

- Zrobiłem tuzin takich obrączek, jak pan kazał.

- Wiem, ale aż tylu nie będziemy potrzebowali.

Odom skrzywił się.

- Zatem po co...

- Choćby po to, że inni też mogą mieć problem z uwięzieniem panu na słowo i zechcą je wypróbować - wyjaśnił kapitan. - A jeśli zechcą, ma im pan na to pozwolić. Lepiej, żeby wszyscy byli pewni siebie, jak dojdzie co do czego.

- Proszę ich tu przysłać - oświadczył Odom. - Ja jestem gotowy.

- Za moment - obiecał Cole, ruszając w stronę wind.

Chwilę później był już na mostku.

- Wal, zejdź do maszynowni i pozwól zrobić panu Odomowi to, co mu kazałem. On ci wyjaśni, o co chodzi. - Rozejrzał się. - Ty też, Braxyto. Jesteś jedynym Molarianinem na pokładzie, a ponieważ ludzie, z którymi się dzisiaj zobaczymy, raczej nie byłiby w stanie odróżnić cię od Czterech Oczu, będziesz robił za niego.

- To będzie dla mnie zaszczyt - zapewnił go kosmita, ruszając za Wal w stronę windy.

- Proszę mnie przełączyć na interkom - polecił Jacovicowi Cole.

- Gotowe.

- Sierżant Erie Pampas zgłosił się do maszynowni, i to na jednej nodze. Pan Sokołow również. I to migiem. - Długo zastanawiał się nad ostatnim nazwiskiem z listy, potem wzruszył ramionami. - Pułkownik Blacksmith zgłosił się natychmiast do maszynowni.

Dołączył do wyczytanych chwilę później, poczekał, aż cała piątka zostanie skuta, potem pan Odom dopasował kajdany do jego nadgarstków.

- Zejdźcie do doku. Opuścimy okręt na pokładzie promu. Pamiętajcie, że jesteśmy więźniami. Niech nikt nie waży się rozrywać kajdan, zanim sam tego nie zrobię.

Poczekał, aż opuszczą pomieszczenie, i ponownie podłączył się do interkomu.

- Panie Lafferty, proszę wybrać pięciu spośród swoich ludzi i stawić się z nimi przy wahadłowcach. Widzę tam też Gentry i pana Chadwicka.

Zszedł do doków i poczekał na wszystkich wezwanych

członków załogi.

- Panie Lafferty, od tej pory jest pan kapitanem Marchandem. W tym momencie interesuje ich wszystko, co dotyczy „Teddy’ego R.” i tego, co się wydarzyło, ale gwarantuję panu, że gdy zobaczą moją twarz i wezmą Braxytę za Cztery Oczy, cała uwaga mediów zostanie skupiona na nas. Proszę się zachowywać umiarkowanie arogancko, wyjaśnić, że zdaje pan sobie sprawę, jak wielka jest nagroda, i że nie ma pan zamiaru dzielić się nią z nikim innym. Już ogłoszono, że pojawi się specjalny wahadłowiec, którym zostaniemy przewiezieni do rezydencji sekretarza. Proszę nalegać, aby nikt poza nami, czyli więźniami i pańskimi ludźmi, nie wszedł na jej teren, a gdy znajdziemy się w środku, proszę zażądać, aby zaprowadzono nas natychmiast przed oblicze Wilkiego. Nie wyobrażam sobie, żeby go tam teraz nie było. Na pewno szykuje się do występu przed reporterami.

- A jeśli ktoś z jego ochrony będzie chciał iść z nami? - zapytał Lafferty.

- Jestem pewien, że tego zażądają i na pewno nie wpuszczą nas tam samych.

- Zatem...

- Zatem pozwoli im pan na to, ale w chwili, gdy drzwi się zatrzasną, spróbuje pan ich obezwładnić. Obiecuję, że nie będziemy przeszkadzali.

Skuci skinęli głowami, rozległo się też kilka potwierdzających pomruków.

- Dobrze. Proszę otworzyć włącz.

Lafferty opuścił dok jako pierwszy, wysoki i szczupły prezentował się godnie w jednym ze starych mundurów Cole’a. Zażądał oschłym tonem, aby reporterzy cofnęli się na odpowiedni

dystans. Gdy to uczynili, Luthor Chadwick, trzymając palnik w dłoni, wypchnął Cole'a na otwartą przestrzeń.

Nagle w tłumie dziennikarzy zawrzało.

- To on! To naprawdę on!

- To Wilson Cole!

- To Cole i ten jego Molarianin, Forrice!

- To naprawdę Wilson Cole! W końcu dopadliśmy drania!

- A ta wielka kim jest? Ta z rudymi włosami?

Czekał na nich oddział gwardii i żandarmerii floty. Dowódca tego drugiego podszedł do Lafferty'ego i zaszalutował.

- Kapitan Marchand?

- Zgadza się - odparł starszek, niedbale oddając salut. - Mniemam, że poznaje pan tych oto gentlemanów.

- Napatrzyłem się na ich zdjęcia przez ostatnie cztery lata - potwierdził oficer floty. - Jak pan tego dokonał? Mam na myśli pojmanie Cole'a?

- To długa historia - zbył go Lafferty. - Z przyjemnością opowiedziałbym ją przy piwku albo dwóch, ale niestety muszę dostarczyć pana Cole'a i jego współników, aby odebrać należną mi nagrodę.

- Kapitana Cole'a - warknął Wilson.

- Zdegradowano pana zaraz po buncie i ucieczce - przypomniał mu szorstko starszek. - Zamknij pysk i szoruj za tymi ludźmi. - Skinął głową w stronę oficera floty, a ten natychmiast wykonał przepisowy w tył zwrot i poprowadził wszystkich w stronę kolejnego wahadłowca. Na jego burcie widniało godło sekretariatu Republiki.

Lot na Delurosa VIII był krótki i spokojny. Wszyscy więźniowie spoglądali w wyloty luf wymierzonych w nich palników albo piszczalek. Nikt nie odezwał się nawet słowem, a gdy wy-

lądownali, natychmiast wypędzono ich na zewnątrz.

Cole rozejrzał się. Stał na dachu jakiegoś budynku. Wprawdzie jeszcze nigdy nie postawił stopy na tej właśnie budowli, ale znał dość dobrze Delurosa VIII. To była wielka planeta, o wiele obszerniejsza od Ziemi, ale szczęśliwym trafem jej ciężenie i skład atmosfery niewiele odbiegały od ziemskiego. A jej olbrzymia wolna powierzchnia - której przy nieustannej ekspansji człowieka tak bardzo brakowało na Ziemi - stała się od razu łakomym kąskiem dla decydentów i bardzo szybko przeniesiono tutaj, gdzie miejsca było w bród, wszystkie obiekty rządowe. Na planecie znajdowała się jedna gigantyczna metropolia, ciągnąca się setki mil w każdą stronę, pokrywająca pustynie, skalne granie, a nawet dna oceanów. To była naprawdę odpowiednia stolica najpotężniejszej rasy, jaka kiedykolwiek zamieszkiwała galaktykę.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Lafferty, on jeszcze nigdy nie był na Delurosie VIII.

- Na Zamku Rycerskim - odparł dowódca eskorty.
Staruszek zmarszczył brwi.

- Chyba nigdy wcześniej nie słyszałem tej nazwy - powiedział.

- Tak media określają siedzibę sekretarza Republiki - wyjaśnił oficer. - Proszę za mną.

Poprowadził ich do przybudówki z wielkimi drzwiami, które natychmiast się otworzyły.

- Ale macie tu zabezpieczenia! - prychnął pogardliwie Lafferty, zgodnie z planem miał udawać nadgorliwego i niecierpliwego, co mu zresztą całkiem dobrze wychodziło.

- Zabezpieczenia drzwi zeskanowały siatkówkę oka, porównały strukturę i budowę szkieletu, nie mówiąc już o odczy-

taniu danych z chipu identyfikacyjnego. - Oficer przytknął palec do karku, wskazując niewielką bliznę w miejscu, gdzie umieszczono implant. - Gdyby nie to, nigdy by się nie otworzyły.

Lafferty skinął z powagą głową, robił, co mógł, żeby nikt nie dostrzegł, jak głupio poczuł się w tym momencie.

- Tędy, sir.

Oficer stanął na poduszce powietrznej i poczekał, aż Lafferty, jego dwóch ludzi, Cole i czterech żandarmów znajdą się we wnętrzu przybudówki. Potem zjechali kilka poziomów niżej, wysiedli i poczekali na resztę więźniów i eskorty. Po trzecim kursie wszyscy znaleźli się na dole i ruszyli za oficerem dowodzącym jasno oświetlonym korytarzem, mijając holo Johna Ramsaya uznawanego powszechnie za najlepszego sekretarza Republiki w całej jej historii. W końcu znaleźli się przed masywnymi drzwiami strzeżonymi przez ośmiu uzbrojonych wartowników.

- Oto biuro sekretarza Wilkiego - oznajmił oficer.

- Jak wielki jest ten pieprzony budynek? - zdziwił się Lafferty.

- Cholernie, sir.

- To nie jest odpowiedź. Ci ludzie są niebezpieczni, nawet zakuci w kajdany. Wolałbym, aby nie narobili zadymy w zatłoczonym pomieszczeniu i uciekli, korzystając z zamieszania, albo, co gorsza, dobrali się do sekretarza.

- Nie może pan tam wejść sam, sir - oświadczył jeden z wartowników. - Za przeproszeniem, sam pan stwierdził, że to niebezpieczni więźniowie, a was jest zaledwie ośmiu.

- Ale to my pojмалиśmy tych drani, czego nikt inny w cholernej Republice nie potrafił zrobić od czterech lat - oświadczył starszek, udając gniew. - Damy sobie z nimi radę!

- To wbrew regulaminowi ustalonemu osobiście przez sekretarza. Goście wchodzi do niego tylko w naszym towarzystwie.

- Niech wam będzie - zgodził się Lafferty po chwili zamyślenia imitującego rozważanie dostępnych opcji, po czym odwrócił się do oficera floty. - Dostarczył nas pan bezpiecznie z wahadłowca, ale teraz musimy się oddać w ręce tych przemitych gentlemanów. Pozostaje mi podziękować za pomoc i współpracę.

- Zamierza pan wrócić na pokład, sir?

- Najprawdopodobniej. Zostawiliśmy na „Teodorze Rooseveltie” szkieletową załogę, aby utrzymać go w ruchu. Oczywiście pod strażą. Niemniej teraz, gdy dotarliśmy do celu, trzeba będzie ich stamtąd zabrać i przekazać w ręce odpowiednich organów... - Zamilkł, wyzywająco wysuwając szczękę. - Ale dopiero po otrzymaniu nagrody.

Oficer zasalutował, zrobił w tył zwrot i nakazał swoim ludziom powrót do windy.

- Ruszajmy - powiedział Lafferty, podchodząc do drzwi.

- Chwileczkę, sir - powstrzymał go dowódca warty.

- O co chodzi?

- To tylko środki ostrożności, sir - wyjaśnił żołnierz, wyciągając skaner i prześwietlając dokładnie wszystkie członki Cole'a z odległości około pięciu stóp. - Nie dalej jak miesiąc temu zatrzymaliśmy człowieka, który usiłował przemycić niewielki ładunek w fałszywym zębie trzonowym. Inni ukrywali broń albo materiały wybuchowe w podszwach, ubraniu, nawet we wnętrzu ciała. - Wyłączył skaner. - Ale ty jesteś czysty - powiedział do Cole'a. - Teraz komandor Forrice. - Braxyta sam wystąpił do kontroli.

Trwało to kolejne pięć minut, ale w końcu uznano, że więźniowie nie mają przy sobie niczego niebezpiecznego.

- W porządku, sir. - Dowódca warty nakazał otwarcie drzwi. Cole i pięcioro jego współników zostało zaprowadzonych, w kajdanach, z bronią wycelowaną w ich głowy, przed biurko najpotężniejszego człowieka w Republice, a kto wie czy nie w historii ludzkości.

- Kapitanie Cole - powiedział Egan Wilkie, zrywając się na równe nogi - nie ma pan pojęcia, jak długo czekałem na ten moment, jak go planowałem, jak się o niego modliłem. - Pozwolił sobie na tryumfujący uśmiech. - Zostanie pan uczciwie osądzony i... - wyszczerzył zęby jeszcze bardziej - stracony.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

- Nie sądzę - odparł Wilson.

- Podziwiam pański tupet, kapitanie Cole - przyznał Wilkie - ale chyba utracił pan nieco kontakt z rzeczywistością.

Na praktycznie niezauważalne skinienie głowy głównego więźnia, pięciu ludzi Lafferty'ego, Chadwick i Gentry wymierzili broń w zaskoczonych żołnierzy.

- Czy teraz posiadam nieco większy kontakt z rzeczywistością? - zapytał Cole, napinając mięśnie i zrywając kajdany. Pozostali więźniowie poszli za jego przykładem. Gdy się uwolnili, Wilson przemówił do żołnierzy: - Pan Pampas odbierze wam za moment broń. Jeśli nie będziecie stawiali oporu, nic wam się nie stanie. Jeśli jednak zrobicie coś głupiego, zanim opuścimy to pomieszczenie, nie będę miał żadnych oporów przed zabiciem was. Byku, zbierz broń, proszę.

Pampas obszedł wszystkich wartowników, rozbijając ich kolejno. Ostatni cofnął się o krok i sięgnął do kabury. Wal, udająca członka załogi Lafferty'ego, wypaliła mu natychmiast dziurkę między oczami. Bezładne ciało padło na podłogę.

- Ostrzegalem - powiedział Cole. - A teraz przejdźcie wszyscy w najdalszy kąt tego gabinetu. Gentry, ma pani ze sobą taśmę, o którą prosiłem?

Skinęła głową, pokazując mu dwie rolki.

- Panie Pampas, panie Sokołow, zabierzcie taśmę i skrępujcie nią nogi i ręce jeńców. Będziecie potrzebowali noży albo nożyc, żeby ją pociąć. Gentry powinna je mieć. No i nie zapo-

mnijcie zakleić im dokładnie ust. - Władimir miał minę wskazującą na chęć zapytania o coś. - Spokojnie, poruczniku - zapewnił go Cole. - Wiem, że taśma jest lekka i wygląda na delikatną, ale nawet Wal nie byłaby jej w stanie rozerwać.

Pampas i Sokołów zabrali się do roboty, korzystając z pomocy kilku ludzi Lafferty'ego. Uporali się z zadaniem w niespełna trzy minuty, wtedy Wilson odwrócił się do sekretarza.

- Ma pan w zanadrzu jeszcze jakieś czcze pogrożki albo wyrazy radości z odniesionego sukcesu? - zapytał.

- Czego chcecie? - odwarknął Wilkie.

- Wydawało mi się, że to oczywiste - odparł Cole. - Chcę amnestii dla wszystkich ludzi i kosmitów służących pod moimi rozkazami. Żądam zobowiązania do wycofania wszystkich okrętów floty z terytorium Wewnętrznej Granicy i... - tutaj zamilkł na moment - publicznego ujawnienia wszystkich niegodziwości, jakich dopuścił się pański rząd. Ma pan podać się do dymisji wraz z całym gabinetem i wszystkimi doradcami.

- Nigdy! - wydarł się Egan. - Zostałem wybrany na to stanowisko przez naród!

- Nikt temu nie przeczy - odparł Cole. - Wierzę nawet, że te wybory były uczciwe, a w każdym razie nie ustępowały pod tym względem innym elekcjom. Ale to nie zmienia faktu, że przyniósł pan ujmę temu urzędowi, więc nie możemy pozwolić, aby pan na nim pozostał.

- I kto to mówi? Buntownik! - wrzasnął Wilkie.

- Czy Susan Garcia opisała panu okoliczności towarzyszące mojemu rzekomemu buntowi? - zapytał Wilson.

- Nie. Dlaczego miałyby to robić?

- W sumie ma pan rację - przyznał Cole, wzruszając ramionami. - To i tak zamierzchła przeszłość. Nie przybyliśmy tu

taj, aby o niej rozmawiać, skoro mamy znacznie bardziej aktualny temat. Proszę wezwać tutaj swoich trzech najbardziej zaufanych doradców. Nie widzę sensu w zmuszaniu pana do rezygnacji, skoro może pana zastąpić ktoś o podobnych poglądach. Dlatego wszyscy musicie podać się do dymisji.

- Wypchaj się pan! - wybuchnął Wilkie.

- Pan chyba nie rozumie swojej sytuacji, panie sekretarzu... albo naszej, bo to chyba odpowiedniejsze określenie. Najlepsze, co może nas spotkać, jeśli wyjdziemy przez te drzwi, a pańscy poplecznicy będą wciąż rządzić, to szybka i bezbolesna śmierć. Zatem nie powinno pana dziwić, że nie mamy ochoty na podobne rozwiązanie.

- Róbcie, co chcecie - prychnął sekretarz. - Nie złożę rezygnacji!

- W takim razie powinien pan rozważyć najczarniejszy scenariusz, panie Wilkie - poradził mu Cole. - Zdaje pan sobie doskonale sprawę, że nie możemy opuścić tego gabinetu, dopóki jest pan sekretarzem Republiki. Wybór należy do pana: albo rezygnacja, albo usuniemy pana ze stołka w sposób nieodwołalny.

Tym razem nie było odpowiedzi. Sekretarz mierzył Wilsona wściekłym wzrokiem.

- Zapytam po raz ostatni: ściągnie pan tutaj swoich trzech najbardziej zaufanych doradców?

- Nie uczynię tego.

- W takim razie podjął pan bardzo niemądrą decyzję - zapewnił go Cole.

- Jakoś to przeżyję.

- Owszem, chociaż tylko przez trzydzieści sekund - poinformował go Wilson. - Wal, możesz tu podejść?

Rudowłosa natychmiast stanęła przy ramieniu kapitana.

- Wezwałem właśnie ciebie, ponieważ sekretarz Wilkie miał okazję sprawdzić, że twój palnik rzeczywiście działa. A nie chciałbym, aby podjął złą decyzję na podstawie fałszywych przesłanek. Wymierz w niego broń, proszę.

Wal uniosła palnik i skierowała jego lufę między oczy sekretarza.

- A teraz policz do dziesięciu - rozkazał kapitan. - Jeśli do tego czasu nie zgodzi się wezwać doradców, zastrzel go.

Wal zaczęła liczyć. Przy „sześciu” Wilkie zaczął się łamać.

- Dobrze - powiedział.

- Cholera - zaklęła Wal.

- Nie opuszczaj broni - poprosił Cole. - Jeśli wśród trzech osób, które pojawią się tutaj jako pierwsze, nie będzie jego najbardziej zaufanych doradców, zastrzelisz go jak psa. - Przeniósł wzrok na sekretarza. - Proszę, panie Wilkie. Cała galaktyka na to czeka.

Egan nacisnął szybko trzy punkty na blacie biurka.

- Chcę was tu widzieć - rzucił. - Wszystkich!

- Pułkownika Blacksmith? - zawołał Wilson.

- Tak?

- Jest pani ekspertem od spraw bezpieczeństwa. Czy nie zauważyła pani w tym przekazie niczego dziwnego? Żadnych ukrytych sygnałów, kodów?

- Wyglądał na normalny, sir.

- Panie Wilkie, którymi drzwiami wejdą ci doradcy?

- Dwaj skorzystają z wejścia, którym was wprowadzono - odparł sekretarz. - Trzeci przybędzie tymi - wskazał na inne drzwi.

- Oby się pan nie mylił - ostrzegł go Cole.

Cała trójka doradców pojawiła się w ciągu następnych dwóch minut. Wilson ustawił ich za biurkiem Wilkiego, żeby Wal i pozostali mogli mieć na nich oko, a potem zreferował pokrótce sytuację.

- Jeśli zrezygnujecie z własnej woli, zostawimy was w spokoju - zakończył. - Nie będzie procesów, więzienia, tylko dożywotnie wycofanie się z życia publicznego.

- A kto niby ma nas zastąpić? - zapytał zaczepnie jeden z mężczyzn. - Wy?

- Nie.

- Zatem chcecie nowych wyborów - ciągnął doradca. - Nie ma sprawy, wygramy je w cuglach! Nie podoba się wam nasza polityka? Przykro mi to mówić, ale jest pan wielkim głupcem, skoro uważa pan, że o wszystkich posunięciach Republiki decyduje się w tym gabinecie! Dobry Boże, człowieku, zarządzamy sześćdziesięcioma tysiącami planet i prowadzimy cztery wojny jednocześnie!

- Cztery? - zdziwiła się Sharon.

- Sądziłiście, że Federacja Teroni to jedyna potęga, która przeciwstawiła się Republice? Gdzie wy byliście przez ostatnie lata?

- Tam, gdzie nie mogliście nas dosięgnąć - uciął Cole.

- Zatem wymyśliliście sobie, że usuniecie sekretarza Wilkiego i nas trzech ze stanowisk - kontynuował mężczyzna. - A co z resztą jego doradców? Przecież to właśnie jeden z nich mógł zasugerować rozwiązanie, które tak wam się nie spodobało. Powinniście pozbyć się ich wszystkich. To samo dotyczy rządu. No i musicie rozwiązać parlament. Przecież tam też można uchwalać ustawy nie po waszej myśli.

- Co to za pajac? - zapytała rozwścieczona Wal.

- Nazywam się Aloysius Chang i przykro mi, jeśli moje słowa wam się nie podobają, prawda mało kiedy bywa wygodna. - Spojrzał na Cole'a. - Chce pan usunąć sekretarza Wilkiego? Albo go zabić? I sądzi pan, że to wszystko zmieni? - Uśmiechnął się szyderczo. - Będzie tak samo, jak było! Zna pan przysłowie: umarł król, niech żyje król? Nie zmienia się tworów tak skomplikowanych jak Republika, usuwając jednego człowieka albo czterech, bo tak jest w naszym przypadku.

- Ma pan rację - przyznał Cole.

- Zatem...

- Od czegoś trzeba zacząć - sprecyzował Wilson. - Uznałem, że rozpoczęcie od strącenia szczytu będzie o wiele rozsądniejsze niż podkopywanie fundamentów.

- I liczy pan na to, że widoczne zmiany nastąpią za pańskiego życia? - zapytał Chang.

- Jestem najbardziej poszukiwanym zbiegiem w Republice. Na dodatek stoję na samym środku gabinetu sekretarza, na Delurosie VIII. Mam marne szanse na dożycie wieczora.

Chang uśmiechnął się.

- Potrafi pan być przynajmniej szczerzy, kapitanie Cole - przyznał. - Ale dupa z pana, a nie realista. Republika jest tworem zbyt skomplikowanym i rozległym, żeby znaczące zmiany zaszły w nim na przestrzeni życia jednego człowieka.

- Gada pan znacznie sensowniej niż Wilkie - zauważył Wilson. - Dlaczego pan nie został sekretarzem?

- Proszę tu wrócić za pięć lat - zaproponował Chang.

- Nie ma takiej możliwości.

- W takim razie proszę się wycofać. Natychmiast. Zagwarantuję wam bezpieczne przejście poza terytorium Republiki.

- Po moim trupie! - wydarł się Wilkie.

- Zamknij mordę, Egan - zgasił go doradca. - Ja tu próbuję ocalić ci dupsko. - Spojrzał na Cole'a. - Co pan na to, kapitanie?

- Jest pan w stanie nam to zagwarantować? - zapytał Wilson.

- Tak. W imieniu sekretarza - zapewnił go Chang. - Proszę przyjąć moją ofertę, kapitanie. I tak nie ma pan wielkich szans.

- Mieliśmy na karku całą flotę przez ostatnie cztery lata i jakoś przetrwaliśmy mimo marnych szans - stwierdził Cole. - Pan Wilkie przebywa w najlepiej strzeżonym gabinecie na najbardziej ufortyfikowanej planecie Republiki, a mimo to dostaliśmy się do niego. Teraz twierdzi pan, że prawdopodobieństwo wymuszenia szybkich zmian wynosi mniej więcej milion do jednego. I może pan mieć rację, ale wolę się o tym przekonać, niż wierzyć na słowo.

- Pan nie kieruje się złą wolą, kapitanie Cole - rzucił doradca. - Prawdę powiedziawszy, ma pan w sobie wiele z charakteru dawnych odkrywców eksplorujących nowe systemy gwiazdne. Takich jak ci, którzy zakładali Republikę. Niemniej popełnia pan poważny błąd, a ja uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby pana powstrzymać.

- Moim zdaniem ten człowiek przesiąkł złą wolą do szpiku kości! - wybuchnął sekretarz. - Mam zamiar to udowodnić, jeśli przeżyjemy dzisiejsze wydarzenia.

Wilson spojrział na niego, a potem pochylił się i zapytał, nie starając się nawet ukryć pogardy bijącej z jego głosu:

- Ciekawe, jak zamierza pan tego dokonać?

- Gdyby go tutaj nie było, mielibyśmy o wiele gorszą sy-

tuację - wtrącił łagodnym tonem Chang.

- Wilsonie! - odezwała się niespodziewanie Sharon.

- Tak? O co chodzi?

- Wilkie w ciągu ostatnich kilku minut rzucał niecierpliwe spojrzenia na zegarek.

- Kogóż się pan tutaj spodziewa, panie sekretarzu? - zapytał Cole. - A przede wszystkim kiedy?

- Nikogo - burknął Egan.

- Na Boga, przestań zachowywać się jak skończony duppek - nie wytrzymał Chang i spojrzał Cole'owi prosto w oczy. - Za jakieś dziesięć minut powinniśmy rozpocząć spotkanie z liderami parlamentu.

- Tu, w tym gabinecie? - zapytał Wilson.

- Tak.

- Ty pieprzony zdrajco! - wrzasnął Wilkie.

- Zacznij myśleć, Egan! - doradca odwdzieczył mu się pięknym za nadobne. - Jest ich tylko ośmioro. Mimo iż są uzbrojeni, przebywają na terytorium wroga. Jeśli nie będą wiedzieli, kto idzie, mogą zastrzelić każdego, kto przekroczy próg tego pomieszczenia.

- Ilu ich ma przyjść? - zapytał Cole.

- Sześciu - odparł Chang. - Ale mamy jeszcze czas, żeby wszystko odwołać. Nie powiem im, że tutaj jesteście.

- Spokojnie, niech tutaj przyjdą. Przydadzą nam się wiarygodni świadkowie rezygnacji sekretarza Wilkiego.

- Poświadczą, że nastąpiła pod groźbą użycia broni, co z prawnego punktu widzenia uczyni ją nieważną.

- Obawiam się, że liderzy opozycji będą patrzyli na to w nieco inny sposób - zauważył Wilson.

Chang wzruszył ramionami i spojrzał na zegarek.

- Zaraz się o tym przekonamy.

Nagle budowla zatrzęsa się w posadach.

- Trzęsienie ziemi? - zdziwił się Cole.

- Tutaj nie ma trzęsień ziemi - odparł nie mniej zaskoczony Chang.

Jakąś milę na północ nastąpiła potężna eksplozja. Budynek zadrżał ponownie, a powietrze za oknami gabinetu zrobiło się czarne od dymu.

- To nie trzęsienie ziemi - wydarła się Wal. - To bomby!

- Podłożone? - zapytał Sokołow.

- W życiu! - krzyczała dalej rudowłosa, przekrzykując ryk kolejnych pięciu wybuchów. - Ktoś przedarł się przez pierścień obrony planetarnej!

Cole podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

- Powiedzielibym, że jest ich wielu - stwierdził, gdy wielki budynek stojący naprzeciw siedziby sekretarza legł w gruzach po bezpośrednim trafieniu.

- Ich celem jest ten kompleks - gorączkowała się Walkiria.

- A my tu siedzimy jak kaczki na strzelnicy! Lepiej wracajmy na okręt.

- Zapomnij o tym - mruknął Wilson.

- Nie możemy tu zostać - wtrącił przerażony Lafferty.

- Przypomnijcie sobie, co to za miejsce - uspokoił go Cole.

- Ten budynek, chyba jako jedyny na Delurosie, nie może zostać od razu zniszczony.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

- Muszę nawiązać kontakt z flotą i sprawdzić, co się tam wyraża! - żółdkował się Wilkie. - Teroni powinni być teraz przynajmniej trzydzieści tysięcy lat świetlnych stąd. - Sięgnął do panelu na biurku.

Cole chwycił go za dłoń.

- Nie ufam panu, sekretarzu.

- Do cholery, muszę się dowiedzieć, o co tu chodzi! - wyjęczał Egan, gdy kolejna eksplozja wstrząsnęła budynkiem.

- Panie Chang, proszę się skontaktować, z kim pan tam chce - powiedział Wilson.

Doradca zwinnie wślizgnął się za biurko i zaczął naciskać przyciski, zadając szybkie pytania, na które odpowiadano dość mętnie i chaotycznie. Po chwili podniósł wzrok, ale minę miał nietęgą.

- To nie Teroni - powiedział.

- A zatem kto? - zapytał Wilkie.

- Tego nie wiemy. Ale jest ich wielu i dysponują doskonałym uzbrojeniem.

- Dlaczego nikt nas nie ostrzegł? - gorączkował się sekretarz.

- A skąd ja to mam wiedzieć? - odciął się Chang. - Przecież to dopiero pierwsza minuta zaskakującego ataku. Nie możemy od razu zyskać odpowiedzi na wszystkie pytania.

W tym momencie zawalił się róg budynku parlamentu.

- Możemy nie pożyć wystarczająco długo, by poznać

choćby ich część - stwierdził Cole, zerkając za okno.

- Jest aż tak źle? - zdziwiła się Wal.

- Niebo jest czarne od okrętów i jedno jest pewne, napastnicy pałają nienawiścią do floty.

Na biurku zamigotało światelko.

- Kto to? - zapytał szybko Cole.

- Marszałkowie parlamentu - odparł Chang.

- Proszę podejść do drzwi i wpuścić ich, ale kolejno, po jednym. Żaden wartownik nie ma prawa wejść do środka. Wal, jeśli Wilkie spróbuje wzywać pomocy z korytarza albo przez interkom, zastrzel go.

- A nie mogę zastrzelić go od razu? To by nam oszczędziło mnóstwa problemów - zaproponowała rudowłosa.

- Rób, co mówię. Władimir i ty, Byku, obstawcie drzwi. Wydaje mi się, że pan Chang jest rozsądnym człowiekiem, ale życiem bym za to nie ręczył, zwłaszcza waszym. Jeśli jakiś wartownik albo ktokolwiek oprócz ludzi, których oczekujemy, spróbuje dostać się do gabinetu lub zacznie strzelać, zabijcie go od razu.

Pampas i Sokołow odprowadzili Changą pod drzwi. Te szybko się otworzyły i zatrzasnęły zaraz za plecami siedmiu prędko idących osób.

- Czy wiemy już, kto nas zaatakował? - zapytała jedna z przybyłych kobiet.

- Nie - odparł Chang.

Jego rozmówczynie dostrzegła w tym momencie ludzi Cole'a i skrępowanych wartowników.

- Co tu się dzieje, Chang?

- Później ci to wyjaśnię - zbył ją doradca. - Kapitan Cole i ja zawarliśmy chwilowy rozejm na czas rozwiązania znacznie

bardziej palącego problemu.

W czasie gdy to mówił, bomba wyłobitła głęboki lej na sąsiedniej ulicy. Kuloodporne szyby w oknach zadrżały.

- Kapitanie - odezwał się Chang. - Ma pan na orbicie swój okręt, a prawdę powiedziawszy, nawet dwie jednostki. Czy któraś z nich może nam przekazać jaśniejszy obraz sytuacji?

- Muszę najpierw sprawdzić, czy nie zostały zniszczone - stwierdził Cole, wyciągając komunikator.

Wiedząc, że jeśli Deluros VIII przetrzyma ten atak, ilość jego wrogów ulegnie jedynie niewielkiej redukcji, postanowił skorzystać z zakodowanego łącza.

- Nic panu nie jest, sir? - usłyszał głos Christine. Jej hologram omiótł wzrokiem pomieszczenie. - Kim są ci ludzie?

- Zapomnij o nich - rzucił kapitan. - Co tam się dzieje?

Nagle nad planetą pojawiła się flota tysięcy okrętów, sir - powiedziała. - Wygląda na to, że rozwalają Delurosa VIII.

- Nie niepokoiłi was ani „Sabine Nova“?

- Na razie nie. Większość jednostek floty wyleciała im na spotkanie. Wątpię, aby przejmowali się dwiema małymi jednostkami tkwiącymi na wysokiej orbicie.

- Zostańcie tam - rozkazał Wilson. - To nie nasza bitwa.

- Tak jest.

- Będę się meldował co godzinę. Jeśli nie będzie kolejnego zgłoszenia, możecie uznać nas za poległych. Spróbujcie po raz ostatni skontaktować się ze mną, Wal albo Laffertym, jeśli i to się nie powiedzie, spieprzajcie z Delurosa w najbezpieczniejszym kierunku.

- Nie zostawię pana, sir.

- Nie będę miał ci tego za złe, jeśli zginę - stwierdził Cole.

- Masz wykonać ten rozkaz, do cholery!

- Tak jest - odparła łamiącym się głosem i przerwała połączenie.

- Myli się pan, kapitanie - wtrącił Chang.

- Nie pierwszy raz, jak sądzę - zbył go Wilson. - A co do czego myślę się, pana zdaniem?

- Jest pan człowiekiem, więc ta bitwa dotyczy także i pana.

- My wiemy, kto jest naszym wrogiem, panie Chang - odparł Cole. - A ci nad nami nie mają bladego pojęcia o tym, że tu przebywamy. Jeśli nas zabiją, to tylko przypadkiem.

- Co nie zmieni faktu, że będzie pan trupem.

- Proszę sobie darować to moralizowanie. Jeśli ta planeta legnie w gruzach, Republika będzie mogła przenieść sklepik na inny glob i wszystko zacznie się od początku.

Na biurku zamigotało kolejne światełko. Tym razem odebrał Wilkie. Wal miała go cały czas na muszce. Rozmawiał monosylabami, niższym głosem, a potem podniósł wzrok.

- „Kserkses” został zniszczony - obwieścił.

- Czy to nie był okręt flagowy admirał Garcii? - zapytał Lafferty.

- To był okręt flagowy Republiki - poprawił go sekretarz.

- Susan Garcia już na nim nie służyła. - Zmarszczył brwi. - Dowodził nim admirał Boliński. Jego obaj zastępcy również zginęli.

- Kto zatem teraz dowodzi? - zapytał jeden z polityków.

Wilkie wzruszył ramionami.

- „Kserkses” miał być ponoć niezniszczalny. Większość naszych admirałów przebywała na jego pokładzie.

- Czy to znaczy, że nikt nie kieruje naszą obroną?

- Ktoś pewnie próbuje, ale czy inni uznają jego zwierzchnictwo... Teraz wszyscy zapewne usiłują działać na własną rękę.

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o najpotężniejszą flotę, jaka kiedykolwiek istniała - prychnęła z pogardą Wal.

Wilkie wyglądał na załamane go. Machał rękami, czyniąc nic nieznaczące gesty.

- To nie tak miało być - powiedział w końcu.

- Tak, idę o zakład, że wszyscy pokonani generałowie gadałi w tym stylu - odparła rudowłosa.

- Wydaje mi się, Eganie - wtrąciła jedna z parlamentarzystek - że powinieneś przywrócić do obowiązków Susan Garcję.

- Co ty wygadujesz, Anya? - zachnął się Chang. - Ona przebywa teraz po drugiej stronie galaktyki, a jej okręt i tak został już zniszczony.

- To nie był jej okręt - powtórzył Wilkie z wściekłością w głosie, gdy runęły resztki murów parlamentu.

- To nie był niczyj okręt, ale i tak już go nie ma.

- Obwiniasz mnie o jego utratę? - zapytał Wilkie. - Uważasz, że Susan sprawiłaby się lepiej niż Boliński?

- Tego nigdy się nie dowiemy - stwierdził doradca.

Światelko rozbłysło raz jeszcze. Tym razem to Chang poprowadził szeptem rozmowę z kimś po drugiej stronie linii.

- Tkvimy po uszy w gównie - powiedział, gdy podniósł głowę.

- Dopiero teraz to zrozumiałeś? - zakpiła z niego Wal.

- Nie ma już admiralicji. Flota jest jak wąż pozbawiony głowy. Wije się w konwulsjach.

Wilkie spojrzał na Cole'a.

- To wszystko twoja wina!

- To nie ja bombarduję waszą cholerną planetę - odciął się Wilson.

- Ale gdyby nie ty, połowa naszych odwodów na wojnę z Teroni strzegłaby tego systemu, zamiast patrolować pogranicze w poszukiwaniu „Teodora Roosevelta”, i nie musiałbym wywalać na zbity pysk Susan Garcii. - Po jego policzku spłynęła łza, nie wiadomo czy uroniona ze złości, strachu czy żalu. - A ona była najwybitniejszym militarnym geniuszem naszych czasów.

Kolejna bomba spadła w pobliżu, cały budynek dosłownie się zakołysał.

- Mam pewien pomysł - stwierdził nagle Chang. - Ale potrzebne mi będzie znacznie potężniejsze urządzenie do komunikacji niż to. Czy mogę wyjąć je z szuflady?

Cole machnął ręką, nakazując Wal ustawić się w takim miejscu, aby miała na oku każdy ruch doradcy.

- Śmiało - powiedział.

- Dziękuję.

Doradca wysunął dolną szufladę, wyjął z niej spory komunikator i położył go na blacie. Wprowadził długi kod i po chwili nad biurkiem pojawił się hologram twarzy Susan Garcii. Wyglądała mizerniej, niż zapamiętał ją Cole, ale wciąż miała równie aroganckie spojrzenie.

- Dlaczego pan mi przeszkadza? - zapytała lodowatym tonem.

- Deluros został zaatakowany przez nieznanego wroga - odparł Chang.

- Nie przez Teroni? - Jej pytanie padło w tym samym momencie, gdy kolejna bomba zakołysała budynkiem.

- Nie.

Uśmiechnęła się.

- Decyzja o usunięciu mnie ze stanowiska najwyraźniej się nie opłaciła.

- „Kserkses” został zniszczony - kontynuował doradca.
- Jaka szkoda. - Skrzywiła się. - Ten okręt był moim domem przez jedenaście lat.
- Admirał Boliński zginął, ten sam los spotkał też Palatina, Bursteina i Ngimę.
- Przykro mi to słyszeć - rzuciła Susan Garcia. - Byli moimi przyjaciółmi, ale nadal nie rozumiem, czego pan ode mnie oczekuje?
- Doskonale pani wie, dlaczego z panią rozmawiam! - Chang podniósł głos.
- Zaśmiała się oziębło.
- Podziwiam twój tupet, Aloysiusie. A może to jego pomysł?
- Mój.
- Zatem znasz już moją odpowiedź.
- Nie usłyszałaś jeszcze mojej oferty.
- Doprawdy? - powiedziała. - Naprawdę sądzisz, że jest choćby cień szansy, że polegnę w chwale za rząd, który publicznie mnie poniżył?
- Dożywotnia funkcja głównodowodzącego wszystkich flot. Nieodwoływalnego - nie rezygnował Chang.
- Zdaje się, że piastowałam takie właśnie stanowisko - przypomniała mu. - Ale co Wilkie daje, to i odbiera. Znasz, Aloysiusie, takie stare przysłowie. Oszukasz mnie raz, twoja wina, oszukasz mnie dwa razy, sama sobie jestem winna.
- A co powiesz na to, że jednym z warunków mianowania cię będzie oficjalna rezygnacja Egana? - zaproponował doradca.
- Co takiego?! - wrzasnął sekretarz.
- Chang odwrócił się do niego.

- Twoje stanowisko nie będzie warte nawet dwóch kredytów, jeśli nie odeprzemy tej inwazji.

- W życiu nie ustąpię! - zawył Wilkie.

- Daj spokój, Aloysiusie - uspokoiła ich Susan Garcia. - I tak bym się nie zgodziła. - Przeniósła wzrok na sekretarza. - Mam nadzieję, że będziesz umierał powoli, Eganie. - Wyciągnęła dłoń i przerwała połączenie.

- Nieźle wam poszło - stwierdził Cole.

- Nie mogę jej obwiniać za te słowa - powiedział Chang.

Kolejna eksplozja i dwa sąsiednie budynki stanęły w płomieniach.

- Nie wyparowały - zauważyła Wal. - Zatem używają jedynie stukaczy trzeciej albo czwartej generacji, inaczej bylibyśmy już wspomnieniem.

- To nie jest atak samobójczy - dodał Cole. - Nie widziałem okrętów pikujących na cele.

- Mówił pan z takim przejęciem, jakby to cokolwiek zmieniło - zauważyła jedna z parlamentarzystek.

- To oznacza, że nie przybyli tutaj, by ginąć - wyjaśnił Cole. - Zatem ktoś, kto posiada potężniejsze zabawki, może ich zmusić do rokowań. Gdyby potrafili wytrzymać trafienie z dział piątej generacji, zapewne sami by nimi dysponowali, ale jak widać, nie mają niczego podobnego.

- Z pańskich słów wynika, że zna się pan na tym - stwierdziła Anya.

- Kapitan służył we flocie przez prawie dwadzieścia lat i został wielokrotnie odznaczony - oświadczyła z dumą Sharon.

Chang, milcząc jak grób, przypatrywał się Cole'owi przez dłuższą chwilę.

- Proszę tak na mnie nie patrzeć - poprosił Wilson. - Ja

mam jeszcze mniej powodów, by kochać Republikę niż Susan Garcia. - Ale doradca nadal nie spuszczał z niego oka. - Przyleciałem tutaj, aby obalić obecne władze - kontynuował kapitan. - Jak widzę, ktoś robi to za mnie. Z mojego punktu widzenia wszystko jest w najlepszym porządku.

- Czy śmierć miliarda niewinnych ludzi także wydaje się panu w porządku? - zapytał Chang.

- Niewinnych? - wtrąciła ironicznie Wal. - Wszyscy oni to służusy tych władz.

- I dlatego pozwolicie ich zabić? - doradca nie miał zamiaru ustąpić.

Tym razem Cole odpowiedział mu podobnym, natarczywym spojrzeniem, a potem powiedział:

- Jeśli się zgodzę na tę propozycję, zażądam znacznie więcej niż Susan Garcia.

Chang rzucił szybkie spojrzenie za okno, na panoramę płonącego miasta, i skinął głową.

- Proszę przedstawić swoje żądania.

- Po pierwsze: amnestia dla wszystkich ludzi i kosmitów, którzy służą pode mną - zaczął Wilson.

- Zgoda.

- Po drugie: całkowita kontrola nad flotą do momentu zakończenia bitwy. Żadnych wolnych strzelców i nikt nie waży się kwestionować wydanych przeze mnie rozkazów.

- Oczywiście. To znaczy, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby tak się stało.

- Po trzecie: zapewnicie eskortę, która umożliwi nam dotarcie do wahadłowca i powrót na pokład „Teodora Roosevelta”. Podejrzewam, że większość ludzi przebywających w tym budynku sądzi, iż ten atak to nasza sprawka.

- Dobrze.

- Po czwarte: żądam natychmiastowej rezygnacji całego rządu. Nie tylko Wilkiego, ale i jego doradców, wliczając w to pana, gabinet i parlament.

- Nigdy! - rozdarł się znowu Egan.

- Zamknij się - zgasił go Chang i spojrzał na pozostałych polityków. - Zgodzicie się na warunek kapitana Cole'a?

Kolejna eksplozja, sufit zaczął się po niej zapadać.

- A mamy jakiś wybór? - zapytała ponurym tonem Anya, pozostali pokiwali tylko głowami.

- Owszem, mamy - przyznał doradca - ale raczej niezbyt przyjemny.

- Róbcie, co chcecie - wtrącił Wilkie - ale ja na pewno nie złożę dymisji.

Chang odwrócił się do jednego ze swoich kolegów.

- Panie Berkmeyer, proszę napisać krótkie oświadczenie o rezygnacji z zajmowanego stanowiska i dać do podpisania wszystkim obecnym.

- Niczego nie będę podpisywał! - upierał się sekretarz.

- Kapitanie Cole, ma pan moje słowo, że wszystkie pańskie warunki zostaną spełnione - obiecał Chang. - Radzę panu jednak, aby udał się pan natychmiast na pokład wahadłowca, póki ma pan jeszcze gdzie wracać.

- A co z nim? - zapytał Wilson, wskazując Wilkiego.

- Podpisze.

- A jeśli nie?

- Znajdujemy się na trzydziestym siódmym piętrze. Jeśli odmówi, osobiście wyrzucę go przez okno, może mi pan wierzyć.

- Za chudy jesteś - mruknęła Wal. - Ale chętnie cię w tym

wyręczę.

Sufit zapadł się jeszcze bardziej.

- Zaufam panu, panie Chang - powiedział Cole. - Proszę wezwać żandarmów, którzy odprowadzą nas do wahadłowca, niech pilot przygotuje się do natychmiastowego startu. Proszę też powiadomić o wszystkim flotę, zanim znajdę się na pokładzie mojego okrętu.

- Tak zrobię.

Cole poczekał w gabinecie na informację o eskorcie, a gdy nadeszła, zebrał swoich ludzi i opuścił pomieszczenie. W korytarzu nie zauważył śladów zniszczeń, ale gdy winda dotarła na dach, jego oczom ukazał się ogrom tragedii. Wahadłowiec, którym przylecieli, był teraz kupą pogiętego złomu przysypanego stosami gruzu z zawalonych szybów wentylacyjnych.

- Tym to daleko nie zalecimy - stwierdziła Wal, gdy żandarmi z eskorty wycofali się po wykonaniu zadania.

Stali tak chwilę, zanim uświadomili sobie, że w tym miejscu są wystawieni na ogień wroga, i ruszyli w kierunku szybów wind. W tym samym momencie zza krawędzi dachu wynurzył się kolejny wahadłowiec. Pilot opuścił trap i machnął ręką zachęcająco.

- Nie mogę tu lądować - wyjaśnił. - Strop jest uszkodzony i nie wytrzyma dodatkowego obciążenia. Jeśli podejdziecie na skraj dachu, zdołacie przeskoczyć na trap.

Ledwie ostatnie z nich znalazło się w ładowni, maszyna ruszyła na wschód i dopiero po pokonaniu pięćdziesięciu mil zaczęła wzbijać się w niebo.

- Ta planeta jest jednym gigantycznym miastem - mówił pilot. - A skoro oni bombardują tylko dzielnice rządowe i par-

lament, to znaczy, że wiedzą dobrze, w co uderzać. Dlatego lepiej zejść im jak najszybciej z linii ognia. Sprawdziłem wcześniej, przy którym doku cumujecie. Wprawdzie twórcy zamierzali je zsynchronizować w pełni z obrotem planety, żeby droga z nich i na nie zawsze była jak najkrótsza, ale póki co nie udało im się wprowadzić tego planu w życie. W każdym razie nie do końca go zrealizowali.

Gdy osiągnęli wymagany pułap, pilot zmarszczył brwi.

- Połowę doków już zdążyli rozwalić na atomy... - Zamilkł na chwilę. - Jeśli wasz ocalał, to nie odpowiada.

Cole wyjął własny komunikator.

- Jesteś tam, Christine?

- Tak jest - odparła. - Ale „Sabine Nova” została trafiona. Zdołaliśmy wycofać z niej załogę, ale obawiam się, że sam okręt musimy spisać na straty.

- Nie szkodzi. Będziemy u was za kilka minut. Przygotujcie się do przyjęcia wahadłowca.

- Tak jest.

- Wie pan, do którego doku lecimy? - to pytanie Cole zadał pilotowi.

- Tak. Zaprogramowano mi cel lotu - odparł żołnierz, stukając palcem w pulpity konsoli.

- W takim razie ruszajmy.

Gdy wahadłowiec przyspieszył, kapitan odwrócił się do członków załogi i ludzi Lafferty'ego.

- Domyślam się, że słyszeliście wszystko? - zapytał.

Skinęli głowami jak jeden mąż.

- Wygląda na to, że nasz niemal stuletni okręt, który powinien zostać pocięty na żyłki już siedem dekad temu, został flagowcem tego, co pozostało z dumnej floty Republiki - powie-

dział. - Tej samej, na pohybel której tutaj przylecieliśmy. - Na jego twarzy pojawił się ironiczny uśmiech. - Mówiłem to nieodżałowanej pamięci komandorowi Forrice'owi nieraz, ale teraz powtórzę: przyszło nam żyć w ciekawych czasach.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Dotarli bezpiecznie na pokład „Teddy’ego R.”. Wahadłowiec pozostał na orbicie, jego pilot założył całkiem słusznie, że to teraz znacznie bezpieczniejsze miejsce niż powierzchnia Delurosa VIII.

- Gdzie jest Jacovic? - zapytał Cole, wchodząc na mostek.

- Jego zmiana zakończyła się kilka godzin temu - odpowiedziała Christine.

- Ściągnij mi go tutaj. Ma więcej doświadczenia z tego typu sprawami niż większość z nas. Będę potrzebował jego rad.

- Tak jest.

- A ty idź się zdrzemnąć, Wal.

- Akurat! - prychnęła. - Jeśli mają nam rozwalić okręt, chcę zobaczyć, kto to zrobił, żeby go znaleźć potem w piekle i tam rozszarpać.

- Trudno zaprzeczyć logice twojego rozumowania - przyznał kapitan - ale istnieje spora szansa na to, że jednak nikt nie rozwali nas na atomy przez najbliższe osiem do dziesięciu godzin i dlatego wolałbym, abyś przejęła swoją wachtę świeża i wypoczęta. Jacovic będzie do tego czasu wykończony.

- Na wszelki wypadek przetrączę kanapkę i łyknę kilka piwek - rzuciła, kierując się do windy. - Ale nie chce mi się jeszcze spać.

- Christine, wiem, że to, co zaraz powiem, wyda ci się niedorzeczne, ale „Teddy R.” jest od tej chwili okrętem flagowym floty Republiki. Nie mam jednak kodów, numerów rejestracyjnych ani nawet dokładnych danych o pozycjach naszych okrę-

tów, dlatego będziemy nadawali moje rozkazy na jak najszerszym paśmie, mając nadzieję, że napastnicy nie mówią po terrańsku.

- Ja mówię po angielsku, sir - stwierdziła Rachel, pełniąc dyżur przy jednej z konsoli.

- A ja w suahili - dodała Christine.

- Na jednostkach, do których będziemy nadawali, musi być choć kilka osób znających te języki, ale to mimo wszystko zbyt ryzykowny pomysł. - Cole pochylił głowę i zamyślił się głęboko. - Skontaktujcie się z Aloysiusem Changiem, powinien być w gabinecie sekretarza, i przekażcie mu, że potrzebujemy wszystkiego, kodów, numerów, pozycji. Musimy też ustanowić bezpieczne kanały komunikacji.

- Sądzi pan, że on odpowie, sir? - zapytała. - W końcu przybyliśmy tutaj, aby usunąć jego szefa ze stanowiska.

- To rozsądny człowiek - stwierdził Cole. - A poza tym Egan Wilkie nie jest już niczym szefem.

- Już się z nim łączę, sir.

Cole podszedł do Jacovica.

- Przygląda się pan tym okrętom?

- Tak - przyznał Teroni.

- Widział pan już kiedyś podobne jednostki?

Pierwszy oficer pokręcił głową.

- Z wyglądu przypominają molariańskie XB - odparł - ale to jeszcze niczego nie dowodzi.

- Do tej pory nie użyli żadnej broni piątej generacji, a przynajmniej nam nie udało się tego zaobserwować - powiedział kapitan. - Sądzi pan, że mogą wytrzymać ostrzał z takiej broni?

- Nie - odparł Jacovic. - To był atak z zaskoczenia, udało

im się zdezorganizować obronę Delurosa, niemniej Republika wciąż posiada ponad trzy miliony okrętów wojennych. Zapewne dziewięćdziesiąt pięć procent z nich jest teraz zaangażowanych w konflikt z Federacją i nie da się ich wycofać z linii frontu, ale to i tak daje nam około stu pięćdziesięciu tysięcy jednostek, czyli siły, z którymi atakujący nie mogą się równać. Pan i ja wiemy, jak wiele z nich patroluje teraz swoje sektory albo przebywa na Wewnętrznej i Zewnętrznej Granicy, ale oni nie powinni mieć o tym zielonego pojęcia. Zakładam, że zgromadzili wszystko, co mają, by uderzyć na stolicę i wycofać się, zanim przybędą posiłki. Z niespełna tysiącem okrętów nie można planować zbyt wielkich podbojów.

- Zatem nie możemy czekać na przybycie posiłków - podsumował Cole. - W tym czasie napastnicy zrobią swoje i uciekną.

- To właśnie chciałem powiedzieć, sir - poparł go Teroni.

- Rachel, zrób jedno albo dwa holo tych jednostek i daj do analizy komputerowi, może uda się je zidentyfikować - rozkazał kapitan.

- Już próbowałam, sir - odparła. - To była moja pierwsza reakcja, gdy pojawili się wokół i zaczęli strzelać. Na razie jednak nie mam żadnych wyników.

- W takim razie darujmy sobie - stwierdził Cole. - Jeśli komputery nie potrafiły znaleźć ich w bankach danych w ciągu minuty, na pewno ich tam nie będzie. - Odwrócił się do Jacovica. - Jeśli dysponują jedynie bronią trzeciej generacji, nie powinni nam zagrozić w większym stopniu. Ale ile trafień wytrzymamy, jeśli otworzą do nas ogień z dział czwartej generacji? Dwa-dziesiąt? Trzydzieści?

- O to musimy zapytać pana Odoma, sir - odparł Teroni.

- W takim razie proszę to zrobić - rozkazał kapitan. -
Gdzie jest pan Briggs?

- Wydaje mi się, że śpi, sir - zameldowała Christine.

- W takim razie obudź go natychmiast. Jest mi tu potrzebny.

- Tak jest.

Cole podszedł do głównego ekranu i przyjrzał się dokładnie panoramie. Widział przynajmniej dwieście jednostek wroga uwijających się, niczym rój rozwścieczonych pszczoł w przestrzeni, nad częścią Delurosa, którą przed chwilą opuścili. Nie mógł za to dostrzec choćby jednego okrętu Republiki.

- Sir? - z tyłu dobiegł głos Jacovica. - Pan Odom twierdzi, że wszystko będzie zależało od odległości, z jakiej padną strzały, kąta ataku, ale nasze tarcze powinny wytrzymać minimum dwadzieścia trafień z broni czwartej generacji, zanim dojdzie do fizycznych uszkodzeń kadłuba.

- Czy to dotyczy także palników czwartej generacji?

- Jeśli uderzenia pulsacyjne nie osłabią wcześniej tarcz, jesteśmy, praktycznie rzecz biorąc, odporni na tego rodzaju trafienia.

Cole skrzywił się mocno.

- Jak ja nie cierpię określenia „praktycznie rzecz biorąc”.
Jacovic spojrzął na ekran.

- Możemy wycofać się na bezpieczniejszą pozycję, sir. Czy mam przekazać jakieś instrukcje Wxakgini?

Kapitan pokręcił głową.

- Gdzie mielibyśmy lecieć? W tym doku jesteśmy prawdopodobnie bezpieczniejsi niż w przestrzeni. Musimy opracować jakąkolwiek strategię działania, zanim im się pokażemy.

- Skoro pan tak mówi, sir.

- Zakładam, że nigdy wcześniej nie znalazł się pan w podobnej sytuacji?

- Chodzi panu o to, że mój okręt, choć chwilowo bezpieczny, został otoczony przez tysiąc jednostek wroga? - zapytał Jacovic. - Nie, nie przeżyłem niczego podobnego.

- Dlaczego mnie to nie dziwi... - mruknął Cole.

Malcolm Briggs wszedł na mostek, przecierając zaspane oczy.

- Witam na pokładzie, sir. Cieszę się, że wrócił pan cały i zdrowy.

- Przepraszam za tę niespodziewaną pobudkę - kapitan od razu przeszedł do rzeczy - ale potrzebuję pańskiej pomocy.

- Co mam zrobić, sir?

Cole rozejrzał się po mostku.

- Christine i Rachel pracują przy konsoli głównego komputera, proszę zatem usiąść przy tym małym stanowisku w rogu albo zejść do mojego gabinetu.

- Ale co mam robić, sir? - dopytywał się porucznik.

- Mam tylko dwoje dobrych informatyków, ciebie i Christine, dlatego będziecie bardzo zajęci przez najbliższe kilka godzin. Musicie przechwycić choć jeden przekaz z jednostek wroga - ich działania są bardzo skoordynowane, więc muszą się jakoś komunikować - i spróbować go rozszyfrować. Jeśli się to nie powiedzie, przekażecie Aloysiusowi Changowi - Christine ma na niego namiary - żeby na moje polecenie dał wam dostęp do głównej matrycy znajdującej się na powierzchni Delurosa VIII. Może ona zdoła przetłumaczyć to, na czym połamiamy sobie zęby nasze maszyny.

- Tak jest. Jeśli nie ma pan nic przeciw, wolałbym pracować w pańskim gabinecie. Tam łatwiej będzie się skupić.

- Świetnie.

- Załogi dział obrony powierzchniowej otworzyły ogień do wroga - zameldował Jacovic, gdy Briggs wyszedł - ale dystans jest zbyt wielki. Jak na razie zdołali trafić tylko dwukrotnie... - Zamilkł na moment. - A napastnicy przenieśli największą koncentrację sił o kilkaset mil na zachód.

- Rachel! - zawołał Cole.

- Tak?

- Tu nie chodzi o podbój planety. Ta misja przypomina mi raczej ekspedycję karną, taką jak wypad okrętów floty na Stację Singapur. Może tych jednostek jest nieco więcej, ale zasada pozostaje taka sama. Czy komputer może przeszukać bazy danych o wydarzeniach z ostatnich kilku lat? Nie tylko lokalnych. Spróbujmy tą drogą ustalić, kogo Republika wkurzyła do tego stopnia, że postanowił rozpieprzyć Delurosa VIII.

- I kto dysponuje tak rozwiniętą technologią, by uniknąć wcześniejszego wykrycia - dodał Jacovic. - Było nie było, pojawienie się tych okrętów zaskoczyło wszystkich. Z tego, co wiem, nikt się nie zorientował, że nadlatują, nikt też nie próbował ich powstrzymać w głębi systemu.

Cole zmarszczył brwi.

- Ma pan rację. Byliśmy tak zajęci chowaniem się przed ogniem, że umknęło nam najważniejsze pytanie: jakim cudem zdołali dotrzeć tutaj niezauważeni?

- Musieli skorzystać z tunelu czasoprzestrzennego - zawyrokował Jacovic. - To jedyny sposób, żeby dotrzeć gdzieś bez ryzyka wcześniejszego wykrycia.

- Pilocie - zawołał Cole. - Czy jest jakiś tunel czasoprzestrzenny, którego wylot znajduje się wewnątrz systemu Deluros?

- Czasami - odparł Wxakgini.

Wilson zdziwił się tą odpowiedzią.

- Co znaczy: czasami?

- Tunel Stutza jest bardzo niestabilny. Od czasu do czasu jego wylot pojawia się w obrębie systemu Deluros, pomiędzy drugą a trzecią planetą.

Kapitan i pierwszy oficer wymienili spojrzenia.

- To wiele tłumaczy - stwierdził Teroni. - Wszystkie działania floty ukierunkowane były na powstrzymanie uderzenia z zewnątrz, a nie od wewnątrz systemu.

- Chwileczkę. Skoro nasz pilot wie o tym, a na niemal wszystkich okrętach Republiki służą jego pobratymcy, dlaczego nikt inny nie zwrócił na to uwagi?

- Przecież wam mówię - odparł Wxakgini. - Tunel Stutza jest niestabilny.

- Jak często zahacza o system Delurosa?

- Otwiera się na mniej więcej trzydzieści godzin co siedemnaście lat - wyjaśnił Bdxeni. - Oczywiście podaję te przedziały czasowe w sporym przybliżeniu. Interwały mogą mieć od czternastu do trzydziestu czterech lat.

- I ma pan odpowiedź - rzucił Jacovic. - Nie buduje się systemu obrony przed czymś, co ma miejsce raz na kilkanaście albo kilkadziesiąt lat i trwa zaledwie parę godzin.

- Sporo czasu chowali tę urazę - mruknął Cole.

- A pan szybko zapomina o takich rzeczach? - zapytał Wxakgini.

- Raczej nie rozpamiętuję ich w nieskończoność - stwierdził kapitan. - Ale ja jestem jeszcze młody. Relatywnie rzecz jasna.

- Kiedy wylot tego tunelu zniknie? - zainteresował się Jacovic.

- Za dwadzieścia siedem godzin, jedenaście minut i szesnaście sekund - wyliczył pilot.

- A gdzie znajduje się jego przeciwległy koniec?

- Tego nie wiem - przyznał Bdxeni. - Nigdy go nie opisano do końca. W każdym razie nie zrobił tego żaden z obywateli Republiki, bo z jej baz danych czerpią wszystkie nasze komputery nawigacyjne.

- Cudownie - mruknął Cole.

- Sir? - Christine uniosła głowę.

- Słucham.

- Mam już większość kodów i danych, o które pan prosił.

- Świetnie. Proszę natychmiast przelać wiadomość do naszych okrętów. Jeśli znajdują się w promieniu dwudziestu pięciu godzin od Delurosa, mają natychmiast skierować się na ten system. Proszę też dodać, że będą otrzymywać rozkazy z pokładu „Teddy’ego R.”, a jeśli któryś kapitan ma z tym problem, niech kieruje pytanie bezpośrednio do biura sekretarza Republiki.

- Natychmiast, sir.

- Przywołanie wszystkich tych jednostek niewiele nam pomoże - przyznał Cole szeptem, kierując te słowa do uszu Jacovica. - Nasz przeciwnik robi co trzeba i wyniesie się w diabły. Wątpię, aby którykolwiek z tych okrętów został tutaj do ostatniej minuty.

- Wiem o tym.

- Nie da się jakoś zaminować tego tunelu? Tak tylko pytam.

- W studniach grawitacyjnych nie istnieje czas ani przestrzeń, przynajmniej w naszym tych słów rozumieniu. Materiały wybuchowe też nie powinny w nich działać, sir.

- Ale okręty jakoś sobie radzą.

- Tyle tylko, że nie przyspieszają wewnątrz tuneli czasoprzestrzennych - uściślił Jacovic. - Ich ruch zależy od studni grawitacyjnej, nie okrętu... - Zamilkł, pogrążając się w myślach. - Istnieje spore prawdopodobieństwo, że systemy przestają produkować tlen i wodę, ale z drugiej strony przebywamy w nadprzestrzeni tak krótko, że nie jesteśmy w stanie tego zauważyć, bo ich zapasy nigdy się jeszcze nie wyczerpały.

- Wiem, wiem. Po prostu dmucham na zimne.

- Co pan robi, sir?

- Szukam mniej oczywistych rozwiązań.

- A jakie są te oczywiste?

- Jeśli nie odkryjemy w ciągu najbliższej godziny, skąd przylecieli, będziemy zmuszeni do wlecenia w ten tunel, zanim się zamknie. A skoro my się domyśliliśmy, dokąd prowadzi ta studnia grawitacyjna, należy zakładać, że oni są i na taką ewentualność przygotowani.

Jacovic pokiwał głową.

- No tak, jeśli stać ich na wysłanie tysiąca okrętów na taką misję, muszą mieć ich znacznie więcej do obrony własnego systemu przed jednostkami floty, które mogłyby skorzystać z tego skrótu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Cole szedł do gabinetu, w którym Briggs pracował przy jego osobistym terminalu.

- Jakież postępy?

- Przechwyciliśmy kilka wiadomości - zameldował Malcolm - ale komputery nie potrafią ich rozszyfrować.

- Nawet główna matryca z Delurosa VIII? - zdziwił się kapitan. - To się kupy nie trzyma. Przecież oni nie wybrali tego systemu na chybił trafił. Musieli mieć jakąś zaszłość z Republiką. A to z kolei oznacza, że jakiś czas temu musiało dojść do kontaktu i rozmów.

- Główna matryca została wyłączona, sir - wyjaśnił Briggs.

- Nie wiem, czy ją zniszczono, czy tylko czasowo utraciła źródła zasilania, a przecież tak gigantyczna maszyna musi pożerać sporo energii. W każdym razie nie mam do niej dostępu.

- Te przechwycone wiadomości - dopytywał się dalej Cole - to przekazy audio czy kody?

- Kody, sir.

- W takim razie pracujcie dalej nad nimi. Komputery pokładowe mogą nie dać sobie rady z przetłumaczeniem posapywań, chrząknięć i klikania, ale każdą zapisaną formę łączności rozgryzą, jeśli tylko da im się wystarczającą ilość czasu.

Wilson opuścił gabinet i udał się do mesy, gdzie usiadł przy ulubionym stoliku i zamówił kawę. Chwilę później w drzwiach sali pojawiła się Sharon.

- Co powiesz na miłe towarzystwo? - zapytała.

- Siadaj.

- Wyglądasz na przygnębionego - stwierdziła. - Albo na kogoś mocno zaabsorbowanego.

- Coś mi umyka... - mruknął. - Mam to na końcu języka, ale nie potrafię powiedzieć.

- Na pewno dojdiesz do tego, zanim przybędą okręty floty, a do tej pory i tak nie możesz nic zrobić.

- Ale to mnie właśnie najbardziej niepokoi - kontynuował. - Zgromadzimy wystarczające siły dopiero za standardowy dzień, a przeciwnik zdąży do tego czasu zniknąć. Do cholery, pierwszy okręt floty doleci tu za niespełna godzinę, a ja nie wiem, czy atakujący nie wycofają się wcześniej.

- Ale i tak nic na to nie poradzisz - pocieszyła go Sharon. - Mają setki, jeśli nie tysiące okrętów. Nie możesz walczyć z nimi w pojedynkę.

- Wiem.

- I dlatego musimy siedzieć cicho, dopóki nie przybędzie pomoc - dokończyła.

Pokręcił głową.

- To nie wystarczy.

- Wilsonie - powiedziała - „Teddy R.” nie może walczyć z tą flotą, nawet jeśli na żadnym z okrętów wroga nie ma broni piątej generacji.

- Ale nie możemy też siedzieć beczynnie i czekać - zaprotestował Cole.

- Nie poznaję ciebie - przyznała. - Nigdy wcześniej nie podejmowałeś niepotrzebnego ryzyka.

- Wiesz, dlaczego wyglądam na przygnębionego? Chyba tylko dlatego, że muszę teraz podjąć najbardziej ryzykowną decyzję w moim życiu.

- Wcale mi się to nie podoba - chciała to powiedzieć lekceważącym tonem, ale nie zdołała.

- Mnie też - przyznał Cole. - Ale nie widzę alternatywy. - Skrzywił się. - Nie, musimy to zrobić. - Wstał od stolika. - Im szybciej, tym lepiej.

Ruszył szybkim krokiem w stronę wind i niedługo potem dotarł na mostek.

- Pilotcie - powiedział - leć prosto w tunel Stutza.

- Jest pan pewien? - zapytał Jacovic. - Nie wiemy, co na nas czeka po drugiej stronie.

Cole spojrzał na Wxakgini.

- A może jednak?

- Nie - pilot poparł pierwszego oficera. - Jak już wspominałem, Republika nie zdołała go opisać.

Wilson zmarszczył brwi.

- Gdyby tutaj chodziło wyłącznie o „Teddy’ego R.”, począłbym - oznajmił - ale sytuacja jest bardziej skomplikowana. Nasz okręt został flagowcem całej floty. Nie mogę rozkazać tysiącom naszych okrętów, by poleciały za wrogiem, nie wiedząc nawet, kim jest, nie mówiąc już, gdzie się znajduje jego terytorium. Musimy się dowiedzieć, dokąd prowadzi ten tunel. - Spojrzał na Christine. - Wyślij zakodowaną wiadomość do naszych okrętów, że nasza nieobecność w momencie ich przybycia nie oznacza dezercji „Teddy’ego R.”, tylko jego wyruszenie na misję zwiadowczą na teren wroga. Dodaj, że niedługo wrócimy.

- Tak jest.

- Dobrze. Pilotcie, ruszamy.

„Teddy R.” wystrzelił z kryjówki niczym pocisk i ruszył prosto na wylot tunelu czasoprzestrzennego. Kilka jednostek wroga zauważyło go i podjęło pościg.

- Kogo mamy w przedziale bojowym? - zapytał Cole.
- Pana Pampasa i pana Braxytę, sir - zameldowała Christine. - Zdaje się, że jest tam też jeden z ludzi Lafferty'ego, podobno jego spec od uzbrojenia.
- Połącz mnie z nimi.
- Gotowe.
- Byku, mówi kapitan. Ściga nas kilka okrętów wroga. Najprawdopodobniej nie dysponują niczym powyżej trzeciej, może czwartej generacji i najprawdopodobniej nie będą w stanie uszkodzić nam okrętu. Zdejmijcie ich, zanim miniemy orbitę Delurosa V.
- Tak jest!
- Pilocie, jak długo będziemy lecieli przez ten tunel czasoprzestrzenny?
- Nie wiem przecież, gdzie jest jego wylot - przypomniał mu Wxakgini. - Ale sądzę, że nie dłużej niż dwadzieścia pięć do trzydziestu pięciu minut.
- Cholera - zaklął kapitan pod nosem.
- O co chodzi, sir? - zapytał Jacovic.
- Chciałem obrócić jak najszybciej - odparł Cole. - Zidentyfikować miejsce docelowe i rasę tych istot, sprawdzić, jak rozmieścili swoje siły, i spieszyć stamtąd.
- Nie rozumiem, co mogłoby nam w tym przeszkodzić - zdziwił się Teroni.
- A ja mam pewne obawy - stwierdził Wilson. - Po tym krótkim rekonesansie będziemy chcieli przylecieć, aby przekazać naszym informację o liczebności floty wroga czekającej w jego systemie. - Skrzywił się. - Ale jeśli wrócimy tutaj za, powiedzmy, godzinę, możemy nadzieć się na wroga zmierzającego w stronę swojego systemu. - Odwrócił się w stronę pilota. -

Czy możemy użyć broni w czasie lotu w nadprzestrzeni?

- Możemy - przyznał Bdxeni - ale wyprzedzimy pociski albo promienie, które następnie nas zabiją. Albo działa w ogóle nie zadziałają, powinien pan pamiętać, że w studniach grawitacyjnych niekoniecznie obowiązują prawa fizyki.

- Czy możesz sprecyzować, co znaczy „niekoniecznie”?

- Że mogą, ale nie muszą - odparł Wxakgini. - Albo że działają tylko niektóre.

- Nie powiem, żebyś był najbardziej pomocnym facetem, jakiego znam - burknął kapitan.

- Nie zostałem pilotem, aby być pomocnym - stwierdził Bdxeni. - Dotrzemy do wylotu tunelu Stutza za pięćdziesiąt trzy sekundy.

- Załatwiliśmy ostatniego z nich! - zameldował rozentuzjzmowany Pampas. - Proszę spojrzeć!

Na ekranie pojawił się nagły rozbłysk plazmy. Gdy blask przygasł, w przestrzeni szybowały jedynie stopione szczątki kadłuba. Cole nie spuszczał oczu z tego obrazu. Niemal całe dorosłe życie spędził w przestrzeni, ale wciąż nie potrafił przyzwycząić się do tego, że chociaż wylot studni grawitacyjnej na pewno znajdował się na wprost dzioba jego okrętu, nie mógł go zobaczyć.

- Oto i on - mruknęła Rachel.

- Widzisz go? - zdziwił się Wilson.

- Nie, sir - odparła Marcos. - Sprawdziłam czas na zegarku.

Nagle kadłub okrętu zadrżał i „Teddy R.” zniknął w nadprzestrzeni. Jak zwykle w takich przypadkach, ekrany natychmiast przestały działać.

- Dobra - rzucił Cole. - Jak tylko wylecimy po drugiej stro-

nie, Byk i Braxyta zajmą się obsługą dział. Jacovic dopilnuje broni mniejszego kalibru, jeśli to okaże się konieczne, ale z mostka. Christine, ty i Rachel musicie zarejestrować wszystko, co się da. Jeśli ta wojna ma potrwać dłużej niż trzydzieści godzin od momentu rozpoczęcia inwazji na Delurosa, musimy wiedzieć, gdzie się znaleźliśmy i jak stamtąd wrócić do domu. Zarejestrujcie też wszystko na holo, żebyśmy mieli materiał do przesłania na pozostałe jednostki. Jeśli nie zdołamy namierzyć planety wroga od razu, wykonacie pełne analizy wszystkich kamyków w promieniu pięciu lat świetlnych i zapiszecie ich położenie... - Zamilkł na moment. - Poprawka. Mówimy wyłącznie o planetach z atmosferą tlenową.

- Jest pan pewien, sir? - zapytała Rachel. - Znamy przecież istoty oddychające chlorem.

- Wiem. Ale chlor nie pali się w sposób, jaki mieliśmy okazję widzieć podczas ostatniego pokazu zorganizowanego przez Byka i Braxytę. Takie płomienie daje jedynie tlen... - Zamilkł na chwilę. - Nie wiemy, czy pozostawili jakieś jednostki do pilnowania wylotu tego tunelu, ale zakładanie, że tego nie zrobili, byłoby szaleństwem z naszej strony, dlatego wszyscy członkowie załogi, którzy nie posiadają aktualnych przydziałów, udadzą się do przedziału bojowego i wspomogą Byka oraz Braxytę. To dotyczy także pańskich ludzi, panie Lafferty - dodał. - Mamy tam jeszcze dwa wolne stanowiska. Ale pamiętajcie o jednym: nie strzelamy, jeśli oni nie zaczną. Jeśli zdołamy się wślizgnąć i wyslizgnąć niezauważeni, gdy wrócimy, możemy uniknąć komitetu powitalnego, jaki z pewnością pojawiłby się w innym wypadku. Christine, daj mi pana Briggsa.

- Tak jest.

- Malcolmie - zapytał Cole. - Masz coś nowego?

- Niewiele, sir - odparł porucznik. - Komputer twierdzi, że to wzorzec języka, ale nie mamy żadnych punktów zaczepienia, więc rozszyfrowanie tych tekstów może nam zająć ze dwa dni.

- To nam niewiele pomoże - mruknął kapitan. - Musi pan tutaj siedzieć? Nie da się jakoś zaprogramować tego komputera, żeby sam pracował nad problemem?

- Mogę to zrobić, sir.

- Świetnie. W takim razie proszę jak najszybciej wracać na mostek. Przydzielę panu to najmniejsze stanowisko, którego pan tak nie lubi. Musimy zebrać jak najwięcej danych po wyjściu z tunelu czasoprzestrzennego. Pan, Christine i Rachel możecie podzielić tę robotę, jak tam sobie chcecie, ale cały teren ma być sprawdzony i opisany.

- Tak jest.

- Jak tylko skończycie, obiecuję, że dam wam się wyspać aż do chwili rozpoczęcia inwazji - dodał Cole.

- Na razie nie chce mi się spać, sir - zapewnił go Briggs. - Pojawię się na mostku, jak tylko skończę robotę tutaj.

Cole odwrócił się do Jacovica.

- Czy zapomniałem o czymś?

- Nie sądzę, sir.

- Dobrze. Mamy jeszcze około dwudziestu minut. Dopóki nie skończę kawy, pan przejmuje dowodzenie.

Wrócił do mesy. Sharon wciąż siedziała przy jego stoliku.

- Wiedziałaś, że wrócisz - powiedziała. - Tak bardzo nie lubisz przebywać na mostku.

- Pobył tam natychmiast przywodzi mi na myśl wizje heroicznych dowódców stojących osobiście za sterem, ze szpadą w

dłoni i kropelkami słonej wody na twarzy. Ja się do nich nie zaliczam.

- Ale przypominasz ich bardziej, niż ci się wydaje.

Skrzywił się.

- Nie ma takiego rozkazu, którego nie mógłbym wydać z tego miejsca.

- My naprawdę nie wiemy, z kim mamy do czynienia? - zapytała, zmieniając temat.

- Na razie nie.

- Pozwól zatem, że cię o coś zapytam.

- Śmiało - zachęcił ją Cole.

- Nie przyszło ci do głowy, że zamiast walczyć z nimi, powinniśmy się do nich przyłączyć? W końcu udaliśmy się na Delurosa w tym samym celu.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło - zapewnił ją kapitan. - Oni bombardują i zabijają bez wyboru, jak nasza flota na Wewnętrznej Granicy. To zwykły bandycki napad. W przypadku wielkiego zagrożenia i możliwości upadku Republika podpisałaby rozejm z Federacją Teroni i ściągnęła trzy miliony okrętów do obrony Delurosa. Jeśli dobrze to rozegramy, uda nam się doprowadzić do zmiany rządu w miarę w bezkrwawy sposób.

- A znajdziemy bardziej rozsądnych przywódców? - zapytała.

- Wiele lat dorastaliśmy w Republice, jeszcze dłużej walczyliśmy za nią - przypomniał. - Nie wszyscy są tacy źli. Do diaska, przecież większość ludzi przypomina ciebie albo mnie. Pragną tylko jednego: przeżyć dzień, nie krzywdząc nikogo, a już zwłaszcza siebie. Nawet ten Chang wydaje się całkiem rozsądny, co daje nadzieję, że znajdziemy jeszcze paru jemu podobnych.

- Niech ci będzie - zgodziła się Sharon. - Chciałam się tylko upewnić, czy dobrze to sobie przemyślałeś. - Uśmiechnęła się przepraszająco. - Powinnam wiedzieć, że tak.

- Sześć minut do celu - zameldował Jacovic.

- Szlag! - zaklął Cole. - Chciałbym, żeby Briggsowi udało się rozgryźć ten język albo złamać ich kody. Jeśli weźmiemy jeńców, nie będą ich umiał nawet przesłuchać.

- To akurat będzie zależało od tego, kogo schwytamy - stwierdziła Sharon. - Oni musieli mieć jakieś kontakty z Republiką. Wybór Delurosa VIII spośród miliarda podobnych mu planet w galaktyce nie był przecież dziełem przypadku. Jak rozmawiają pomiędzy sobą to jedna sprawa, ale wielu z nich powinno znać terrański albo język Teroni.

- Pięć minut - obwieścił Jacovic.

- Lepiej wrócę na mostek - powiedział Cole, wstając od stolika.

- Przed chwilą udowadniałeś mi, że nie musisz tego robić.

- W normalnych okolicznościach mogę nie zaglądać tam nawet przez tydzień - wyjaśnił. - Ale to nie są normalne okoliczności.

- Daj spokój, Wilsonie - poprosiła. - Mów prawdę.

- Dobrze. Ci ludzie zasługują na to, aby dowódca dzielił z nimi niebezpieczeństwa tej misji.

- Dzierżąc ster i szpadę w dłoni - rzuciła, nie kryjąc uśmiechu.

- Wiesz, Rachel i Gentry z każdą minutą wyglądają coraz ponętniej... - burknął Cole, opuszczając mesę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

- Powinniśmy opuścić tunel czasoprzestrzenny za około dwadzieścia sekund - obwieścił Jacovic.

Wszyscy wbili wzrok w główny ekran, niedługo później „Teddy R.” wrócił do normalnej przestrzeni.

- Żadnych okrętów, sir - zameldowała Christine.

- Potwierdzam - dodała Rachel.

Cole spojrzął w stronę najmniejszej konsoli.

- Panie Briggs?

- Nie mam odczytów, sir.

- Świetnie. Rachel i Briggs zajmą się skanowaniem pobliskich planet, aby skatalogować te, które posiadają atmosferę tlenową i są w stanie podtrzymać życie oparte na związkach węgla. Christine, ty spróbuj ustalić, gdzie się, u licha, znajdujemy... - Zamilkł na moment. - Pan, panie Jacovic, będzie się rozglądał za ewentualnym komitetem powitalnym.

Po minucie zgłosiła się Christine.

- Byłoby mi o wiele łatwiej, gdybyśmy polecili jeszcze kilka lat świetlnych dalej, sir. Mamy tutaj zbyt wiele czerwonych i niebieskich gigantów, które przesłaniają mi widok.

- Nie zrobimy tego, jeśli nie będzie naprawdę wielkiej potrzeby - stwierdził Cole. - Nie chcę, żeby oni dowiedzieli się o naszej obecności.

- Przecież zdają sobie sprawę z tego, że ten tunel działa w obie strony.

- Gdyby nasza flota z niego kiedyś skorzystała, te istoty,

kimkolwiek są, byłyby teraz obywatelami Republiki. Co więcej, gdyby uważały, że ktoś może tym tunelem przylecieć, z pewnością strzegłyby jego wylotu i czekały tu na nas.

- Wygląda na to, że walka z nimi może być łatwiejsza, niż przypuszczaliśmy, skoro nie są gotowi na wszystkie ewentualności - zauważył Jacovic.

- Chyba ich namierzyłam, sir! - zawołała Christine.

- Gdzie?

- Piąta planeta obiegająca gwiazdę typu G, dwa lata świetlne stąd - uściśliła. - Jeśli spojrzysz pan na ekran, zobaczysz ją pan po lewej, na samym dole.

- Czy to ta? - zapytał Cole, wskazując palcem.

- Tak jest. Atmosfera tlenowa, wyraźna emisja neutrino, odbieram także przekazy planetarne.

- Panie Briggs, proszę zawęzić margines.

- Co mam zrobić, sir? - zdziwił się porucznik.

- Wydaje mi się, że pilot nie będzie miał nic przeciw, jeśli skorzysta pan z komputera nawigacyjnego. Możemy przyjąć założenie, że w odległości dwudziestu tysięcy lat świetlnych od Delurosa nie ma żadnej wrogiej planety ani imperium, dlatego powinniśmy sprawdzić wszystkie nienależące do Republiki piąte planety o atmosferach tlenowych krążące wokół gwiazd typu G.

Pięć minut później Briggs zameldował:

- W galaktyce znajdują się trzydzieści dwie takie planety.

- No i mamy punkt zaczepienia. Christine, ty jesteś najbardziej biegła w informatyce. Stwórz mapę okolicznych gwiazd, powiedzmy w promieniu dziesięciu lat świetlnych, zobaczymy, czy dzięki temu da się jeszcze bardziej zawęzić margines.

- Sprawdzam... - odparła i zaczęła wydawać polecenia

komputerom, oczywiście w języku, który rozumiały wyłącznie maszyny. - Zawężiliśmy pole poszukiwań do dwóch planet, sir.

- Do jednej - dodała chwilę później Rachel.

- Możesz mi to wyjaśnić? - poprosił kapitan.

- Ósma planeta systemu Tamerlaine ma osiem księżyców, a wokół ósmej tutaj krąży ich tylko sześć. Zatem jesteśmy w systemie Rubino.

- Świetna robota - pochwalił ją Cole. - Teraz przynajmniej wiemy, jak wrócić do domu, jeśli przeżyjemy. Czy mamy jakiegokolwiek dane na temat tego systemu?

Chwilę później Christine spojrzała na niego.

- Tak, Rubino V jest planetą, której szukaliśmy. Pięćset lat temu było stolicą imperium składającego się z dwudziestu siedmiu planet. Usiłowało przejąć kilka systemów Republiki, więc zostało ostrzeżone o konsekwencjach takiego postępowania. Zignorowało to jednak i któregoś popołudnia flota rozgromiła doszczętnie jego siły militarne, zgarniając przy okazji ponad połowę terytorium podlegającego Rubino V. Po tym wydarzeniu planeta ta znikła z kart historii galaktyki. Imperium zbudowane przez jej mieszkańców było lokalną potęgą, która doznała klęski i wszelki ślad po niej zaginął.

- Cholernie długo czekali na możliwość zemsty - zauważył Cole. - Ulżyło mi jednak, że nie mamy do czynienia z planetą albo imperium, które tym sposobem próbuje się uwolnić spod jarzma Republiki. Czy wiemy, jak wyglądają Rubinosi?

- Wątpię, sir, aby tak ich nazywano - odparła Christine.

- Ale tak będę o nich mówił, dopóki ktoś nie poda mi właściwej nazwy.

- Są humanoidalni, sir - zameldowała Rachel. - Wypro-

stowana sylwetka, dwunodzy, dwuręcy, organy zmysłowe podobne do naszych. Nie potrafię jednak ustalić, czy są ssakami.

- Nie wiemy, ile planet kontrolują w chwili obecnej? - pytał dalej Cole.

- Nie, sir - odparła Christine. - Nie ma żadnej wzmianki o nich przez ostatnie pięćset lat.

- Zatem wiemy albo możemy założyć, że Rubino V to ich matecznik, ale nie możemy być pewni, czy w razie ataku nie otrzymają wsparcia z innych planet. Już chciałem powiedzieć pobliskich planet, ale tego także nie jesteśmy w stanie ustalić.

- Nie, sir.

- Tak samo, jak nie wiemy, czy te tysiąc okrętów, które posłali na Delurosa, to całe ich siły zbrojne.

- Zgadza się, sir.

- Jaka odległość dzieli Rubino od Delurosa?

- Czterdzieści siedem tysięcy lat świetlnych, sir - odparła Christine.

- Sporo do przelecenia po wygranej bitwie - uznał Cole i spojrzął na Jacovica. - Czy według pana powinienem jeszcze o coś zapytać?

- Wielu rzeczy nie dowiemy się, dopóki nie zaczniemy walczyć, o wielu innych będzie pan musiał sam zdecydować, ale w tej chwili nie widzę żadnej istotnej sprawy, której by pan nie poruszył.

- Świetnie. Pilocie, zabieraj nas stąd w cholerę - rozkazał kapitan. - Tą samą drogą, którą tu przylecieliśmy.

- Istnieje spore prawdopodobieństwo, że trafimy na powracającą flotę wroga zaraz po wyjściu z tunelu - ostrzegł Teroni.

- Lepiej trafić na nich po tamtej stronie niż po tej - stwier-

dził Cole. - Pilocie, natychmiast po wyjściu z nadprzestrzeni skieruj się na drugą stronę systemu, powiedzmy na orbitę Delurosa I. - Spojrzał raz jeszcze na Jacovica. - To najbezpieczniejsze rozwiązanie, jakie mamy. Zobaczmy, czy zadziała. - Okręt zadrztał, gdy wchodzili w tunel Stutza. - Proszę zejść ze mną do gabinetu.

Teroni towarzyszył mu w drodze do windy, i chwilę później siedzieli już po obu stronach biurka, naprzeciw siebie.

- Chce pan ze mną porozmawiać na osobności, sir? - zapytał komandor.

- Tak - przyznał Wilson. - Chciałbym też zaproponować drinka, ale z tego, co wiem, pan nie może pić, a ja nie powinienem.

- Nie jestem spragniony, sir.

- Wiem - mruknął Cole i pochylił się nad blatem. - Chciałem się upewnić, że stoimy po jednej stronie barykady, i to po właściwej.

- Nie rozumiem, sir.

- To takie slangowe wyrażenie - wyjaśnił kapitan. - Wspomniał pan o kilku rzeczach, o których nie dowiemy się przed rozpoczęciem bitwy. Ja też wiem o kilku. Porównajmy nasze przemyślenia.

- Po pierwsze, nie znamy liczebności ich floty - zaczął Jacovic. - Po drugie, nie wiemy, czy obrona planetarna dysponuje czymś mocniejszym niż działa trzeciej i czwartej generacji zamontowane na okrętach. Po trzecie, nie mamy pojęcia, czy otrzymają wsparcie od sojuszników.

Cole kiwał głową.

- Możemy też zgadywać, czy ich sprzymierzeńcy są istotami oddychającymi tlenem - dodał. - Głupio byłoby przelecieć

obok planety o chlorowej albo metanowej atmosferze, nie zwracając na nią uwagi, i zostać niespodziewanie zaatakowanym z flanki po rozpoczęciu bitwy.

- To prawda - przyznał Teroni. - Istnieją tak dziwne rasy, że nie sposób odkryć ich obecności, dopóki same nie opuszczą swoich planet.

- Skupienie uwagi na tego typu problemach będzie zależało od wielkości floty, jaką zdołamy zebrać. A musimy tutaj wrócić w ciągu standardowego dnia, bo po tym czasie wylot tunelu przeniesie się w inne miejsce.

- Wiem o tym - odparł Jacovic. - A to znaczy, że mamy niewiele czasu na podjęcie wszystkich decyzji.

- To prawda - przyznał Cole. - Mamy ich tylko ukarać czy unicestwić?

- Tego typu decyzje sprawiły, że poczułem prawdziwą ulgę, odchodząc ze stanowiska głównodowodzącego Piątej Floty - powiedział Teroni.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Teddy R.” wynurzył się z nadprzestrzeni w systemie Deluros.

- Sir, flota Rubino kieruje się na studnię grawitacyjną - zameldowała Christine.

- Powiedz pilotowi, żeby natychmiast wykonał ustalony manewr - odpowiedział Cole i odwrócił się do Jacovica. - Wracając do domu. Nie mogli wiedzieć, że wynurzamy się z nadprzestrzeni. Nie powinni zatem za nami lecieć.

- Lepiej wróć na mostek - zaproponował Teroni. - Tak na wszelki wypadek.

- Proszę to zrobić. Załoga potrzebuje tam kogoś z autorytetem.

„Teddy R.” pomknął w stronę przestrzeni pomiędzy pierwszą planetą systemu - kulą rozgrzanej do białości magmy - a tutejszą gwiazdą, tyle że po jej drugiej stronie w stosunku do wylotu tunelu, ku któremu zmierzała gęsta formacja okrętów z Rubino.

- Ostatnia jednostka przeciwnika weszła w nadprzestrzeń - zameldowała Christine mniej więcej kwadrans później.

- Świetnie - odparł Cole. - Przekaż pilotowi, żeby poleciał na pozycję oddaloną o pięćdziesiąt tysięcy mil od wylotu studni grawitacyjnej i tam zatrzymał okręt.

- Tak jest.

- I spróbuj nawiązać połączenie z Aloysiusem Changiem.

Holograficzna twarz doradcy pojawiła się przed kapitanem po kilku sekundach.

- Cieszę się, że pana widzę - powiedział Cole. - Obawiałem się, że mógł pan zginąć.

- Nasze baterie powierzchniowe zdołały zniszczyć około pięćdziesięciu okrętów - odparł Chang. - A kiedy napastnicy zorientowali się, że spora część Trzeciej Floty zmierza już w kierunku Delurosa, uznali, że wystarczająco nam dopiekli, i zarządzili odwrót. - Zmarszczył brwi. - A gdzie pan się podziewał? Trzy razy próbowaliśmy nawiązać z panem kontakt.

- Odwiedzałem ich system gwiazdny - wyjaśnił Wilson. - Czy nazwa Rubino V mówi panu coś?

Chang zamyślił się.

- Rubino V - mruknął. - Rubino V. - Pokręcił głową. - W życiu o nim nie słyszałem. Co im zrobiliśmy, że zdecydowali się na taką odpowiedź?

- Ostatnimi czasy nic - wyjaśnił Cole. - Chowali urazę za klęskę poniesioną pół tysiąclecia temu... - Zamilkł na moment. - Zanim przejdziemy do następnego etapu tej operacji mam jedno pytanie: czy Wilkie podpisał rezygnację?

- Nie.

- Chcę z nim mówić.

- Obawiam się, że to niemożliwe - stwierdził Chang.

- Chyba nie wyrzucił go pan przez to okno? - zaniepokoił się kapitan.

- Ależ skąd - zaprzeczył spokojnym głosem Chang. - To byłoby przestępstwo. Nasz przywódca poległ w czasie bombardowania... - Zamilkł na chwilę. - Anya Kranchev jest teraz sekretarzem, ale wcześniej podpisała papier i potwierdziła, że podtrzymuje rezygnację pomimo niespodziewanego awansu.

- Zatem i ja nie wycofuję się z naszej umowy - zapewnił

go Wilson. - Ilu okrętów możemy się tu spodziewać w ciągu najbliższych kilku godzin?

- Przyleci niespełna tysiąc - stwierdził Chang. - Więcej nie zdołamy wycofać z linii frontu. - Uśmiechnął się. - Zapewne nie zdziwi pana informacja, że ponad trzydzieści z nich już zażądało od nas potwierdzenia wydanych przez pana rozkazów. Zdaje się, że wydarzenia ostatnich dni wywołały sporą niechęć do pana w szeregach floty.

- Jakoś to przeżyję - zapewnił go Cole, powstrzymując się od uwagi, że tylko idiota pozwoliłby rozciągnąć linię frontu na pół galaktyki. - Ile wśród nich będzie jednostek klasy M albo L?

- Nie mam pojęcia.

- Rozumiem. I tak będziemy musieli dokonać tego takimi siłami, jakie się pojawią.

Rozłączył się i poszedł do kajuty. Zanim na dobre się w niej rozgościł, zobaczył hologram Sharon.

- Czy ja dobrze widzę? - zapytała. - Ty leżysz w łóżku?

- Wolałabyś, żebym leżał na pokładzie?

- Do cholery, Wilsonie!

- Dlaczego sama się nie prześpisz? - zapytał. - Wejdziemy w nadprzestrzeń dopiero za kilka godzin, a kolejna chwila spokoju może się nam przytrafić dopiero za parę dni.

- Nie wierzę, że będziesz umiał zasnąć w tak gorącym momencie!

- Chyba mi się to nie uda - przyznał. - Chyba że się w końcu zamkniesz. - Nakazał przyciemnienie świateł. - Obudź mnie za trzy godziny.

Rozłączyła się natychmiast, ale obudziła go już po osiemdziesięciu minutach.

- Powiedziałem chyba wyraźnie: obudź mnie za trzy go-

dziny... - marudził, spoglądając na zegarek.

- Wiem, ale potrzebujemy cię teraz - przerwała mu Sharon.

Natychmiast się wyprostował.

- Zaatakowano nas?

- Nie - odparła. - Chang przekazał wszystkim oficerom, że mają wykonywać twoje rozkazy, ale część z nich nie chce ich przyjmować od pana Jacovica.

- Szlag! - zaklął Cole, zrywając się na równe nogi. - Że też o tym nie pomyślałem! Większość z nich walczy z Teroni od momentu wstąpienia do floty. Czy Christine może połączyć mnie ze wszystkimi jednostkami naraz?

- A ty się uczesz, zanim otworzymy kanał - poradziła mu Blacksmith, a po krótkiej przerwie dodała: - Gotowe.

- Mówi Wilson Cole, dowódca „Teodora Roosevelta”. Jak już zapewne wiecie od Aloysiusa Changa albo któregoś z jego zastępców, nastąpiła istotna zmiana na najwyższym szczeblu dowodzenia. Przed kilkoma godzinami przeprowadzono niszczycielski atak na Delurosa VIII, dlatego musimy udać się na planetę Rubino V, do systemu napastników, aby ukarać ich za tę zdradziecką napaść i upewnić się, że już nigdy nie dojdzie do podobnych zdarzeń. Z mocy rozkazu sekretarza „Teodor Roosevelt” jest okrętem flagowym tej części Trzeciej Floty, co oznacza, że wszyscy jesteście moimi podwładnymi. Moim pierwszym oficerem jest komandor Jacovic, Teroni. Wydawane przez niego rozkazy zostały wcześniej ustalone i zaaprobowane przeze mnie, zatem oczekuję, że zostaną niezwłocznie wykonane. Flota, która zaatakowała Delurosa VIII, nie walczy po stronie ludzi ani Teroni. Przybyła tutaj z drugiego końca galaktyki przez niestabilny tunel czasoprzestrzenny, którego wylot za-

mknie się najdalej jutro. Wprowadźcie Rubino do waszych komputerów nawigacyjnych. Piąta planeta tego systemu jest celem naszej wyprawy.

- Kapitanie Cole, mówi kapitan Mellinara ze „Srebrnego Płomienia” - odezwał się jeden z dowódców. - Jaką bronią i osłonami dysponuje przeciwnik?

- Wiemy tylko tyle, że podczas ataku na Delurosa VIII nie użył ani razu dział piątej generacji - odparł Cole. - To jednak nie oznacza jeszcze, że nie dysponuje podobną bronią. Nie wiemy także nic o jego systemach obrony planetarnej. Posiadamy za to informacje, że nasze baterie naziemne zdołały zniszczyć prawie pięćdziesiąt atakujących jednostek. Można z tego wywnioskować, że okręty Rubinósów nie oprą się broni montowanej na jednostkach klasy M i L.

- Mówi komandor Bainshank - odezwał się kolejny oficer. - Lecimy, aby rozgromić ich flotę czy dobierzemy się też do planety?

- Zaczniemy od zniszczenia floty i jednostek naziemnych - odparł Cole. - W miarę możliwości postaramy się nie zabijać ludności cywilnej. Nie martwmy się tym jednak na zapas.

- Z tego, co zauważyłem, oni nie mieli oporów przy zabijaniu naszej ludności cywilnej - wtrącił inny kapitan.

- Ale my nie jesteśmy nimi. Jeśli nie zamierza pan wykonywać moich rozkazów, lepiej, żeby pan został w tym systemie.

- A właściwie dlaczego mamy przyjmować rozkazy od pana? - zainteresował się ten sam oficer. - Przez ostatnie kilka lat był pan poszukiwanym przestępcą.

- Może dlatego, że zmieniły się okoliczności? Sto lat temu Molarianie byli naszymi wrogami, dzisiaj są sprzymierzeńcami. Dzisiaj walczyacie z Teroni, ale za miesiąc, rok albo w następnym

stuleciu mogą zostać naszymi sojusznikami.

- Z kim zatem dzisiaj będziemy walczyć?

- Z rasą zamieszkującą Rubino V - odparł Cole.

- Gdzie, u licha, leży ta planeta?

- Po drugiej stronie tunelu Stutza, do którego wlecimy za kilka godzin, jak tylko zbierzemy wystarczające siły.

Nie było kolejnych pytań, a w ciągu czterech następnych godzin przyleciały niemal wszystkie spodziewane jednostki. Cole podzielił je na osiem zgrupowań, oznaczając literami od A do H, wyznaczył dowódców i kazał Christine ustanowić z nimi stałe połączenie. Przy okazji zauważył, że porucznik Mboya zasypia na stojąco, wezwał więc Domak, by ją zastąpiła.

- Ale ja nie chcę opuszczać stanowiska! - protestowała Christine.

Cole spojrział na nią z politowaniem.

- Naprawdę chce pani pozostać na wachcie? - zapytał.

- Naprawdę, sir!

- Dobrze. Proszę się zgłosić do ambulatorium na zastrzyk adrenaliny i jakieś tabletki na pobudzenie, tylko takie, które nie namieszają pani w głowie. Pozwolę pani zostać, jeśli lekarz pokładowy wyrazi pozytywną opinię na temat stanu pani umysłu.

- Dziękuję, sir - rzuciła ucieszona i pognąła do windy.

Cole wydał rozkaz, aby połączono go ze wszystkimi zgromadzonymi jednostkami.

- Raz jeszcze mówi Wilson Cole. Kilka okrętów wciąż nie dotarło, ale tunel Stutza jest tak niestabilny, że postanowiłem nie marnować czasu. Terytorium znajdujące się wokół wylotu studni grawitacyjnej było zupełnie niestrzeżone, kiedy „Teodor Roosevelt” pojawił się tam kilka godzin temu. Nie sądzę, aby ta

sytuacja uległa diametralnej zmianie, ale na wszelki wypadek bądźcie gotowi na natychmiastową walkę... - Zamilkł na chwilę, by zebrać myśli. - Wiemy już, że rasa zamieszkująca Rubino V pół tysiąclecia temu utworzyła niewielkie imperium składające się z około trzydziestu planet. Polecam waszej uwadze fakt, że niektóre z nich mogą nadal pozostawać w sojuszu z Rubinosami. Skoro cywilizacja ta posiadała zdolność do pokonywania przestrzeni kosmicznej już pięćset lat temu, z pewnością nawiązała kontakty handlowe z wieloma leżącymi w pobliżu, zamieszkanymi planetami, dlatego musicie zwrócić baczną uwagę na to, żeby atakować wyłącznie okręty wojenne. Statki pasażerskie i frachtowce nie są naszym celem. Zaczniemy od rozbicia ich floty, kolejne kroki podejmiemy po zdobyciu dokładniejszych danych na temat faktycznego stanu ich sił zbrojnych. - Poczekał na pytania, ale żadne nie padło. - Świetnie - zakończył przemowę. - „Teodor Roosevelt” poleci jako pierwszy, wy ruszycie za nami kolejno, od zgrupowania A po H. Czas rozmów dobiegł końca. Pora na działanie.

Skinął głową w stronę Wxakgini i sekundę później jego okręt zniknął w tunelu Stutza.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Okręty Rubinosów nie czekały na nich, gdy wynurzyli się z nadprzestrzeni. Cole nakazał pilotowi zwolnić, aby pozostałe zgrupowania dołączyły do „Teddy’ego R.”, potem skontaktował się z dowódcami.

- Rubino V znajduje się około dwóch lat świetlnych od tego miejsca. Dajcie mi znać, gdyby któryś z was miał problem z lokalizacją celu.

Nikt się nie odezwał.

- Lecimy na ślepo - ciągnął więc Wilson. - Sądzymy, że nie posiadają palników i stukaczy piątej generacji, ale nie wiemy tego na pewno. Uważamy, że nie spodziewają się nas, w przeciwnym razie już bylibyśmy celem ich ataku, ale to też nie jest pewnik. Wszystkie okręty atakujące Delurosa VIII miały bardzo zbliżony wygląd, co wcale jednak nie znaczy, że nie dysponują większymi i lepszymi jednostkami, których z jakichś przyczyn nie chcieli wystawiać na ryzyko utraty. Możliwe jest też, że wszędzie wokół mają masę doskonale uzbrojonych sojuszników. Z tych powodów nie zaatakujemy planety wszystkimi siłami, przynajmniej w pierwszej fazie operacji. Zgrupowania A, B, C i D podejść do Rubino V. Gdy jej mieszkańcy zorientują się, że mają nad głowami dwa tysiące okrętów wojennych Republiki, nie będą tracili czasu na pertraktacje. Moim zdaniem natychmiast otworzą do was ogień. Macie do dyspozycji jedenaście okrętów klasy L. Chciałbym, aby one podeszły jak najbliżej, ponieważ są w stanie wytrzymać napór każdej broni, z jakiej do tej pory

strzelali Rubinosi, przynajmniej przez jakiś czas. Gdy zyskacie dokładne dane na temat siły ognia, jaką dysponuje przeciwnik, rozpoczniecie właściwe uderzenie. Spróbujemy namierzyć wszystkie baterie naziemne i prześlemy ich koordynaty do waszych komputerów, ale zdecydowana większość działań bojowych będzie dotyczyła walki z flotą nieprzyjaciela. Nie mam pojęcia, na jakiej orbicie stacjonują te okręty, równie dobrze mogą krążyć wokół księżyca albo innych planet systemu. Ale kiedy się tylko pokażą, a z pewnością zrobią to, nim padnie pierwszy strzał, będziemy wiedzieli dokładnie, z kim mamy do czynienia. Zgrupowanie E zajmie się bateriami naziemnymi, które zaczną nas ostrzeliwać w czasie bitwy. Waszym zadaniem będzie jak najszybsze wyeliminowanie wszystkich celów. Zgrupowania F i G pozostaną na wyższej orbicie jako odwody do momentu, w którym dojdzie do konfrontacji z całą flotą wroga. Skierujemy je wtedy na najłabsze odcinki naszych linii.

- A co ze zgrupowaniem H? - zapytał jego dowódca.

- Wy zostaniecie przy „Teodorze Roosevelcie” - odparł Cole.

- Jakie będzie nasze zadanie?

- To zależy od rozwoju sytuacji, którego na razie nie znamy.

- Przylecieliśmy tu, by walczyć! - zagrział kapitan.

- Przylecieliście tutaj, by wykonywać moje rozkazy i tego musicie się trzymać - przypomniał mu Cole. - Zgrupowanie H pozostanie w zwartym szyku za „Teodoreem Rooseveltem”. Obiecuję jednak, że na pewno weźmiecie udział w tym boju.

Pozostali uczestnicy odprawy nie mieli żadnych pytań.

- Świetnie. Zgrupowania od A do D, rozpocznijcie podejście do planety. Tylko pamiętajcie, na czele lecą jednostki klasy

L.

Dwa tysiące okrętów ruszyło w stronę pobliskiego systemu gwiazdnego.

- Nie ma żadnych śladów aktywności wroga? - zapytał Cole.

- Nie, sir - odparła natychmiast Christine, która właśnie wróciła z ambulatorium i zmieniła Domak.

- Pomyślmy. Zagrożenie na pewno nie przyjdzie z powierzchni planety. Po co komu flota kosmiczna, jeśli okręty nie przebywają cały czas w przestrzeni?

- Mam ich, sir! - zameldował Briggs i nagle zmarszczył brwi. - W każdym razie część z nich. Jakieś tysiąc dwieście jednostek. Znajdują się na orbicie drugiego księżycy. Ale to chyba nie wszystkie...

- Z pewnością - zgodził się kapitan.

Flota Rubinósów zaczęła się gromadzić pomiędzy planetą a nadlatującymi okrętami Republiki, ale nie leciała na ich spotkanie. Jedenaście pancerników klasy L zgodnie z rozkazem wysforowało się przed szyk. Ledwie weszły w zasięg strzału, wszystkie jednostki wroga otworzyły do nich ogień.

- Tu Bainshank - zameldował się dowódca zgrupowania A. - Jak na razie nie użyli niczego, z czym byśmy sobie nie poradzili, a raczej z czym nie poradziłyby sobie okręty klasy L.

- Pokażcie im to dobitniej - poradził Cole. - Nie otwierajcie jeszcze ognia. Lećcie spokojnie w ich stronę, niech zrozumieją, że nie są w stanie wyrządzić szkód. Może to ich skutecznie zniechęci do dalszej walki.

- Dobrze - zgodził się Bainshank. - Znajdujemy się w odległości około dziesięciu tysięcy mil od...

Nagle na ekranie czołowym pojawił się oślepiający błysk.

- Co to było, u licha? - zdziwił się Cole.

- Nie wiem - odparł Jacovic. - Moim zdaniem jakiś rodzaj torpedy pulsacyjnej, ale nigdy wcześniej nie widziałem niczego podobnego.

- Nie mogę wywołać kapitana Bainshanka, sir - zameldowała Christine. - Sądzi pan, że trafiono jego okręt?

- Najprawdopodobniej - odparł kapitan. - Nadaj do wszystkich. Właśnie utraciliśmy flagowiec zgrupowania A. Został zniszczony nieznaną nam do tej pory bronią, zdolną do unicestwienia okrętu jednym trafieniem. Rozpocznijcie niezwłocznie ofensywę. Nie czekajcie, aż udowodnią, że to nie był tylko szczęśliwy traf. Jeśli którykolwiek z was zdobędzie informacje pozwalające na identyfikację jednostek przenoszących tego typu pociski, musi natychmiast złożyć pełen raport.

- Nie mają ich zbyt wiele - stwierdził Jacovic. - W przeciwnym razie użyliby ich na Delurosie.

- Oby się pan nie mylił - mruknął Cole.

Flota Republiki otworzyła ogień, skutki pierwszych salw były naprawdę niszczycielskie. W ciągu pierwszych trzech minut starcia zniszczeniu uległo ponad sto jednostek Rubinosów. Chwilę później, po kolejnej jasnej eksplozji, zniknął drugi okręt klasy L.

- Zauważyliśmy, skąd strzelano - zameldował Mellinara. - Broń znajduje się na drugim księżycu, ale nie możemy się na razie przebić, aby dotrzeć w pobliże wyrzutni.

- Jakim cudem strzelają tak celnie, mając przed sobą rój własnych, chroniących ich jednostek? - dziwił się Cole.

- Dostrzegliśmy promień, torpedę czy co to tam było - kontynuował tymczasem Mellinara. - Wiem, że to zabrzmiało

dziwnie, ale wyglądało na to, że on przelatuje przez jednostki Rubinosów. Oni muszą posiadać jakieś systemy, sam nie wiem, co to mogłoby być, które umożliwiają im... powiedzmy wykonanie nagłego, zsynchronizowanego uniku. Przesyłam panu koordynaty wyrzutni.

- Mam je - potwierdziła Christine.

- Teraz my się nią zajmiemy - zdecydował kapitan. - Pani Briggs, proszę przesłać te koordynaty dowódcom zgrupowań F i G razem z rozkazem natychmiastowego przeprowadzenia ataku z dwóch różnych kierunków. Niech wezmą tych Rubinosów w dwa ognie i grzeją ze wszystkiego, co mają na pokładzie.

- Tylko zgrupowania F i G, sir? - zapytał porucznik. - Nie damy im wsparcia eskadr E i H?

- Przekaż, co powiedziałem - uciął rozmowę kapitan.

- Tak jest.

- A gdzie, u licha, jest reszta ich floty - mruknął Cole.

- Obserwuje - odpowiedział Jacovic.

- Dlaczego nie walczy?

- A dlaczego pan nie posyła do boju zgrupowań E i H? - odparł pytaniem na pytanie Teroni. - Robią dokładnie to samo, co my planowaliśmy. Sprawdzają, jaką siłą ognia dysponujemy i jak wytrzymałe posiadamy osłony. No i trzymają nas z dala od planety. Do tej pory nie spadła na nią nawet jedna bomba.

- Nie sugeruje pan chyba, że to jakiś fortel? - Cole zasępił się.

- Nie, sir. Ale jestem pewien, że kiedy zniszczymy tę broń na księżycu, natychmiast znajdzie się coś innego, co odciągnie naszą uwagę od planety.

- Sądzi pan, że spróbują nas od niej odciągnąć? Ciekawe,

gdzie tym razem...

- Nie mam pojęcia - przyznał Jacovic - ale na pewno znajdziemy tam resztę ich floty.

- Też tak sędzę - przyznał kapitan i zaraz dodał - Ale nie zatańczymy, jak nam zagrają.

- Słucham, sir? - Teroni wyglądał na zdezorientowanego.

- To my wybierzemy pole walki i to my ustalimy jej zasady - wyjaśnił Cole. - Christine, daj mi dowódcę zgrupowania E.

- Melduje się kapitan GimANJI - usłyszał mocny, kobiecy głos.

- Mówi Cole. Nie czekajcie na otwarcie ognia z powierzchni planety. Wybierzcie kilka celów, mogą być wojskowe albo przemysłowe, jeśli takie znajdziecie, i rozwalcie je. Jeśli to spowoduje ostrzał wroga, zajmiecie się ujawnionymi punktami oporu.

- Tak jest.

- Zniszczyliśmy tę wyrzutnię, sir! - zameldowała podeksytowana Rachel.

- Jeśli potrafili zbudować jedną, mogli zrobić ich więcej - mruknął kapitan. - Niech pomyślę... - Zamilkł na kilka sekund.

- Tak, zgrupowania F i G mają przeczesać powierzchnię satelitów w poszukiwaniu kolejnych wyrzutni. Mając do dyspozycji tyle skanerów i tysięcy okrętów, w pięć minut będziemy wiedzieli, co jest grane. Jeśli znajdziecie następne instalacje, zbierzcie siły i jak najszybciej je wyeliminujcie. Gdyby z jakichś przyczyn było to niemożliwe, chcę o tym wiedzieć. Natychmiast. - Odwrócił się do Jacovica. - Tam ich nie będzie, jestem tego pewien. Gdybym chciał odwrócić czyjąś uwagę od planety, kazałbym mu przeszukiwać księżyc.

- Sir - odezwała się Rachel. - Z powierzchni planety otwo-

rzono ogień do zgrupowania E. Strzela działo laserowe piątej generacji.

- Tylko jedno?

- Jak na razie, sir.

- Christine, przełącz mnie na kapitan Gimanji.

- Gotowe, sir.

- Mówi Cole.

- Nie ostrzegł mnie pan, że oni dysponują bronią piątej generacji - pożałowała się bez wstępów.

- Bo nie wiedziałem.

- Rozwalimy ich na atomy za jakieś dziewięćdziesiąt sekund - obiecała.

- Świetnie. Jak tylko je zniszczycie, rozproście się nad całą powierzchnią planety. Strzelajcie do wszystkiego, co wam się nawinie pod lufy, i sprawdźcie, czym odpowiedzą. Jeśli będzie to broń powyżej drugiej generacji, meldujcie o niej i likwidujcie natychmiast.

- Tak jest.

Rozłączył się i skoncentrował uwagę na walkach opodal księżycy. Na razie wróg nie skorzystał z broni podobnej do tej, jaką zniszczył okręt Bainshanka. Flota Rubinósów wobec przeważających sił wroga była powoli, ale systematycznie niszczona.

- Za chwilę powinni się pojawić - uznał Cole.

- Po tym pokazie siły mogą tego nie zrobić - stwierdził Jacovic.

- Na Delurosie albo Wewnętrznej Granicy przyznałbym panu rację, ale to ich system, ich matecznik. Nie będą przyglądali się bezczynnie, jak rozwalamy im domy. Ciekawi mnie tylko, na co jeszcze czekają?

- Wycofują się w okolicę orbity Rubino VII, sir - zameldo-

wał Mellinara. - Czy mamy podjąć pościg?

- Zabraniam! - powiedział Cole. - Utrzymajcie pozycje i przekażcie pozostałym, aby zrobili to samo.

- Tak jest.

Cole spojrział na ekrany wypełnione morzem poruszających się bez celu wraków i szczątków, które zderzały się od czasu do czasu ze sprawnymi wciąż jednostkami.

- Jakie straty ponieśliśmy? - zapytał.

- Nie jestem w stanie podać dokładnych liczb, sir - odparł Briggs - ale szacujemy nasze straty na około dwieście jednostek. Oni, według ostrożnych szacunków, utracili około siedmiuset okrętów.

- Z powierzchni planety nadal nikt nie odpowiada ogniem?

- Nie, sir.

- Zgrupowania F i G zakończyły poszukiwania kolejnych wyrzutni na księżycu?

- Tak, sir. Niczego nie znaleziono.

- Połącz mnie z Mellinara. - Cole odczekał kilka sekund potrzebnych do otwarcia pełnej łączności. - Czy oni nadal wycofują się na orbitę siódmej planety?

- Potwierdzam, sir.

- Dobrze. Zgrupowania A, B, C i D mają podejść do Rubino V. Jeśli nie napotkacie oporu, kapitan Gimmanji przekaże wam listę ustalonych celów. Pomożecie w ich zniszczeniu. Starajcie się jednak ograniczyć straty ludności cywilnej do niezbędnego minimum.

- Już lecimy, sir.

- Zgrupowania F i G - mówił dalej Cole. - Wejdźcie na orbitę sprawdzanego przed chwilą księżycy. Flota Rubinosów za-

wróci, kiedy zorientuje się, że nie lecimy za nią. Gdy znajdzie się w zasięgu ognia, wejdzie z nią w kontakt bojowy.

W ciągu kolejnych pięciu minut napływały jedynie kolejne raporty od zgrupowań mówiące o namierzonych celach i zniszczonych bateriach dział na powierzchni planety.

- Nadlatują, sir! - zawołał nagle Briggs.

- Z zewnętrznych planet?

- Tak jest.

- Ilu?

- Sześć, siedem tysięcy jednostek - odparł porucznik.

- Kapitanie Mellinara, kapitanie Gimmanji, za chwilę będziecie mieli towarzystwo - ostrzegł Cole. - Nadlatuje reszta floty Rubinosów. Zgrupowania F i G zaatakują ją w okolicach drugiego księżycy, ale wróg będzie miał nad nimi ogromną przewagę liczebną, więc przyda się im każda pomoc. Zgrupowania od B do E mają się natychmiast wycofać z operacji bombardowania planety i wesprzeć siły zgromadzone na orbicie satelity.

- A co my mamy robić? - zapytał ktoś. - Mówi kapitan Ramos ze zgrupowania A.

- Wy dalej bombardujcie instalacje przemysłowe i militarne - odparł Cole. - Dam wam znać, jeśli będziecie potrzebni w pobliżu księżycy.

- Siedem tysięcy okrętów wroga na niespełna trzy tysiące naszych - zauważył Jacovic.

- Szanse wydają się dość wyrównane - odparł Cole.

- Mamy lepsze uzbrojenie i tarcze - przyznał Teroni. - Ale ich jest tylu...

- Przy tak wielkich flotach siła ognia nie ma aż tak wielkiego znaczenia. Bardziej liczy się to, że nie daliśmy się wciągnąć w ich grę i muszą teraz walczyć tam, gdzie my tego chce-

my.

- Może mi pan to wyjaśnić, sir? - poprosił komandor.

- Chcieli, abyśmy polecili za nimi, ale tego nie uczyniliśmy. Naszym celem było ściągnięcie ich sił w pobliże Rubino V, co nam się udało.

- Sir! - przerwał im wysoki głos.

- Kto mówi?

- Komandor Kristoff. Jestem dowódcą zgrupowania H. Czy ma pan zamiar użyć naszych okrętów w tej bitwie?

- Kiedy przyjdzie pora - zapewnił go Cole.

- A dokładniej?

- Dam panu znać. - Machnął do Christine, by przerwała tę rozmowę, potem zwrócił się do Jacovica. - Muszę podziwiać ich entuzjazm, bo o dyscyplinie nie mają pojęcia.

- Ale zamierzamy wprowadzić ich do walki? - zapytał Briggs.

- Kiedy zajdzie taka potrzeba - odparł kapitan. - I to zapewne już niedługo. - Podeszedł do Wxakgini. - Pilocie, zabierz nas bliżej Rubino V.

- Jak blisko?

- Powiedzmy połowę tego dystansu, jaki mamy teraz. Na jakieś dwadzieścia milionów mil.

- Raczej osiemnaście - poprawił go Bdxeni.

- Panie Briggs, proszę się upewnić, że komandor Kristoff leci tuż za nami.

- Czego się pan spodziewa, sir? - zapytała Rachel.

- Nie wiem, jak wy, ale ja widziałem na Delurosie bardzo precyzyjne bombardowania wybranych celów. Ta planeta jest jednym wielkim miastem, ale oni wiedzieli doskonale, gdzie znajduje się parlament, sąd, nawet siedziba sekretarza. Co ci to

mówi?

- Że zrobili wcześniej dokładny zwiad - odparła.

- Właśnie. A skoro dokonali takiego zwiadu, musieli wiedzieć, jak potężną machiną wojenną dysponuje Republika.

- Może liczyli na to, że tunel czasoprzestrzenny się przesunie, zanim zdążymy zebrać odpowiednio duży korpus ekspedycyjny - zasugerował Briggs.

Cole pokręcił głową.

- Republika dysponuje ponad trzema milionami okrętów wojennych. Kontroluje spory kawałek galaktyki. Nie potrzebuje tuneli czasoprzestrzennych. Są wprawdzie dużym ułatwieniem, ale bez nich też byśmy tutaj dotarli. Moglibyśmy zorganizować gigantyczny korpus ekspedycyjny, który zmiotłby tę planetę, z czego musieli zdawać sobie sprawę.

- Do czego pan zmierza, sir? - zapytała Christine.

- Do tego, że nie widzieliśmy jeszcze tego, co zostawili sobie w odwodzie. A skoro nie mają go na zewnętrznych planetach, zapewne atak nastąpi z centrum albo sąsiednich systemów... Chociaż będzie o wiele szybszy, jeśli wszystko rozegra się w granicach tego układu.

- Fakt, że chcieli nas uprzednio wyciągnąć na peryferie, zdaje się potwierdzać pańską teorię - przyznał Jacovic.

- Niedługo dowiemy się, jak wygląda prawda - odparł Cole. - Dlatego nalegałem, aby kapitan Ramos bombardował planetę. Gdybyśmy wszyscy poleciali na spotkanie ich floty, mogliby poczekać na rezultat starcia bez wzywania posiłków. W aktualnej sytuacji powinni z nich skorzystać.

- Jesteśmy na wyznaczonej pozycji - zameldował Wxakgini.

- Świetnie - ucieszył się kapitan. - To już długo nie po-

trwa.

Trzy minuty później Briggs zameldował, że niewielka eskadra, licząca nie więcej niż pięćdziesiąt jednostek, zbliża się od strony Rubino II.

- Musimy sprawdzić, czym dysponują, i to szybko - stwierdził Cole. - Jak widać, nie zamierzali nas pokonać liczebnością.

- Jeden z tych okrętów jest znacznie większy od pozostałych - zameldował Briggs. - Ma rozmiary sporego pancernika.

- Pojedyncze pancerniki, nawet tak wielkie jak „Kserkses”, nie są w stanie zmienić wyniku wielkiej bitwy - powiedział Wilson. - Tu chodzi o coś zupełnie innego.

- Mamy go na wizji, sir.

Wkrótce wszyscy mieli okazję przyrzeć się olbrzymiej lśniącej maszynie, większej od jakiegokolwiek jednostki walczącej po obu stronach konfliktu. Można było odnieść wrażenie, że to bardziej samodzielna broń niż okręt wojenny.

- On nie leci - zauważył Jacovic. - Jest holowany.

- Stawiam dychę za piątaką, że mamy przed oczami większego braciszka wyrzutni zniszczonej na księżycu - stwierdził Cole. - Roześlijcie ten przekaz do wszystkich zgrupowań, które zajmowały się jego zniszczeniem, niech powiedzą, czy uważają jakieś podobieństwa.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. Maszyna wyglądała niemal identycznie, z tym że była kilkanaście razy potężniejsza.

- Dlaczego nie zrobili sobie stu takich? - zapytała przerażona Rachel.

- Pojęcia nie mam - przyznał kapitan. - Może nie posiadali wystarczającej ilości tego czegoś, co potrzebne jest do odniedania strzału takiej mocy. Może dopiero to wynaleźli, a wyrzut-

nia zniszczona na księżycu była prototypem tego dzidziusia. Gdyby czuli się bezpieczni, mogliby zaatakować nas o wiele wcześniej. Mieli na to całe pięćset lat. Najwyraźniej uważają, że to coś wystarczy im do obronienia planety. Połączcie mnie z Kristoffem.

- Melduję się na rozkaz - odpowiedział komandor kilka sekund później.

- Wydaje mi się, że nadeszła odpowiednia pora, by spuścić was ze smyczy. Widzi pan tę gigantyczną broń holowaną przez cztery okręty klasy J?

- Czy to jest to, o czym myślę?

- Tak, to jest to - zapewnił go Cole. - Zniszczcie to cudo, a wygramy bitwę.

- Z najwyższą rozkoszą!

- Ale nie przeceniajcie swojej siły. Obawiam się, że nigdy wcześniej nie mieliśmy do czynienia z tak potężną bronią. Rozdzielcie się, spróbujcie otoczyć tę wyrzutnię, ale zróbcie to naprawdę szybko. Może mi pan wierzyć, wasze tarcze padną w ułamku sekundy, gdy znajdziecie się na linii strzału.

- Co to jest, u licha?

- Potęga - odparł Wilson. - Bierzcie się do roboty.

Usłyszał jeszcze, jak komandor wydaje rozkaz ataku pięćset okrętom należącym do jego zgrupowania. Jednostki rozluźniły szyk, natychmiast oddalając się od siebie, i niespełna minutę później utworzyły zamkniętą sferę wokół nadlatującej eskadry Rubinosów. Ci ostatni utworzyli ogień, który nie pozostał bez odpowiedzi, i w ciągu następnych sześćdziesięciu sekund dwadzieścia sześć jednostek wroga i jedenaście okrętów floty zamieniło się w dryfujące w przestrzeni kupy złomu.

Wtedy broń obcej rasy włączyła się do walki. Z jej wnętrza wystrzeliła seria promieni, które, gdy tylko trafiły w okręt - a trafiły wszystkie bez wyjątku - zamieniały go w chmurę rozżarzonej plazmy.

Zupełnie jak podczas pierwszego użycia wyrzutni znajdującej się na księżycu Rubino V.

- Te promienie wyglądają jak samonaprowadzające pociski - zauważył Cole. - Po namierzeniu celu przesuwają się za nim, nawet gdy zmieni kierunek lotu.

- Zdziesiątkowali zgrupowanie H, sir - powiedział Jacovic. - A nie wygląda na to, żeby obawiali się wyczerpania amunicji.

- To prawda - przyznał Wilson. - Musimy coś wymyślić, zanim wykończą resztę okrętów z tego zgrupowania.

- Może posłać tam więcej jednostek? - zasugerował Teroni, aczkolwiek bez większego przekonania.

Cole pokręcił głową.

- Im więcej ich tam pošlemy, tym większe zamieszanie wywołamy. I stracimy przy tym masę jednostek. Bitwy wygrywa się najczęściej umysłem, nie siłą. - Zaklął pod nosem. - A mój jakoś dzisiaj nie działa jak trzeba.

- Trafiliśmy go z piętnaście, dwadzieścia razy, ale nie wiadc, żeby został w najmniejszym stopniu uszkodzony - zameldował Kristoff. - Może skończy się temu cholerstwu amunicja? Innej drogi powstrzymania go nie widzę.

- Nie zabraknie mu energii - wtrącił Jacovic. - Gdyby istniał choć cień szansy na to, nie wystawiliby swojej planety na zagrożenie.

- Lepiej, żeby wymyślił pan coś, i to szybko - poradził dowódca zgrupowania. - Straciłem już z pięćdziesiąt okrętów.

- Kristoff, pan posiada na okręcie stukacz piątej generacji
- powiedział Cole. - Użyliście go przeciwko tej broni?

- Nawet go nie nadgryzł, sir.

- Rozumiem, dziękuję. - Wilson rozłączył się. - W takim razie nie ma sensu używać naszego. Tym sposobem zwrócilibyśmy tylko uwagę tego cudactwa na „Teddy’ego R.”. - Przyglądał się przez chwilę postępującym zniszczeniom i nagle pochylił się w stronę ekranu. - Nadażam oczami za tymi eksplozjami pulsacyjnymi.

- A ja nie nadażam za panem - przyznał Jacovic.

- Przecież one nie osiągną prędkości światła ani nawet zbliżonej do tej granicy - kontynuował kapitan. - Żeby nie wiem co, nie będą tak szybkie. - Teroni przypatrywał mu się w milczeniu. - Zatem okręty mogą przed nimi uciec albo opóźnić eksplozję choćby o kilka sekund.

- No dobrze, mogą opóźnić eksplozję o kilka sekund - powtórzył Jacovic. - I co z tego?

- Dajcie mi Pampasa.

- Gotowe, sir - odparła Christine.

- Byku, pędź do wahadłowców. Zaprogramuj „Archiego” na opuszczenie pokładu, podejście do tej broni i strzelenie do niej z lasera...

- To nic nie da, sir - stwierdził sierżant. - Na wahadłowcach mamy działa drugiej generacji. Oni nawet tego nie poczują.

- Przestań mi przerywać i posłuchaj do końca - zgnił go Cole. - „Archie” poleci tam bez pilotów i załogi. Zaprogramujesz mu wykonanie uniku w momencie, gdy wystrzeli. Zrozumiałeś?

- Tak jest - rzucił Pampas i pognął do szybu windy.

- Nadal nie rozumiem, co pan zamierza osiągnąć - po-

wiedział Briggs.

- A ja zaczynam rozumieć - wtrącił Jacovic.
- Gotowe, sir - zameldował Byk.
- Wypuść go - rozkazał Wilson.

Obserwowali na ekranie, jak „Archie” odłącza się od kadłuba i mknie w kierunku broni Rubinosów, i oddaje strzał, jednocześnie wykonując manewr uniku. Wróg odpowiedział ogniem, błyskawica ruszyła śladem kluczącego wahadłowca, naśladując każdy jego ruch i zamieniając po paru sekundach w chmurę rozżarzonej plazmy.

- To może się udać - stwierdził Jacovic.
- Nadal nic nie rozumiem - żołądkował się Briggs.
- Ja też - poparła go Rachel.
- Panie Briggs, czy w czasie kiedy Byk będzie programował „Kermita”, może pan przełączyć jego sterowanie awaryjne na mostek? - zapytał Cole.

- Oczywiście - odparł porucznik. Pogmerał chwilę przy konsoli. - Jeśli naciśnie pan ten klawisz... - wskazał skraj panelu - pojawi się holograficzny ster. Niematerialny rzecz jasna, ale odpowiadający idealnie urządzeniom znajdującym się na pokładzie „Kermita”. Wahadłowiec będzie reagował, jakby pan siedział osobiście za sterem.

- Pozwoli pan, że spróbuję - powiedział kapitan. - Byku, rozpocznij procedurę odpalenia „Kermita”.

- Bez załogi, sir?
- Bez.
- W takim razie wszystko gotowe, sir - zameldował Pampas.

Cole dotknął klawisza wskazanego przez porucznika i ułożył dłonie tuż nad holograficznym panelem. Wyprowadził

wahadłowiec w otwartą przestrzeń, manewrował nim przez około dwie minuty, tyle czasu zabrało mu przyzwyczajenie się do tej metody sterowania.

- Połączcie mnie z Kristoffem - rozkazał.

- Melduje się Kristoff.

- Wycofajcie swoje okręty, komandorze. Nie poczyniliście żadnych postępów, dlatego musimy spróbować czegoś zupełnie innego.

- Tak jest. - Dowódca zgrupowania nie starał się nawet ukryć zawodu.

Cole poczekał, aż wszystkie okręty się wycofają.

- Dobra, zaczynamy zabawę - powiedział, kierując „Kermita” w stronę Broni, od tej pory myślał o niej przez duże B, by raz jeszcze ostrzelać ją ze słabego lasera. W tym samym czasie pchnął manetkę do przodu, nadając wahadłowcowi prędkość zbliżoną do świetlnej, i skręcił ostro w dół, kierując maleńki stateczek prosto na kadłub Broni. Błyskawica dopadła wahadłowiec na mikrosekundę przed tym, jak roztrzaskał się o kadłub giganta. Eksplozja zamieniła obie jednostki w gigantyczną chmurę plazmy.

Cole odwrócił się od ekranu.

- Zniszczyliśmy ją, obracając przeciw niej jej własną siłę - powiedział, uśmiechając się krzywo. - Wiedziałem, że to zadziała.

- Tutaj Kristoff - rozległ się głos dowódcy zgrupowania. - Co tam się stało, u licha?

- Później panu to wyjaśnię - odparł kapitan. - Na razie ruszacie z nami w stronę Rubino V. - Rozłączył się. - Panie Briggs, jak tam wygląda bitwa wokół księżycy? Czekam na raport

o stratach.

- Walki wciąż trwają. Nie podam panu dokładnych liczb, zbyt wiele wraków przesłania pole widzenia, ale zdaje się, że nasi trzymają się znacznie lepiej od wroga... - Zamilkł na moment. - Nadchodzą raporty, sir. Zgrupowanie B straciło dwadzieścia siedem okrętów. Zgrupowanie C sześćdziesiąt dwa. Zgrupowanie E trzydzieści dziewięć...

- A co ze zgrupowaniem D?

- Nie mogę się z nimi skontaktować, sir. Podejrzewam, że ich okręt flagowy został zniszczony. Zgrupowanie F straciło sto siedemdziesiąt jeden okrętów, a G sto szesnaście, ale te dwa ostatnie przyjęły na siebie pierwszy atak głównych sił floty wroga. Jeśli chodzi o straty wroga, oscylują one w granicach trzech tysięcy jednostek.

- Świetnie - ucieszył się Cole. - Pilocie, lecimy na orbitę Rubino V.

W czasie gdy „Teddy R.” krążył nad planetą, Cole podszedł do stanowiska Christine.

- Chciałbym przesłać wiadomość prezydentowi, premierowi, królowi czy kogo oni tam mają. Możesz to zorganizować?

- Nie mam jego kodu ani koordynat - odparła. - Ale mogę nadać pana odezwę na całą planetę. Jestem pewna, że w takiej formie też dotrze do niego, a gdy odpowie, namierzemy go dokładniej.

- Świetnie - ucieszył się Cole. - Wykonać.

- Gotowe - zameldowała kilka sekund później.

- Do przywódcy Rubino V - zaczęła. - Mówi Wilson Cole, dowódca „Teodora Roosevelta”, okrętu flagowego floty Republiki odpowiadającej na niczym niesprowokowany atak na DeLurosa VIII. Zniszczyliśmy waszą Broń i systematycznie dziesiąt-

kujemy resztę floty. Możemy walczyć aż do końca, dopóki nie zniszczymy ostatniego z waszych okrętów, a potem przeprowadzimy desant i zapolujemy na członków władz planety, likwidując ich jednego po drugim. Uczynimy tak, jeśli nie poddacie się natychmiast. Jeżeli ogłosicie bezwarunkową kapitulację, obiecuję, że zaprzestaniemy ataków, tak teraz, jak i w przyszłości. Nie będziemy rozpamiętywać przeszłości, powiem nawet więcej, zaprosimy was do udziału w nowym galaktycznym rządzie.

- Nie ma czegoś takiego - usłyszał w odpowiedzi.

- Ale będzie - obiecał.

Dziesięć minut później Rubinosi zgodzili się przerwać ogień.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Cole i jego oficerowie stali w gabinecie sekretarza na Delurosie VIII, naprzeciw Aloysiusa Changa, Anyi Kranchev i pół tuzina innych członków parlamentu.

- Wszyscy podpisaliśmy nasze rezygnacje - powiedział doradca, wyciągając dokument z szuflady biurka. - Dam je panu teraz. Nie wszyscy w naszym rządzie mieli aż taką pogardę dla prawdy jak zmarły sekretarz.

- Nie oczekuje pan chyba, że podrę je w geście dobrej woli? - zapytał kapitan, składając pismo, by schować je do kieszeni. - Zbyt wiele złego uczyniono w imieniu tej Republiki. Może i ludzie zebrani w tym pomieszczeniu nie popierali tego, ale i nie zrobili nic, by powstrzymać niegodziwości. - Nikt się nie odezwał, więc Cole kontynuował przemowę. - Wydaje mi się, że czas Republiki minął. Była koniecznością, gdy człowiek stawiał pierwsze kroki w niegościnnej i wrogiej mu galaktyce, ale to już przeszłość. Potrzebny nam rząd reprezentujący na równych prawach wszystkie znane rasy, w tym także Teroni i Rubinosów.

- Nie mam zamiaru sprzeczać się z panem - zapewnił go Chang. - Prawdę powiedziawszy, sporo dyskutowaliśmy na ten temat we własnym gronie i byłibyśmy zaszczytzeni, gdyby zechciał pan piastować stanowisko sekretarza.

- Ja? - zdziwił się Cole.

- Tak.

- Z całym szacunkiem, ale naprawdę nienawidzę polityki, a polityków jeszcze bardziej. Niestety, muszę odmówić.

- Jest pan pewien? - zapytała Anya.

- Tak. Ale mogę zarekomendować kogoś do nowo formowanego rządu.

- Naprawdę?

Wilson objął ramieniem swojego pierwszego oficera.

- Komandor Jacovic jest najbardziej honorową istotą, jaką w życiu poznałem. Wydaje mi się, że i wy możecie czerpać sporo korzyści z tego, że znajdzie się na eksponowanym stanowisku.

- Ale to Teroni! - zaprotestowała Anya.

- A kto wynegocjuje lepsze warunki pokoju z Federacją, jak nie jeden z jej byłych obywateli? - zapytał Cole. - Nie da się zbudować prawdziwej galaktycznej demokracji bez tej rasy.

Politycy szeptali przez chwilę między sobą, potem Chang podszedł do Jacovica.

- Jest pan skłonny przyłączyć się do nowych władz, komandorze? - zapytał.

- Czy w ramach pełnionych obowiązków musiałbym negocjować z innymi rasami?

- To nie ulega wątpliwości - stwierdziła Anya.

- W rozmowie z politykami nic nie ulega wątpliwości - wtrącił Cole. - Podpiszecie wszyscy układ zapewniający komandorowi tę funkcję?

Tej kwestii nie musieli nawet dyskutować.

- Tak, podpiszemy - odparł Chang. - Zatem pytam pana jeszcze raz, komandorze: czy gotów pan jest wstąpić do nowo formowanego rządu?

- To będzie dla mnie zaszczyt - odparł Teroni.

Doradca spojrzął na Cole'a.

- A co pan zamierza robić?

- „Teddy’emu R.” zostało jeszcze kilka lat służby i parę podróży do odbycia - odparł kapitan. - Demokracja powinna być lepsza niż dawna Republika, zwłaszcza gdy rządzić będą istoty pokroju Jacovica, ale ja chyba już nigdy nie wyleczę się ze wstrętu do władzy. Jednak galaktyka jest wielka i na pewno znajdzie się w niej sporo rzeczy do odkrycia.

Powiedziawszy te słowa, Cole wraz z swoją załogą ruszył na spotkanie nowej przygody.

ANEKSY

ANEKS PIERWSZY

JAK POWSTAŁ WSZECHŚWIAT PIERWORODNYCH

Zacząło się w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Oglądałem w towarzystwie Carol w miejscowym kinie jakiegoś koszmarnego gniota i gdzieś tak w połowie wymamrotałem: „Dlaczego marnuję czas na siedzenie tutaj, skoro mógłbym robić coś naprawdę interesującego, na przykład opisać historię rodzaju ludzkiego od jego narodzin aż po wyginięcie?”. Po chwili Carol szepnęła w odpowiedzi: „Właśnie, dlaczego tego nie zrobisz?”. Zebraliśmy się natychmiast, wyszliśmy z kina i jeszcze tej nocy rozpisałem plan nowej powieści noszącej tytuł: „Birthright: The Book of Man”, w której zamierzałem zarysować losy ludzkości od momentu, w którym człowiek zdołał przekroczyć prędkość światła, aż po jego wyginięcie osiemnaście tysięcy lat później.

Miałem przed sobą masę pisania. Podzieliłem odległą przyszłość na pięć epok politycznych – Republikę, Demokrację, Oligarchię, Monarchię oraz Anarchię – i osadziłem w nich akcję dwudziestu sześciu opowiadań (nazwanych potem w „Analogu”, nie bez racji zresztą, „demonstracyjnymi”), w których zająłem się wszystkimi najważniejszymi aspektami ludzkiej rasy, zarówno dobrymi, jak i złymi jej stronami. Nie było w nich jednego boha-

tera – głównie za sprawą tego, że akcja każdego rozgrywała się w odstępach co najmniej kilkuset lat (o ile nie uznacie za niego Człowieka przez duże C, z czym akurat moglibyście polemizować – ja przynajmniej tak bym zrobił – bowiem moim zamierzeniem było przedstawienie studium zachowań jednostki).

Sprzedalem ten pomysł wydawnictwu Signet, razem z powieścią „The Soul Eater”. Pomysł „wszechświata Pierworodnych” tak spodobał się mojemu ówczesnemu wydawcy, Sheili Gilbert, że natychmiast poprosiła, abym wprowadził do książki parę zmian i umieścił jej akcję właśnie w tej przyszłości. Zgodziłem się, a same zmiany nie zabrały mi więcej niż jeden dzień. Podobną prośbę Sheila wyraziła także, ale niejako awansem, do powstających właśnie tetralogii „Tales of the Galactic Midway” i „Tales of the Velvet Comet” oraz powieści „Walpurgis III”. Z perspektywy czasu zauważam, że tylko dwie z trzynastu powieści, jakie napisałem dla Signetu, nie dotyczyły tych realiów.

Kiedy przeniósłem się do wydawnictwa Tor Books, mój nowy wydawca, Beth Meacham, także zapalała chęcią kontynuacji uniwersum Pierworodnych i większość książek złożonych u niej – nie wszystkie, ale naprawdę zdecydowana większość – mieściła się w tych ramach: „Santiago”, „Ivory”, „Paradise”, „Purgatory”, „Inferno”, „A Miracle of Rare Design”, „A Hunger in the

Soul", „The Outpost" i „The Return of Santiago".

Gdy Ace wyraził chęć wydania „Soothsayer", „Oracle" i „Propheta", prowadząca go Ginjer Buchanan także założyła, że dostarczę jej teksty umieszczone w rzeczywistości uniwersum Pierworodnych – i tak też się stało, gdyż w tym okresie wiedziałem już znacznie więcej o osiemnastu tysiącach lat historii człowieka w kosmosie i dwóch milionach światów, które odwiedził. Dlatego pisało mi się o tych wydarzeniach o wiele szybciej i prościej.

Prawdę mówiąc, zacząłem także umieszczać w tym uniwersum akcje moich opowiadań. Dwa z nich, te, które zdobyły nagrody Hugo („Seven Views of Olduvai Gorge" i „The 43 Antarean Dynasties"), także dotyczyły świata Pierworodnych, jak i z piętnaście innych tekstów opublikowanych w tamtych latach.

Także Bantam, do którego przenieśliem się po jakimś czasie, gdy doszło do rozmów z Janną Silverstein (choć odeszła z firmy do innego wydawnictwa, zanim zamówione przez nią książki się ukazały), liczył na to, że trylogia „Widowmaker" zostanie wpleciona w mój wielki projekt. Potraktowałem więc słowa Janny jak klasyczne zamówienie i zrealizowałem je.

Ostatnio wręczyłem Meishy Merlin kolejną książkę – nie zgadnicie – także osadzoną w tych realiach.

A gdy zasugerowałem powstanie serii klasycznego science fiction w wydawnictwie Pyr, nawet przez myśl mi nie przeszło, że ich akcja nie będzie się rozgrywała we wszechświecie Pierwotnych.

W ciągu tych niemal czterdziestu lat napisałem tak wiele tekstów dotyczących tej wersji przyszłości, że nie pamiętam już dokładnie, kto i kiedy nakłonił mnie do rozwinięcia mojego pomysłu. A szkoda, bo chciałbym mu gorąco podziękować.

ANEKS DRUGI

HISTORIA WSZECHŚWIATA PIERWORODNYCH

Najgęściej zaludnionym sektorem wszechświata Pierworodnych (a mówię tutaj zarówno o ilości systemów, jak i ich mieszkańców) jest twór polityczny ewoluujący od Republiki przez Demokrację i Oligarchię do Monarchii. W jego granicach znajdują się miliony zamieszkanych i nadających się do zamieszkania planet. Ziemia okazała się zbyt mała i za bardzo oddalona od galaktycznych szlaków, by pozostać stolicą człowieka, i dlatego właśnie kilka tysięcy lat po rozpoczęciu ekspansji centrum geopolityczne zostało przeniesione na Delurosa VIII, ogromną planetę o powierzchni niemal dziesięciokrotnie większej od tej, którą dysponowaliśmy na Ziemi, ale o niemal identycznej grawitacji i składzie atmosfery. W środkowym okresie, zwanym Demokracją, powiedzmy, że za około cztery tysiące lat, wszystkie lądy tej planety pokryje jedno ogromne miasto. Natomiast w czasach Oligarchii nawet taki gigant jak Deluros VIII stanie się zbyt ciasny dla miliardów biurokratów zarządzających galaktycznym imperium i aby temu zaradzić, dojdzie do rozbicia innego gigan-

ta, Delurosa VI, na czterdzieści osiem ogromnych planetoid, aby na każdej z nich umieścić jeden z departamentów rządowych (z czego cztery przypadną wojsku).

Ziemia tymczasem stanie się przyjaznym zadupiem gdzieś na końcu spiralnego ramienia galaktyki. Nie sądzę, bym umieścił na niej akcję zbyt wielu utworów.

Przestrzenie na skraju galaktyki zyskały miano Obrzeży, na tym obszarze niewiele jest zamieszkanych planet, a jeśli już, to posiadają nielicznych mieszkańców. Tereny te nie mają żadnej wartości militarnej, zatem ich patrolowanie można powierzyć pojedynczym niewielkim jednostkom, takim właśnie jak „Teodor Roosevelt”, które chronią czasem nawet setki rozsznycanych po Obrzeżach światów. W późniejszych erach terytoria te staną się własnością wojowniczych władców feudalnych, ale ich szaleństwa ze względu na odległość i małą wagę Obrzeży ujdą uwadze rządzących centrum galaktyki albo zostaną wręcz zignorowane.

Mamy tu jeszcze Wewnętrzną i Zewnętrzną Granicę. Zewnętrzną Granicą nazywa się terytoria rozciągające się pomiędzy skrajnymi sektorami Republiki, Demokracji, Oligarchii i Monarchii a Obrzeżami, natomiast Wewnętrzna Granica to o wiele mniejszy (ale wciąż olbrzymi) obszar w samym centrum galaktyki, rozciągający się pomiędzy masywną czarną dziurą leżącą w

jej środka a granicami Republiki etc.

Na terytoriach Wewnętrznej Granicy rozgrywa się akcja większości tekstów, jakie napisałem o wszechświecie Pierworodnych. Lata temu znakomity pisarz R. A. Lafferty zadał znaczące pytania: „Czy w przyszłości, gdy nad wszystkim panować będzie duch nauki, znajdzie się miejsce dla mitologii? Czy wielkie czyny będą opisywane po epicku, czy tylko liniami kodu komputerowego?”. Stwierdziłem, że gotów jestem poświęcić sporą część życia zawodowego, by stworzyć taką mitologię przyszłości, doszedłem też do wniosku, że takie opowieści, w których mamy wybitne postacie i barwne tło, wymagają umiejscowienia na terenach słabiej zamieszkanym, gdzie trudno o rzetelnego kronikarza, który spisałby dokładnie wszystkie fakty, za to łatwo o rządzących, którzy zrobią wszystko, aby prawda o tych wydarzeniach nie wyszła na jaw. I tak dość arbitralnie wybrałem Wewnętrzną Granicę za miejsce narodzin mojej mitologii i zaludniłem ją ludźmi o charakterystycznych nazwiskach, takich jak Catastrophe Baker, Widdowmaker, Cyborg de Milo czy wiecznie młody Forever Kid. Dzięki takim zabiegom mogę snuć opowieści o wielkich bohaterach (a czasami i antybohaterach), ale także i bardziej realistyczne historie rozgrywające się o tysiące lat świetlnych od Granicy, w sercu Republiki czy Demokracji albo ich kolejnych wcieleń.

Przez dziesiątki lat wypełniałem galaktykę treścią. Mam w niej dobrze znane gromady gwiazdne, jak Albion, Quinellus czy też im podobne, oraz kilka nowych, które pojawiają się dopiero na kartach tej książki, jak na przykład Feniks czy Kasjusz. Są pojedyncze planety, niektóre nawet okazują się na tyle ważne dla opowieści, że trafiają do tytułów książek (Walpurgis III), niektóre przewijają się w kilku okresach historycznych i poświęconych im tekstach (Deluros VIII, Antares III, Binder X, Keepsake, Spica II), a wiele innych, setki (a teraz już chyba tysiące nawet) planet (a także ras, co sobie teraz uświadomiłem) wspomniane są jeden jedyny raz.

Mam też w tym świecie jeśli nie krainy zła, to przynajmniej nielojalną opozycję. Niektóre z tych tworów, na przykład imperium Sett, rozpoczną wojnę z ludzkością i na tym koniec. Inne, jak Bliźnięta Canphor (czyli Canphor VI i VII), zostaną podzielone i częściowo będą służyć po naszej stronie przez niemal dziesięć tysięcy lat. Ale już taki Lodin XI nie będzie tak stabilny, zaś jego poparcie dla ludzkości zależeć będzie od aktualnej sytuacji politycznej.

Wciąż jeszcze konstruuje mój wszechświat, rozbudowuję go politycznie i geograficznie od ponad trzydziestu pięciu lat i z każdym opowiadaniem czy powieścią staje się on coraz pełniej-

szy, przynajmniej dla mnie. Dajcie mi jeszcze trzy dekady, a będę święcie wierzył w każde słowo, które o nim napisałem.

ANEKS TRZECI

CHRONOLOGIA WSZECHŚWIATA PIERWORODNYCH

Rok	Era	Epoka	Tytuł
1885	A.D.		„The Hunter" (Ivory)
1898	A.D.		„Himself" (Ivory)
1982	A.D.		<i>Sideshow</i>
1983	A.D.		<i>The Three-Legged Hootch Dancer</i>
1985	A.D.		<i>The Wild Alien Tamer</i>
1987	A.D.		<i>The Best Rootin' Tootin' Shootin' Gunslinger In the Whole Damned Galaxy</i>
2057	A.D.		„The Politician" (Ivory)
2988	A.D. = 1 G.E.		
16	G.E.	Republika	„The Curator" (Ivory)
264	G.E.	Republika	„The Pioneers" (Birthright)
332	G.E.	Republika	„The Cartographers" (Birthright)
346	G.E.	Republika	<i>Walpurgis III</i>
367	G.E.	Republika	<i>Eros Ascending</i>
396	G.E.	Republika	„The Miners" (Birthright)

401	G.E.	Republika	<i>Eros at Zenith</i>
442	G.E.	Republika	<i>Eros Descending</i>
465	G.E.	Republika	<i>Eros at Nadir</i>
522	G.E.	Republika	„All the Things You Are"
588	G.E.	Republika	"The Psychologists" (Birthright)
616	G.E.	Republika	<i>A Miracle of Rare Design</i>
882	G.E.	Republika	"The Potentate" (Ivory)
962	G.E.	Republika	„The Merchants" (Birthright)
1150	G.E.	Republika	"Cobbling Together a Solution"
1151	G.E.	Republika	"Nowhere in Particular"
1152	G.E.	Republika	„The God Biz"
1394	G.E.	Republika	„Keepsakes"
1701	G.E.	Republika	"The Artist" (Ivory)
1813	G.E.	Republika	„Dawn" (Paradise)
1826	G.E.	Republika	<i>Purgatory</i>
1859	G.E.	Republika	„Noon" (Paradise)
1888	G.E.	Republika	"Midafternoon" (Paradise)
1902	G.E.	Republika	„Dusk" (Paradise)
1921	G.E.	Republika	<i>Inferno</i>
1966	G.E.	Republika	<i>Starship: Mutiny</i>
1967	G.E.	Republika	<i>Starship: Pirate</i>
1968	G.E.	Republika	<i>Starship: Mercenary</i>

- 1969 G.E. Republika *Starship: Rebel*
- 1970 G.E. Republika *Starship: Flagship*
- 2122 G.E. Demokracja „The 43 Antarean Dynasties”
- 2154 G.E. Demokracja „The Diplomats” (Birthright)
- 2275 G.E. Demokracja "The Olympians" (Birthright)
- 2469 G.E. Demokracja „The Barristers” (Birthright)
- 2885 G.E. Demokracja „Robots Don't Cry”
- 2911 G.E. Demokracja "The Medics" (Birthright)
- 3004 G.E. Demokracja "The Politicians" (Birthright)
- 3042 G.E. Demokracja "The Gambler" (Ivory)
- 3286 G.E. Demokracja *Santiago*
- 3322 G.E. Demokracja *A Hunger in the Soul*
- 3324 G.E. Demokracja *The Soul Eater*
- 3324 G.E. Demokracja „Nicobar Lane: The Soul Eater's Story”
- 3407 G.E. Demokracja *The Return of Santiago*
- 3427 G.E. Demokracja *Soothsayer*
- 3441 G.E. Demokracja *Oracle*
- 3447 G.E. Demokracja *Prophet*
- 3502 G.E. Demokracja „Guardian Angel”
- 3719 G.E. Demokracja „Hunting the Snark”
- 4375 G.E. Demokracja "The Graverobber" (Ivory)

4822 G.E.	Oligarchia	"The Administrators" (Birthright)
4839 G.E.	Oligarchia	<i>The Dark Lady</i>
5101 G.E.	Oligarchia	<i>The Widowmaker</i>
5103 G.E.	Oligarchia	<i>The Widowmaker Reborn</i>
5106 G.E.	Oligarchia	<i>The Widowmaker Unleashed</i>
5108 G.E.	Oligarchia	<i>A Gathering of Widowmakers</i>
5461 G.E.	Oligarchia	"The Media" (Birthright)
5492 G.E.	Oligarchia	"The Artists" (Birthright)
5521 G.E.	Oligarchia	"The Warlord" (Ivory)
5655 G.E.	Oligarchia	"The Biochemists" (Birthright)
5912 G.E.	Oligarchia	"The Warlords" (Birthright)
5993 G.E.	Oligarchia	"The Conspirators" (Birthright)
6304 G.E.	Monarchia	<i>Ivory</i>
6321 G.E.	Monarchia	"The Rulers" (Birthright)
6400 G.E.	Monarchia	"The Symbiotics" (Birthright)
6521 G.E.	Monarchia	"Catastrophe Baker and the Cold

Equations"

6523 G.E.	Monarchia	<i>The Outpost</i>
6599 G.E.	Monarchia	"The Philosophers" (Birthright)
6746 G.E.	Monarchia	"The Architects" (Birthright)
6962 G.E.	Monarchia	"The Collectors" (Birthright)
7019 G.E.	Monarchia	"The Rebels" (Birthright)

16201 (Birthright)	G.E.	Anarchia	"The Archaeologists"
16673	G.E.	Anarchia	"The Priests" (Birthright)
16888	G.E.	Anarchia	"The Pacifists" (Birthright)
17001	G.E.	Anarchia	"The Destroyers" (Birth- right)
21703	G.E.		"Seven Views of Olduvai Gorge"

ANEKS CZWARTY

TUNELE CZASOPRZESTRZENNE

Jeśli czytaliście którykolwiek z tomów cyklu „Starship”, wiecie już, że najszybszym sposobem podróżowania po galaktyce, z prędkościami wielokrotnie większymi od świetlnej, są twory zwane tunelami czasoprzestrzennymi.

Powiadacie, że to wymysł fantastyki naukowej?

Zgadujcie jeszcze raz.

Termin tunel czasoprzestrzenny został ukuty w roku 1957 przez Johna Wheelera, amerykańskiego fizyka teoretyka. Idea ta miała podówczas trzydzieści siedem lat i pojawiła się po raz

pierwszy w teorii niemieckiego matematyka Hermanna Weyla.

Tunele czasoprzestrzenne łamią Einsteinowskie prawa wszechświata?

Cóż, Einstein tak nie uważał. On i jego przyjaciel nazwiskiem Nathan Rosen wymyślili tak zwane mosty Einsteina-Rosena, które łączyły dwa terytoria w przestrzeni, omijając po drodze wszystkie ograniczenia wynikające z teorii względności Einsteina... Aby oddać sprawiedliwość prawdzie, to na ich pomysły oparte zostały potem tunele czasoprzestrzenne Schwarzschilda.

Można powiedzieć, że idee te wzajemnie się przenikały.

Carl Sagan, pisząc pierwszą powieść zatytułowaną „Kontakt”, zapytał kosmologa Kipa Thorne'a o możliwość, nawet hipotetyczną, podróży przez takie tunele, a ten opracował z zespołem pewną teorię. Takie tunele znane są dzisiaj pod nazwą tuneli czasoprzestrzennych Morrisa-Thorne'a (na bazie tej pracy, co było niejako efektem ubocznym, Thorne stworzył także rozsądnie brzmiące uzasadnienie dla podróży w czasie).

Czy takie tunele czasoprzestrzenne naprawdę istnieją w kosmosie?

Niemal na pewno.

Czy możemy nimi podróżować?

Na to pytanie odpowiedź brzmi: nie.

Ale fantazji i optymizmu dodają jeszcze, na razie nie... dlatego trzymajcie rękę na pulsie.

ANEKS PIĄTY

ETYKA

Mam nadzieję, że seria „Starship” dostarczyła wam wiele zabawy, niemniej, jak każdy utwór science fiction, także i ona dotyka kilku bardzo istotnych problemów człowieka. W pierwszym tomie zająłem się rozważaniami na temat, czy można, a nawet należy, odmówić wykonania wydanego zgodnie z prawem rozkazu, bez względu na tego konsekwencje. W drugim interesowało mnie, czy ludzie zmuszeni do życia poza prawem mogą stworzyć sobie kodeks moralny. W trzecim powodem rozmyślań okazała się kwestia, czy można odmówić wykonania pracy, jeśli jest ona niezgodna z wyznawanymi zasadami moralnymi. Tom czwarty opisywał reakcje człowieka na zło wyrządzone nie jemu samemu, ale komuś bliskiemu, szukałem w nim odpowiedzi, czy naprawdę należy jakoś na to reagować.

Siadając do pisania ostatniego tomu (a był to maj roku 2009), widziałem w gazetach nagłówki pytające wprost: czy wolno przesłuchiwać w sposób brutalny jeńców. Pytano przeciętnych Amerykanów, czy takie ostre przesłuchania mogą być

usprawiedliwione. I kiedy przestają być tylko przesłuchaniami i zaczynają się tortury? I w końcu, czy można usprawiedliwić stosowanie tortur?

Jak sami zapewne się domyślicie, pierwsza odpowiedź cywilizowanego człowieka brzmi: nie, nic i nigdy nie usprawiedliwi torturowania innych ludzi.

Dobrze. Ale dzisiaj wiemy na przykład, że tylko dzięki tak zwanemu „waterboardingowi” udało się wydobyć informacje umożliwiające zapobieżenie zamachowi na jeden z wieżowców w Los Angeles, mimo iż osoba, którą tak potraktowano, wcześniej całymi miesiącami odmawiała śledczym złożenia jakichkolwiek zeznań.

Czy to nie jest dobre usprawiedliwienie?

Sądzę, że wielu z was, uczciwych w końcu ludzi, stwierdzi, iż jednak nie.

Ale załóżcie sobie wtedy, że w owym budynku pracuje wasza żona, matka, córka. I że zginęła w chwili, gdy uderzył w niego kolejny samolot.

Nadal uważacie, że to było niedopuszczalne? Obawiam się, że nie.

I tak dochodzimy do sedna tej sprawy. Tortury mogą stać się dopuszczalne w przypadku naprawdę ekstremalnym, takim

jak próba ocalenia tysięcy kobiet mogących znaleźć się w budynku będącym celem ataku terrorystycznego. Albo (to akurat ulubiony przykład wielu polityków) gdy jest to jedyna droga do poznania lokalizacji ukrytej bomby, na przykład brudnej, zanim nastąpi eksplozja.

Ale trzeba mieć na względzie także drugą stronę tego medalu. Każdy przyzna, że waterboarding i podobne jemu metody przesłuchań są brutalne, ale czy stosując je, mamy do czynienia z torturami?

Terrorysta, który zdradził szczegóły tego ataku na wieżowiec, już następnego dnia tryskał zdrowiem. Nic nie wskazywało, że był brutalnie traktowany. A zastosowanie waterboardingu ocaliło życie tysięcy ludzi. Oczywiście nie możemy powiedzieć, że tylko to ich uratowało, ponieważ nie wiemy, czy stosowanie łagodniejszych metod przesłuchań nie doprowadziłoby w końcu do podobnego wyznania prawdy. Ale przyjrzyjmy się sprawdzalnym faktom, w odróżnieniu od naszych żołnierzy torturowanych w czasie drugiej wojny światowej przez Japończyków, ten człowiek nie doznał żadnego uszczerbku na zdrowiu, prócz tego, że najadł się strachu. Co więcej, żołnierze sił specjalnych przechodzą przez procedury waterboardingu po wielekroć, by uodpornić się na jego działanie, na wypadek gdyby zostali schwytani przez

wroga i jeszcze ani jeden z nich nie zmarł ani nie został kaleką z tego powodu.

A mimo to wielu z nas uważa, że stosowanie takich metod jest sprzeczne z konstytucją. Podnosi się argument, zresztą bardzo rozsądny, że stosując tortury, stajemy się tacy sami jak terroryści. Ale jest też inny, nie mniej ważki: normalne, przewidziane prawem metody przesłuchań idą w kąć natychmiast, jeśli tylko dowiesz się, że gdzieś jest bomba, której zapalnik czasowy ustawiony jest na eksplozję za trzy godziny, i nie ma czasu na zabawy.

Zdaję sobie sprawę, że obie strony tego sporu mają swoje racje i uważają się za moralnie właściwe.

I dlatego uznałem, że warto postawić Wilsona Cole'a przed tym wyborem.

ANEKS SZÓSTY

BALLADA O WILSONIE COLE

Zwrotka pierwsza:

Gdy nastał Galaktycznej Ery
Rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty szósty
Komandor Cole usunął Polonoi
Ze stanowiska swojego okrętu dowódcy
I mimo czterech medali za odwagę
Trafił od razu pod sąd wojenny
Załoga jednak go nie puściła
I wspólnie na poniewierkę w przestrzeni wyruszyła

Refren:

Powiadają, że kapitan Cole bohaterem był
I legendarnym dowódcą „Teddy'ego R.”
Walczył dzielnie, by sprawiedliwości stało się zadość
Prowadząc flotę swą przez pustki bezmiary

Zwrotka druga:

A potem nadszedł rok sześćdziesiąty siódmy
I gdy rok od jego buntu minął
Zawarł sojusz z Dawidem Copperfieldem
I sprzymierzył się z Walkirią
Ale piratem marnym się okazał
Bo dobry człowiek z niego był
Odzyskał „Opowieść o dwóch miastach”
I plany swoje zmienił w mig

Refren

Zwrotka trzecia:

Najemnikiem przyszło mu zostać
Gdy minął wygnania rok kolejny
Na Stację Singapur droga go zawiodła
I tam napotkał Księcia z platyny
Przyłączył się też do niego Teroni Jacovic
I pierwszym oficerem w mig został
Ramię w ramię wyruszyli, by Csontiego pokonać
Na czele okrętów bez mała tysiąca

Refren

Zwrotka czwarta:

Flota zamordowała Forrice'a biednego
Gdy ten odwiedzał burdele na Braccio II
Cole zemstę poprzysiągł za przyjaciela jedynego
Załoga „Niekończącej się nocy” życie za niego da.
A gdy Republika całą planetę zniszczyła
Cole zaczął ochotników gromadzić
Zebrał też flotę, która nikomu nie odpuściła
I na Wewnętrzną Granicę ją poprowadził

Refren

Zwrotka piąta:

Cole przeniknął aż na Delurosa VIII
Gdy naszedł rok siedemdziesiąty
Właśnie wymierzył broń w sekretarza
Gdy na niebie zaroilo się od obcych
I poprowadził Cole „Teddy'ego R.”
Oraz okręty do Republiki należące
Aby pokonać wroga, osiągnąć cel
Obalić rząd i misję swą zakończyć.

John Anealia pisze teksty piosenek science fiction i fantasy. Wyśpiewuje potem ody do androidów, księżniczek, kapitanów okrętów i wampirów przy dźwiękach gitary akustycznej oraz syntetyzera. Możecie **ściągnąć** sobie „Balladę o Wilsonie Cole”, jak też wiele innych jego utworów, oczywiście za darmo, ze strony: <http://scifisongs.blogspot.com>.